

BETINA KRAHN

Sramanka

Prolog

Kolonia Maryland, 1748

Spójrz tylko, Pen? Założę się, że te ostrogi są z czystego srebra.

Treasure Barrett spoglądała na swego starszego brata szeroko otwartymi, fiołkowymi oczyma. Oboje tkwili w niewygodnej pozycji na strychu starej gospody pana Renniera. Na dole, w knajpie, trzech młodych zawadiaków w modnych strojach przepychało się pośród hałaśliwego tłumu. Młodzieńcy wyróżniali się elegancjami surdutami, pijackimi uśmieszkami i butami z ostrogami, które zwróciły uwagę Treasure.)

- Pen - szepnęła nagle, a kiedy nie usłyszała odpowiedzi, wyciągnęła rękę w stronę brata, nie spuszczać wzroku ze sceny na dole.

Pen szarpnął się tak gwałtownie, że straciła równowagę, ale szybko chwycił ją za suknię, chroniąc przed upadkiem.

- Co za głupota - mruknął. - Leżeć tu, w tym upale i przyglądać się gogusiom, którzy przyjechali z Baltimore, aby pohandlować i się upić.

- Wcale nie są pijani - stwierdziła z uporem Treasure. - Wiśniakiem taty nie można się upić. Sam to powiedział. A oni nic więcej nie pili.

- Dużo wiesz. - Prychnął pogardliwie. - Wydaje ci się, że zjadłaś wszystkie rozumy.

- Ale wciąż się uczę.

Z dołu dobiegł ich wybuch śmiechu. Jeden z młodzieńców zaczął Collette, skośnooką służącą, która zawsze nosiła rozchyloną bluzkę i uśmiechała się prowokująco. Treasure z zainte-

resowaniem przyglądała się, jak posadził ją sobie na kolanach, obłapił za piersi i wsadził jej rękę pod spódnicę.

Nagle Collette odepchnęła jego rękę i palnęła młodzieńca w ucho. Zapadła cisza. Młody człowiek poczerwieniał i wstał raptownie. W jednej chwili przerzucił sobie Collette przez ramię i zaniósł po schodach, nie zważając na jej protesty, na górę.

- Ojej, teraz dostanie lanie - powiedziała Treasure, marszcząc czoło. To, co zobaczyła, zaniepokoiło ją, choć sama nie wiedziała dlaczego.

- Lanie? - prychnął Pen. Chłopiec miał dwanaście lat. - Na pewno nie.

- Przecież go uderzyła. - Treasure spojrzała ze zdziwieniem na brata. - Zaniósł ją na górę, żeby ją zbić. Ale wydaje mi się, że sam się o to prosił...

- Wcale jej nie zbije. - Pen zmrużył oczy. - Trochę się z nią... zabawi. I tyle.

- Zabawi? - Słyszała już wcześniej to słowo i widziała towarzyszące mu krzywe uśmieszki i cwaniackie spojrzenia mężczyzn. - Jaka to zabawa? - spytała, siadając i spuszczać w dół nogi. - Powiedz mi, Pen. Wiesz, że powinienś mi odpowiadać, kiedy o coś pytam.

Spoglądała na niego z tym dziwnym światłem w oczach, które zawsze przeszywało go dreszczem. Jakby potrafiła czytać mu w myślach. W takich wypadkach nigdy nie potrafił jej się oprzeć. A przecież nie cierpiał ulegać młodszej siostrze, nawet jeśli była kimś wyjątkowym.

- No... zabawa. Coś takiego jak... sport. - Wzruszył ramionami, usiłując zbagatelizować sprawę. Jednakże jego powściągliwość wzmogła tylko jej zainteresowanie.

- Sport? - powtórzyła z namysłem. - Coś takiego jak polowanie i wyścigi konne?

- Nie... niezupełnie. Chodź, Treasure, zejdźmy na dół. Jutro mam zbierać śliwki w sadzie.

Spojrzała na niego spod oka i zaczęła zsuwać się wzdłuż ściany, a potem schodzić po kamiennych schodkach, otaczających kuchenne palenisko.

Ciemna kuchnia pachniała dziką cebulą, fermentującym ciastem i tłuszczem. Treasure, ostrożnie stawiając bose stopy na zakurzonej

podłódze, intensywnie rozmyślała nad tym, co usłyszała i widziała. Nim Pen wylądował na dole, Treasure Barrett już wychodziła z kuchni.

- Treasure! - W świetle księżyca rozglądał się za nią wokół tawerny. - Gdzie jesteś?

- Ciii - szepnęła zza rogu budynku, kładąc palec na ustach.

Pobiegł za nią i dogonił przy wielkim, starym dębie za tawerną.

- Podsadź mnie, Pen. Chcę się przyjrzeć tej zabawie.

- O, nie! - Pen złapał siostrę za ramię, usiłując odciągnąć ją stamtąd, ale Treasure z całej siły trzymała się gałęzi drzewa, zapierając w ziemię gołymi piętami. - Nie będziesz oglądać czegoś takiego.

- Właśnie że będę. Poradzę sobie bez twojej pomocy. Wiesz dobrze, co mówi dziedzic i ojciec Vivant...

Pen jęknął zdesperowany. Treasure zawsze odwoływała się do dziedzica i ojca Vivanta.

- To nie dla dziewczyny. Z drugiej strony żadna z ciebie dziewczyna, nie? Dawaj, podsadzę cię.

Oparła zakurzona stopę na jego rękach i Pen podepchnął ją w górę, tak żeby mogła postawić nogę na najniższej gałęzi. Szybko wspięła się wyżej, do oświetlonego, otwartego okna i położyła się na gałęzi, obejmując ją mocno rękami i nogami i wlepiając wzrok w scenę w izbie.

Młody hulaka pośpiesznie zrzucił z siebie drogi surdut i kamizelkę. Collette leżała pośrodku słomianego materaca, w rozpiętej bluzce i podsuniętej wysoko spódnicy, z rozsuniętymi, uniesionymi kolanami. Przez otwarte okno dobiegał jej chrapliwy śmiech.

- Zdejmij przynajmniej buty - zażądała tym swoim dziwnym głosem. Młodzieniec roześmiał się i ściągnął wysokie buty, które wcześniej tak fascynowały Treasure. W jednej chwili rzucił się na Collette, która głośno pisnęła. Jej pisk usłyszał nawet Pen na dole, więc jęknął w duchu i głośno zawołał Treasure.

Młodzieniec jakoś dziwnie wtulał twarz w bujne piersi Collette, co z lekka zaniepokoiło Treasure. Wiedziała, że kobiety karmią piersią małe dzieci, ale młody człowiek na pewno nie był dzieckiem, a Collette z pewnością nie była niczyją matką, choć najwyraźniej sprawiało jej to przyjemność. Treasure pomyślała, że może jest to rodzaj zabawy w udawanie, ale nie miało to nic wspólnego ze

sportem. Coraz bardziej wyciągała szyję i przesuwała się na gałęzi, żeby jak najwięcej zobaczyć, i nie usłyszała, że gałąź pod nią trzeszczy i pęka. Zobaczyła jeszcze, że młody człowiek unosi się lekko i sięga dłonią do spodni, po czym runęła w dół, krzycząc i machając rękami.

Pen podbiegł, ukląkł przy Treasure, potrząsając nią i wykrzykując jej imię, a potem zerwał się na nogi i popędził do baru w tawernie.

Treasure gwałtownie odzyskała przytomność. Pan Rennier, właściciel tawerny, klęczał przy niej na ziemi. Obok widziała zaniepokojoną twarz Pena.

- Wielki Boże! Dziewczyno! Co z tobą? - Pan Rennier otarł spocone czoło i zaczął obmacywać ręce i nogi Treasure. Kiedy dotknął jej lewej ręki, dziewczynka wrzasnęła z bólu.

- Wygląda na to, że masz złamaną rękę - powiedział pan Rennier, marszcząc brwi. - Cud, że nie złamałaś karku.

Treasure usiadła ostrożnie, tuląc do siebie zranioną rękę. Bolało jak wszyscy diabli. Nigdy przedtem nie miała niczego złamanego.

- Matko litościwa, a cóżeś ty robiła na drzewie w środku nocy? Powinnaś być w domu, w łóżku - powiedział pan Rennier, spoglądając to na Pena, to na Treasure.

- Zajmowałam się sportem. Pen, daj mi swoją koszulę.

- Sportem? - zdumiał się pan Rennier. - Jakim sportem?

- Takim. - Treasure gestem głowy wskazała oświetlone okno, jednocześnie zawijając złamaną rękę w koszulę Pena. - Pen nie chciał mi powiedzieć, co tamten człowiek zrobi Collette, postanowiłam zatem sama zobaczyć.

Zaszokowany pan Rennier spojrzał na Pena.

- Chciałem ją przecież powstrzymać. - Chłopak skulił się w sobie. - Sam pan wie, jaka ona jest.

- Bieganie po nocy po dworze, podglądanie takich rzeczy... - Pan Rennier pokiwał palcem. - To nieprzyzwoite, moja droga.

- Ale ojciec Vivant mówi, że nie wolno mnie ograniczać - zaoponowała Treasure, próbując się wyprostować, choć ręka bardzo ją bolała. - I muszę się uczyć. Tak mówi dziedzic i Tomasz z Akwinu.

Rennier spojrzał w jej zasnutę bólem oczy i pokręcił głową.

- Nie sędzę, aby mieli na myśli takie rzeczy. Nie pozwolę,

Żebyś łaziła po drzewach i szpiegowała moich gości. Oni płacą za odrobinę prywatności. Obiecuj, że więcej tego nie zrobisz.

Treasure westchnęła głośno. Zachowanie pana Renniera i Pena irytowało ją w najwyższym stopniu.

- Niech będzie. Obiecuję.

Rennier kiwnął głową i pomógł jej wstać. Treasure kręciło się w głowie i właściciel tawerny zaproponował, że obudzi swoją żonę, aby unieruchomiła złamaną rękę. Treasure pokręciła przecząco głową i stwierdziła, że sama sobie poradzi, gdy wróci do domu. Rennier, całkowicie oszołomiony, wzruszył już tylko ramionami i kazał Penowi dopilnować, żeby siostra bezpiecznie tam dotarła.

Pen objął ją ramieniem i ruszyli w drogę. Noc pełna była najrozmaitszych dźwięków: cykania świerszczy, kumkania żab, pohukiwania sów.

- Bardzo cię boli? - spytał cicho.

- Wytrzymam. Dziedzic mówi, że człowiek ma w tej części ręki dwie kości. Wiedziałaś o tym?

- Nie. Ciekawe, skąd on to wie.

- Ma książki i różne papiery. To wcale nie wyglądało jak wyścigi ani jak polowanie, Pen. Ten sport. Jakiś dziwny...

- Treasure!

- Powiedz mi, Pen - poprosiła. - Niczego nie zdążyłam zobaczyć.

- Nie! - krzyknął. - I nic mnie nie obchodzi, co mówi dziedzic i ojciec Vivant.

- No to zapytam dziedzica. On mi wszystko mówi.

Jednakże dobry dziedzic Renville nie był bardziej skłonny do wtajemniczenia Treasure w sekrety dziwnego sportu niż jej starszy brat. Czysty instynkt sprawił, że nie dopytywała się o nic ojca Vivanta. Temat nabrał aktualności dobre paręnaście lat później.

1

Culpepper, Maryland; kwiecień 1757

Treasure Barrett wyprostowała się i pomasowała dłońmi ścierpnięte mięśnie krzyża. Przerzuciła przez ramię długi, połyskliwy warkocz i krytycznym wzrokiem przyjrzała się swemu dziełu.

- Skończyłaś?

- Ciii! - Treasure, ze zmarszczonym czołem, zaczęła przeszukiwać skórzaną torbę, leżącą na podłodze jednoizbowej chaty. Niebawem wyciągnęła stamtąd dwa lśniące, białe pióra sowy i z tajemniczym błyskiem w oczach pogłaskała je palcami. Potem położyła każde z nich na na dłoni i uniosła obie ręce do niskiego sufitu. Zamknęła oczy, głęboko odetchnęła, wydała z siebie dziwny jęk i wypowiedziała kilka słów. Wdowa Hubbard, która przyglądała się jej szeroko otwartymi oczyma, wiedziała, że to stara Indianka nauczyła Treasure wszystkich tajemniczych, uzdrawiających zaklęć.

Po chwili poważnej ciszy dziewczyna otworzyła oczy, przeżegnała się niezupełnie po chrześcijańsku i głośno powiedziała:

- Amen.

Potem wetknęła białe piórka za bandaż na nodze starej Klary Hubbard.

Wdowa uniosła się z trudem na niskim łóżku, żeby samej rzucić okiem. Jasne słoneczne światło kwietniowego poranka wpadało przez okienko, ale Klara musiała zmrzyć oczy, aby wyraźnie ujrzeć zabandażowaną nogę.

- Najpaskudniejszy karbunkuł, jaki w życiu widziałam - stwierdziła Treasure, zawijając noże w kawałek materiału. Z grymasem

obrzydzenia pozbierała śmierzące szmaty i rzuciła je w ogień. - Szkoda, że nie mogłam go zachować do badań.

- Naprawdę? - Wdowa ożywiła się, a potem znów zmarszczyła czoło. - Strasznie mnie bolało. Hattie Tousson powiedziała, że to zwykły czyrak.

- Niewiele się pomyliła. Karbunkuły wyglądają jak czyraki, ale tkwią głębiej pod skórą i się odnawiają. - Treasure wzięła się pod boki i popatrzyła na swoją pacjentkę. - Ktoś przyjdzie pani pomóc dziś po południu?

- Mój wnuk Jacques. To dobry chłopak.

- Proszę pamiętać, że musi trzy razy obrócić wiadrem, nim nasika, inaczej nic nie pomoże.

- Trzy razy. - Klara poważnie pokiwała głową, a potem zacytowała: - „Przemywać ranę o wschodzie i zachodzie słońca, zawsze świeżym moczem”.

- Bardzo dobrze - powiedziała z uśmiechem Treasure, pewna, iż jej instrukcje będą przestrzegane co do joty.

- Jak długo będzie mnie bolało? To okropnie nieprzyjemne. - Wdowa wykrzywiła twarz w cierpieniu.

Treasure wcześniej już zauważyła, że wdowa przyglądała się butelce brandy, która wystawała z jej torby na zioła. Czasem zastanawiała się, czy aby ludzie nie szukają u niej rady tylko po to, żeby napić się porządnej brandy, którą zawsze miała przy sobie.

- Wiosna przysłała późno tego roku. Okropną mamy wilgoć i zimno - stwierdziła, pocierając w skupieniu brodę. - Musi się pani ciepło trzymać. Niech Jacques pilnuje, żeby ogień nie zgasł. I zostawię pani to - dodała, wyciągając z torby butelkę. - Proszę mi obiecać, że codziennie rano i wieczorem wypije pani kieliszek.

Klara skwapliwie kiwnęła głową i objęła butelkę obiema rękami.

- Czy mam już teraz zacząć?

Treasure potwierdziła ruchem głowy i podała jej filiżankę, którą wyjęła ze stojącej na środku szafki. Klara nalała i na znak dany przez Treasure szybko wychyliła mocny bursztynowy płyn. Ludzie obiecywali jej jedynie to, co bez trudu mogli zrobić. Jak mawiał ojciec Vivant, wymaganie od nich czegoś, czego nie mogli dotrzymać, nie miało najmniejszego sensu.

Parę sekund później młody Jacques Hubbard wpadł do środka.

- Treasure, kowal prosi, abys do niego zaszła, jak tu skończysz.

Przyglądał się dziewczynie z niejakim lękiem i poczerwieniał, gdy potargała mu włosy.

- Zaraz do niego pójde. Zabiorę noże i torbę wieczorem, w drodze do domu.

Z małej rzeźbionej kołyski, stojącej przy palenisku, wzięta gruby szal i wychodząc, zarzuciła go sobie na ramiona.

Drewniany dom wdowy Hubbard stał na skraju małej wioski Culpepper w zachodniej części stanu Maryland. Wioska liczyła mniej niż stu mieszkańców, ale obsługiwała ponad dwukrotnie więcej ludzi, którzy żyli na rozrzuconych w pobliżu fermach. Culpepper była kulturalnym i ekonomicznym ośrodkiem żywej doliny żyjącej z hodowli koni, upraw tytoniu i sadów owocowych; doliny, która w dużej mierze należała do dziedzica Darcy'ego'Renville'a.

Zazwyczaj droga do kuźni położonej w środku wioski nie zabierała Treasure wiele czasu, ale tym razem dziewczyna zwolniła kroku, rozkoszując się ciepłym słońcem grzejącym jej gładką skórę. Przyglądając się bujno rosnącej trawie i napęczniałym od soków pączkom na krzakach derenia po obu stronach drogi, głęboko oddychała wiosennym powietrzem. Po prawej stronie na soczystej trawie pasło się stado koni i Treasure popatrzyła na nie tęsknym wzrokiem.

Coś było w powietrzu - jakaś świeżość, zapowiedź czegoś nowego - coś, co napawało ją niepokojem. Treasure przeżywała swoją osiemną wiosnę, ale z jakiegoś powodu widok budzącej się zieleni i zapach wilgotnej ziemi robił na niej wrażenie inne niż zwykle. Nie potrafiłaby określić, na czym polegała różnica, jednakże wiedziała, że istnieje.

Zadrżała lekko i przyśpieszyła kroku. Miała na sobie niebieską suknię i długi, biały fartuch, a jej gęste, błyszczące włosy splecione były dla wygody w gruby warkocz, który opadał jej na plecy.

Zaciskając pełne usta i marszcząc brwi, zastanawiała się, czego może się spodziewać w kuźni. Treasure miała wielkie oczy. Były czymś, co przede wszystkim zwracało na siebie uwagę wszystkich ludzi i pozostawało w ich pamięci, gdy dziewczyna już dawno odeszła. Jedni twierdzili, iż miały kolor purpury zachodzącego

słońca, inni porównywali je do fiołków, mówiąc, iż widać w nich niezwykle kolorowe kółeczka, podobne do płatków kwiatów. Nade wszystko zaś było w jej oczach szczególnie światło i radość życia, które zdumiewały mieszkańców Culpepper i potwierdzały wyjątkową pozycję Treasure w niewielkiej społeczności. Treasure Barrett była myślicielką.

- Hej, Treasure! Zaczekaj! - Dwaj rośli młodzieńcy, mniej więcej w tym samym wieku co ona, podbiegli do niej, gdy wchodziła na wioskowy placyk.

Dziewczyna niechętnie zwolniła kroku.

- Co takiego? - spytała chłodno, spoglądając na nich wyzywająco, kiedy zatrzymali się tuż przy niej.

Johnny Cole odsunął się nieco, wtykając kciuki za pasek od bryczesów, ale Pierre Fayette wykrzywił się tylko ironicznie i nie ruszył się z miejsca. Fayette był z pochodzenia Francuzem i Treasure już dawno doszła do wniosku, iż to było powodem jego aroganckiego zachowania.

- Słyszałaś o walce? - spytał Johnny, rzucając Pierre'owi ostrzegawcze spojrzenie. Zadzieranie z Treasure nie miało sensu. - Wczoraj wieczorem, w tawernie Renniera, Lem Hodgson zranił nożem w nogę Alberta Tussona.

- Lem Hodgson? Nożem? Nie wierzę! - wykrzyknęła Treasure.

- To prawda - potwierdził Pierre. - Ledwo go we czterech odciągnęliśmy. Dziś rano ojciec Alberta przyszedł z paroma ludźmi i zabrali Lema, zakutego w łańcuchy, do stajni Tussonów. Będą go tam trzymać, dopóki nie przybędzie sędziego.

- Dlaczego to zrobił? - spytała Treasure.

Lem Hodgson był największym i najsilniejszym człowiekiem w okolicy. Nigdy nie nosił ze sobą żadnej broni, gdyż i bez niej zdarzało mu się poważnie poturbować przeciwnika, choć na ogół Lem był dość powolny i niełatwo dawał się sprowokować do walki.

- To ta Jeanette, nowa dziewczyna w tawernie Renniera - wyjaśnił Johnny. - Albert chciał się z nią trochę zabawić, a Lem się rozżłościł i kazał mu przestać. Kiedy Albert się roześmiał, Lem złapał nóż i wbił Albertowi w nogę. Dobrze, że Albert zdążył się trochę odsunąć, bo niechybnie zostałby kaleką.

- To znaczy, że nic mu się takiego nie stało? - spytała Treasure, marszcząc brwi. Znow ta zabawa. Widać, że przyszła wiosna. Nie zauważyła, że Pierre wziął w rękę jej warkocz i gładził go palcami.

- Albertowi? Nie, do wesela się zagoi. - Johnny znow rzucił Pierre'owi ostrzegawcze spojrzenie, z którego tamten nic sobie nie robił. - Martwię się o Lema. Ojciec Alberta jest mściwym człowiekiem. Lema powinno się odesłać do domu. Nigdzie nie ucieknie, a rodzina potrzebuje go, żeby zaorać ziemię, bo ich stary wół wreszcie zdechł.

Treasure przyznała mu rację. Ze wszystkich młodych mężczyzn w okolicy lubiła jedynie Lema. Nieraz stawał w jej obronie, gdy ktoś ją napastował.

Nagle poczuła gwałtowne targnięcie za włosy i obróciła się raptownie. Pierre związał jej warkocz w supeł i teraz przyglądał jej się kpiącym wzrokiem. Treasure wiedziała, iż ten dziecinny wybryk jest jedynie przygrywką do dalszych działań.

Wyrwała mu z rąk warkocz i obrzuciła go zimnym spojrzeniem.

- Zobaczę, co da się zrobić dla Lema i zajrzę do Alberta. Zajmijcie się swoimi sprawami - powiedziała i ruszyła szybkim krokiem w stronę kuźni.

Na jej widok Claude Justement, kowal, odłożył młot i otarł pot z czoła.

- Gotowe - stwierdził triumfalnie. - Śruby. Chodź. - Gestem głowy wskazał na przestrzeń za barakiem. Leżały tam dwie żelazne, prawie dwumetrowe rury z metalowymi kryzami zamocowanymi naokoło każdej z nich. Dwie wspaniałe, wielkie, metalowe śruby.

- Są... cudowne! - Treasure podbiegła i pogładziła zimny metal. - Jesteś genialny, Claude! Nawet Archimedes byłby dumny.

- Jesteś pewna, że nie ma nic przeciwko temu, abyśmy skorzystali z jego pomysłu? - zapytał nagle Claude, marszcząc brwi.

- Na pewno nie. Zresztą, on chyba nie żyje.

- Przykro mi. To był mądry facet. - Claude podniósł rękę do góry, zapominając, że nie ma czapki.

- Dziedzic bardzo go szanował. Teraz możemy zacząć obudowę. Mam rysunek...- Treasure sięgnęła ręką do kieszeni fartucha, skąd wyjęła kawałek papieru, na którym naszkicowała długą,

drewnianą beczkę. Rozłożyła papier na ogrodzeniu i zaczęła objaśniać rysunek.

- Mhm. - Claude dotknął nosa wskazującym palcem z licznymi odciskami. - Treasure, nie powiedziałaś mi jeszcze, na co to jest. Te śruby. Po co ci one?

- Po co? - Spojrzała na niego, nie wiedząc, co odpowiedzieć, ale szybko odzyskała rezon. - No, oczywiście... do wyciągania wody - improwizowała. - Ale wykorzystamy je nie tylko do tego. O, nie. - Ściszyła głos, mając nadzieję, że coś ją nagle oświeci. I tak też się stało. - Młyn! - wykrzyknęła.

Oszołomiony Claude podrapał się po przerzedzonej czuprynie.

- Ale... tam już jest koło.

- Nie do wody. - Treasure przewróciła oczami i przybrała cierpliwy wyraz twarzy. - Do zboża. Nie trzeba będzie się schylać i zgarniać go szuflą. Wszystko pójdzie znacznie szybciej.

Claude kiwnął głową, spoglądając na nią z szacunkiem. Treasure Barrett miała dość pomysłów dla dziesięciu kowali. Jej idee zawsze się sprawdzały i zapewniały mu interesujące zajęcia.

- Zabiorę się do tego, jak tylko skończę beczki dla twego ojca i podkuję klacz dziedzica. Skoro już tu jesteś, jeszcze coś ci pokażę. Pamiętasz tego Anglika, Jethro coś tam, i jego maszynę do sadzenia? Narysowałaś mi ją na ziemi...

- Jethro? Tuli? Siewnik?! - zawołała z zainteresowaniem.

- Aha. Tak sobie myślałem, że to by było dobre urządzenie, gdyby zadziało. Chodź. - Wziął ją za ramię i pociągnął do szopy na skraju podwórka. Kiedy zobaczył, że usmarował jej rękaw sadzą, przeprosił i usiłował zetrzeć brud, ale Treasure zapomniała o wszystkim na widok urządzenia, które składało się z dwóch uchwytów osadzonych na dwóch solidnych kółkach. Nad uchwytami zamontowane były dwie drewniane skrzynki.

- Och, Claude! Wygląda zupełnie jak w książce Tulla, tej, co ma dziedzic. Nazywa się *Hodowla koni*.

Urządzenie nie miało w środku właściwego mechanizmu, ale Treasure widziała wszystko oczyma wyobraźni. Claude uśmiechnął się do niej jak niesforny chłopak.

- Przyniosę książkę i wymyślę, jak to zrobić. Zębate kółka, rurki... Claude, jeśli ktoś sobie z tym poradzi...

- Treasure! - Młody chłopak wpadł zdyszany na podwórko za kuźnię, rozglądając się nerwowo. - Treasure, chodź prędko! Gdzie jesteś?

- Tutaj. Co się stało?

Will Treacle, pomocnik gospodyni dziedzica, przybiegł z jego domu odległego o półtora kilometra i był tak zadyszany, że ledwo mógł cokolwiek powiedzieć.

- Dziedzic! Nie żyje. Chyba. Musisz... zaraz... przyjść.

- Nie żyje? - wyjąkała zdumiona Treasure. - To niemożliwe. Może zachorował... zaśląbł...

- Nie! - Will złapał ją za ramię i gwałtownie potrząsnął. - Nie żyje. Mama kazała, żebyś przyszła. Szybko.

Treasure nie czekała dłużej. Przebiegła przez podwórko i miejski placik do drogi prowadzącej do domu dziedzica.

Zachorował, myślała w biegu, nic innego. Był jej nauczycielem, przewodnikiem, rodziną... ojcem. Mężczyzna w kwiecie wieku, zdrów... Nie mógł tak nagle umrzeć. Nie mógł jej zostawić... Ani jej, ani innych.

Zdeterminowanie, aby zastać go żywego, sprawiło, że biegła coraz szybciej, z trudem łapiąc powietrze. Słońce wciąż świeciło jasno, ziemia nadal odbijała jej się pod stopami... Dziedzic musi żyć, gdy wreszcie dobiegnie do imponującego domostwa z czerwonej cegły, które było jej drugim domem.

W końcu wpadła na wyboisty podjazd prowadzący do frontowego wejścia. Wszyscy mówili, że Renville House był najbardziej okazałym budynkiem na zachód od Filadelfii. I w całym stanie Maryland nie było lepszego i bardziej hojnego człowieka od dziedzica Darcy'ego Renville'a. Wzruszenie ścisnęło jej gardło, gdy spojrzała na błyszczące kolumny otaczające kolisty portyk i podwójne drzwi pomalowane na pomarańczowy kolor. Kolor drzwi był jej pomysłem tego roku, kiedy fascynowały ją zarówno owoce pomarańczy, jak i sam kolor. Dziedzic zaspokoił jej zachciankę, malując na pomarańczowo nie tylko drzwi, ale także wszystkie okiennice. I przez cały czas śmiał się, że architekt na pewno w grobie się przewraca.

Wchodząc do przestronnego holu, zwolniła kroku. Stary Bailey, lokaj dziedzica, już na nią czekał i poprowadził ją na górę. Miał czerwone oczy i ubranie w nieładzie.

- Dzięki Bogu, że jesteś, Treasure - powiedział tylko drżącym głosem, wchodząc razem z nią po kręconych schodach. Jego milczenie mówiło samo za siebie.

Zatrzymała się gwałtownie przed drzwiami do sypialni dziedzica. Skądś dobiegało zawroźnienie kobiet. Treasure stała nieruchomo przez dłuższą chwilę. W gęstym, nabrzmiałym powietrzu wisiało coś strasznego. Bailey popchnął ją lekko.

Ciężkim krokiem weszła do sypialni, gdzie zastała panią Treacle i większość służby, zgromadzoną w ciszy wokół wielkiego eleganckiego łóża, przykrytego brokatem i stojącego pośrodku pokoju. Leżał na nim nieruchomo dziedzic.

Pani Treacle podprowadziła Treasure bliżej łóżka i powiedziała smutnym głosem:

- Dziś rano, gdy stary Bailey przyszedł go obudzić, tak go znalazł. Wciąż jest ciepły. Treasure, nie wiemy, co mu jest.

Dziewczyna przełknęła ślinę i odetchnęła głęboko, ściskając dłonie pani Treacle.

- Proszę mi przynieść lusterko.

Podeszła do łóżka i dotknęła sztywnej, chłodnej ręki dziedzica. Przygryzła wargę i przybliżyła ucho do piersi, nasłuchując z rozpaczliwą nadzieją. Cisza dzwoniła w uszach. Wyprostowała się i zesztwniałyimi palcami podniosła powiekę, kilkakrotnie zasłaniając dopływ światła i obserwując źrenicę. Nie dostrzegła żadnej reakcji.

Pani Treacle podała jej ręczne lusterko, które Treasure przysunęła do nozdrzy w ostatecznym sprawdzianie, którego wynik już знаła. Na tafli zwierciadła nie było ani śladu oddechu. Dziedzic Darcy Renville nie żył. Treasure wielokrotnie robiła tego rodzaju badania i stwierdzała zgon, ale nigdy jeszcze nie dotyczyło to osoby, którą kochała. W całym jej niezwykłym życiu było to jak do tej pory najcięższe doświadczenie. Poczwała bolesny skurcz serca. Nie mogła nic powiedzieć.

Wzięła w obie dłonie jego potężną rękę i przyłożyła sobie do policzka. Jej czuły gest spowodował wybuch płaczu w sypialni. Przez dłuższą chwilę stała tak z ręką przy policzku, wpatrując się w jego twarz, która po jakimś czasie stała się zamazana i niewyraźna.

W końcu odwróciła się do gospodyni. Po policzku spłynęła jej duża łza.

- Poproszę trzy złote monety i ostry nóż.

Pani Treacle spojrzała na Treasure czerwonymi, zapuchniętymi oczyma i poruszyła się niespokojnie. Inni przyglądali się jej z takim samym niepokojem.

Nie lubili, kiedy Treasure płakała. Nawet gdy wszyscy wokół niej smarkali, ronili łzy i chlipali. Łzy myślicielki były inne - specjalne, napawające strachem, dziwne. Wszyscy mogli szlochać i zawodzić na cały głos, ale poważnie się niepokoiли choćby tylko na widok załzawionych oczu Treasure. Mieli wrażenie, że z nią płacze cała ziemia.

Treasure rozumiała to i akceptowała. Taki był jej los od dnia, gdy jako mała dziewczynka znikła, a potem wróciła z Indianką. Buck i Annis Barrettowie uznali, że niesamowita stara Indianka odnalazła ich jedyną córkę i przyprowadziła do domu, i pozwolili jej u siebie zostać.

Jak się później okazało, mylili się. Stara Shinawhey powiedziała, że to dziewczynka ją znalazła i uratowała jej życie. Spojrzała w niezwykle oczy Treasure i mianowała ją duchowym dzieckiem Wielkiego i Jedynego. W ciągu roku Treasure zaskoczyła całe otoczenie nie tylko tym, że nauczyła się mówić jak dorośli, ale także tym, że bez trudu nauczyła się na pamięć wersetów z Biblii i dowolnie je cytowała. W wieku czterech lat umiała pisać i rachować równie dobrze jak jej rodzice i sześciu starszych braci.

Gdy Treasure skończyła sześć lat, zdeorientowani rodzice zaprowadzili ją do najbardziej wykształconego mieszkańca wioski - dziedzica Darcy'ego Renville'a i niedawno przybyłego księdza katolickiego, ojca Vivanta. Obaj mężczyźni ocenili zasób wiedzy i zdolności dziewczynki i uznali, iż powinna mieć możliwość przyswojenia sobie jak największej wiedzy. Stwierdzili też, że powinno się odpowiadać -jasno i wyraźnie - na każde jej pytanie i pozwolić na czerpanie bez ograniczeń z doświadczeń wioskowej społeczności. Miała wyrosnąć na myślicielkę.

Był to dziwny sposób wychowania i dorastania. Treasure w szczegółach poznawała każdy aspekt życia. Posyłano po nią, gdy zdechła krowa, ponieważ budowa szkieletu mogła się jej na coś przydać. Kiedy ktoś zachorował, posyłano po Treasure, aby widziała, jak można mu pomóc. Jako posłuszne dziecko obser-

wowała i uczyła się rozwiązywania rozlicznych problemów związanych z codziennym życiem. Wkrótce posyłano po nią także przy okazji stawiania stodoły, chowania zmarłych i rodzenia dzieci. Pomagała, jak potrafiła. Niebawem wzywano ją, żeby wyjaśniła, dlaczego popsuł się ser czy dlaczego ktoś dostał gorączki, a później do bardziej odpowiedzialnych zadań, jak wnioskowanie z faz księżycy, jaka będzie najlepsza pora na siew, a także leczenie chorych krów i eksperymentowanie z przechowywaniem lodu przez cały rok. Każdy w Culpepper był nauczycielem Treasure i jej wiedza - siłą rzeczy - była czasem kontrowersyjna i sprzeczna.

Kiedy skończyła dziesięć lat, dziedzic i ksiądz doszli do wniosku, iż jej sposób przyswajania sobie wiedzy daje dziwne wyniki. Jednego razu na przykład - za jej radą - połowa mieszkańców Culpepper zaczęła nosić przy sobie wianki czosnku, śmierdzące jaja i inne tego rodzaju rzeczy, aby odpędzić chorobę. Udało im się odpędzić od siebie jedynie drugą połowę mieszkańców wioski.

Był też incydent w tawernie i wspinanie się na drzewo w środku nocy...

Dziedzic wraz z księdzem postanowili usystematyzować trochę edukację Treasure i zapędzili ją do ksiązek. Początkowo dziewczynka, przyzwyczajona do swobodnego dysponowania swoim czasem, była z tego niezadowolona. Jednakże dziedzic miał ogromną cierpliwość i dużą bibliotekę pełną dzieł klasycznych, a także dotyczących teologii i rolnictwa. Treasure powoli pozbyła się co dziwniejszych koncepcji, a jej wpływ na życie mieszkańców Culpepper z czasem się ustabilizował.

I wreszcie przyszedł dzień, gdy musieli patrzeć, jak ich myślicielka radzi sobie ze śmiercią, która jednakowo dotykała wszystkich. Jak to się często zdarzało, kopiowali przy tym jej zachowanie. Gdy się przeżegnała i zaczęła odmawiać litanie za zmarłych, którą zawsze mówił ojciec Vivant, wszyscy w sypialni dziedzica zrobili to samo.

Treasure skończyła litanie i dodała po angielsku słowa pociechy: „Człowiek zrodzony z kobiety ma życie krótkie i trudne. Przychodzi jak kwiat, który szybko ginie. Bóg daje i Bóg zabiera. Niech będzie błogosławione imię boskie. Amen”.

Wszyscy powtórzyli:

- Amen.

Pani Treacle podeszła do Treasure i podała jej trzy złote monety. Wszyscy zebrani w sypialni wpatrywali się w dziewczynę z rosnącym zdumieniem, gdy otworzyła dziedzicowi usta, położyła mu na języku złoty krążek i delikatnie zacisnęła szczękę.

- To pieniądze dla przewoźnika... na podróż rzeką Styks. Z greki - wyjaśniła szeptem zaskoczonej pani Treacle.

Pani Treacle poważnie skinęła głową i przekazała tę wiadomość staremu Baileyowi. Bailey szeptem powtórzył ją młodszemu lokajowi Freddy'emu, który zapytał, po co dziedzicowi pieniądze na podróż, jeśli już nie żyje. Bailey spojrział na niego ostro. Freddy wzruszył ramionami i szepnął to, co usłyszał, następnej osobie.

W tym czasie Treasure położyła pozostałe monety na zamkniętych oczach dziedzica i znów wyjaśniła szeptem pani Treacle:

- Rzym i Egipt.

Ta wiadomość również obiegła wszystkich zgromadzonych, którzy z mądrymi minami kiwali głowami. Jeśli ktoś wiedział, jak należało porządnie pożegnać zmarłego, to na pewno była to Treasure. Jednakże już po chwili znów zwątpili, bo Treasure złapała dół swego fartucha i jednym ruchem rozdarła go aż do pasa. Pani Treacle szeroko otworzyła oczy.

- Żydowskie - powiedziała Treasure.

Pani Treacle niepewnie zamrugała oczyma. Spojrzała na swój najlepszy, wykrochmalony biały fartuch, starając się znaleźć miejsce, które najłatwiej byłoby zacerować, i w końcu szarpnęła lekko za górną część, szepcząc:

- Żydowskie.

Pozostali powoli i niechętnie naśladowali Treasure, która zmarszczyła brwi z niezadowolenia. Jak mogli się martwić o swoje głupie ubrania, zamiast uhonorować dziedzica?!

Złapała za przód sukni i z całej siły szarpnęła, rozdierając ją z głośnym trzaskiem. Pani Treacle skrzywiła się, zrezygnowana. Tym razem służba rozdierała ubrania głośniejsze i energiczniej.

Kiedy szamanka z Culpepper uklękła, reszta poszła za jej przykładem. Treasure zamknęła oczy i podniosła w górę twarz oraz ręce. Pozostali zrobili to samo, choć nikt nie zamykał oczu, żeby widzieć, co się będzie działo. Treasure odśpiewała pieśń za

zmarłych w starym języku Indian z plemienia Susquehanna, po czym - ku przerażeniu obecnych - wzięła nóż, leżący na skraju łóżka. Podsunęła do góry rękaw sukni i z determinacją dotknęła żyły czubkiem noża. Stary Bailey pośpiesznie przesunął się na kolanach i złapał za nóż. Treasure spojrzała na niego groźnym wzrokiem, ale on nie pozostał jej dłużny i w końcu dziewczyna ustąpiła, oddając mu nóż. Przez pokój przebiegło westchnienie ulgi.

Treasure mruknęła:

- Susquehanna. - I wstała z kolan.

Skinęła głową i domownicy poczęli wychodzić, jeden za drugim, rozmawiając i pocieszając się wzajemnie przyciszonym głosem. Treasure wpatrywała się w ukochaną twarz dziedzica. Wydawało jej się, że jakaś jej część też umarła, nie odczuwała już bowiem palącego bólu ani łzy nie napływały jej do oczu. Wiedziała, że musi się wszystkim zająć.

- Zawiadom Barta Hoopera, żeby wykończył najlepszą trumnę - powiedziała staremu Baileyowi. - Jutro go pochowamy. Dziś wieczorem urządzimy stypę w tawernie Renniera. Mój ojciec da nam śliwownicy i wódki z jabłek. Dla dziedzica wszystko musi być najlepsze. Czy może pani posłać swego chłopca? - spytała gospodynię.

Pani Treacle kiwnęła głową, ocierając oczy, po czym sięgnęła do kieszeni fartucha, wyjęła papierek z metalowymi szpilkami i z ręcznie spiętą rozdarcie na piersiach Treasure.

- Ojciec Vivant wróci dopiero za tydzień albo i później. Zrobi zapis w swojej księdze. Czy jeszcze kogoś powinniśmy zawiadomić?

- Jest syn - mruknął stary Bailey, skrobiąc się w brodę. - Nie mam pojęcia, gdzie się podziewa.

- Może ten adwokat w Filadelfii będzie wiedział... Trzeba go zawiadomić. - Pani Treacle znów wytarła nos.

- Jutro... napiszę list. Teraz muszę pójść do Tussonsów i uwolnić Lema Hodgsona. Będzie nam musiał wykopać grób. Jeśli chcecie, mogę zająć po drodze do pana Renniera.

Pani Treacle i stary Bailey skinęli jednocześnie. Treasure uśmiechnęła się do nich smutno i wyszła.

2

Po dniu pełnym wrażeń i zamieszania Renville House układał się do snu w parną lipcową noc. Jedyne dziecko zjechało niespodziewanie po swój spadek. Jego przyjazd nie był poprzedzony żadnym listem, nie przygotowano łóżek, zapasów w spiżarni ani planów na wypadek gości. Zjawił się nagle, na wspaniałym koniu francuskiej rasy, w towarzystwie równie elegancko ubranego mężczyzny, i przedstawił się jako spadkobierca Darcy'ego Renville'a. Być może pani Treacle i stary Bailey nie wpuściliby go za próg, zdegustowani jego aroganckim zachowaniem i ironicznym tonem głosu, gdyby nie zaskakujące fizyczne podobieństwo do zmarłego dziedzica.

Sterling Drake Renville był kopią swego ojca: wprawdzie wyższy i potężniej zbudowany, jednakże tak samo zręczny w ruchach, z takimi samymi jasnymi włosami i karnacją, z takimi samymi oczami i rysami twarzy. Nie wiedział o tym podobieństwie, gdyż ostatni raz widział ojca jako ośmioletni chłopak przed dwudziestu laty.

Podczas gdy służba miotłała się, aby jak najlepiej przyjąć syna dziedzica i jego gościa, Sterling Renville zażądał pokazania mu posiadłości, zwłaszcza zaś Renville House. Przechodził z pokoju do pokoju, oceniając wszystko chłodnym wzrokiem i najwyraźniej odnotowując w pamięci stylowe meble, eleganckie zasłony z brokatu i puszyste tureckie dywany. Błysk rozpoznania pojawił się w jego oczach dopiero w bibliotece. Dłuższy czas przyglądał się wysokim półkom z wiśniowego drewna, pełnym licznymi, opraw-

nych w skórę tomów. Podszedł do biurka i przesunął długimi, szczupłymi palcami po blacie, a potem po wytartym, skórzanym oparciu wygodnego fotela. Bez słowa wyszedł na dwór przez balkonowe drzwi i poszedł w kierunku stajni.

Tego wieczoru kolację podano w najbardziej wytwornym stylu: pieczone bażanty, młoda cielęcina, świeżo upieczony chleb i delikatne młode jarzyny na srebrnych półmiskach i francuskich kryształach. Kucharka poświęciła wiele czasu na przygotowanie deseru, ale młody panicz stwierdził tylko, że nie jada słodczy. Kazał sprzątnąć ze stołu i przynieść brandy.

- Doskonały trunek - rzucił adwokat, Wyatt Colbourne, przyglądając się, jak jego gospodarz wychyla niedbale kieliszek za kieliszkiem. Po raz pierwszy w ciągu ich wieloletniej znajomości widział Sterlinga Renville'a nie zwracającego uwagi na smak i bukiet trunku. Od przyjazdu do kolonii, przed dwoma tygodniami, młody dziedzic był w ponurym nastroju. Adwokat spojrział na stertę papierów na brzegu stołu i westchnął. Mieli przed sobą długą noc.

- Do diabła, Colbourne! - zawołał młody Renville kilka godzin później. - Chcesz powiedzieć, że jestem bez grosza? Przy tym wszystkim - wskazał gestem wokół siebie - jestem po prostu biedakiem?

- Niezupełnie, Renville. - Zmęczony Colbourne potarł czoło i oczy. - Powiedziałem, że nie ma w tej chwili gotówki. To nie znaczy, że jesteś bez grosza. Usiądź, na litość boską! Sterczysz nade mną niby jakiś dzikus, który chce mnie oskalpować.

Sterling Renville opadł na rzeźbione krzesło u szczytu stołu. Mebel zaskrzypiał żałością.

- Jeszcze tego nam trzeba... - mruknął pod nosem Colbourne - żebyś połamał meble...

- Do diabła, Colbourne! Jeśli nie jestem bez grosza, a jednocześnie nie mam pieniędzy, to co mam?

- Będę to musiał dokładnie zbadać. Twój ojciec prowadził własne księgi i miał swój specyficzny sposób księgowania przychodów i rozchodów.

- Stary głupiec - burknął Renville. - Żałował pieniędzy na kogoś, kto by się na tym znał, albo w ogóle nie wiedział, jak się do tego zabrać.

- Wydaje mi się, że mniej więcej pojąłem jego system - mówił dalej Colbourne. - O ile mogę stwierdzić, jego dochód pochodził zasadniczo z dzierżawy i pożyczek pod zastaw okolicznych domów.

- I co? - podchwycił Renville.

- I wygląda na to, że wydawał więcej, niż zarabiał.

- Wiedziałem! Niech to wszyscy diabli! - Renville jęknął, chwycił jeden z kryształowych kieliszków i jednym haustem wypił resztę bursztynowego płynu.

- Albo kiepsko ściągał długi - powiedział Colbourne. - Na każde pięć pożyczek znajduję tylko jeden zwrot i to na ogół po latach.

Renville wlepił palący wzrok w stertę pergaminowych zapisków na stole. Wstał i zaczął je po kolei przeglądać. Najczęściej dotyczyły zapłat za „ćwierć buszła ziarna owsa”, „tuzin niosek”, „żelazną część pługa”. Większość podpisana była jedynie literką „X”, niektóre jakimś hieroglifami. Jeśli były tam jakieś podpisy, dawno wyblakły.

Przeglądając te papiery Renville drżał cały z wściekłości, wreszcie zmiął je w garści i odrzucił.

- Tyle... tyle mi zostało! Napisał w testamencie, że mam się tu zjawić osobiście, przyjechać aż z Anglii, żeby odziedziczyć... to!

- To, a także duży obszar ziemski i wspaniały dom - powiedział spokojnie Colbourne. - To wcale nie jest żadna rudera, jak twierdziłeś...

- Do diabła! - Twarz Renville'a przypominała teraz białą maskę. - Przepuścił fortunę w tej dziurze, gdzie diabeł mówi dobranoc. Nie wystarczyło mu, że wywiózł moją matkę z przyzwoitego, cywilizowanego świata i usiłował pogrzebać ją tu za życia. Nie wystarczyło, że przez wszystkie te lata żyłem ze świadomością, iż jestem synem przeklętego krety, który wyjechał do kolonii, aby wieść żywot dzikusa i marzyć o utopii. Teraz, gdy wreszcie miałem dla siebie jakieś nadzieje i w końcu zostałem sierotą, okazało się, że nic mi nie zostawił!

- Na litość boską, Renville, okaż trochę szacunku zmarłemu. Poza tym kolonie nie są wcale takie złe.

- Może dla ciebie - powiedział zimno Renville. - Zawsze przejawiałeś dziwne sympatie. Zresztą sam mieszkasz w Filadelfii, a nie na choleralnej granicy.

- Kolonie, którymi tak pogardzasz, mają nieskończony potencjał i tacy ludzie, jak twój ojciec i ty sam...

- Mnie w to nie mieszaj! Nienawidzę tego miejsca, tego brudu, tej ignorancji... Moja matka od tego umarła. A on przepuścił należny mi spadek i żadne błyskotki tego nie zmieniają. - Pstryknął palcem w srebrną tacę zastawioną kieliszkami. - To cholerna ziemia, która wymaga nieustających pieniędzy.

Colbourne zeszywniał i poczerwieniał. Wiele razy kłócili się na ten temat, poczynając od dzieciennych lat w prywatnej szkole w Blundells, na południu Anglii. Od czasu do czasu temat powracał w trakcie studiów w Oksfordzie i późniejszej wyprawy na kontynent. Ich kłótnie najczęściej toczyły się w podgrzanej atmosferze i zawsze kończyły wspólną bibką i przyjacielskim pogodzeniem. Tym razem jednak było inaczej i obaj o tym wiedzieli.

- Proponuję zatem, abyś zminimalizował straty i jak najszybciej wracał do Anglii, gdzie czeka cię świetlana przyszłość - stwierdził ostro Colbourne.

- Moja przyszłość związana jest z pieniędzmi, których spodziewałem się tutaj. Ale ja tak łatwo nie rezygnuję. - Renville spojrział na zwitek papierów na podłodze, które składały się na jego ziemską fortunę, i oczy błysnęły mu mściwie. - Wierzę, że należy być człowiekiem honoru i świecić przykładem, nawet w dzikiej głuszy. Jeśli pozwala się dłużnikowi uciec przed obowiązkami, sprowadza się na niego ruinę moralną.

- Nie myślisz chyba...

- Będę myślał, co mi się podoba - warknął Renville. - Stary Darcy pożyczał, ja będę odbierał.

- Wielki Boże, Renville! Nie możesz zrujnować całej okolicy, wyciskając krew z buraków. Ci ludzie nie mają pieniędzy.

- To wezmę to, co mają. Ziarno, bydło, konie, pług. I zamienię je na pieniądze, których potrzebuję.

- Ja ci w tym na pewno nie pomogę! - wykrzyknął Colbourne.

- A na co mi twoja pomoc? - prychnął pogardliwie Renville. -

Wracaj do Filadelfii, Colbourne. I nie zapomnij mi przysłać rachunku za porady adwokackie.

- Nie zapomnę - wychrypiał adwokat. - Rano mnie tu już nie będzie.

Wyatt Colbourne wyszedł sztywno, biorąc po drodze pojedynczą świecę, aby trafić do swego pokoju.

Renville spoglądał za nim z zimną obojętnością, choć doskonale wiedział, jak bardzo zranił przyjaciela. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w płomienie woskowych świec na stole, czując dziwną jedność z ich gorejącym, gwałtownym żarem. Wreszcie chwycił kryształową karafkę i poszedł do ciemnego, oświetlonego jedynie światłem księżyca pokoju, aby upić się brandy Barrettów.

W gorącym i dusznym powietrzu nocy Treasure przewracała się na sianie w wielkiej stodole Barrettów. Leżała najpierw na boku, potem na brzuchu, wreszcie na plecach, usiłując znaleźć jakąś dogodną pozycję, która pozwoliłaby jej zasnąć. Mimo iż wiedziała o niebezpiecznym wpływie księżyca na ludzi, wpatrywała się w niebo, jakby chciała sprowokować gwiazdy do jakiegoś działania.

Opuściła sypialnię na drugim piętrze skromnego domostwa Barrettów, mając nadzieję na trochę świeżego powietrza i możliwość snu, choć wiedziała, że nie tylko duchota była winna jej bezsenności. Często budziła się od dziwnych snów, a w głowie kłębiły jej się niespokojne myśli, pomysły i idee. Temu wszystkiemu towarzyszył wielki smutek i żal spowodowane świadomością, iż nie ma już z kim rozmawiać o swych problemach. Dziedzic odszedł.

Z ojcem Vivantem świetnie się rozmawiało o sprawach religii czy nawet filozofii, ale już nie o nauce czy naturze, na których się wcale nie znał. Poza tym, dzięki jej nadzwyczajnym zdolnościom, uważał ją za istotę inną od zwykłych ludzi i nie bardzo mogła z nim dyskutować o tym, co ją gnębiło i nie dawało spać. Zwłaszcza że sama nie całkiem wiedziała, co się z nią dzieje.

Usiadła na pościeli i wachlując twarz jedną ręką, drugą podniosła do góry rozpuszczone włosy. Wcześniej, wychodząc z domu,

zrzuciła nocną koszulę i została tylko w cienkiej koszulce bez rękawów. Wiedząc, iż już nie zaśnie, postanowiła zająć się czymś pożytecznym.

Ostrożnie zeszła na dół po drabinie i przeszła boso po rozsypanej słomie do małej komórki, gdzie trzymała swoje książki i papiery. Dzięki jasnemu światłu księżyca, które wpadało przez otwarte drzwi komórki, nie musiała nawet zapalać świecy. Na małym stoliku obok drzwi, na stercie papierów, kałamarzy i zużytych gęsich piór, leżały trzy oprawne w skórę książki. Treasure spoglądała na nie przez chwilę, przygryzając wargę. Powinna je oddać... To były ostatnie książki, które pożyczyła od dziedzica. Już od dawna znała je na pamięć. Trzymała je wyłącznie dlatego, że przypominały jej o tym wspaniałym człowieku. Odrzuciła włosy do tyłu, wzięła wszystkie książki i przyciskając je do piersi, ruszyła przez podwórko w kierunku leśnej ścieżki.

Nikt w Culpepper nie zdziwiłby się na widok Treasure Barrett maszerującej nocą przez las z książkami w objęciach. Zawsze robiła, co chciała, we dnie i w nocy. Rodzice zrezygnowali z prób wpływania na jej zachowanie, które w dodatku nie zawsze rozumieli. Dziedzic i ojciec Vivant wytłumaczyli miejscowej społeczności, że Treasure nie musi się zachowywać zgodnie z oczekiwaniami i powszechnymi normami. Jako dziecko często nocowała w cudzych domach, jadała u sąsiadów i była pod opieką całej wioski.

W tę parną, lipcową noc szła dobrze znaną ścieżką, zalaną światłem księżyca, w stronę domu dziedzica. Wiele razy, gdy była dzieckiem, budziła się w nocy z jakimś „pomysłem” i wędrowała do Renville House, a dobry dziedzic znajdował ją rankiem śpiącą na dywaniku w bibliotece z jakąś książką w objęciach. Wreszcie wyznaczył jej jedną z sypialni i jego dom stał się, obok skromnej fermy rodziców, jej drugim domem.

Nocne powietrze przyjemnie chłodziło jej twarz i kiedy doszła do małego, otoczonego murem ogrodu, niedaleko tarasu i wejścia do biblioteki, miała ochotę przysiąść na kamiennej ławce i odwleć moment wejścia do środka. Jednakże zmusiła się, aby tego nie robić. Odszedł, to odszedł, i nic już tego nie mogło zmienić. W końcu Treasure Barrett nigdy w życiu niczego się nie lękała -

ani węży, ani zjaw w ciemnym lesie, ani widoku krwi i wnętrzności, ani prześladowających ją czasem chłopaków z Culpepper.

Przekreśliła klamkę tarasowych drzwi i weszła do środka. Światło księżyca i dobra pamięć sytuacyjna pozwoliła jej obejść się bez świecy. Dokładnie wiedziała, w które puste miejsca na półkach ma wsunąć pożyczone książki. Przez chwilę jeszcze przesuwała palcami po grzbietach znajomych tomów...

Westchnęła ciężko. W powietrzu unosił się znajomy zapach fajki dziedzica, skórzanych tomów i letniego kurzu wbitego w gruby dywan. Przez drzwi dolatywał z ogrodu zapach kapryfolium i orlika, floksów i słodko pachnących róż. Zamknęła oczy i oparła się o półkę z książkami, czując dziwną słabość...

Drzwi do biblioteki od strony korytarza otworzyły się głośno. Zaskoczona Treasure krzyknęła i złapała się za serce, ale z ulgą dostrzegła żółty płomień świecy i pomyślała, że za chwilę wkroczy do środka stary Bailey. Tymczasem postać w drzwiach była znacznie potężniejsza. Przystanęła, a po chwili, dziwnie się chwiejąc, weszła do pokoju. Treasure szeroko otworzyła oczy na widok szerokich ramion, ciasno opiętych bryczesów i wysokich, błyszczących butów. Przeżyła kolejny szok, gdyż twarz, którą widziała, należała przecież do grona aniołów. To musiało być księżycowe szaleństwo.

Duch przeszedł jednak dalej niepewnym krokiem i gwałtownie postawił pustą karafkę na środku biurka. To był dziedzic, ale jakby trochę inny - szerszy w ramionach, wyższy, rozpięta koszula odsłaniała twardy, umięśniony brzuch, który z pewnością nie należał do starego dziedzica. Poza tym duchy z pewnością się nie pociły ani nie nosiły ze sobą pustych karafek. Treasure z trudem przełknęła ślinę. Z drugiej strony wszyscy wiedzieli, że ciało się zmienia po śmierci...

- Niech cię diabli, stary głupcze - wymamrotał cicho duch, głosem pełnym bólu i złości. Rozejrzał się wokół i znieruchomiał, wpatrując się w Treasure, która z kolei wpatrywała się w niego.

Nagle zmrużył szare oczy i potrząsnął głową, nie wierząc własnym zmysłom.

- Co tu, u diabła, robisz? - wrzasnął ochryple. Jednocześnie owionął ją zapach potu i alkoholu... Poznałaby ten zapach na końcu świata... Zapach brandy produkowanej przez jej ojca.

- Ja... - Starła się ogarnąć to, co działo się w niej samej i w rzeczywistości. - Przyszłam, żeby oddać książki dziedzica.

Podszedł bliżej i spojrział na nią z grymasem. Stwierdziła z ulgą, iż to był jednak żywy człowiek.

- W środku nocy? Mogłabyś wymyślić coś lepszego.

Sterling Renville stanął na szeroko rozstawionych nogach i wziął się pod boki. Jeszcze przed chwilą żałował, że ma mocną głowę i nie może się szybko upić, ale teraz, na widok tej wielkookiej panny, z długimi włosami i gładką cerą, był zadowolony.

- Czego tu szukasz, dzierlatko?

- Niczego... Już mówiłam, chciałam oddać książki dziedzica - odparła, unosząc głowę i patrząc mu w oczy.

- Ja tu jestem dziedzicem. Weszłaś podstępnie do mojego domu w środku nocy. Na pewno chciałaś coś ukrąść. Masz podwójnego pecha. Nawet gdybym cię nie przyłapał, tu już nie ma co kraść.

Treasure przypatrywała mu się z dziwnym uczuciem. Coś ścisnęło ją w gardle.

- Mówiłam, że nie przyszłam kraść.

Z irytacją potrząsnęła głową, próbując wyzwolić się z jakiegoś niezrozumiałego transu. Myślenie nigdy jeszcze nie przychodziło jej z takim trudem. Czyżby to wszystko było jedynie wytworem jej wyobraźni? Nagle uświadomiła sobie, że mówił, iż jest dziedzicem, i na nowo ogarnął ją strach.

- Jeśli jesteś dziedzicem, to mnie znasz - powiedziała, starając się mówić spokojnym głosem. - I wiesz, że mogę tu przychodzić, kiedy zechcę. W dzień i w nocy. I że nie jestem złodziejką.

Boże! Musiała się jakoś stąd wydostać. Ten człowiek stał jej na drodze do otwartych drzwi. Treasure uczyniła indiański znak ochronny i powiedziała stanowczo:

- Rozkazuję ci zejść mi z drogi i pozwolić wyjść.

Jej słowa nie przyniosły żadnego efektu. Kiedy ruszyła do drzwi, bez trudu złapał ją za ramiona i przyciągnął do siebie, mimo protestów.

- Nie znam cię, dzierlatko, ale zaraz...

- Puść mnie, ty głupcze! Jak śmiesz!

Jej niecodzienne oczy, pobłyskujące refleksiem złocistego pło-

mienia świecy, przyciągały jego spojrzenie, gdy jedną dobrze umięśnioną ręką przygniatał jej gibkie ciało do swego płaskiego brzucha. Głębia, jaka kryła się w ocienionych długimi rzęsami oczach, kusiła go i prowokowała, by ją wypełnić, by napełnić Treasure całą mocą męskiego pożądania. Wyprostował się i chwycił ją mocniej, żeby lepiej przyjrzeć się jej zgrabnej figurze. Jej skóra była ciepła i gładka jak marmur, a usta niczym koralowe pączki rozchyłały się, dając ujście wściekłemu dyszeniu i potęgując jego pożądanie. Jej gęste i lśniące włosy ocierały się o jego ramię, pachniała ciepłym sianem i... kradzioną miłością.

Treasure bębniła pięściami w jego piersi, przestraszona tym, co się dzieje, i wręcz przerażona faktem, że traci kontrolę nad sytuacją i nad samą sobą. Ubywało jej sił, a jego dziwny, zwierzęcy wygląd przerażał ją w jakiś niepojęty, nieznaný jej dotąd sposób. Nie była przecież głupią, płochą kobietą, którą byle mężczyzna może onieśmielić - była istotą myślącą! Ale oto jej mózg topniał jak cukierek i nie była w stanie zebrać myśli. A to przerażało ją jeszcze bardziej niż on!

Renville trzymał ją bez wysiłku, a jej mało skuteczny opór kwitował pożądlwym śmiechem.

- Chodź, dziewczko, dawnom sobie nie pofolgował. Spraw się dobrze, a ja postaram się, żeby dzisiejsza zbrodnia uszła ci płazem.

Kiedy wybuchła wściekłym wrzaskiem, zdławił go, przyciskając wargi do jej ust. Nacisk jego warg zdumiał ją: był równocześnie twardy i delikatny. Miała wrażenie, że nagle zgubiła się w kłębach zawiei. Nie mogła się ruszyć, nie mogła myśleć ani działać. A potem on objął ją obiema rękoma, pieszcząc jej plecy i pośladki dziwnym gestem, jakby obejmował je w posiadanie. Rozluźniła pięści, czując na całym ciele działanie jego gorącego ciała.

Przycisnął ją do siebie mocniej i pochylił się nad nią, a jego język wszedł między jej wargi i badał delikatny aksamit ust. Jego ruchy spowolniały. Położył Treasure, do tego stopnia przepełniając jej zmysły, że nie zdawała sobie sprawy, w jakiej jest pozycji ani co jej grozi. Kiedy skłonił się ku niej, miała oczy szeroko otwarte i patrzyła z zachwytem, który on wzięt za dojrzewającą w niej namiętność.

Wygięty nad jej ciałem jak most, umieścił jej głowę w uchwycie

obu dłoni i penetrował jej usta z namiętnością wspartą doświadczeniem. Potem jedną dłoń wsunął pod bawełnianą koszulkę, wydobywając jędrną młodą pierś. Kiedy wargami zsunął się po jej szyi i dotarł do zaszewki na jej szczupłym przyrodziewku, Treasure była w rozterce wobec tyłu nowych dla niej uczuć i myśli. Jedna jej ręka zwisała z sofy, druga zaplątała się gdzieś za plecami. Dziewczyna była w potrzasku, wydana na pastwę odczuć, jakich nigdy dotąd nie doznawała. A on tymczasem rozsuwał jej nogi kolanami, brutalnie dociskając ciężkim cielskiem istotę jej kobiecości. Mówił coś natarczywym szeptem, jakby zabarwionym znajomością dobrego i złego.

- Chodź, dziewczko. Jesteś mamy być kwita, musisz się trochę przyłożyć do tej zabawy.

Wyciągnął jej rękę z za kanapy i owinał ją sobie wokół szyi, a sam znów się na niej oparł i wycisnął na jej wargach kolejny niepokojący pocałunek.

Ale ona usłyszała jego słowa. Zabrzmiały w jej uszach jak dzwonek na podniesienie. O to właśnie chodzi, o zabawę! On wbrew jej woli chce się nią zabawić! Ale w takim razie to wcale nie jest zabawne. To jest... O mój Boże! On ją gwałci, jak bezmyślną, bezbronną kobietę! Jakim prawem ten brutal śmie atakować ją - istotę myślącą!

Zmobilizowała się do oporu. O mały włos udałooby się jej zepchnąć go na podłogę. Wściekłość znów dodała jej sił, a on, podniecony i pijany, ledwie się na niej utrzymał. Uderzała go pięściami po głowie, a on przeklinając odparowywał ciosy i starał się ją złapać za nadgarstki. Broniąc się przed tym, Treasure namacała coś zimnego i gładkiego na stojącym obok kanapy stoliku - rozpoznała przysadzistą porcelanową wazę, kunsztownie zdobioną i przede wszystkim... ciężką.

Wymknęła mu się przed kolejnym wymuszonym pocałunkiem i podniosła naczynie. Mocno zacisnęła oczy i spuściła wazę na jego głowę. Odłamki porcelany rozprysły się na wszystkie strony, ale jej twarz i szyja były chronione przez jego nagle zwiotczałe ciało.

Leżała przez chwilę bez ruchu, nie mogąc uwierzyć, że się na to zdobyła i że to poskutkowało. Ale tak, jego wielkie, twarde

ciało leżało na niej bez ruchu, bez życia. Z ulgą zsunęła z siebie tę ciężką powłokę, a potem z poczuciem zemsty zepchnęła ciało z kanapy. Płomyk świecy skwierczał i migotał, kiedy stanęła nad napastnikiem na drżących nogach, przyglądając się ładnym włosom Renville'ów i aroganckiej twarzy tego mężczyzny, który leżał teraz nieprzytomny wśród skorup porcelany.

- Zasłużyłeś sobie na to, psie - zasyczała, odgarniając gwałtownie swoje ciemne włosy. - Teraz ci się odechce zabaw z istotą myślącą!

Wybiegła z biblioteki starego dziedzica w niespokojną noc, nie wiedząc jeszcze, że to dziwne spotkanie nie tylko zraniło jej dumę, ale też zmieniło całą jej przyszłość.

3

Resztę nocy Treasure spędziła w swojej części stajni należącej do jej ojca, usiłując zrozumieć, co jej się przydarzyło. Najwyraźniej wciąż się nie mogła pogodzić ze śmiercią starego dziedzica, a że w dodatku oddziaływał na nią księżyc w pełni, więc wzięła za zmarłego kogoś innego. Rano musi się energicznie pogimnastykować, a następnego wieczoru przed snem napić ziołowego naparu - i wszystko przejdzie, jak ręką odjął.

Starła się nie myśleć zbyt szczegółowo o tym, co zaszło. Wszystko razem było dostatecznie upokarzające. Jakiś pijany nikczemnik napadł na nią w domu dziedzica, oskarżył ją o kradzież, a potem usiłował... Znów przeszedł ją zimny dreszcz...

Zaczęła przyglądać się wschodzącej, pomarańczowej kuli, ale wspomnienia nie dawały się odpędzić. Ten łajdak jej dotykał i przyciskał do siebie w taki sposób, w jaki nie robił tego dotychczas żaden mężczyzna. Nawet bezczelny Pierre Fayette nigdy by się nie ważył... Potraktował ją jak głupią babę. Treasure tak się rozżołościła, że zapomniała o sprawie najistotniejszej - kim w ogóle był ten nieznajomy i dlaczego przebywał w domu dziedzica.

Niegodziwiec przycisnął nawet usta do jej ust i usiłował je otworzyć... co dało dziwny i niepokojący efekt. To musiało być coś, co się nazywa całowanie. Kiedy się na to patrzy, ma się zupełnie inne odczucia, niż kiedy się samemu bierze w tym udział. Najbardziej zaś niepokojące było to, że całkiem przestała przy tym myśleć. Do tej pory tylko jeden raz nie była w stanie myśleć -

kiedy w wieku siedmiu lat zachorowała na szkarlatynę i miała wysoką gorączkę. Wszystko razem szalenie ją zdenerwowało!

Prawdę mówiąc całe to gadanie o pocałunkach i innych czynnościach, które wiązały się ze sportem, szczególnie jej nie podniecało. Kiedy dziedzic, jakieś cztery lata temu, wyjaśnił jej wreszcie, na czym polega ów sport, Treasure odczuła wielkie rozczarowanie. Spodziewała się czegoś bardziej egzotycznego i interesującego. Jediną tajemnicą pozostawała kwestia, co takiego fascynowało w tym innych ludzi.

Treasure przestała o tym myśleć, choć czasem musiała na przykład znaleźć sposób, nie urażając Rufusa Trently'ego, aby Meg Trently znalazła chwilę oddechu między jednym dzieckiem a drugim. Były inne problemy, bardziej zajmujące prawdziwą myślicielkę. Generalnie rzecz biorąc całe Culpepper doskonale o tym wiedziało i aprobowało to.

Tego parnego, lipcowego poranka Treasure umyła się w strumieniu, włożyła koszulę z długimi rękawami i wierzchnią suknię oraz splotła długie włosy w porządną warkocz. Te codzienne czynności przywróciły jej spokój ducha i po obfitym śniadaniu, przygotowanym przez matkę, udała się do swych zadań. Na pierwszym miejscu znajdowała się wizyta u ojca Vivanta w małym kościółku na wioskowym placu. Miała zamiar opowiedzieć mu o wszystkim, co się stało... No, prawie o wszystkim.

Ciągle coś jej w tym przeszkadzało: najpierw została wezwana, aby obejrzeć bardzo ciekawą narośl na grzbiecie krowy, później do najmłodszej latorośli Meg Trently, żeby przepisać coś na wysypkę na pupie.

Na wysypkę zapisała łagodzącą maść z wyciągu z orzecha i dietę z sucharów, ale narośl na grzbiecie krowy nie dawała jej spokoju. Zamyślona, z rękami głęboko wciśniętymi w kieszenie sukni i oczyma wbitymi w ziemię, weszła na plac, mimochodem oddając pozdrowienia mijającym ją mieszkańcom wioski. O mało nie wpadła na Johnny'ego Cole'a i Pierre'a Fayette'a, którzy w typowy dla siebie sposób stali na środku drogi. Treasure spojrzała na nich wściekła i zaczęła ich obchodzić.

- Chwileczkę, a to kto?! - wykrzyknął głęboki głos i Treasure zobaczyła wysokie, wyglansowane buty i błyszczące ostrogi.

Podniosła głowę w tej samej chwili, gdy obca dłoń złapała ją za ramię.

- To na pewno nie ona. - Pierre roześmiał się na widok zdumionej twarzy Treasure, która zobaczyła przed sobą rzeźbione rysy ze znajomymi szarymi oczyma. - To tylko nasza Treasure. Nie jest złodziejką.

- Nie byłbym taki pewien.

Sterling Renville przyglądał się przez chwilę fiołkowym oczom i zaróżowionym policzkom, a porównanie ze wspomnieniem z ubiegłej nocy sprawiło, iż złapał dziewczynę za drugą rękę.

Treasure znieruchomiała. To był... on! W dodatku tak bardzo podobny do dziedzica. A więc zeszłej nocy nic jej się nie przywidziało.

- Proszę mnie natychmiast puścić! - rozkazała, usiłując wyrwać rękę. - Jak pan śmie mnie dotykać!

Ten głos, tak pewny siebie i zdumiewająco gładki, przekonał go ostatecznie. Jednocześnie poczuł dotkliwy ból głowy i jego nastrój jeszcze się pogorszył, a twarz jeszcze bardziej pociemniała.

- Właśnie że to ona. Poznałbym tę dziewczę wszędzie.

- Dziewkę?! Nie jestem żadną dziewczką! Proszę mnie puścić albo zapłaci pan za to.

Johnny i Pierre roześmieli się głupio.

- Nie stójcie tak! - zawołała. - Każcie mu mnie puścić.

W ich oczach zobaczyła jedynie złośliwą przyjemność i z wściekłością usiłowała kopnąć swego prześladowcę, ale jej miękkie buty tylko się ślizgały po jego grubych skórzanych cholewach.

- Nigdzie cię nie puszcę, dzierlatko - mruknął i zarzucił ją sobie na ramię, tuż przed nosem Johnny'ego i Pierre'a.

- Nie-jęknęła.

- A właśnie że tak - powiedział i klepnął ją w wypiętą pupę, co odczuła boleśnie przez cienką koszulę i jeszcze cieńszą suknię. Zrobiło jej się czerwono przed oczami.

- Zapłacisz mi za najście na mój dom i atak na mnie. Gdzie jest posterunkowy, szeryf? - zapytał dwóch młodzieńców, którzy nie ruszyli się z miejsca.

- Niech mnie pan puści... Co za głupek! - Usiłowała się uwolnić, choć bez większego przekonania, waląc go rękami

w plecy. Z trudem chwytała powietrze. - Będzie się pan smażył w rozpalonej sierce, przysięgam!

W tej chwili wzrok jej padł na kilkoro mieszkańców wioski, którzy rozkładali kosze i towar na placu. Wielki Boże, to był przecież dzień targowy. Rozejrzała się z desperacją wokół, szukając pomocy.

- Will - zawołała, poznając syna gospodyni. - Zawołaj ojca! Szybko!

- ...żadnego posterunkowego.

- Ani szeryfa. - Pierre uśmiechnął się z wyraźną przyjemnością, obserwując Treasure.

- To co tu robicie z przestępcami? - zapytał niecierpliwie Renville, nie zwracając uwagi na wysiłki Treasure.

Johnny i Pierre spojrzeli na siebie z wahaniem. Jak mieli mu wyjaśnić, że wszystkie tego rodzaju dysputy załatwiała i rozsądzała osoba, która tkwiła teraz, pupą do góry, na jego ramieniu.

- Umm, no, wzywamy myślicielkę i ojca Vivanta.- odważył się w końcu Johnny.

- To leć po nich. Już! Na co czekasz?

Kiedy żaden z chłopaków się nie ruszył, Renville podszedł bliżej.

- Powiedziałem...

- Ojciec właśnie tu idzie.

Johnny z ulgą wskazał na niskiego, okrągłego mężczyznę, który nadchodził pośpiesznie w turkoczącej sutannie.

- *Bon Dieu!* - Czerwony na twarzy ojciec Vivant zatrzymał się tuż przed nimi, z trudem chwyając oddech i ze zdumieniem w łagodnych, brązowych oczach przyglądał się obcemu mężczyźnie i niewiarygodnej pozycji Treasure Barrett. Co najmniej połowa wioski znajdowała się już na skraju placu.

- Co się stało, *monsieur* - Chciał się rzucić na pomoc Treasure, ale powstrzymała go furia w oczach nieznanego.

- Jest pan księdzem i podobno występuje pan w miejsce szeryfa - powiedział Renville, przypatrując się sceptycznie ojcu Vivantowi. - Mam tu złodziejkę, którą dziś w nocy złapałem na gorącym uczynku w moim własnym domu. I mam zamiar dopilnować, aby sprawiedliwości stało się zadość.

Bez ostrzeżenia złapał Treasure i rzucił ją na ścieżkę między

sobą a księdzem. Dziewczyna krzyknęła. Tłum zafalował, a Johnny i Pierre przewidująco cofnęli się o krok.

- Złodziejka? - Ojciec Vivant wpatrywał się w twarz mężczyzny, skonfundowany jego niesamowitym podobieństwem do starego dziedzica. Potem spostrzegł, że Treasure usiłuje się podnieść, i rzucił się, aby jej pomóc. Jednakże Renville pierwszy złapał ją za warkocz i gwałtownie pociągnął do góry.

Treasure jęknęła i ruszyła w stronę swego prześladowcy. Gdyby wzrok mógł zabijać, już byłby trupem. Ojciec Vivant złapał ją w pasie, a Renville wypuścił z ręki warkocz.

- Treasure - zaczął ksiądz, trzymając ją za ręce. - *Non*, nie wolno. To jakaś pomyłka, proszę pana...

- Nic podobnego! - Renville oparł dłonie na wąskich biodrach. - W nocy przyłapałem tę dzierlatkę w mojej bibliotece, a kiedy usiłowałem ją... zatrzymać, wyrzuciła mi poważną krzywdę. O mało nie wyprawiła mnie na tamten świat. Domagam się, aby została ukarana.

- W pańskiej bibliotece, *monsieur* - Ojciec Vivant niewiele z tego wszystkiego rozumiał i, jak zwykle, kiedy się denerwował, zaczynał mówić z wyraźnym francuskim akcentem.

- W nocy byłem w bibliotece dziedzica - powiedziała Treasure. - Nie mogłam spać w tym upale i poszłam oddać książki, które pożyczyłam kiedyś od starego dziedzica. Nagle on się tam pojawił, pijany jak bela, i oskarżył mnie o kradzież...

- Przyszła kraść do mojej biblioteki - zaperzył się Renville. - Ja jestem teraz dziedzicem. Nazywam się Sterling Renville. Jestem synem i spadkobiercą Darcy'ego Renville'a. Przyjechałem wczoraj, wyraźnie w samą porę, aby uratować dom przed grabieżą.

- Syn naszego dobrego dziedzica? - powtórzył ojciec Vivant, zwalniając nieco chwyt Treasure. Na szczęście informacja młodego Renville'a wytrąciła ją lekko z wojowniczego nastroju.

- Niech mu ojciec nie wierzy! - krzyknęła, choć widziała, iż dowodem na jego prawdopodobność jest choćby podobieństwo do ojca.

- Wszystko, co powiedziałem, jest prawdą- zaprotestował Renville. - Chcę sprawiedliwości - powiedział, zwracając się do księdza.

- Och! - Ojciec Vivant ocknął się i wrócił do rzeczywistości. - Muszę się z panem nie zgodzić. Znam tę młodą damę od wielu lat, podobnie jak cała nasza społeczność. Wiemy, że nigdy by niczego nie ukradła. Jeśli powiedziała, iż chciała oddać książki pańskiego ojca, to znaczy, że tak było. Wiadomo, że często je od niego pożyczała.

W tłumie dały się słyszeć pomruki i potakiwanie. Renville spostrzegł, że wieśniacy, którzy zgrupowali się za księdzem, uważnie mu się przyglądają i szepczą między sobą.

- Przyszła oddać książki w środku nocy? - prychnął szyderczo. Ksiądz pokiwał głową.

- Treasure Barrett robi różne rzeczy o różnych porach. Pański ojciec był do tego przyzwyczajony. Niewątpliwie dziewczyna, podobnie jak my wszyscy, nie miała pojęcia o pana przyjeździe. Ani o tym, że pan także się wcześniej nie kładzie na spoczynek.

Renville ponownie przyjrzał się zaczerwienionej dziewczynie i doszedł do wniosku, że musiał się jednak pomylić i że osoba, którą ma przed sobą, nie jest aż tak pociągająca, jak mu się wówczas wydawało.

- Widzę, że macie tendencje do... - rzucił okiem na zwrócone nań twarze i utemperował swoje słowa - obrony własnych ludzi. - Słyszac znów pomruk oburzonych głosów, obrzucił tłum wyniosłym spojrzaniem.

- Ależ skąd! - Ojciec Vivant energicznie pokiwał głową i zwrócił się do mieszkańców wioski z milczącym apelem o spokój. - Mówimy tylko prawdę, proszę pana...

- Spytajcie, co mu zginęło - rzuciła rozwścieczona Treasure, w obronnym geście zakładając ręce na piersi. - Niech go ksiądz zapyta.

- A więc, proszę pana, co panu zginęło?

- Ja...

Renville był tak zirytowany, iż nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Na ogół nie kwestionowano jego słów. Do diabła, skąd niby miał wiedzieć, co jest w tym domu i co mogło zginąć?

- Muszę to sprawdzić - mruknął ze złością.

- Nie wie pan, czy coś zginęło, ale oskarża mnie pan o kradzież! - wybuchnęła Treasure, podchodząc o krok bliżej.

- Widzę, że to wszystko wynika z nieporozumienia! - zawołał szybko ksiądz. - Daję panu słowo przedstawiciela Kościoła, iż ta młoda dama jest uczciwa. - Objął ją ramieniem, zadowolony, iż nie musi świadczyć o jej temperamencie. - Co najwyżej jest winna wejściu bez pozwolenia na pańską posiadłość, ale to można jej wybaczyć, ponieważ pański ojciec nie miał nic przeciwko temu. Gospodyni, pani Treacle, i stary Bailey powiedzą panu to samo. Treasure nie miała pojęcia, iż jej obecność w pańskim domu tak bardzo pana zdenerwuje.

Ten okragłutki księżunio użył właściwego słowa, pomyślał Renville. Całe to wydarzenie po prostu go zdenerwowało. Nie miał zamiaru przypisywać mu większej wagi, choć z drugiej strony chciał się jakoś zemścić na tej dziewczynie, która najpierw go kusiła, a potem omal nie wyprawiła na tamten świat.

- Widzę, że jest ojciec stronnicy. Zasięgnijmy zatem opinii kogoś bardziej bezstronnego. O kim to mówisz? - spytał Renville, zwracając się do Johnny'ego, który poczerwieniał i zeszywniał. W milczeniu spoglądał przez chwilę na ojca Vivanta i Treasure, a potem spuścił głowę.

- O myślicielce - odpowiedział Pierre ze złośliwym uśmiechem.

- Gdziez znajdziemy tę „myślicielkę”? - zapytał Renville.

Pierre wyciągnął rękę i wskazał na Treasure Barrett.

- Tutaj. To ona.

Renville pomyślał, że oni wszyscy w bezczelny sposób robią sobie z niego żarty. Obrzucił tłum wściekłym spojrzeniem i - ku jego niejakiemu satysfakcji - stojący najbliżej cofnęli się odruchowo. Jeszcze zobaczą, kto tu się będzie śmiał ostatni.

- Posłuchaj - wycedził, szturchając Treasure palcem w nos - nie zbliżaj się więcej do mojego domu. Jak cię złapię, to sam wymierzę ci karę.

Zakręcił się na pięcie i ruszył do domu.

Znieważona Treasure złapała się za nos i byłaby skoczyła za Renville'em, gdyby ojciec Vivant w porę jej nie powstrzymał. Kiedy, po dłuższej chwili, trochę się uspokoiła, zobaczyła, iż mieszkańcy wioski przyglądają jej się z wyraźnym pomieszaniem. Nigdy do tej pory nie widzieli, aby ktoś tak bezceremonialnie

poczynął sobie z Treasure Barrett, i nigdy nie widzieli, aby była tak zakłopotana.

- Wszystko w porządku, Treasure? - spytał ksiądz, przyglądając się, jak kolor jej twarzy wraca do normy.

- Tak, proszę ojca - stwierdziła spokojnie i zobaczyła ulgę we wzroku otaczających ją osób. - Wygląda na to, że tym razem jabłko spadło bardzo daleko od jabłoni - powiedziała głośno. - Powinniśmy o tym pamiętać.

Tłum pokwitował jej słowa pomrukiem zgody. Znali to powiedzenie i widzieli, że pasuje do obecnej sytuacji - nowy dziedzic, oprócz fizycznego podobieństwa, w niczym nie przypominał starego. Z zadowoleniem zobaczyli, iż Treasure otrząsnęła się po nieprzyjemnej konfrontacji i znów kontrolowała sytuację. Wzięli sobie do serca jej ostrzeżenie. Nikt z nich nie chciałby doświadczyć tego, co stało się jej udziałem.

Treasure poszła wraz z księdzem do kościoła, a mieszkańcy powoli rozeszli się do swych wózków i targowych straganów, plotkując w małych grupkach. Johnny Cole pociągnął Pierre'a w stronę kilku młodych dziewcząt, które przyglądały im się zachęcająco. Pierre Fayette obejrzał się jeszcze za Treasure, odczuwając pewne rozczarowanie, że wszystko się tak spokojnie zakończyło.

Treasure jednak daleka była od wewnętrznego spokoju. Jeszcze nigdy, w całym swoim życiu, nie została potraktowana z takim brakiem szacunku, z takim lekceważeniem. Pośród poczciwych, prostych mieszkańców Culpepper miała swoje miejsce, gdzie poważano jej talenty i umiejętności, a ten przybłąda miał czelność oskarżyć ją wobec nich o kradzież. W dodatku ją szarpał, dotykał i wreszcie rzucił na zakurzoną ścieżkę u swych stóp.

Sterling Renville zapłacił jej za to, postanowiła, za nocną napaść i za to straszliwe upokorzenie. Nowy dziedzic przekona się pewnego dnia, iż zadarł z myślicielką, i gorzko tego pożałuje.

Sterling Renville, w drodze do Renville House, zatrzymał się tam, gdzie nikt go już nie mógł dojrzeć, i zaklął wściekle i głośno. A więc bronili przed nim tej małej poganki o głupim imieniu. Spojrzał na swą dłoń i ze złością zacisnął pięść. Nie chciał nawet wspominać dziwnego uczucia, które odczuwał wówczas, gdy

trzymał w ramionach tę dziewczynę. Nie chciał przypominać sobie koloru jej oczu. Do diabła! Jak już odbierze wszystkie długi od tych zapyziałych wieśniaków, jej też nie oszczędzi. Weźmie od niej, co zechce...

Trzy dni później lipcowy upał ożywił trochę ulewny deszcz i mieszkańcy Culpepper odetchnęli z ulgą. Dzięki cieplej zimie i wilgotnej wiośnie zapowiadały się dobre zbiory. Typowym przykładem był sad Bucka Barretta. Śliwki dojrzały do zrywania, wiśnie były tak wielkie i słodkie, że z trudem udawało się chronić je przed ptactwem, gałęzie grusz uginały się pod owocami, a liczne wczesne zawiązki jabłek zapowiadały wspaniały jesienny zbiór i doskonały rok dla jabłkowej nalewki.

Co bardziej przesądni mieszkańcy Culpepper twierdzili, że piękna pogoda jest zasługą starego dziedzica. Jego miłość do tej ziemi miała zaowocować najbardziej soczystymi melonami, najśłodszymi truskawkami i najbardziej dorodnymi kłosami zbóż. Nawet tytoń nigdy nie wyglądał lepiej. W wiosce i otaczających ją fermach panował entuzjazm, którego nie mógł pokonać nawet niepokój związany z osobą nowego dziedzica.

Po upokarzającej scenie na wiejskim placu Treasure szerokim łukiem obchodziła Renville House i z pasją oddawała się swym obowiązkom i zajęciom dla mieszkańców wioski. Jedynie w nocy, gdy w świetle księżycy spoglądała na ścieżkę tam prowadzącą, uczucie wściekłości wracało ze zdwojoną siłą. Jak on śmiał tak ją potraktować - w brutalny, bezczelny i podstępny sposób! A co najgorsze, odciął ją od dwóch najważniejszych rzeczy w jej życiu - od wspomnień o starym dziedzicu i od dostępu do wspaniałej biblioteki. Dzięki książkom mogła się łączyć duchowo z innymi myślicielami, a teraz zostało jej to odebrane.

W tydzień po przykrej scenie ze Sterlingiem Renville'em Treasure, jak w każdy piątek, zjadła południowy posiłek z ojcem Vivantem. Książd pochodził z Gaskonii we Francji i jego miłość do doskonałego jedzenia i wina ustępowała jedynie miłości do Boga i bliźnich. Został wysłany do kolonii Maryland, aby służyć tamtejszym katolikom. Dobroć i wrodzony ekumenizm ojca Vivanta

często sprawiały, iż przekraczał granice i służył zarówno katolikom, jak i protestantom, którzy poznali w nim prawdziwie bożego sługę i nie zwracali uwagi na jego dziwny kołnierzyk czy czarną sukienkę.

Wszyscy w Culpepper znali rozkład zajęć Treasure i wiedzieli, gdzie jej szukać w potrzebie, toteż tego piątkowego popołudnia Klara Hubbard wiedziała, gdzie ją znaleźć.

Treasure pożegnała się z ojcem Vivantem i ruszyła zakurzona ścieżką do małej chatki Klary, obserwując po drodze zmiany w przyrodzie. Nadchodził czas zbiorów korzeni krwawnika, pachnących ziół w lasach i gorzkiego podbiału na słonecznych łąkach. Treasure pomyślała, że mogłaby któregoś dnia z miejscowymi dziećmi wybrać się na poszukiwanie ziół.

- Och, Treasure! - Klara rzuciła jej się w ramiona, gdy tylko weszła do chatki - Dzięki Bogu, że jesteś!

- Co się stało, Klaro? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

Treasure podprowadziła staruszkę z powrotem do fotela na biegunach, usiadła u jej stóp i zaczęła masować jej zimne dłonie. Pomarszczona skóra Klary była równie biała, jak jej wkrochmalony czepek, a żywe niegdyś, brązowe oczy - zamglone i zmęczone.

- Powiedział, że mnie wyrzuci. Tak powiedział. Płać albo się zabieraj. Wielki Boże, Treasure, nie mam pieniędzy. Skąd miałabym wziąć? A te kury... To wszystko, co mam. Żyję dzięki temu, że mogę wymieniać jajka...

- Proszę zaczekać. - Treasure odsunęła pasemko włosów z białej twarzy Klary i spojrzała w jej zażawione oczy. - Kto powiedział: "Płać albo się zabieraj"? I za co ma pani płacić?

- Nowy dziedzic. - Klara głośno pociągnęła nosem i wytarła go w fartuch. Odetchnęła głęboko i złapała Treasure za rękę, jakby chciała przejąć od niej trochę siły. - Przyjechał dziś rano... Na tym swoim wielkim koniu... Z papierami. Powiedział, że to są długi. Tego roku, kiedy susza wypaliła mi ogród, podpisałam staremu dziedzicowi papierki za kury i trochę ziarna, takie tam... Pamiętasz, Treasure?

- Pamiętam. - Treasure poważnie kiwnęła głową.

Doprawdy trudno byłoby zapomnieć coś tak okropnego, jak

tamta susza. Ścisnęła z sympatią dłonie staruszki, czekając na dalszy ciąg opowieści.

- Powiedział, że mam w końcu tygodnia dać mu pieniądze albo zabierze mi kury. I wyrzuci mnie stąd... - Urwała i zaczęła płakać.

Treasure objęła ją ramieniem, wysłuchując znanego opowiadania o tym, jak Klara i Gavin Hubbardowie przyjechali tu, gdy jeszcze nic nie było, jak wycinali dziką roślinność, a potem wspólnie budowali dom rodzinny. Taką samą historię mogło opowiedzieć wielu mieszkańców Culpepper. Treasure wpadła w złość na myśl, że ktoś zmartwił tak biedną, starą Klarę.

- Niech się pani nie martwi, Klaro - powiedziała z determinacją. - Zastanowię się, jak pani pomóc. Nie straci pani ani swych opierzonych przyjaciółek, ani domu.

- Naprawdę? - Klara sapnęła jak małe dziecko. - Co zrobimy?

Treasure przygryzła wargę i zmarszczyła czoło. Tak od razu nic jej nie przychodziło do głowy.

- Muszę pomyśleć, Klaro, ale na pewno coś wymyślę do końca tygodnia. Możesz być pewna. Ten wstrętny chciwiec powinien się wstydzić nachodzić stare kobiety i domagać się kur czy paru groszy.

Treasure, idąc w kierunku wioskowego trawnika, była szalenie zdenerwowana. Co też sobie wyobrażał nowy dziedzic, domagając się pieniędzy od starej kobiety? Wiedziała, iż jest arogancki, gruboskórny... i lubieżny, ale ze zdumieniem odkryła, że jest także chciwy. W tej chwili jej rozmyślenia przerwał Albert Riccard, który nadjechał na jednym ze swych potężnych koni.

- Treasure, chodź ze mną! - Albert wpatrywał się w nią dzikim wzrokiem, włosy sterczały mu na wszystkie strony. - Ojciec cię potrzebuje. Natychmiast!

Obawiając się jakiegoś groźnego wypadku, Treasure wdrapała się przy pomocy Alberta na konia i już po chwili pędzili w stronę świńskiej fermy Riccardów, na krańcu Culpepper, u podnóża gór. Treasure dopytywała się, co się stało, ale dowiedziała się tylko, że nie chodziło o sprawę fizycznego życia lub śmierci, lecz o coś znacznie gorszego. Nim poobijana i wytrzęsiona dotarła wreszcie na fermę, była autentycznie wystraszona.

Zastała Riccardów w największym pokoju ich skromnego drewnianego domu - najwyraźniej czekali na nią z niecierpliwością. Skoczyli do niej, gdy tylko weszła, zagłuszając się wzajemnie. Dziewięć osób mówiło równocześnie, mieszaniną angielskiego i francuskiego, tak że Treasure nie rozumiała ani słowa. Krzyknęła wreszcie i zapadła cisza. Usiadła, zbierając myśli, a wokół otoczyła ją gromadka dziewcząt i chłopców. Henri Riccard, głowa rodziny, zaczął opowiadać.

- Nowy dziedzic Renville przyjechał tu zaraz po wschodzie słońca razem z dwoma stajennymi. Wymachiwał jakimiś papierami i mówił, że jesteśmy mu winni pieniądze. Dużo pieniędzy, a przecież my nic nie mamy. I jeszcze powiedział, że przyjedzie w przyszłym tygodniu, zabierze nasze świnie i konie i wyrzuci nas stąd. *Mon Dieu*, to jego ziemia, ale i nasza też. Czy sam ją będzie uprawiał, jak nas stąd wyrzuci? Czy on może to zrobić, Treasure?

Treasure siedziała nieruchomo. Dokładnie to samo co z Klarą Hubbard.

- Henri, podpisywał pan jakiś papier, weksel?

- *Oui* i to właśnie nasz znak był na papierze. Zakrecony świński ogon - odparł szczerze.

- Ile jest mu pan winien?

- Warchlaki po młodym knurze, którego dostałem od dziedzica, kiedy zdechł mój stary wieprzek, wtedy, co była taka susza. I ziarno na siew. Ziarno pożyczyłem następnej wiosny. I siano. Potrzebowałem siana, aby maciory przeżyły zimę.

- Nie może być tak źle - powiedziała Treasure. - Ile pańskich świń jest od tego knura?

Henri zbladł i spojrzął na żonę, Marie.

- Wszystkie. I zapowiedział, że zabierze konie.

- *Sacre bleu* - szepnęła Treasure.

- Jest źle, tak? - stwierdził przygnębiony Henri.

- Nie jest dobrze - przyznała. - Ten człowiek nie ma serca, skoro żąda twego stada koni.

- One są dla mnie jak... dzieci. - Henri spojrzął żałośnie na swą gromadkę. - Ziarno i siano na całą zimę dla trzech macior to bardzo dużo. Ale - podniósł w górę otwarte dłonie w fatalis-

tycznym geście - nic mi nie zostanie. Moje ziarno jest w ziemi, a do żniw jeszcze daleko. Skąd mam wziąć ziarno na spłatę długu?

Rzeczywiście - skąd? Treasure podrapała się w głowę, a potem oparła ją na dłoni, podpierając się łokciem na stole. Rozejrzała się wokół. To był wielki kłopot, podobnie jak w przypadku Klary.

- Zastanowię się, Henri. I znajdę sposób, żebyście mogli tu zostać i oddać nowemu dziedzicowi to, czego się domaga. Musicie być gotowi, kiedy wrócę do was z moim planem, dobrze?

- Och, tak! - wykrzyknął Henri z ulgą.

- I... może trzeba będzie zaryzykować...

- Mój dom i moje dzieci już są w niebezpieczeństwie. Ja się nie boję - odparł, prostując się dumnie.

Treasure uśmiechnęła się z pewnością siebie, której wcale nie czuła.

- Dobrze. Muszę wracać do moich książek i papierów i zabrać się do roboty.

Wstała, ucałowała w obydwie policzki Henriego i Marie, a przy drzwiach ustawiła się kolejka wszystkich dzieciaków, domagając się tego samego. Wkrótce znów się trzęsła na koniu Riccardów.

Zsiała w końcu z wysokiego końskiego grzbietu dopiero późnym popołudniem. Na lekko drżących nogach ruszyła do kościoła, aby podzielić się dziwnymi wydarzeniami z ojcem Vivantem. Nie uszła daleko, gdy porwał ją zaprzężony w kuca wózek i zawiózł do mleczarni Collina i Naomi Dewlapów.

Kiedy weszła do przyjemnie chłodnego pokoju z kamiennymi ścianami, zastała mieszkańców domu w stanie silnego zdenerwowania. Posadzono ją wygodnie, podano kubek miętowej herbaty i opowiedziano... znaną historię. Dziedzic przyjechał tuż przed południem w asyście stajennych, którym źle z oczu patrzyło, i z papierami za długi. Arogancki młody dziedzic żądał spłaty najpóźniej za dwa tygodnie. W swoim czasie Collin i Naomi pożyczili zwierzęta i pożywienie dla nich, kiedy wszystko zniszczyła susza, i obiecali spłacić dług swoimi doskonałymi serami oraz starymi drzewami orzecha, rosnącymi nad strumieniem, który przepływał przez ich posiadłość. Collin był bardzo dumny z tych starych drzew i okazjonalnie używał ich do płacenia, ponieważ nie miał ziemi odpowiedniej pod uprawę tytoniu.

Ponadto dziedzic domagał się wcześniejszego zapłacenia dzierżawy, którą zawsze do tej pory uiszczano w październiku - po żniwach.

- Kto słyszał o płaceniu dzierżawy przed żniwami?! - wykrzyknął Collin. - Przecież nie ma z czego. Co ten człowiek sobie myśli?

Treasure z rosnącym przygnębieniem obiecała rozwiązać problem Dewlapów. Młody dziedzic doprawdy nie miał chyba serca ani rozumu - dzierżawa przed żniwami, coś takiego!

Kiedy była jeszcze u Dewlapów, nadjechał kolejny posłaniec, który zabrał ją na fermę Cole'ów, i tam usłyszała podobną historię. Miała dziwne przeczucie, iż przyjdzie jej odwiedzić jeszcze wiele domostw w Culpepper i usłyszeć wiele takich opowieści.

Zmęczona i zdenerwowana, odmówiła poczęstunku i poprosiła, aby ją odwieźć do domu. Niebawem siedziała na zgrabnym wierzchowcu Cole'ów, za plecami Johnny'ego, wdzięczna za spokojną jazdę. Na jej prośbę Johnny zostawił ją na skraju posiadłości Barrettów i Treasure, pogrążona w myślach, ruszyła do domu.

A zatem Sterling Renville jeździł po całej wiosce i domagał się zwrotu długów. Wstrętne świnia. Na nic sobie nie zasłużył. Treasure zmrużyła fiolkowe oczy, podejmując mocne postanowienie. Musiał istnieć jakiś sposób, aby uratować Klarę, Riccardów, Dewlapów, Cole'ów... I ona go znajdzie, nawet gdyby musiała rozebrać się do naga w świetle księżyca.

4

Zamyślona Treasure szła w stronę domu, gdy nagle dobiegł ją dźwięk głosów i stukot końskich kopyt. Przed frontem ich rodzinnego drewnianego domu zsiadało z koni trzech jeźdźców. Jej ojciec stał na niskim stopniu przed drzwiami. Nie widziała, kim byli jeźdźcy, gdyż zasłaniały ich konie, ale wyraz twarzy ojca nie wróżył nic dobrego. Jej bracia, Pen, Con i Ben, także wyszli z domu i stanęli obok ojca. Wyraz niepewności na ich zwykle otwartych, szczerych twarzach sprawił, iż Treasure przyspieszyła kroku.

Schodząc z ostatniego schodka Buck Barrett zmarszczył czoło. Był to krzepki, dobrze zbudowany mężczyzna, zawsze uśmiechnięty i przyjaźnie nastawiony do ludzi. Jego nazwisko stało się w Culpepper i okolicy synonimem gościnności, zarówno ze względu na jego zachowanie, jak i jego wyroby. Buck był sadownikiem i producentem nalewek, a w dodatku człowiekiem, którego los szczerze obdarzył. Miał ośmiu dorodnych synów i dwie córki, a także doskonałe zbiory.

Znał się na drzewach i potrafił zmusić je do rodzenia, a ponadto wiedział, co zrobić ze swym bogactwem. Jego ojciec pracował jako pomocnik winiarza w Anglii, po czym znalazł się w koloniach, spłacając umowę czeladniczą u sadownika, który wyrabiał niezłą nalewkę z owoców. Po pewnym czasie stary Barrett i jego syn zajęli się produkcją miejscowych trunków. W dobrym roku, kiedy owoce były słodkie i soczyste, jego nalewki, poza Francją, nie miały sobie równych.

- ...moi synowie - usłyszała Treasure, podchodząc bliżej. - Confession, nazywamy go Con, Penance - w skrócie Pen, i Benediction - czyli Ben. - Młodzi mężczyźni po kolei kiwali krótko głowami. Potem Buck przedstawił Annis Barrett, która stała za nim z najmłodszym dzieckiem na ręku, Salvation, nazywaną w rodzinie Sal. - Mam trzech synów w milicji w Wirginii, walczą z Francuzami i z Indianami. Philos, czyli Phil, Justification, w skrócie Just...

- Jakie to... zabawne - powiedział głęboki, szyderczy głos. I Treasure wiedziała od razu, do kogo należy.

Zatrzymała się w miejscu i pobladła. Potem powoli ruszyła przed siebie, z niechęcią myśląc o młodym okrutnym dziedzicu i o tym, że w czasie spotkania z nim wolałaby mieć w ręce nóż. Ojciec tłumaczył właśnie, że to wędrowni kaznodzieje nadawali imiona dzieciom.

Kiedy Treasure podeszła, młody dziedzic spojrzął na nią z rozbawieniem. Ojciec nie musiał jej przedstawiać.

- I Treasure. Nie pasuje do innych świątobliwych imion, prawda? - stwierdził sarkastycznie Renville.

- Nieprawda. - Annis Barrett zesła ze schodów i położyła rękę na ramieniu córki w ostrzegawczym geście. - W Biblii jest mowa o niebiańskich skarbach.

- Niebiańskie skarby.

Renville przyglądał się Treasure, nie bacząc na to, iż przed nim stali jej trzej bracia i ojciec. Zachował tę wizytę na koniec dzisiejszego dnia, rozkoszując się oczekiwaniem. Dowiedział się, że tu mieszka ta mała kocica, która napadła go we własnym domu, a potem wykręciła się od kary, na którą jak najbardziej zasłużyła. Dowiedział się także, że jej ojciec często występował w księgach starego dziedzica. Z ponurym uśmiechem przyglądał się córce sadownika.

Buck spojrzął na dziedzica zmrużonymi oczyma. Nie podobał mu się sposób, w jaki młody Renville przyglądał się jego córce. Słyszał o konfrontacji na placu, która go nawet ubawiła, żałował, iż sam nie był jej świadkiem, ale teraz nie było mu do śmiechu.

- Prosimy do środka, panie dziedzicu - powiedział sztucznie spokojnym głosem. - Annis upiekła ciasto...

- To nie jest wizyta towarzyska, Barrett. - Renville skierował przenikliwy wzrok na Bucka. - Przyjechałem w sprawie papierów, które znalazłem u ojca, a które już dawno powinny być spłacone. - Odwrócił się do jednego ze swych towarzyszy i wziął od niego kawałek pergaminu, z którego odczytał daty, towary i sumy.

Bracia Treasure przysunęli się bliżej ojca, jakby biorąc go w obronę, a Treasure skoczyła naprzód, chcąc wyrwać dziedzicowi pergamin, ale Renville prędko odsunął rękę.

- Jak pan śmie tu przyjeżdżać i zgłaszać swoje brudne, chciwe pretensje do mojej rodziny! Ma pan coś przeciwko mnie, Renville, to niech się pan zachowa jak mężczyzna i stanie twarz w twarz ze mną!

Dziedzic poruszył umięśnioną ręką i przez moment wszyscy myśleli, nawet Treasure, że chce ją uderzyć. Ale Renville przełknął ślinę i spojrzał na Treasure tak wściekłym wzrokiem, że przeszedł ją dreszcz. Pomyślała, że chyba oszałała, aby go tak publicznie prowokować.

- Niech pan lepiej przywoła córkę do porządku, Barrett - warknął z pogardą Renville. - Kobiety nie mają nic do gadania w interesach.

- Kobiety? - powtórzyła ze złością. - Ach...

Obawiając się, że Treasure tylko pogorszy sytuację, Buck złapał ją za ręce i odciągnął do tyłu, przekazując w objęcia Pena, któremu nakazał jej pilnować, a potem ze stoickim spokojem wysłuchał do końca żądań dziedzica. Renville skończył czytać i wyciągnął pergamin do Barretta.

Widząc, że sadownik nie zamierza go wziąć, skrzywił się nieprzyjemnie i rzucił papier na ziemię.

- Ty brudny... - Pen zatkał Treasure usta i znów zapanowała cisza.

- Pan chyba żartuje - stwierdził wreszcie Buck Barrett. - Nie ma mowy o żadnych zapłatach przed żniwami. Czy pan się w ogóle nie zna na uprawach?

- Przesunąłem termin spłat z października. I oczekuję, że wszystko zostanie zapłacone w ciągu miesiąca albo wasza noga nigdy nie postanie na mojej ziemi. Dostanę swój dług nawet gdybym miał skonfiskować każdą beczkę tych pomyj, które tu produkujesz, Barrett.

Renville rzucił spojrzenie na Treasure i ukłonił jej się z wyrachowanym uśmiechem, po czym odwrócił się i wsiadł na konia.

- Wrócę tu za miesiąc, Barrett- powiedział na pożegnanie i odjechał wraz ze swoją eskortą. Dopiero na końcu podjazdu udało się Sterlingowi Renville'owi rozluźnić napięte mięśnie.

Nie niebieskie, tylko fiołkowe. Jej oczy miały kolor wiosennych fiołków.

Wieczorem Barrettowie zasiedli w swej przytulnej kuchni w całkowitym milczeniu. Nawet pyszne zapachy potraw przyrządzonych przez Annis nie poprawiły im nastroju. Buck Barrett przestudiował listę długów i stwierdził, że sytuacja jest bardzo zła, po czym skierował wzrok na córkę. Pozostali członkowie rodziny poszli za jego przykładem, zastanawiając się, czy przypadkiem cała ta sprawa z dziedzicem nie wynikała z jej niedawnych kłopotów.

- To nie jest moja wina - powiedziała Treasure, głęboko rozczarowana, iż mogli ją uznać za powód swych problemów. Właśnie ją, która zawsze pomagała im problemy rozwiązywać. - Nasz dziedzic jest bardzo pracowitym człowiekiem. Ze swymi żądaniami trafił dziś nie tylko do nas. Wzywano mnie do Riccardów, Dewlapów i Cole'ów - poinformowała rodzinę. -I wszystkim dał listę starych długów. Nawet starej Klarze Hubbard. Zagroził, że zabierze jej kury, ten wstrętny... - Już miała dokończyć, gdy zobaczyła szeroko otwarte oczy matki i zrezygnowała. - To nie koniec. Na pewno możemy się spodziewać kolejnych nieprzyjemnych odwiedzin i nowych list z długami.

- Mój Boże - westchnął Buck Barrett. - Jak może syn tak bardzo różnić się od ojca? Stary dziedzic nigdy by się na coś podobnego nie zgodził. Na pewno przewraca się w grobie.

Wpatrując się niewidzącym wzrokiem w przygasające światło wieczoru, Treasure znów zobaczyła arystokratyczne rysy, szerokie ramiona, zgrabne dłonie, które dotykały ją w intymny sposób. Pukiel jasnych włosów opadł na wysokie czoło. Szare oczy z niebieskim odcieniem przenikały ją dreszczem i zapierały dech w piersiach. Jego wygląd, jego głos... Był tak bardzo podobny do ukochanego, starego dziedzica. Powoli jednak rysy starego Ren-

ville'a blakły w jej wspomnieniach i widziała już tylko twarz i silną sylwetkę Sterlinga Renville'a.

- ...Treasure. - Matka potrząsała ją za ramię, przyglądając jej się dziwnym wzrokiem. - Ojciec chce wiedzieć, co mamy robić?

Dziewczyna rozejrzała się wokół. Rodzice, bracia i siostra wpatrywali się w nią z oczekiwaniem. Wszyscy spodziewali się od niej pomocy, wszyscy, jej rodzina i cała wioska. Treasure wyprostowała się i odrzuciła warkocz na plecy.

- To prawda, rozżośćcił się przeze mnie, ale nie z mojej winy jest człowiekiem chciwym i aroganckim. Mówimy wprawdzie, że skromna pszczołka w krowim łajnie myśli, że jest panem stworzenia, ale dziedzic nadal jest jedynie skromną pszczołką, prawda?

- Co takiego? - Buck podrapał się po przerzedzonej czuprynie, zastanawiając się, jak przeszli od gróźb i długów do pszczoł i łajna. Jego córka zwykle wybiegała do przodu, ale czasem nie był pewien, czy w ogóle idą tą samą drogą.

- Chodzi mi o to, że dziedzic ma wady, ludzkie wady. Jest arogancki, chciwy...

- Typowy mieszczuch - dokończył Buck, zadowolony, iż zrozumiał, co córka miała na myśli. - Żeby się domagać dzierżawy przed żniwami! Wariat.

- Nie. - Treasure zmrużyła oczy, które zapłonęły dziwnym blaskiem. - Jest tylko chciwy, dumny i... nieuświadomiony. Fatalna kombinacja, jeśli wierzyć staremu Ezopowi i *Księdze przysłów*. - Postukała palcem w czubek nosa i rozejrzała się, jakby szukając natchnienia. - Mieszczuch - powtórzyła słowa ojca - który nie ma pojęcia o uprawie ziemi ani o naszych skromnych, kolonialnych obyczajach. Pomyślę o tym. I znajdę sposób, żeby nic nie zabrał mieszkańcom Culpepper. Nic. Przysięgam.

Wszyscy widzieli, jak w jej ocienionych ciemnymi rzęsami oczach zabłyśło dziwne światło. Gdy się pojawiało, nic nie było w stanie przeszkodzić Treasure w dążeniu do spełnienia planów. Nawet przeznaczenie.

Dziewczyna wstała i wyszła bez słowa. Pen roześmiał się, ściągając na siebie zdumiony wzrok rodziców i rodzeństwa.

- Teraz jest na niego wściekła. Nie chciałbym być na miejscu dziedzica, kiedy Treasure z nim skończy.

1 ej samej nocy Treasure zaczęła się zastanawiać nad wyjściem z trudnej sytuacji. Następnego dnia okazało się, iż jej podejrzenia były słuszne - dziedzic odwiedzał po kolei następnych mieszkańców Culpepper z żądaniami zwrotu długów i wcześniejszej zapłaty dzierżawy. Gdy tylko odjeżdżał, rodzina posyłała po Treasure, wierząc, że ona jedna potrafi znaleźć jakieś rozwiązanie.

Najpierw zajęła się sprawą dzierżawy, przypuszczając, iż może istnieć jakaś prawna możliwość jej odroczenia. Niestety, jedyne źródło wiedzy na ten temat znajdowało się w bibliotece w Renville House. Na samą myśl o tym Treasure uśmiechnęła się przebiegle.

Poprosiła panią Treacle, aby dała jej znać, gdy dziedzic znów wyjedzie na poszukiwanie pieniędzy. Kiedy dostała wiadomość, pobiegła szybko do biblioteki w Renville House, starannie unikając kontaktu ze służbą, aby nie narażać nikogo na gniew dziedzica. Na miejscu zasiadła po turecku na miękkim dywanie i obłożyła się prawniczymi księgami. Poczowała się prawie tak jak w dawnych czasach i z głębokim westchnieniem zabrała się do czytania.

Przez jakiś czas szukała choćby promyka nadziei, ale zniżające się słońce powiedziało jej, iż za długo już tu siedzi. Znalazła właśnie obiecujący pasus w prawie zwyczajowym, więc postanowiła zaryzykować i zabrać ze sobą dwa ciężkie wolumeny.

Niestety, niczego pożytecznego w nich nie było. Umowa była umową i właściciel ziemi trzymał wszystkie karty. Jeśli dłużnik nie wywiązał się z zobowiązań, wierzyciel mógł nie tylko skonfiskować wszystko, co ten posiadał, lecz także wtrącić go do więzienia. Zwrot „w granicach rozsądku” pojawiał się od czasu do czasu, ale w tak mglistym kontekście, iż nie dawał żadnej nadziei, zwłaszcza iż w Culpepper nie było sędziego, do którego można by się odwoływać.

W tej sytuacji Treasure musiała polegać na intuicji i wymyślić szereg sposobów, które pomogłyby ludziom bronić się przed dziedzicem Sterlingiem Renville'em. Był on człowiekiem aroganckim, ale z pewnością niegłupim. Należało go jakoś podejść.

Treasure odwiedziła najpierw ojca Vivanta i zapewniła sobie jego poparcie i milczenie, nie wtajemniczając go zbyt w swoje plany, gdyż nie chciała z nadto obciążać sumienia duchownego.

Następnie zabrała się do obmyślania trików i podstępnych sztuczek, dzięki którym Renville miał zgodzić się na to, by ludzie oddali mu, co mogli.

Najpierw odwiedziła starą Klarę, a później Riccardów, gdyż dziedzic do nich prawdopodobnie wybierał się w pierwszej kolejności. Wszyscy uważnie wysłuchali jej rad i powiedzieli, że będą postępować według jej wskazówek.

Minęły cztery dni i wszystko zdawało się w najlepszym porządku, gdy Treasure dostała wiadomość od pani Treacle, iż dziedzic coraz więcej czasu spędza w ojcowskiej bibliotece i że wkrótce pusta przestrzeń na jednej z półek może zwrócić jego uwagę. Zarazem pani Treacle powiadamiała ją, iż dziedzic zamierzał wyjechać z domu na całe popołudnie. Renville House leżał po drodze na fermę Cole'ów i Treasure, która wybierała się do nich z planem dotyczącym spłaty długów, postanowiła oddać książki i przy okazji jeszcze coś sprawdzić w bibliotece.

Gdy szła do Renville House, niebo zasnuło się ciężkimi chmurami, a powietrze stało się niezwykle naelektryzowane. Jeżeli chciała zdążyć do Cole'ów przed burzą, musiała się pośpieszyć. Żałowała, że nie skorzystała z oferty Pena, który chciał ją zawieźć tam konno. Stanowczo za bardzo się przyzwyczyła do samodzielnego działania i spędzania większości czasu w samotności.

Stęchły, znajomy zapach we wnętrzu biblioteki napełniał ją jednocześnie otuchą i niepokojem. Pomyślała, że powinna oddać książki i wyjść... ale to była bardzo trudna sprawa. Wyjęła z półki jeden tom, potem drugi i trzeci... To wszystko byli starzy przyjaciele: Pliniusz i Platon, Didymus Mountain, John Gerard, św. Tomasz i Jethro Tuli. Jakże żałowała, iż nie może się spotkać i porozmawiać z tymi wielkimi myślicielami, którzy tak bardzo wzbogacili jej życie...

Nagle znieruchomiała, słysząc dwa głosy - kobiecy i męski - w holu. Kobiecy głos należał do pani Treacle, a drugi... Rozpoznała go natychmiast. Dziedzic Renville wrócił. Rozejrzała się wokół, na porzucane wszędzie książki, i zamarła. Pani Treacle i dziedzic wyraźnie szli do biblioteki. Poderwała się i zaczęła gwałtownie upychać tomy na półkach. Była już przy drzwiach na taras, gdy spostrzegła, że na dworze jest prawdziwy potop. Ledwo zdążyła

się ukryć za grubą zasłoną, przyciskając się do ściany i wstrzymując oddech. Modliła się, aby grzmoty zagłuszyły walenie jej serca.

Drzwi otworzyły się i do biblioteki wszedł Sterling Renville, strząsając wodę z włosów i z irytacją wyciągając ze spodni mokrą koszulę. Stary Bailey deptał mu po piętach. Z ulgą rozejrzał się po pustym wnętrzu.

- Przejechałem połowę drogi, starając się prześcignąć ulewę, ale i tak mnie dopadła. Boże, jak ja nie cierpię tego miejsca z jego nieprzewidywalnym klimatem i tymi wiecznie narzekającymi wieśniakami. Masz. - Skończył rozpinąć guziki, zdjął koszulę i wręczył ją Baileyowi. - Przynies mi ręcznik i suchą koszulę. I butelkę przyzwoitej brandy. Nie te pomyje Barretta.

Treasure za kotarą zazgrzytała zębami.

Stary Bailey otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnował i zamknął za sobą drzwi.

Renville stał na środku pokoju, nagi do pasa, rozglądając się wokół wściekłym wzrokiem.

- Postawiłeś na swoim, ojcze, przynajmniej na jakiś czas. Jestem tu, w twoim cholernym domu, tak jak to wiele lat temu zaplanowałeś... - Zamilkł, rezygnując z dalszej przemowy do pustych ścian, i westchnął sfrustrowany.

Widok jego nagich pleców zrobił na Treasure dziwne wrażenie. Usiłowała zamknąć oczy, ale przenikające ją dreszcze jeszcze się wówczas wzmaczały.

Renville usiadł na kanapie i Treasure widziała teraz jego długie nogi w skórzanych, zakurzonych i poplamionych deszczem butach. Omal nie jęknęła na głos, gdy się pochylił i zaczął zdejmować ostrogi. Nie miała pojęcia, co się z nią dzieje, ale wydawało jej się, że za chwilę się przewróci.

Stary Bailey niebawem powrócił i Treasure widziała, jak dziedzic wyciera się i wkłada suchą koszulę, nie zapiął się jednak. Dziewczyna patrzyła na niego. Przenikało ją uczucie pożądania, jakiego nigdy nie skojarzyłyby sobie z osobą Sterlinga Renville'a.

Dziedzic usiadł za biurkiem swego ojca i sięgnął po butelkę brandy. Ku swemu zdumieniu Treasure spostrzegła, że był to jeden ze specjalnych gatunków Barrettów.

- Przypuszczam, że lubiłeś służyć u mojego ojca - powiedział nagle Renville.

Stary Bailey zatrzymał się w drzwiach. Odwrócił się.

- Tak. Dziedzic był dobrym panem.

- Ale mnie nie lubisz usługiwać. - Było to na pół pytanie, na pół wyzwanie.

- Ja... Lubię moją pracę, proszę pana.

Renville uśmiechnął się pod nosem.

- Dyskrecja jest konieczna u dobrego lokaja, Bailey.

- Tak jest, proszę pana.

Zapadła cisza - Renville pociągnął łyk brandy.

- Doskonały trunek, Bailey. Z Niemiec? Wiśniówka?

- Nie, proszę pana. To nasze, z kolonii.

Renville chrząknął i rozsiadł się wygodniej, wyraźnie mając zamiar dalej rozkoszować się brandy mimo jej skromnego pochodzenia.

- Jaki on był, Bailey? Twój stary pan?

- Bardzo bobry, proszę pana. Serdeczny dla ludzi, kochał dobre jedzenie i konie. Wykształcony i grzeczny... I na tyle silny, że inni mogli na nim polegać.

- Oprócz rodziny - stwierdził gorzko Renville.

- Nic o tym nie wiem, proszę pana. Wiem tylko, co zrobił dla ludzi tutaj, w Culpepper. Bez starego Darcy'ego Renville'a nie byłoby tej wioski. W okolicy pełno jest dzieciaków nazwanych Darcy na jego cześć.

- Na pewno nie będzie dzieciaków nazywanych Sterling. - Renville zaśmiał się krótko. - Tak samo lubię to przekłete miejsce, jak ono mnie, Bailey. Na pocieszenie powiem ci, że wyjadę stąd, gdy tylko odbiorę swój spadek, który ojciec rozdał tutejszym ludziom. To, czego nigdy nie zrobił dla mnie za życia, załatwił sobie po jego śmierci.

Zobaczył, że stary Bailey zeszywniał, i dodał, jakby na swoją obronę:

- Jeśli to brzmi okrutnie, niech i tak będzie. On też był okrutny dla mojej matki- I dla mnie

Treasure słyszała, jak stary Bailey wyszedł z biblioteki, powłócząc nogami - Ze swej kryjówki za kotarą widziała, jak Renville

wypił dwa duże kieliszki brandy, a potem wstał i zaczął chodzić po pokoju. Bała się głośniej odetchnąć, żeby jej nie usłyszał.

- Niech cię diabli wezmą! - usłyszała pełen bólu okrzyk. - Dlaczego musiałeś umrzeć, nim...

Trzasnęły drzwi i Treasure wiedziała, że została w pokoju sama. Nogi się pod nią ugiwały, a myśli kołatały jej w głowie. Renville chciał odebrać długi i wyjechać, zostawiając wszystko na pastwę losu. Z drugiej strony, słyszała w jego ostatnich słowach ból i żal...

- Niech diabli wezmą ciebie - szepnęła.

Nigdy przedtem nie doznawała takich dziwnych i nieznanym uczuć. Zawsze kierowała się rozumem, a nie emocją. Odsunęła się od ściany i wyszła zza kotary - wprost na Sterlinga Renville'a.

- To ty! - wykrzyknął, równie zaskoczony jak Treasure.

Rzuciła się do drzwi na taras, ale Renville szybko złapał ją za suknię i wciągnął do środka.

- O, nie, nie uda ci się uciec - powiedział szyderczo.

- Nie, to wcale nie to, co pan myśli - zaprotestowała, zdając sobie sprawę z jego przewagi oraz niepokojąco nagiej piersi w wycięciu rozpiętej koszuli. - Nie przyszedłem tu, żeby coś zabrać.

Jej białe stopy poślizgnęły się zdradziecko na miękkim dywanie i wylądowała wprost w jego objęciach.

- To po co tu przyszedłeś, dziewczyno? Znowu oddać książki? - Zaśmiał się ironicznie. - Nawet nie umiesz czytać.

- Właśnie że umiem - powiedziała, usiłując się wyrwać z jego uścisku, wściekła z powodu takiej obrazy. - Przeczytałam wszystkie książki z tej biblioteki.

- Kłamczucha! - Pociągnął ją w stronę półek z książkami. - Zaraz się przekonamy.

Trzymając ją w pasie jedną ręką, sięgnął po tom z górnej półki. Na wpół zaniósł ją przez pokój, ignorując jej wysiłki, gdy próbowała się uwolnić. Położył książkę na małym stoliku koło kanapy i otworzył na chybił trafił, rzucając okiem na zadrukowane stronicę. Nawet gdyby umiała przeczytać kilka słów, to na pewno nie po łacinie.

- Proszę bardzo, czytaj, jeśli potrafisz - powiedział, pochylając ją nad książką, ale nie wypuszczając dziewczyny z uścisku.

- Tutaj jest napisane *Ducunt volentumfata, nolentum trahunt* - powiedziała. - Seneka.

Renville, przez moment zbity z tropu, zajrzał w tekst.

- Co to znaczy?

- Los prowadzi chętnych, ale zmusza do działania upartych.

Jest pan zadowolony?

Przewrócił stronę i Treasure bez wahania odczytała kolejny akapit, a potem, na jego żądanie, przetłumaczyła.

Był tak podniecony jej bliskością, że słyszał za ledwie co trzecie słowo. Pod wpływem jej zapachu kręciło mu się w głowie, a widok jej gładkiej, aksamitnej skóry na karku doprowadzał go do szaleństwa. Kosmyki włosów, które wymknęły się z warkocza, łaskotały go w pierś.

Treasure zamilkła. Jej oddech był coraz szybszy.

- Gdzie- spytał ochrypłym głosem- taka dziewczka jak ty nauczyła się łaciny?

- Od pańskiego ojca - odparła, choć jej głos nie brzmiał dość triumfalnie. - Dziedzic nauczył mnie wielu rzeczy.

- A tego też cię nauczył? - Renville obrócił ją przodem i przycisnął do siebie. Kiedy dotknął ustami jej koralowych warg, zauważył, że jej ciemnofioletowe oczy patrzą na niego z niepokojem.

A potem już nic nie widział, gdyż zamknął oczy i zatopił się w słodczy jej aksamitnych słodkich i drżących warg.

Czuł, iż nie stawia mu już oporu i staje się bezwolna w jego ramionach.

Treasure miała wrażenie, że ostatni grzmot letniej burzy wybuchł gdzieś w środku, wtopił się w jej krew, podrażnił nerwy i pobudził zmysły. Jej ciało odruchowo reagowało na dotyk Renville'a bez udziału jej woli i rozumu. Położyła mu dłonie na plecach i nieśmiało naśladowała ruchy jego warg. Renville przyciskał ją do siebie coraz mocniej i trudno jej było oddychać, ale gdy tylko doknął jej ust, straciła wszelki instynkt samozachowawczy.

Powoli upadli razem na kanapę. Rozsunął kolanem jej nogi, żeby poczuć ją jeszcze bliżej. Poddawała mu się bez słowa protestu, przeciwnie, chciała być z nim jak najbliżej. Jedną rękę przesunął w górę do piersi, a kiedy się okazało, iż trudno ją wyłuskać z ubrania, wziął ją w usta po prostu przez suknię, a za chwilę zjechał ręką w dół i podciągnął w górę ubranie, odsłaniając nagie, jedwabiste gładkie biodro.

Pen Barrett zatrzymał konia na skraju małego ogródka obok biblioteki w Renville House. Wprawdzie Treasure mogła już dawno stąd wyjść i powędrować do Cole'ów, ale Pen, skoro już tu był, postanowił to sprawdzić. Matka nigdy by mu nie darowała, gdyby Treasure wędrowała samotnie pośród burzy i nabawiła się jakiejś paskudnej choroby.

Zeskoczył zgrabnie z konia na mokrą ziemię i omijając największe kałuże, ruszył do furtki. Słońce znów wyszło i ciepłe kamienie nieomal parowały mu pod nogami. Postanowił jedynie zajrzeć do środka na wszelki wypadek i jechać dalej, ale kiedy przycisnął twarz do mokrych drzwi od tarasu, nie uwierzył własnym oczom.

Treasure leżała na kanapie pod młodym dziedzicem, z uniesioną suknią, odsłaniającą nagie biodra i z ustami przyklejonymi do jego ust. Dłonie młodego dziedzica wędrowały, gdzie chciały, a Treasure nie stawiała najmniejszego oporu.

Pen przetarł zaparowaną szybę i powtórnie przytknął do niej nos. Treasure oddawała pocałunki. To było wprost nie do wiary! Z nikim się nigdy nie całowała, a już na pewno nie mogła tego robić z młodym dziedzicem. Nie była taka jak inne dziewczęta. Była myślicielką.

Może była to część jej planu, związanego z długami i żądaniem Renville'a? Tak, takie wyjaśnienie wydało się Penowi bardzo prawdopodobne i wobec tego uznał, że nie powinien jej przeszkadzać. Z drugiej strony jego siostra w niczym nie przypominała teraz myślicielki.

Marszcząc czoło, Pen otworzył drzwi i wszedł do środka. Podszedł bliżej splecionych ciał i wpatrywał się w nie z niejakim poczuciem winy. Kto by pomyślał, że mała Treasure będzie się z takim zapałem oddawać igraszkom?

Pen odchrząknął. Dźwięk nie zrobił żadnego wrażenia na Treasure, która tylko westchnęła cicho, gdy dziedzic przesunął usta od szyi do mokrej plamy na czubku jej piersi. Pen zamrugął i chrząknął głośniej.

Renville uniósł głowę i ze zdumieniem ujrzał przed sobą bryczesy i parę zwykłych butów. Treasure także oprzytomniała i spojrzała najpierw na Renville'a, a potem na tego kogoś, kto stał nad nimi.

- Treasure - powiedział znajomy głos.

Z trudem wróciła do przytomności, czując w łądźwiach i w piersiach palący ból.

- Treasure - powtórzył Pen, a dziewczyna gwałtownie otwarła oczy. - Widzę, że jesteś zajęta, ale przyjechałem, aby cię zawieźć do Cole'ów. Potrzebujesz pomocy? Czy mam zaczekać w ogrodzie?

- Co, u diabła...?! - Renville z wściekłością spojrział na Pena. - Kim jesteś?

Jego złość za chwilę jeszcze bardziej wzrosła, gdyż zawstydzona i zła Treasure zepchnęła go na podłogę.

- Jasna cholera! - wykrzyknął, omotany na moment jej ubraniem.

- Pan... pan... - wyjąkała bezsilnie, wpatrując się z obrzydzeniem w Renville'a, jakby był jadowitym wężem.

Kiedy podmuch wiatru owiał mokry fragment jej sukni, skrzyżowała dłonie na piersiach, zaczerwieniła się i wybiegła na dwór.

Pen cofnął się przed rozzłoszczonym Renville'em, a potem zatrzymał się na moment, aby mu się przyjrzeć. Potrzęsnał głową ze współczuciem, wiedział bowiem, jakie męki przeżywał młody mężczyzna.

- Radzę panu zachować ostrożność - powiedział - i nie zachcać się przypadkiem w Treasure.

I w poczuciu dobrze spełnionego chrześcijańskiego obowiązku Pen Barrett zakreślił się na pięcie i wyszedł.

Treasure, siedząc na koniu za plecami brata i trzęsąc się na wyboistej drodze, westchnęła wreszcie po raz ostatni i poczuła, że znów sprawuje kontrolę nad swoim życiem.

Dzięki Bogu, że to Pen ich znalazł i że zjawił się w samą porę. Mimo to odczuwała wstyd i zażenowanie. Sterling Renville był jej wrogiem, przeciwnikiem, obrzydliwym chciwcem, który zamierzał zrujnować całą wioskę. A ona tymczasem pozwoliła, żeby jej dotykał, całował po całym ciele, podszczypywał i podgryzał, jakby była łąką, na której się pasł.

Z drugiej strony Pen zachowywał stoicki spokój, a poza tym

nie był na pewno człowiekiem, który zacznie zaraz wszystko wszystkim opowiadać.

Dlaczego rozum jej przestawał funkcjonować, gdy ten arogancki bęcwał zaczynał ją całować lub dotykać jej piersi? Na samą myśl o tym znów poczuła ten dziwny dreszcz. Była pewna, że takie uczucia towarzyszyły innym ludziom przy uprawianiu tego, co nazywali sportem. Do tej pory uważała się za kogoś zupełnie innego niż reszta ludzi. Czyżby nie miała racji?

Postanowiła, że teraz nie będzie o tym myśleć. Zbyt wiele miała do zrobienia.

5

Następnego ranka w Renville House panował spokój. Sterling Renville siedział zamyślony, w samej koszuli, nad resztkami śniadania. W duchu miał do siebie pretensje o swoje zachowanie od dnia, w którym przybył w to straszne miejsce. Był przekonany, iż to jest wina miejsca. Coś tkwiło w wodzie albo w powietrzu, coś, co dostawało się do mózgu, a potem zaczynało rosnać niby jakiś grzyb lub korzeń.

Im dłużej tu przebywał, tym większy to coś miało na niego wpływ, aż wreszcie groziło pozostaniem na zawsze w tym nieucywilizowanym zakątku dzikiego świata. Prawdopodobnie to samo przydarzyło się wiele lat temu jego ojcu. Jednak Sterling Renville nie miał zamiaru tu zostawać.

- Gdy tylko odzyskam należności od tych prostaków, zaraz stąd wyjadę. Najdalej za miesiąc - mruknął do siebie, zastanawiając się jednocześnie, ile jeszcze szkód przyniesie mu ten pobyt.

Wspomnienie wczorajszego wieczoru sprawiło, iż zaczerwienił się i zacisnął pobielające dłonie na oparciu fotela.

Dwukrotnie już znalazł się na progu spełnienia z tą dzierlatką... Dwukrotnie! Za pierwszym razem ta czarownica, szamanka pozbawiła go przytomności, za drugim - rzuciła na podłogę, gdzie znalazł się u stóp jej brata, przywołany do porządku jak napalony uczeń. Prawdziwy mężczyzna poderżnąłby mu gardło za to... co chciał zrobić, ale Pen Barrett tylko się przyglądał i zaproponował, że zaczeka na dworze. Co to za brat, na litość boską?

Renville wstał od stołu. A ona... Dlaczego pałętała się tu po

nocy? I znała łacinę. W dodatku całkiem niezłe. Nauczył ją jego szalony ojciec. Co w niej takiego było, że musiał ją brać w ramiona, gdy tylko ją zobaczył? Takie dziecko w szkolnej sukience?

Renville przystanął, zamknął oczy i jęknął głośno. Za późno! Jego mózg przestał funkcjonować.

Odetchnął głęboko, wcisnął ręce w kieszenie i przywołał się do porządku. Weź się w garść, Renville, powiedział sobie w duchu. Czy to ważne, z kim się zapomnisz w tej głuszy? Jeszcze miesiąc i wrócisz do cywilizacji u boku małej Larendy Winderleigh-Avalon. Najwyżej miesiąc.

I co z tego, że Treasure Barrett znała łacinę jak profesor z Oksfordu? W końcu papugę można nauczyć mówić, a osła - tańczyć.

- Przepraszam pana - powiedział stary Bailey. - Przyszedł ojciec Vivant. Czeka w salonie.

Renville podskoczył i poczerwieniał, jakby Bailey mógł odczytać jego nieprzystojne myśli.

- Czego chce? - warknął.

- Wyobrażam sobie, że chce złożyć wizytę.

Renville prychnął niechętnie, sięgnął po surdut, po czym zrezygnował. Było zbyt gorąco, aby się przebierać dla kogoś tak mało znaczącego. Ruszył do salonu, spodziewając się księzego apelu o litość dla mieszkańców Culpepper. Niech prosi, pomyślał i uśmiechnął się krzywo.

Kiedy Sterling Renville wszedł do salonu, ojciec Vivant, ubrany w swojanajlepszą sutannę, przestępował z nogi na nogę. Ta wizyta nie była pomysłem księdza i nie był jej rad. Treasure wymyśliła, aby zaprosił dziedzica na mszę, i nie bardzo mógł jej odmówić.

- Proszę, niech ojciec usiądzie. - Renville wskazał pokrytą brokatem kanapę, sam zasiadając na stojącym naprzeciwko fotelu. - Czemu zawdzięczam wizytę?

- Muszę przeprosić, że przychodzę dopiero teraz. - Ojciec Vivant przywołał na twarz swój najbardziej sympatyczny uśmiech. - Chciałbym złożyć kondolencje z powodu odejścia dziedzica Darcy'ego. I zapewnić, że odprawiłem wszystkie modlitwy i należy pogrzeb.

- To bardzo miło. Ale ja nie jestem katolikiem. Obrzędy mnie nie interesują. - W tym momencie straszna myśl przyszła Renville'owi do głowy. - Ojciec nie był chyba katolikiem, co?

Czyżby stary głupiec przeszedł na katolicyzm? To do niego podobne...

- Nie. - Ojciec Vivant zmarszczył lekko czoło na widok niesmaku malującego się na twarzy dziedzica. - Chciałem tylko pana zapewnić, że wszystko odbyło się uroczyście. Stypa trwała dwa dni, tak bardzo go tu wszyscy poważali. Dla mnie jego śmierć jest osobistą stratą. Był moim drogim przyjacielem. Spędziliśmy razem wiele wieczorów nad szachownicą, popijając doskonałe brandy i rozmawiając o sprawach, o których nie można było rozmawiać z nikim innym w tej niewykształconej społeczności. Przyznam się, że bardzo mi go brak.

Renville poruszył się niespokojnie w fotelu. Doskonale rozumiał księdza. Dwóch wykształconych mężczyzn na końcu świata... Poczul przypływ sympatii do pękatego księdza i skarcił się w duchu. Otworzył usta i ze zdumieniem usłyszał własne słowa:

- Może ksiądz zajść do mnie czasem na partyjkę szachów.

- Doprawdy? To byłoby wprost cudowne. - Ojciec Vivant rozpromienił się. - Nie chciałbym jednak zabierać panu czasu. Wiem, że ma pan dużo zajęć. - Ojciec Vivant spojrział w bok, mając nadzieję, iż jego słowa nie zabrzmiały zbyt fałszywie. - Muszę przejść do drugiego celu mojej wizyty.

- Jaki to cel?

- Przybyłem, aby pana zaprosić, nie... błagać o przyjście na mszę w ten dzień święty. - Ojciec Vivant uśmiechnął się słabo, nie patrząc dziedzicowi w oczy.

Renville w zakłopotaniu zmarszczył czoło, a ksiądz wstrzymał oddech.

- Na mszę? Mówiłem już, że nie jestem katolikiem.

- Tak samo jak połowa moich parafian. Ale wszyscy przychodzą na mszę. Katolicy siedzą i klęczą z przodu, a protestanci stoją z tyłu. Pomyślałem, że to byłby doskonały przykład dla mieszkańców, proszę pana. A w tych... trudnych czasach usilnie potrzebują dobrych przykładów.

Tym razem Renville nie starał się nawet zakamuflować pełnego

niesmaku westchnienia. Co za okropne miejsce! Nie potrafili nawet utrzymać przyzwoitego dystansu między katolikami i protestantami. Nic gorszego nie można sobie było wyobrazić.

- Dobrze, dam przykład - usłyszał własny głos, nie zdając sobie sprawy, iż zignorował twierdzenie księdza o trudnych czasach.

- *Merveilleux*. - Ksiądz wstał, uśmiechając się z ulgą. - Nie będę pana dłużej zatrzymywał. Muszę jeszcze odwiedzić starą Hattie Tusson. Dziś rano Treasure przecięła jej wrzód na nodze i trzeba ją namaścić olejami. Jeśli nie zdążę na czas... *Mon Dieu*, Treasure znów użyje sowych piór. - Ojciec Vivant zadrzał komicznie.

- Co się stało? Ta mała Barrettówna kogoś pocięła? - Renville złapał księdza za rękaw sutanny.

- *Non, monsieur*. Chodziło o drobną operację. To wszystko. Treasure jest uzdrowicielką i myślicielką.

Renville wbił w niego wzrok.

- Myślicielką? Co to znaczy? - Chyba szamanką, pomyślał.

- Treasure Barrett jest niezwykłą osobą. Wiele się nauczyła i... - Miał zamiar powiedzieć, iż pomaga mieszkańcom wioski w rozwiązywaniu ich problemów, ale nagły przypływ dyskrekcji zmienił jego słowa. - Często ją wzywają, gdy ktoś zachoruje. Urodziła się jako siódme dziecko w rodzinie. Wprawdzie nie jako siódmy syn, ale w tym wypadku to zdaje się nie ma znaczenia.

- I dlatego wolno jej płatać się po nocy i wchodzić do cudzych domów?

Ojciec Vivant zastanawiał się przez chwilę, co powiedzieć.

- I dlatego wszędzie jest serdecznie przyjmowana, niezależnie od pory. Choroba nie wybiera. Często ją wzywają w dziwnych godzinach.

- Zakładam, że dobrze znała mojego ojca.

- Bardzo dobrze. Jego śmierć była dla niej wielkim ciosem, gdyż on ją uczył.

- Łaciny i jeszcze paru innych rzeczy, co? Sypiała tutaj, w tym domu?

- Tak, wiele razy spotykałem ją tu przy śniadaniu - zapewnił ojciec Vivant, myśląc jedynie o spotkaniu na placu wioskowym i chcąc oczyścić Treasure z wszelkich podejrzeń. Tymczasem

grymas twarzy Renville'a uświadomił mu, że zrobił coś wręcz przeciwnego.

- *Non, monsieur*, to nie to, co pan myśli, zapewniam. Darcy Renville traktował ją jak córkę. Przychodziła tu się uczyć i czytać jego książki. Ja też ją uczyłem. Jest bardzo zdolna. A pański ojciec był ogromnie zadowolony, że znalazł taki wspomniały umysł... na pograniczu.

- Szkoda, że nie nauczył jej używać przyzwoitego języka - odparował Renville.

- Treasure jest dość... niezwykła. - Ojciec Vivant podrapał się po brodzie, nie bardzo wiedząc, ile może powiedzieć. - Zna się na wielu rzeczach i cieszy się poważaniem. Szkoda, że zaczął pan znajomość z nią od niefortunnego przypadku.

- Barrett jest kompletnie nieodpowiedzialny, pozwalając, aby się boso włóczyła po nocach.

- Ale ona nie jest zwykłą córką, jest także my... Potrafi o siebie zadbać. Nikt nie skrzywdziłby Treasure Barrett. Jest pod ochroną.

- Czyją ochroną? - spytał Renville, przechylając głowę i mrucząc oczy.

- No... Kościoła i... pańskiego ojca.

- Rzym jest dość daleko stąd, a Darcy Renville nie żyje - powiedział chłodno nowy dziedzic. - A może tę rolę także odziedziczyłem? Rolę obrońcy Treasure Barrett?

Mówiąc to, pomyślał o prawdziwej ironii losu. Dwukrotnie omal nie posiadał dziewczki, którą jego zwariowany ojciec obiecał chronić.

- Być może, proszę pana - powiedział ojciec Vivant, myśląc, iż sam prędzej zostanie kardynałem. Zadrżał na widok chytrego wyrazu twarzy młodego dziedzica. Trzeba będzie mieć Treasure na oku i uprzedzić, żeby na siebie uważała.

Wyszedł z niepokojącym przeświadczeniem, że młody Renville miał wiele fizycznych cech swego ojca, lecz niewiele z jego dobrego charakteru.

Niedzielną poranek wstał czysty i jasny, choć wilgoć w powietrzu zwiastowała popołudniową burzę. Sterling Renville wstał tuż po wschodzie słońca i zjadł śniadanie składające się z herbaty,

chrupiących, posmarowanych masłem bułeczek, wędzonej szynki i świeżych jagód. Kucharka nauczyła się wreszcie tego, co lubił, i doskonale wywiązywała się ze swych obowiązków. Po śniadaniu spędził jakiś czas, wybierając strój do kościoła.

W końcu postanowił włożyć parę kremowobiałych bryczesów, cienkie jedwabne pończochy, kamizelkę z purpurowego brokatu haftowanego złotą nicią i belgijską koszulę z koronkami. Surdut uszyty był z czarnego aksamitu ze złotym szamerunkiem na przodzie. Mankiety z purpurowej satyny ozdobione były takim samym złotym szamerunkiem i złotymi guzikami. Dodatkową ozdobą był ciężki złoty zegarek z dewizką. Cofnął się o krok, podziwiając się w lustrze, obracając głowę, aby sprawdzić puder na włosach, i żałując, że nie zabrał ze sobą porządných peruk.

Uśmiechając się do swego odbicia w lustrze, wyobraził sobie szmer zachwyty na swój widok w tym drewnianym baraku, który służył tu za kościół.

Da im przykład, którego długo nie zapomną. Włożył skórzanę rękawiczki i kazał zajeżdżać. Poprzedniego dnia wyciągnięto ze stajni powóz Renville'ów i pospiesznie go wyczyszczono. Był w całkiem niezłym stanie, choć w Anglii uchodziłby za niemodny.

Przyjazd dziedzica do kościoła wzbudził powszechne zainteresowanie. Część mieszkańców Culpepper stała na zewnątrz, wymieniając ploteczki. Na widok elegancko ubranego dziedzica otworzyli szeroko oczy ze zdumienia. Renville uśmiechnął się i protekcjonalnie kiwnął głową.

Wnętrze kościoła wyglądało lepiej, niż się spodziewał, drewniany ołtarz ozdobiony był niesłychanie delikatnym płótnem, a naczynia liturgiczne zrobiono ze srebra.

Ojciec Vivant, w sutannie i wyświechtanej komży, podbiegł do niego i poprowadził go do specjalnie przygotowanego krzesła. Dobrze, że przynajmniej nie oczekiwali, iż na stojąco przeczeka wszystkie te czary-mary. Renville podniósł połę surduta, żeby nie pognieść aksamitu, poprawił koronki przy mankietach i żabocie i usiadł ze znudzonym wyrazem twarzy.

Wierni powoli się schodzili, dziedzic obserwował ich ze zmarszczonym czołem. Jedni klękali i żegnali się, inni stawali zrezyg-

nowani za prymitywnymi drewnianymi ławkami. Prawie wszyscy mieli na sobie ubrania w kolorze brudnego brązu, wyblakłej szarości lub mdłej zieleni, połatane, często brudne i wystrzępione. Czasem spodnie, najwyraźniej poprzednio noszone przez kogoś większego, podtrzymywał stary sznurek. Większość ludzi była boso, niektórzy mieli kawałki skóry przywiązane do stóp rzemykami. Szale, którymi katolickie kobiety nakrywały głowę, wchodząc do kościoła, były dziurawe.

Renville skrzywił się z irytacją. Jeszcze nigdy w życiu nie widział tak obdartej, zabiedzonej grupy ludzi. W pewnej chwili jego wzrok padł na Bucka Barretta, który wraz z rodziną przeciskał się przez tłum, aby stanąć po drugiej stronie kościoła. Treasure, podobnie jak jej matka, miała na sobie zniszczoną niebieską suknię i fartuch. Jej bracia nosili wytarte, wielokrotnie naprawiane bryczesy i chodaki. Ich ubranie bardziej nadawało się do pracy w polu niż do kościoła.

Zebrani z ciekawością przyglądali się elegancko ubranemu dziedzicowi i ze smutkiem spoglądali na swe łąchy.

Renville, patrząc na swoje koronki, brokaty, aksamity i złocenia, poczuł przypływ gniewu. Chciał dać im przykład, pokazać, jak nosi się prawdziwy dżentelmen, tymczasem ich bezgraniczny podziw dla czegoś, czego zapewne nigdy nie widzieli, wprowił go w złość. Jak ci obdarci, zapuszczeni wieśniacy śmieli wpatrywać się w niego przygnębionym wzrokiem, sprawiając, że zaczął się czuć nieswojo...?! Jakby ich bieda go oskarżała.

Renville zerwał się na nogi, zamierzając wyjść, ale tłum wokół niego całkowicie mu to uniemożliwił. Mógłby coś powiedzieć, kazać zrobić przejście, gdy jednak chrząknął, ludzie kompletnie go zignorowali, a nawet rzucali mu karcące spojrzenia, gdyż ojciec Vivant zaczął już odprawiać mszę.

Renville'owi nie zostało nic innego, jak wrócić na swoje miejsce, tymczasem okazało się, że na jego krzesło usiadła stara kobieta z łaską, która teraz spojrzała na niego z wdzięcznością.

Kiedy odwrócił się do przodu, zobaczył, że Treasure przygląda mu się z uśmiechem, ale kiedy się zaczerwienił, natychmiast odwróciła wzrok i zagłębiła się w łacińskich tekstach.

Litania zaintonowana przez ojca Vivanta miała dość przy-

gnębiający tekst, następne jednak nie różniły się zbyt od tych, których Renville uczył się w kościele protestanckim jako chłopiec. Wyjątki z Pisma Świętego zostały odczytane najpierw po łacinie, a potem po angielsku. Pierwsze czytanie mówiło o głupim bogaczu, który zburzył stajnie, aby zbudować jeszcze okazalsze, po czym umarł, nie zdążywszy się nimi nacieszyć. Kilka osób spojrzało na niego i Renville zeszywniał z gniewu.

Więcej spojrzeń, tym razem niechętnych, przyniosło drugie czytanie, które nawoływało do odrzucenia ziemskich bogactw, podatnych na zniszczenie i kradzież.

Zaraz po czytaniu ksiądz przeszedł do modlitw, najpierw po łacinie, później po angielsku, i znów Renville odnosił wrażenie, iż były wymierzone przeciw niemu, gdyż mówiły o chciwości i zabieraniu resztek biedakom. Następnie ojciec Vivant w szczegółach opowiedział o okropnych zbiorach z zeszłego roku, niewątpliwie po to, aby odświeżyć boską pamięć. Rozwodził się nad biedą mieszkańców i ich niesłychaną dzielnością i wiarą w obliczu nieszczęścia. Potem przyszedł czas na modlitwy za biedaków, którzy codziennie szli spać głodni, zwłaszcza małe dzieci...

Renville znosił to wszystko z najwyższym trudem, przeklinając w duchu swoją obecność w kościele i fakt, iż tak bardzo odróżniał się od pozostałych wiernych swoją elegancją i rzucającym się w oczy bogactwem.

Treasure obserwowała dziedzica spod oka, sprawdzając, jakie wrażenie zrobiło na nim zgromadzenie wiernych. Miała nadzieję, że jej plan się powiedzie, gdy nakazała wszystkim mieszkańcom włożyć jak najgorsze ubrania, aby przekonać Renville'a, iż nie ma co liczyć na jakieś poważne pieniądze czy dobra. Tym akurat pomysłem nie podzieliła się z ojcem Vivantem, gdy mu powiedziała, aby zaprosił dziedzica na mszę. Z pewnością byłby przeciwny wykorzystywaniu świętej ofiary w taki świecki i trochę nieuczciwy sposób.

Tymczasem ojciec Vivant dodał trochę modlitw za nędzarzy od siebie i wściekły Renville, pod ostrzałem nieprzyjaznych spojrzeń, stał pośrodku kościoła jak próżny, głupi kogut, któremu powoli wypadały pióra z ogona.

Na szczęście tak się rozgniewał tą sytuacją, iż nie przyszło mu

do głowy, że widział już mieszkańców Cułpepper, choćby Barretów, lepiej ubranych. Rozglądając się wokół, poczuł nagły wyrzut sumienia. Przypuszczalnie jego ojciec wpakował tu całą swoją fortunę właśnie ze względu na tę niesłychaną biedę z nędzą. Jednocześnie zdał sobie sprawę, że ten mały księżulo po to właśnie go tu sprowadził, i postanowił, iż ani na jotę nie zmieni swego planu odebrania, czego tylko się da, od tych nieszczęśników w tej zapomnianej przez Boga krainie.

Szare oczy spotkały się z fiołkowymi i kąciki ust Treasure podniosły się w górę w tym samym stopniu, co Renville'a opadły w dół. W jej wzroku zobaczył rozbawienie i lekką pogardę.

6

Następnego ranka Sterling Renville z ponurą zaciętością skierował się do chaty starej Klary Hubbard, aby zacząć odbieranie długów. Nie było to zajęcie godne dżentelmena, ale nie dowierzał nikomu na tyle, aby mu zlecić wykonanie zadania. Ubrał się tym razem raczej spokojnie, zadowolony, iż nikt z londyńskich znajomych nie może zobaczyć, jak wygląda jego fortuna odziedziczona w koloniach.

Wraz z dwoma stajennymi zajechał przed domek Klary, nim jeszcze obeschła rosa.

Biedna stara kobieta otworzyła drzwi na jego energiczne i natrętne stukanie. Miała czerwone oczy i pobladłą twarz.

- Ach, to pan dziedzic! - wykrzyknęła, potykając się w progu i padając mu niemal w ramiona. Fartuchem ocierała załzawione oczy. - To straszne, panie dziedzicu. - Klara uczepiła się jego rękawa.

- Opanuj się, kobieto! - Renville cofnął się o krok.

- Moja noga, panie dziedzicu, prawie nie mogę chodzić. A moje kokoszki... - Klara zajrzała mu w oczy i pokręciła głową. - Chodźmy, sam pan zobaczy.

Zacisnęła mocniej dłoń na jego ręce i na wpół się na nim opierając, na wpół go ciągnąc, zaprowadziła do małego ogródka otoczonego wysokimi, jasnymi dębami i zdziczałymi orzechami.

- Tam. - Przystanęła i wyciągnęła przed siebie wykręcony palec.

Renville spojrział w ślad za jej wzrokiem. Na gałęzi dębu, jakieś trzy metry nad ziemią, siedziała czerwono-brązowa kura.

- I tam. - Klara wskazała w drugą stronę. Na drzewach siedziało pełno kur. - To naprawdę okropne, panie dziedzicu - powiedziała, pociągając nosem i ocierając oczy.

- O co tu chodzi, starucho? Przyjechałem, aby zab...

- Strasznie się przejęły, gdy im powiedziałam, że pan po nie przyjedzie. Zaczekałam do wczorajszego wieczoru, aby ich wcześniej nie denerwować. Jeszcze by pogubiły pióra, a pan nie chciałby przecież gołych kur, panie dziedzicu, prawda?

- Powiedziałaś im? - powtórzył z niedowierzaniem Renville.

- Musiałam, żeby nie padły ze strachu, jak będzie je pan zabierał. Ależ hałasowały. - Klara szeroko otworzyła oczy. - Pofrunęły na najwyższe drzewa, panie dziedzicu. I nie mogę ich nijak stamtąd ściągnąć.

Renville poczerwieniał i zmrużył oczy. Klara była albo głupia, albo sprytna. Ale on nie miał zamiaru tolerować ani głupoty, ani bezczelności.

- Przyjechałem po kury i je wezmę. Półtora tuzina, tyle, ile jesteś winna.

- Nie mogę chodzić... Moja noga, panie dziedzicu...

Z grymasem złości strząsnął z siebie jej rękę i poszedł po Alfa i Hanleya. Stajenni spojrzeli na niego ze zdumieniem, gdy kazał im pościagać kury z gałęzi drzew.

- Na co czekacie? Do roboty!

- Jak niby mamy to zrobić? - mruknął niechętnie Alf.

- Musicie je postraszyć - powiedziała cicho Treasure, przyglądając się wydarzeniom z okna chaty. - A najlepiej wejdźcie na drzewa i je stamtąd pospędzajcie.

Renville nie wiedział, że kury Klary były na wpół dzikie i większość czasu spędzały wysoko na drzewach. W obronie przed lisami pozbyły się słabszych osobników i w stadzie zostały tylko te, które umiały dobrze fruwać i szybko biegać. Dzieci w Culpepper szybko się przekonały, że kradzież kur nie jest sprawą prostą i zwykły ptak potrafi przechytrzyć człowieka, ale Renville najwyraźniej miał tę lekcję jeszcze przed sobą.

Treasure zatarła ręce. Jej plany zaczynały przynosić rezultaty.

Alf podniósł jakiś patyk i rzucił nim w kurę, siedzącą nad jego głową. Ptak zagdakał, zamachał skrzydłami i przefrunął na wyższą

gałąź. Klara jęknęła i rzuciła się na Renville, błagając go, aby darował życie jej „biednym kokoszkom”. Renville z zaciśniętymi zębami kazał swym pomocnikom wejść na drzewa i zabrać kury.

- Okaleczone czy zdechłe na nic mi się nie przydadzą - warknął.

Niebawem Treasure była świadkiem cudownego widowiska - Alf i Hanley bez powodzenia usiłowali wspiać się na drzewa, a kury i tak im umykały. Robiło się coraz goręcej.

Wreszcie Renville nie mógł tego dłużej znieść. Odłożył książkę z rachunkami i rzucił się w pościg za kurą, usiłując pogonić ją na Hanleya, ten jednak okazał się fałtłapą. Rozwścieczony dziedzic sam postanowił złapać ptaka, niestety, w garści zostały mu zaledwie dwa piórka. Alfi Hanley przystanęli, ciężko dysząc, i ze zdumieniem przyglądali się, jak dziedzic Renville ugania się za kurą.

Po godzinie udało im się złapać dwie nioski, co stanowiło jedynie jedną dziewiątą część długu. Klara rozpoczęła na głos, wyrzekając, iż zrujnowali jej ogród i że w zimie przyjdzie jej niechybnie umrzeć z głodu.

- Ach, panie dziedzicu... - zaczęła z ręką na sercu, ale w tej chwili zza chaty wyłoniła się Treasure Barrett, udając, że dopiero co przyszła.

- Wszystko w porządku, Klaro? - spytała, biorąc starą kobietę za rękę.

- Zabrał moje kokoszki, Treasure. - Klara pociągnęła nosem i Treasure poklepała ją uspokajająco po ramieniu.

- Co ty tu robisz?! - wykrzyknął Renville.

- Dziedzic ma pewne... prawa- wyjaśniła Treasure Klarze, ignorując Renville'a. - Tłumaczyłam to pani, prawda?

Klara przytaknęła jak małe dziecko, a Treasure zwróciła się do Renville'a.

- Czy ma pan zamiar ją stąd wyrzucić?

- To nie twój interes, dziewko - warknął Renville, nie mogąc oderwać oczu od jej ciemnych, gęstych włosów lśniących w słońcu. Stała przed nim, chłodna i spokojna, w upokarzający sposób atakując jego rozgrzane zmysły.

- To, czy tu zostanie, czy nie, nie ma dla mnie znaczenia - odparł, rzucając jej znaczące spojrzenie. - Więksi dłużnicy są dla mnie ważniejsi.

- Toja... mogę zostać? Chwała Bogu! - Stara Klara postanowiła zagrać swoją rolę do końca i teraz podbiegła do dziedzica, chwytając go za ręce, mimo jego wyraźnej niechęci. - A papier, panie dziedzicu?

Spojrzał na nią z niesmakiem, a potem zwrócił wzrok na Treasure. Na jej twarzy malowała się wyraźna niechęć.

Wyjął ze słomy na wózku książkę, w której odszukał kawałek pergaminu i wetknął go w rękę Klary. Po chwili odjechali wszyscy trzej - Renville na swym wierzchowcu, Alf i Hanley na wózku. Kiedy znikli im z oczu, Klara objęła Treasure i wybuchnęła głośnym śmiechem.

Tego samego popołudnia Renville zjawił się na świńskiej fermie Riccardów. Wcześniej umył się i przebrał w czyste ubranie. Powolna podróż wyboistą drogą, w gorącym słońcu, wzmocniła jego przekonanie i gdy stanął przed drobnym, ciemnookim Henrim Riccardem, był człowiekiem, z którym nie należało zadzierać.

- Najpierw zwierzęta - powiedział ostro, przyglądając się fermie, stajni i wędzarni, którym z pewnością przydałaby się warstwa białej farby. - Masz tu stado koni i świń, potomstwo knura...

Henri zacisnął usta, podniósł do góry brodę i stoicko kiwnął głową.

- Tędy, panie dziedzicu - powiedział, prowadząc do zagrody. Za nimi ruszyła gromadka młodych Riccardów.

Już po chwili Renville miał przed sobą cztery ospałe świnie.

- To są cztery młode świnie - powiedział Renville. - Cztery świnie to jeszcze nie jest stado.

- To prawda. - Riccard wzruszył ramionami. - Mieliśmy kiepski rok. Zwierzęta chorowały...

- To mnie nie interesuje. - Renville zwrócił się do Alfa i Hanleya:

- Postawcie je na nogi i zabierzcie stąd - rozkazał i spojrzał ostro na Riccarda i jego dzieci.

Zauważył, że nikt z nich nie patrzy mu prosto w oczy. Dla podejrzliwego dziedzica oznaczało to tylko jedno - mieli coś do ukrycia.

- Gdzie jest reszta stada, Riccard?
- To są wszystkie moje świny, panie dziedzicu.
- Naprawdę? - Renville uśmiechnął się zimno i wezwał stajen-
nych. - Przeszukajcie cały teren. Tu musi być więcej świń.

Kiedy Alf i Hanley przestali poszturchiwać dziwnie ospałe
świny i odwrócili się w jego stronę, Renville spojrzął na nich ze
złością.

- Chyba nie muszę pokazywać palcem? Przeszukajcie zagrody,
stajnie, komórki... I skraj lasu.

Wzruszyli ramionami i zaczęli przeszukiwać okolicę. Gdy
zbliżyli się do skromnego, trzyizbowego domku, Henri zaczął
nervowo załamywać dłonie. Niebawem Hanley krzyknął trium-
falnie i Renville popędził na drugą stronę domu. W dziurze
wygrzebanej w ziemi leżała ogromna, czarno-biała maciora, po-
grążona w drzemce.

- Mówiłeś, że nie ma więcej świń.

- Och, Madame Pompadour nie jest zwykłą swinia, panie
dziedzicu. To maciora, matka mojego nieszczęsnego stada.

- Madame Pompadour? - Renville prychnął niedowierzająco. -
Nazywasz swoje świny imionami królewskich kochanek? To
bardzo... osobliwe.

- To ona była kochanką? - spytał autentycznie zdumiony
Henri. - Nie królową? Przecież Treasure mówiła, że ona była
ulubienicą wielkiego Ludwika, Króla Słońce.

- Mam wrażenie, że chodzi ci o madame Meintenon. Ona była
królewską faworytą, choć z pewnością nie królową. Mimo że
mieszkała w pałacu i urodziła mu dzieci... - Przerwał, gdy zdał
sobie sprawę, że stoi przy świńskiej zagrodzie i wyjaśnia prostemu
wieśniakowi zawiłości miłostek francuskiego króla. Z drugiej
strony chciał skończyć i poprawić nieścistości tej dziewczyny. -
Madame de Pompadour jest aktualną królewską faworytą. Nie
możecie wierzyć we wszystko, co wam opowiada ta dziewczka
Barrettów - dodał gwałtownie. - To oszustka.

Spojrzął na maciorę i oczyma wyobraźni zobaczył pieniądze,
które mógł dzięki niej odzyskać.

- Ta świna też jest moja, Riccard. A teraz, co do zboża...

Treasure stała w oknie nad nimi, z Marie Riccard, i choć nie

słyszała słów Renville'a, widziała jego zadowolenie. Pozwolili mu „znaleźć” maciorę i, tak jak przypuszczała, nie szukał dalej. Henri faktycznie nie miał w tej chwili innych świń, ale za sześć tygodni, gdy zboże dojrzeje, będzie mógł zwabić z powrotem całe stado, które spędziło wiosnę i lato w pobliskim lesie, żywiąc się korzeniami i żołądziami. Była to zwykła praktyka tutejszych farmerów, ale dżentelmen z Londynu nie miał o niej pojęcia.

Alf i Hanley mieli zmusić świnie do przejścia do wozu, tymczasem Renville wrócił do długi nasion kukurydzy i koni. Riccard pokazał mu pole z rosnącą wysoką kukurydzą.

- Oto pana ziarno, panie dziedzicu - powiedział. - Nie wiedziałem, że zażąda pan zwrotu, więc wsadziłem je w ziemię. Ale niebawem będzie je pan mógł odebrać. - Kiwnął na gromadkę dzieci, które natychmiast zabrały się do obdzierania zielonych liści. Renville z niechęcią spojrział na stertę niedojrzałych kolb u swych stóp.

- To idiotyzm, Riccard. Chcę ziarno, a nie... - Nawet nie wiedział, jak nazwać te drobne, mleczne kolby. - ...paszę.

- To wszystko, co mam, panie dziedzicu. - Henri wzniosł ręce do nieba. - Może pan szukać, jeśli pan chce...

Renville przez dłuższą chwilę przyglądał mu się z wściekłością. Najchętniej pokazałby mu, gdzie raki zimują- gdyby nie był dżentelmenem i gdyby Riccard nie był o tyle od niego niższy.

- Odbiorę sobie wszystko, co mi jesteście winien, Riccard - powiedział, stukając palcem w pierś farmera. - Po żniwach. A teraz wyrzuć te dzieciaki z pola, nim zniszczą całą kukurydzę.

- Ależ, panie dziedzicu, nie będzie komu zbierać. Nie mam pieniędzy na zapłacenie dzierżawy, a pan powiedział, że jak nie zapłacimy, to nas pan stąd wyrzuci.

Renville poczerwieniał.

- Możecie zostać. Dopóki nie zbierzecie mojego ziarna.

Henri kiwnął głową i kazał dzieciom zejść z pola. Renville ruszył w stronę domu i to, co zobaczył, sprawiło, że wszystko się w nim zagotowało. Alf usiłował przetransportować cztery świnie, które za żadne skarby nie chciały wstać i ruszyć o własnych siłach, choć robiły wrażenie zdrowych. Hanley tymczasem gonił drogą za czarno-białą maciorą i zostawał coraz bardziej w tyle.

Na domiar złego, kiedy Renville się odwrócił, zobaczył Treasure Barrett, która stała na stopniu przed domem i tłumaczyła ciężarnej Marie Riccard, że powinna więcej odpoczywać. Treasure spoglądała na niego rozbawionym wzrokiem.

- Odbiera pan swoje długi, jak widzę - powiedziała, spoglądając za niknącym w oddali Hanleyem.

- Owszem. - Renville zmrużył oczy, nie tylko przed słońcem, lecz także przed pokusami, jakich zawsze doznawał na widok tej bezczelnej dziewczki. Sam nie wiedział, czemu wzbudzała w nim najniższe instynkty. Do tej pory podobały mu się jedynie eleganckie damy.

- ...opowieść, którą bardzo lubię - mówiła Treasure.

Renville wpatrywał się w jej wdzięcznie wygiętą szyję i wydatne usta.

- Był kiedyś lis, który przez długi czas ścigał tłustego, bezczelnego królika. Lis był szybki, ale królik za każdym razem mu umykał. Pewnego wieczoru lis natknął się na królika daleko od jego nory i zapędził go do dziury w kłodzie drzewa. Ponieważ chciał go zjeść, wlaź do dziury za nim i wreszcie zjadł swoją ofiarę. Okazało się jednak, że po uczcie nie był w stanie wyleźć z dziury i musiał tam tkwić tak długo, dopóki nie schudł i nie zgłodniał. Pytam zatem, panie dziedzicu, czy opłacało się lisowi zjeść tego tłustego, bezczelnego królika?

Błysk jej fiołkowych oczu i dumnie uniesiona broda na nowo zirytowały Renville'a. Jak ta bezczelna pannica śmie go pouczać? Opowiadać przypowieści, niczym jakiś Ezop dla ubogich? Renville zrobił krok naprzód...

- Panie dziedzicu! - zawołał Henri, podbiegając z gromadką dzieci. - Wie pan, co sobie pomyślałem? Nie będę mógł niczego zebrać bez moich koni. - Co powiedziawszy, spojrzał na Renville'a z oczekiwaniem.

- Pożycz od sąsiadów - warknął Renville, odrywając wzrok od Treasure. - Konie są teraz moje.

- Ale ja je miałem od tak dawna - nie dawał za wygraną Henri. - Znają wielkość mojego pola i długość moich kroków.

Renville zamierzał mu ostro odpowiedzieć, gdy Henri dodał:

- Może bym je od pana wypożyczył?

- Wypożyczył? - powtórzył Renville. - Za co?
- Marie... Pieniądze.

Marie spojrzała na niego ze zdziwieniem, ale posłusznie poszła do domu i wróciła z małą skórzaną sakiewką, którą podała mężowi. Henri z dumnie wypiętą piersią rozwiązał rzemyk.

Twarz Renville'a jeszcze bardziej poczerwieniała z gniewu. A więc wieśniacy chcieli go oszukać. A teraz, w sytuacji podbramkowej, okazało się, że jednak mają pieniądze.

Wyciągnął bez słowa wielką dłoń i Henri ostentacyjnie opróżnił sakiewkę. Dziedzic zamrugał na widok dwóch miedziaków. W sakiewce nic więcej nie było. Zesztywniał, czując na sobie oskarżycielski wzrok Treasure.

- Czy to wystarczy? - spytał dumnie Henri.
- Wystarczy! - krzyknął Renville, odwrócił się na pięcie i podszedł do swego francuskiego wierzchowca. Schował księgę do torby przy siodle i wskoczył na konia.

- *Le papier*! - zawołał Henri i podbiegł do konia. Renville, bliski apopleksji, wyciągnął z torby kawałki pergaminu podpisane zakreconym świńskim ogonem, rzucił je na ziemię i dźgnął konia ostrogą.

Alf skończył ładować świnię na wózek i ruszył za nim wyboistą drogą między drzewami. Duma Sterlinga Renville'a została wystawiona na ciężką próbę. Niewiele zyskał przy pierwszych próbach odzyskania długów, ale poprzysiągł sobie w duchu, że im wszystkim jeszcze pokaże.

Następny ranek przyniósł więcej szczęścia. Pojechał z wozem i dwoma stajennymi do Collina i Naomi Dewlapów po ich doskonały ser. Kiedy ser odjechał już do Renville House, Collin zabrał dziedzica na miejsce, gdzie ścięto ogromny stary dąb. Drzewo leżało przy strumieniu, który dzielił ziemię Collina od tej, co była własnością Renville'a. Przy okazji Dewlap wyjaśnił, że drewno i myślistwo były jego jedynymi źródłami dochodu w zimie i jedyną możliwością otrzymania gotówki.

W pobliżu stał już stos desek, co razem ze ściętym dębem, poddawany na bieżąco obróbce, wystarczało zupełnie na spłatę długu Dewlapów.

Wrócili przez zagajnik starych orzechów i wiśni, które, jak

z zazdrością w głosie podkreślił Dewlap, rosły na ziemi należącej do dziedzica. Później Dewlapowie z dumą pokazali Renville'owi swoje mleczne krowy i na koniec zaprosili go do chłodnego wnętrza domu na odświeżającą herbatę z melisy.

Renville, bardzo zadowolony z takiego obrotu spraw, wskoczył właśnie na konia i nie zdążył nawet wyjechać z podwórka, gdy spostrzegł Treasure Barrett. Dziewczyna siedziała na murku, otaczającym kuchenny ogród Naomi Dewlap, machała bosymi nogami i przypatrywała mu się z wyraźną niechęcią w fiołkowych oczach.

Renville popędził konia i dopiero kiedy odjechał dobry kilometr, zdał sobie sprawę, iż jest cały spięty i zdenerwowany jej niespodziewaną obecnością. Jednocześnie zorientował się, że Treasure pojawiała się zawsze tam, gdzie on przyjeżdżał odebrać długi. Dewlapowie nie potrzebowali usług uzdrowicielki, co zatem ona tu robiła? Jeździła za nim po całej okolicy? Wbrew wszystkiemu, ta myśl sprawiła mu nieoczekiwaną przyjemność.

Po południu wybrał się na biedną fermę Gilcrestów. Tu, niestety, nie mógł się spodziewać takich rezultatów jak u Dewlapów. Miał odebrać krowę i trochę siana. Zastał Barta i Tilly Gilcrestów nad jedyną krową, która leżała na wiązce świeżej słomy, straszliwie ubłocona i wyraźnie słaba, gdyż nie mogła wstać na nogi.

- Znalazłem ją w bagnie - wyjaśnił ponuro Bart. - Nie pierwszy raz. Lubi bagno, bo tam jest chłodno. Ale tym razem coś tam zjadła. Te rośliny na bagnie... Połowa z nich jest trująca.

Renville przyjrzał się krowie chłodnym wzrokiem, odsunął się szybko i przypadkiem spostrzegł starą krowę przywiązaną nieopodal. Nie można jej było nawet porównać z brązową krową, ale przynajmniej stała na własnych nogach.

- Jest chora, co? - usłyszał nagle głos Treasure.

- Dzięki Bogu, że przyszedłeś, Treasure - powiedziała Tilly Gilcrest. - Była na bagnach... coś zjadła. Możesz nam pomóc? Strasznie cierpi...

Tilly miała łzy w oczach.

Treasure wzięła ją za rękę i spojrzała poważnym wzrokiem na Gilcrestów.

- Zobaczę, co się da zrobić. Ale tak czy owak ją stracie.

Spojrzała z niesmakiem na Renville'a, podeszła do krowy i uklękła przy jej łbie. Pogładziła kark zwierzęcia, zajrzała do oczu i do pyska. Po chwili pochyliła się, żeby posłuchać oddechu.

Renville obserwował jej pewne, szybkie ruchy i zastanawiał się, skąd się bierze jego fascynacja tą wiejską dziewczką.

Tymczasem Treasure wyprostowała się i zmarszczyła czoło.

- Muszę zobaczyć, gdzie była, Bart, i sprawdzić, co tam rośnie. Z całą pewnością zjadła coś trującego i teraz ledwie dyszy.

Dziwny dreszcz przeszył ją zniecacka i instynktownie spojrzała w stronę Renville'a. Stał w półcieniu, oświetlony słońcem z tyłu. Jego ciemnoblond włosy błyszcząły jak złote nitki, kształtne usta były lekko rozchylone, a srebrnoszare oczy załśniły zainteresowaniem, które Treasure aż za dobrze poznała podczas ich spotkań w bibliotece.

- ...pokazać ci? - Bart dziwnie jej się przyglądał; po chwili spojrzał podejrzliwie na Renville'a. - Dziedzic chce wiedzieć, czy dostanie swoją krowę z powrotem, czy nie.

Treasure gwałtownie powróciła do rzeczywistości i poczerwieniała. Co też jej przyszło do głowy, żeby tak się w niego wpatrywać?!

- Posłuchaj, Gilcrest, wezmę w zamian tę drugą krowę.

- Ale panie dziedzicu...

- Bez gadania, Gilcrest - warknął, zaniepokojony, że jego ciało tak łatwo zareagowało na widok Treasure i pozbawiło go niezbędnej koncentracji. - Chyba nie sądzisz, że zaryzykuję z chorym zwierzęciem, kiedy w dodatku ta dziewczka wyczynia nad nim jakieś czary. Wolałbym krowę uśmiercić, niż oddać w jej ręce - dodał, spoglądając na nią z góry.

Treasure zacisnęła pięści i z najwyższym trudem powstrzymała się, aby się na niego nie rzucić, ale już w następnej sekundzie z zadowoleniem pomyślała, iż przynajmniej otrząsnęła się ze swego transu i znów pamięta, z kim ma do czynienia.

Po chwili odeszła z synem Gilcresta, który poprowadził ją na bagna, aby pokazać miejsce, gdzie tkwiła krowa, a Renville poszedł z Bartem, żeby obejrzyć nowy zbiór siana. Nie było go wprawdzie zbyt wiele, ale kazał Alfowi i Hanleyowi załadować je na wózek. Oddał papier z długami znekąnym Gilcrestom i z ulgą odjechał do Renville House.

Minęły dwa kolejne dni, młody dziedzic odwiedził cztery następne fermy, zabierając z nich żałosne resztki siana, niewyrośniętego tytoniu, byle jakich zwierząt. Zawsze przy takich okazjach zjawiała się Treasure Barret, częstując go złośliwymi komentarzami w bezbłędnej łacinie.

Z jednej strony Renville chętnie wyruszał każdego ranka odbierać długi, gdyż w ten sposób przybliżał termin swego wyjazdu, z drugiej - stale prześladował go uśmiech Treasure i jej niesamowite oczy. Poprzysiągł sobie, że i od niej weźmie, co mu się będzie należało.

Tymczasem poczynił przygotowania, aby sprzedać to, co udało mu się odzyskać, pewnemu kupcowi z Baltimore. Kupiec miał co tydzień przysyłać pośrednika, który zabierałby towary i przekazywał ustaloną wcześniej zapłatę. Tego wieczoru, gdy pośrednik miał się zjawić po raz pierwszy, pani Treacle weszła pośpiesznie do biblioteki, gdzie Renville popijał „kolonialną” brandy, i poprosiła, aby poszedł za nią do schowka, w którym przechowywano ser od Dewlapów.

- Fuj! - wykrzyknął Renville, gdy weszli do niskiego, kamiennego budynku.

W nozdrza uderzył go potworny smród. Dziedzic przytknął do nosa elegancką chusteczkę, sięgnął po jeden z serów i wyniósł go na dwór. Pani Treacle zatrasnęła drewniane drzwi i oparła się o nie, wdychając czyste, świeże powietrze. Renville kazał podać sobie nóż i z najwyższym trudem - ze względu na straszny zapach - zdołał przeciąć białą, zasoloną skorupkę. W jasnożółtym miąższu były płynne warstwy.

- Popsuł się - stwierdziła pani Treacle, która zaglądała mu przez ramię, zatykając nos.

- Cały taki jest?

- Sądząc po zapachu, chyba tak, panie dziedzicu. Ale może uda się coś uratować. Miejmy nadzieję, że się nie przeniosło na wędzone mięsa i nasze własne sery. Masło przypuszczalnie trzeba będzie wyrzucić, zawsze okropnie szybko przechodzi zapachami.

- Dlaczego ser się popsuł?

- Trudno powiedzieć, panie dziedzicu. Jakiś zły składnik albo

za długie ogrzewanie. To się zdarza. Choć zazwyczaj nie Dew-lapom. Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

- Co takiego?

- Zawołać tu Treasure.

- Treasure Barrett? A cóż ona, do diabła, ma z tym wspólnego?!

- Jest myślicielką - odparła z godnością pani Treacle, którą okrzyk dziedzica zdeprymował i lekko przestraszył. - Jest naszą myślicielką.

- Raczej czarownicą.

- Nie, panie dziedzicu, myślicielką. Ludzie posyłają po nią, kiedy mają jakiś problem, a ona nad nim myśli i znajduje rozwiązanie. Ma tutaj największe wykształcenie. Dziedzic, pański ojciec, sam tak mówił. Nie ma nic, czego Treasure Barrett by nie wiedziała albo nie umiała wymyślić - przekonywała z zapałem pani Treacle. - I zna się na serach - powiedziała. - Colin i Naomi często prosili ją o pomoc, gdy coś im się nie udawało... albo udawało - dodała szybko. - To ona poradziła, co robić, aby tutejsze sery były podobne w smaku do angielskich. Zatem jeśli chce pan wiedzieć, dlaczego ten ser się popsuł, trzeba posłać po Treasure. Ona się zna na serach.

- I na chorych krowach, na wrzodach, łacińskich przysłowiacz i bajkach Ezopa. Ale za to nie ma pojęcia o kochankach francuskiego króla... - Urwał, nie chcąc się zapędzać w bezsensowną tyradę.

- Zna się na wszystkim, co było w książkach starego pana dziedzica oraz na indiańskiej medycynie, a poza tym uczył ją też ojciec Vivant. Zna się na hodowli, na wynalazkach, na urodzinach i na śmierci. To ona dała panu ojcu ostatnie namaszczenie, kiedy ojciec Vivant był u biskupa.

- Co zrobiła? - zapytał z wściekłością Renville.

- Dała panu ojcu...

- Słyszałem, co powiedziałaś. A więc wtrąca się jeszcze do religii, narażając duszę dobrego człowieka?

- To nie jest wtrącanie! - wykrzyknęła z pasją pani Treacle, zapominając, że rozmawia ze swym dziedzicem. - Treasure wie wszystko, co trzeba, żeby spełniać takie poważne obowiązki... Pomaga protestantom i katolikom, kiedy ojciec Vivant wyjeżdża...

On sam to popiera. Treasure kochała starego pana dziedzica jak własnego ojca. Nikt go tak nie kochał. Żałowała go bardziej niż jego własna rodzina!

Zapanowała cisza. Pani Treacle, przerażona własną zuchwałością, położyła dłoń na ustach, oczekując surowej kary fizycznej. Tymczasem Renville doszedł do wniosku, iż byłoby to poniżej jego godności, nie miał zamiaru zniżyć się nawet do dyskusji ze zwykłą gospodynią. Odsunął się na dwa kroki i powiedział przez zaciśnięte zęby:

- Proszę natychmiast uprzątnąć cały ten śmierdzący bałagan. I proszę więcej, w mojej obecności, nie wspominać imienia tej dziewczki. Zrozumiałaś?

7

Renville zostawił panią Treacle i pomaszerował wprost do domu, do biblioteki, gdzie spodziewał się znaleźć chłód i spokój. Bezwiednie naśladował w tym swego ojca. Rzucił się na skórzany fotel za solidnym biurkiem z wiśniowego drzewa i sięgnął po karafkę z brandy, którą stary Bailey uzupełniał każdego dnia.

Sprawy nie przebiegały zgodnie z planem. Krowy, które udało mu się odzyskać, były stare i żylaste. Kiedy przyjedzie pośrednik kupca, będzie musiał sprzedać mu własne stado, aby uniknąć wstydu. Siano pełne było chwastów, a poza tym, jak mu powiedziała jego własny nadzorca, zebrano je, gdy było mokre i wszystko zaczynało gnić. Suchy tytoń należał najwyżej do trzeciej klasy jakości, a kur i świń było zbyt mało, aby w ogóle brać je pod uwagę. Większość zbiorów nadal tkwiła na polach i nie udało mu się z własnej ziemi wyrzucić ani jednego wieśniaka.

Doskonały ser Dewlapów i ich drewno należały dotychczas do jedynych wartościowych rzeczy. A teraz ten cholerny ser się popsuł, a drewno zapewne okaże się zjedzone przez termity. Jak można to wszystko znieść w jakim takim spokoju? Z ponurym wyrazem twarzy wypił jednym haustem resztę brandy z kieliszka.

W ciągu ostatnich czterech dni wciąż odnosił wrażenie, że rzeczy wyglądają inaczej, niż mu się na pierwszy rzut oka wydawało i że ktoś nieustannie robi sobie z niego żarty. Wrażenie to wiązało się ze stałą obecnością Treasure Barrett i jej kpiącym spojrzeniem. Miał dość zarówno jej samej, jak i jej drwiących, łacińskich przypowieści. A najbardziej nie mógł znieść tego, że jej zuchwała

twarz z zadartym nosem i fiołkowymi oczami na stałe zagościła w jego myślach i wyobraźni.

Miejscowi ludzie posyłali po nią jak po szamana, gdy mieli jakiś problem... Podobno znała się na wszystkim... A teraz śmieli jeszcze proponować, żeby i on skorzystał z jej wiedzy!

Renville spojrzął na rzędy książek w bibliotece i znów poczuł ogarniającą go złość. Te książki nagle nabrały zupełnie nowego znaczenia. Podobno przeczytała wszystkie, była myślicielką i zjawiała się wszędzie tam, gdzie on. To znaczy, że posyłano po nią, żeby rozwiązała kolejny problem. A tym problemem za każdym razem był on sam!

Odstawił gwałtownie kieliszek, podszedł do półek i obrzucił je uważnym spojrzeniem. Martin Luter, św. Tomasz z Akwinu, Pliniusz, Jonh Locke, Arystoteles, Homer, św. Augustyn, Wergiliusz, specjalista od rolnictwa Didymus Mountain... Wielki Boże! Stał jak sparaliżowany, wpatrując się w skumulowaną wiedzę wielu wieków, i zimny dreszcz przeszedł mu po plecach.

Natychmiast jednak doszedł do głosu wrodzony sceptycyzm. Jaka kobieta byłaby zdolna przeczytać to wszystko i zrozumieć? Kopernik, Ptolomeusz i Izaak Newton?

Z drugiej strony, jeśli była tak sprytna, jak sama twierdziła i wszyscy wierzyli, prawdopodobnie potrafiła skutecznie przeszkadzać mu w odzyskiwaniu długów. Zwłaszcza gdy tego wcale nie podejrzewał i dawał się zwodzić jej... innym atrybutom.

Treasure Barrett wykorzystywała go, chcąc jeszcze bardziej utwierdzić wieśniaków w swoich umiejętnościach. Tego nie puści jej płazem! Da jej lekcję, której ta mała dziewczka długo nie zapomni.

Sterling Renville szybkim krokiem wyszedł z domu i z wściekłością zatraskując za sobą drzwi, udał się na plac wioskowy. Postanowił, że dowie się czegoś więcej o tym genialnym umyśle Treasure Barrett, a potem zrobi coś, żeby już nigdy więcej nie mogła mu przeszkadzać.

Na placu było trochę ludzi, jedni śpieszyli gdzieś ku swemu zajęciu, inni przechadzali się nieopodal tawerny Renniera. Dwie znajome sylwetki pojawiły się w polu jego widzenia i Renville stanął im na drodze.

- Nie widzieliście Treasure Barrett? - spytał Johnny'ego Cole'a i Pierre'a Fayette'a. - Muszę się z nią natychmiast zobaczyć.

- Nie, nie widzieliśmy jej, panie dziedzicu - odparł Pierre z lekko ironicznym uśmiechem i rzucił okiem na swego towarzysza. - Jaki jest dzisiaj dzień?

- Wydaje mi się, że piątek - powiedział Johnny, marszcząc czoło i spoglądając na zachodzące słońce.

- To znaczy, że Treasure jest nad rzeką. Wszyscy wiedzą, że zawsze się kąpie we wtorki i piątki wieczorem.

- Którędy się tam idzie? - spytał Renville, nagle niezadowolony, że wszyscy znają takie szczegóły z życia dziewczyny.

- Tam, gdzie jest Treasure? - zdziwił się Johnny, wyraźnie zgorzszony.

- Tamtędy. - Pierre wskazał ręką kierunek. - Cały czas prosto, a potem, przy rozwidleniu dróg, w prawo. Na pewno pan trafi.

Renville zakreślił się na pięcie i bez słowa ruszył we wskazanym kierunku.

- Nie powinienes tego robić, Pierre - powiedział Johnny.

- Ktoś powinien to zrobić już dawno temu - prychnął Pierre. - Chodź, znów chce mi się pić - dodał, kierując się z powrotem do tawerny.

Wyprane i prawie suche ubranie Treasure leżało na ciepłych kamieniach przy brzegu rzeki, która przepływała częściowo przez dzierzawione tereny jej rodziny. Ona sama, ubrana jedynie w koszulkę na cienkich ramiączkach, dryfowała leniwie na plecach pośrodku naturalnego zakola rzeki. To był jej własny, prywatny czas, jeden z niewielu luksusów w jej tak bardzo publicznym życiu.

Po chwili przewróciła się na brzuch i popłynęła w stronę dalekiego brzegu, rozcinając wodę spokojnymi ruchami. Jednocześnie rozmyślała przy tym o swych osiągnięciach z całego tygodnia. Nowy dziedzic zachowywał się zgodnie z jej przewidywaniami. Tymczasem krowa Gilcrestów wyzdrowiała, sery u dziedzica na pewno zaczęły już śmierdieć, a zabrane przez niego siano, a właściwie chwasty, przyjemnie gniło. Deski Renville'a, bo w gruncie rzeczy były to jego deski z drzew ściętych na jego terenie, wkrótce zostaną sprzedane, a żniwa owsa już się rozpoczęły. Uśmiechnęła się do siebie, gdy przypomniała sobie, jak przekonywała Renville'a, iż owies należy zbierać dopiero, gdy dojrzeje i żółknie, choć każde dziecko wiedziało, że owies zbiera się, kiedy jest jeszcze zielony.

Treasure uśmiechnęła się znów z satysfakcją i stanęła wyprostowana na piaszczystym dnie rzeki, ale natychmiast z powrotem skuliła się w wodzie. Na brzegu stał Sterling Renville, z załóżonymi rękami i wściekłym spojrzeniem, blokując jej dostęp do ubrania.

- Co pan tu robi? - spytała ze zdumieniem, zawstydzona i przestraszona, lecz już po chwili wyprostowała się. W końcu nie miała się czego bać.

- Kąpiele tutaj są najwyraźniej czymś tak niezwykłym, że cała wieś wie, gdzie cię można znaleźć. Nic dziwnego, że ci wieśniacy cuchną jak ich świnie.

Wprawdzie połowa jego znakomicie urodzonych znajomych uważała, że kąpiel raz w miesiącu to duża przesada, ale on chodził do łożka z tą czystsza połową.

- A może tylko młodzi mężczyźni znają ten twój zwyczaj?

- Wszyscy w Culpepper wiedzą, kiedy się kąpię - odparła, wyzywająco podnosząc brodę do góry. - Po to, żeby mogli mnie znaleźć, gdybym była potrzebna.

Miała wrażenie, że Renville nie spuszcza wzroku z jej piersi, i trochę zanurzyła się w wodzie.

- To musi być dla nich bardzo wygodne, skoro jesteś na ich wezwanie w dzień i w nocy - stwierdził obraźliwie. - Zwłaszcza dla męskiej części mieszkańców.

- Wiedzą, gdzie jestem, aby mogli mnie wezwać w razie jakiegoś nagłego wypadku. Jestem... Jestem ich lekarzem.

- Szamanką- rzucił ze złością.

- Pomagam im, jak potrafię.

- W rozwiązywaniu ich problemów - dokończył.

- Owszem - syknęła, przerzucając włosy do przodu. - A teraz, gdyby mógł pan stąd odejść...

Po chwili Renville odwrócił się. Treasure zrobiła krok w kierunku brzegu, lecz zatrzymała się gwałtownie, gdy Renville odszedł do kamienia, na którym leżało jej ubranie, i znów odwrócił się w jej stronę.

- Co pan robi?

Dziedzic bezceremonialnie usiadł na kamieniu, na jej niebieskiej sukni.

- Siedzę.

- Proszę odejść! - rzuciła ze złością. - Skończyłam się kąpać i muszę się ubrać.

Gdyby to był ktokolwiek inny, po prostu skoczyłaby do przodu i wzięła swoje rzeczy, nauczona jednak doświadczeniem wolała unikać bezpośredniego kontaktu z jego ciałem, emanującym dziwnym ogniem.

- Proszę, przyjdź i weź swoje ubranie - powiedział, wzruszając ramionami.

Zapadła cisza. Renville przyglądał się Treasure z uczuciem rozczarowania na widok koszuli, która na wpeł zasłaniała piersi unoszące się szybkim oddechem.

- Czego pan chce? - spytała, rzucając mu podejrzliwe spojrzenie.

- Żebyś mi odpowiedziała na parę pytań. - Zmrużył oczy, aby ukryć gniew. - Chcę się dowiedzieć czegoś bliżej o tobie i o moim ojcu.

W gruncie rzeczy chciał, aby jak najdłużej pozostawała w wodzie i zmarszczyła się jak śliwka, a kiedy w końcu wyjdzie... Oparł łokcie na kolanach i przyglądał się jej natrętnie.

- I chciałbym wiedzieć, dlaczego nazywają cię "myślicielką".

- Myślicielką? - Dlaczego o to pytałeś? Szóstym zmysłem wyczuła niebezpieczeństwo. - Pan dziedzic i ojciec Vivant zajęli się mną, gdy byłam małą dziewczynką. Stwierdzili, że miałam zdolności do nauki. Potem dziedzic pożyczał mi książki i omawiał ze mną najważniejsze rzeczy z tego, co przeczytałam. Pana ojciec uczył mnie historii naturalnej, filozofii, rolnictwa, teologii i łaciny. I trochę greki. Był moim nauczycielem i drogim przyjacielem.

- Jak drogim? Grzałaś mu łóżko?

- Nie! - odparła Treasure z niesmakiem.

Najwyraźniej Renville więcej miał wspólnego z najprostszymi wieśniakami, niż sądził. Wszyscy myśleli tylko o jednym.

- Nie był taki. Był dla mnie jak ojciec. Dla mnie i wielu innych ludzi z Culpepper. To dziwne - dodała po krótkiej chwili. - Nigdy w naszych rozmowach nie wspomniał, że ma syna.

Renville zeszywniał.

- Nic dziwnego, skoro porzucił swoją rodzinę. I przepuścił rodzinny majątek tutaj, w tej ponurej dziurze.

- A pan chce to odzyskać?

- Tak - potwierdził stanowczo.

- Za wszelką cenę.

- Tak.

- I robi pan to nie tylko po to, aby zdobyć pieniądze, ale żeby nawet po śmierci dokuczyć ojcu - rzuciła, pewna, iż ma rację.

- To nie twoja sprawa, dziewczko - warknął zdenerwowany takim obrotem sprawy. - Zauważyłem, że kręcisz się zawsze tam, gdzie przychodzę po swoje długi. Ciekawe, dlaczego cię to interesuje. A może masz jakiś prywatny interes w śledzeniu mnie?

Treasure zeszywniała. A więc wiedział, wszystkiego się domyślał. No, może nie wszystkiego, ale podejrzewał, że pomagała ludziom w obronie ich dobytku.

- Może chciałabyś dokończyć to, co dwukrotnie zaczynaliśmy w bibliotece? Nie musisz długa mnie prosić. Na ogół wolę bardziej wyrafinowane kobiece wdzięki, ale przynajmniej nie śmierzisz, a w takiej dzikiej okolicy czasem trzeba się zniżyć do prostszych uciech...

- Ty wstrętna, obrzydliwa gnido...

- Ohoho. Ktoś tak wykształcony jak ty powinien się bardziej elegancko wyrażać. Może powiesz coś po grecku...

- Jest pan aroganckim i bezczelnym człowiekiem, panie Renville. I zasługuje pan na...

Jej ostatnie słowa zagłuszył trzask gałęzi. Na brzegu pojawili się nagle młodzi mężczyźni. Renville odwrócił się ze złością, a Treasure skuliła się w wodzie.

- Proszę, proszę, co my tu mamy - powiedział Pierre Fayette.

Za nim stał Johnny Cole i jeszcze trzech inni mieszkańcy Culpepper. Pożądliwie wpatrywali się w odkryte ramiona Treasure i porozumiewawczym spojrzeniem obrzucili Renville'a, siedzącego na jej sukni.

- Cholera, Pierre, miałeś rację. - Rudy Eddie Clayton roześmiał się nerwowo. - Dziedzic tu jest.

- A wy co tu robicie? - spytała ze złością Treasure, rzucając im groźne spojrzenie.

- Powiedzieliśmy dziedzicowi, gdzie cię można znaleźć -

powiedział z wyzywającym uśmiechem Pierre. -I pomyśleliśmy, że przyjdziemy zobaczyć, po co cię szukał.

- Treasure? - Pen przepchnął się przez tłumek mężczyzn na brzegu. Na widok siostry w wodzie i dziedzica, siedzącego na jej ubraniu, zmarszczył czoło i zapytał:

- Co się tu dzieje?

- Właśnie kończyłam się kąpać, kiedy przyszedł dziedzic - wyjaśniła z irytacją Treasure. - A teraz jeszcze te osty - dodała, wskazując ręką stojących na brzegu mężczyzn.

- Ach - powiedział tylko Pen i czekał, co będzie dalej.

- Nie stójcie tu i nie gapcie się! Jazda stąd! Wszyscy! - rozkazała Treasure.

Nikt się nie ruszył.

- A pan, panie dziedzicu, może odejść razem z nimi.

- Nie mam najmniejszego zamiaru - stwierdził złośliwie Renville.

Wprawdzie obecność innych pokrzyżowała jego zamiary, ale to, co się działo, było prawie tak samo satysfakcjonujące.

- Przyjemność oglądania ciebie jako wodnej nimfy sprawiła, że nie jestem w stanie się ruszyć.

- Chcę wziąć ubranie - powiedziała, obrzucając ich wszystkich wściekłym spojrzeniem.

- Gdybym mógł, tobym ci je podał - powiedział z ironicznym uśmiechem Renville. - Niestety, musisz sama tu po nie przyjść, słodka Treasure.

- Nie stójcie tak - zwróciła się do młodych mężczyzn. - Zabierzcie go stąd!

Spojrzeni po sobie i milcząco potrząsnęli głowami.

Prawdę mówiąc, doskonale się bawili. Wreszcie trafiła im się okazja zemsty. Przez wszystkie te lata, gdy razem dorastali, nieraz byli wściekli, kiedy musieli się słuchać zwykłej dziewczki, aż w końcu przestali ją uważać za kobietę. Stała się dla nich kimś aseksumym, niezbędnym w społeczeństwie, osobą pożyteczną i otoczoną powszechnym szacunkiem. Z powodzeniem broniła ich przed objazdowym sędzią pokoju, bywała pośrednikiem w ich sporach i pomagała w chorobach. Mieli z niej więcej pożytku, niż gdyby mogli przydybać ją na sianie. Jednakże gdzieś w ich podświadomości czaiła się niechęć.

- Pen, przynies mi ubranie.

Pen spojrział na dziedzica i westchnął. Zadzieranie z Treasure nie miało sensu, ale z dziedzicem też musiał się liczyć.

- Jeśli natychmiast tego nie zrobisz - wycedziła Treasure przez zaciśnięte zęby - gorzko tego pożałujesz.

Nikt się nie ruszył.

- Idźcie stąd, bo i tak wyjdę z wody po ubranie, a was diabeł porwie. Dobrze wiecie, że nie żartuję!

Skromność nie była czymś, czym Treasure nadmiernie się przejmowała, ale teraz czuła, że chodzi o coś więcej. Traktowali ją jak każdą zwykłą kobietę, a nie myślicielkę.

Treasure wyprostowała się i wbiła wzrok w zadowolonego z siebie Renville'a. Powoli zrobiła kilka kroków w stronę brzegu. W końcu nie była przecież całkiem naga.

Renville nie był w stanie oderwać oczu od wyłaniających się stopniowo z wody doskonałych kształtów. Dziewczyna stała już na brzegu, w mokrej, krótkiej koszulce, która podkreślała jej kształty i bardziej je uwidaczniała, niż gdyby była całkiem naga. Po chwili ruszyła powoli w jego stronę, niczym bogini z morskiej piany.

Z całej siły uderzyła go w ramię, omal nie zrzucając z kamienia, po czym wzięła ubranie i przycisnęła je do piersi.

- Pożałujecie tego - powiedziała, obrzucając młodzieńców groźnym spojrzeniem. - Prosiłam o pomoc, a wy mi odmówiliście. Będę o tym pamiętała następnym razem, kiedy przyjedzie sędzia pokoju - tu spojrzała znacząco na Eddiego Claytona - albo wtedy, Johnny, kiedy twoja klacz okuleje. Albo wtedy, Pierre, gdy twój ojciec będzie chciał ci porządnie przyłać. Będę o tym pamiętała.

Po raz ostatni spojrzała triumfująco na Renville'a i poszła w stronę ścieżki. Młodzieńcy szybko się przed nią rozstąpili.

Renville spoglądał za nią zaszokowany. Treasure Barrett była prawdziwą pięknoscią o ciele, które mogło sprawić przyjemność najbardziej wymagającemu mężczyźnie. To właśnie zakłócało mu spokój za każdym razem, kiedy ją widział. Doskonałe ciało, gibkie, uwodzicielskie ruchy, gładka skóra, błyszczące oczy ocienione wspaniałymi rzęsami - była najbardziej godną pożądania kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał.

Spojrzał na młodych wieśniaków i na ich twarzach zobaczył to samo niedowierzanie, które sam odczuwał.

- Cholera, Pierre - powiedział Johnny Cole. - Widzisz, co zrobiłeś?

- Treasure jest wściekła - mruknął Pen, marszcząc czoło.

- Jak myślicie, co ona teraz zrobi? - Eddie Clayton roześmiał się nieszczerze. - Powie o wszystkim ojcu Vivantowi?

- Nie. - Pen zobaczył, że pozostali mu się przyglądają, i potrząsnął głową. - Ale się odegra, kiedy się tego najmniej będziecie spodziewać. Nie powinniście byli jej dokuczać.

- Do diabła! To tylko takie żarty- powiedział niepewnie Johnny.

Renville przyglądał im się i przysłuchiwał z rozbawieniem. Zachowywali się jak mali chłopcy, zwalając na siebie winę.

- Sami mówicie- zaczął Renville, starając się zapomnieć o podniecającym wizerunku Treasure - że to były tylko żarty. Co wam może zrobić jedna zgryźliwa dziewczka?

Spojrzeli na niego ze zdumieniem. Nie miał pojęcia, iż sam jest dowodem na to, co może się zdarzyć człowiekowi, który zadarł z Treasure Barrett.

- Nikt nie powinien narażać się Treasure - powiedział Pen z rezygnacją, spoglądając znacząco na młodego dziedzica. Już raz go ostrzegął.

Przez chwilę Renville nie był w stanie powiedzieć nic sensownego. Oni naprawdę się przestraszyli jej dziecinnych pogroźek. Nawet rodzony brat poważnie się zaniepokoił. Renville przyglądał się, jak odchodzili, przygębieni i przestraszeni.

Kiedy został sam na brzegu rzeki, w blasku zachodzącego słońca, usiadł znów na kamieniu i zaczął rozmyślać o cudownym zjawisku, jakie przedstawiała wyłaniająca się z wody Treasure. Przypominała Wenus z obrazu Botticellego.

Nieźle ukrywała swoje wdzięki i nawet miejscowi młodzieńcy najwyraźniej byli zaskoczeni jej kobiecością. Tak, młody dziedzic wiedział już, co sobie weźmie od Treasure Barrett.

8

Treasure Barrett przez całą noc przewracała się bezsennie na sianie, na stryszku w stajni. Uwierało ją przez koc każde źdźbło trawy. Nie mogła sobie poradzić z uczuciem niepokoju, pomieszania, zawstydzienia związanego z zejściem na brzegu rzeki.

Za każdym razem, kiedy zamykała oczy, widziała twarz Sterlinga Renville'a i jego oczy wpatrzone w nią, gdy wychodziła z wody. I za każdym razem przenikał ją jakiś dziwny dreszcz. Wprawdzie niejednokrotnie miała do czynienia z takimi sytuacjami w swej roli pocieszycielki i lekarki, ale nigdy dotąd nie wiązała tego ze swoją osobą.

To było zwykłe, czyste pożądanie, powiedziała sobie w duchu, zastanawiając się mimochodem, czy istnieje coś takiego, jak „czyste pożądanie”.

Usiadła i objęła rękami kolana. Ależ była wściekła na Johny'ego, Pierre'a, Eddiego i Pena. Jak mogli się wobec niej tak zachować w obliczu wspólnego wroga? Będzie musiała koniecznie coś zrobić. Zastanowi się nad tym, jak tylko skończy z dziedzicem, który najwidoczniej zaczął coś podejrzewać. Ciekawe, po co właściwie odszukał ją nad rzeką. I co by zrobił, gdyby nie przyszli inni? Nie, nie będzie o tym myślała.

Z jednego powinna być zadowolona - wiedziała teraz o jego podejrzeniach i będzie musiała zmienić taktykę. Koniec z przychodzeniem wszędzie tam, gdzie zjawiał się Renville, aby odebrać długi. Z jednej strony żal jej było tracić okazji do rzucania mu zgryźliwych uwag, z drugiej - oznaczało to, iż nie będzie więcej

narażona na jego bezczelny, rozbierający ją wzrok. Treasure westchnęła.

Sen odszedł ją na dobre. Postanowiła wykorzystać pozostałe do świtu godziny na coś pożytecznego. Zeszła ostrożnie po drabinie i poszła do swego kącika, aby jeszcze raz pomyśleć nad strategią w odniesieniu do działań Renville'a. Żałowała, że w ogóle go spotkała, i wiedziała, iż jej życie nigdy już nie będzie takie samo, nawet gdy dziedzic odjedzie z Culpepper bez żadnych korzyści majątkowych.

W tym samym czasie Sterling Renville chodził po swojej sypialni w Renville House jak zwierzę w klatce. Spotkanie na brzegu rzeki z Treasure Barrett ostatecznie wytrąciło go z równowagi. W ciągu dnia mógł się krzywić i udawać, iż jest ponad tym wszystkim, ale w nocy odczuwał normalne męskie pożądanie i niepokój duszy.

Trawiła go gorączka i potrzeba, którą potrafiło zaspokoić jedynie kobiece ciało. Od swego przyjazdu do tej zakazanej dziury nie spotkał jeszcze żadnej interesującej kobiety. Nikt go do siebie nie zaprosił na kolację. Oczywiście i tak nie przyjąłby zaproszenia. Każdego wieczoru zasiadał samotnie w dużej, eleganckiej jadalni, mając za towarzystwo jedynie którąś z książek z biblioteki ojca, a potem szedł do pustego łóżka, gdzie walczył z bezsennością.

Dziś jednak przegrał walkę i dobrze wiedział, kto był zwycięzcą. Udało mu się, na brzegu rzeki, upokorzyć Treasure wobec innych, ale teraz cierpiał za to własnym ciałem.

Jęknął głośno i potarł rękami twarz, opierając się nagim ramieniem o otwarte drzwi balkonowe. Wpatrywał się w ciemność przed sobą, żałując, że w ogóle opuścił Anglię, że przyjechał do tej zakazanej dziury i poznał tę przekłątą szamankę.

Nocne cierpienia wzmocniły jedynie zamiysł Renville'a, aby wyrwać z wioski, co tylko się da. Następnego ranka zabrał Alfa i Hanleya i najpierw udał się do Cole'ów. Z irytacją zobaczył, iż zbierają zielony owies, i kazał zaprzestać zbiorów, dopóki owies nie dojrzeje i nie zżółknie. Tym razem nie dał się nabrać.

Kolejnym rozczarowaniem była próba odebrania koni. Według posiadanych przez Renville'a informacji, które pochodziły od starego stajennego Renville'ów, Zaylora Williamsa, Cole'owie byli winni szóstkę koni. Powszechnie uważano, iż stary Williams znał się na koniach i nieobce mu wszystkie te zwierzęta w okolicy, a co ważniejsze, potrafił prześledzić rodowód każdego konia, którego stary dziedzic kiedykolwiek sprowadzał w celu poprawy rasy. Następnie wysyłane je do okolicznych ferm i wiosek, aby pokryć klacze. Był to kolejny przejaw altruizmu Darcy'ego Renville'a, który za swe kłopoty i usługi przyjmował, jak zwykle, pisemne zobowiązania do zwrotu długu.

Renville zabrał ze sobą starego Williamsa, licząc, iż rozpozna on potomków swoich koni, nie wiedział jednak, że stajenny lubił sobie wypić i wówczas zapadał w drzemkę. Wiedzę tę posiadali natomiast Cole'owie. Kiedy załatwili sprawę owsa, Jeremy Cole zaprosił ich na werandę na szklaneczkę jabłecznika. Po szczodrym poczęstunku stary Williams zapadł w sen i nie dało się go w żaden sposób obudzić.

Renville nakazał Alfowi i Hanleyowi, aby zanieśli starego na wózek, a sam zajął się końmi na podstawie listy, którą wcześniej przygotował w czasie rozmowy z Williamsem. Okazało się jednak, że nic się nie zgadzało; jeden koń różnił się od opisu wielkością, inny - maścią. Renville spojrzał podejrzliwie na Cole'a, ten jednak tylko wzruszył ramionami.

- Nie może pan brać poważnie wszystkiego, co mówi Zaylor, panie dziedzicu. Jemu już się różne rzeczy mylą - powiedział, rzucając okiem na starego stajennego, śpiącego na wózku.

Renville poczerwieniał i ze złością zmrużył oczy. Jego „ekspert” nawalił na całą linię.

Przyprowadzono dwie klacze.

- Tych nie może pan teraz zabrać, panie dziedzicu - powiedział z lekka wyzywającym tonem Cole. - Jeszcze nie miały źrebaków - dodał, biorąc się pod boki.

- Nie mam czasu ani cierpliwości, Cole, i nie zamierzam na nic czekać - stwierdził rozżłoszczony dziedzic. - Biorę je.

Przywołał gestem ręki Alfa i Hanleya, każąc im zabrać konie, gdy synowie Cole'a i jego parobkowie stanęli na drodze pomocnikom Renville'a. Walce wręcz zapobiegł Johnny.

- Dajmy mu teraz jedną klacz i uznajmy, że jesteśmy kwita - zaproponował.

Przez chwilę panowała cisza.

- Ja wybieram - upewnił się Renville.

- Obie są bardzo dobrze kryte - powiedział Cole.

- Biorę tę z czarnymi nogami - oznajmił Renville i wieśniacy rozstąpili się, aby Alf mógł zabrać konia.

- Zaczekaj. - Renville złapał Cole'a za ramię. - Skąd mam wiedzieć, że jest dobrze pokryta? Co to za ogier?

- Najlepszy ogier ze stajni Corda MacMillana - odparł z dumą Cole.

- To znaczy?

- Boy dziedzica Darcy'ego.

Renville znów poczerwieniał, wskoczył na swego konia i pospiesznie ruszył do domu. Dopiero kiedy usiadł w fotelu ojca, w jego chłodnej bibliotece, zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy na miejscu egzekucji długów nie zjawiała się Treasure Barrett. Uśmiechnął się z ponurą satysfakcją. Pozbył się przynajmniej tego kłopotu.

Reszta dnia i tygodnia wyglądała podobnie. Musiał się wykłócać z Dickiem Pelhamem, żeby dostać trochę starego, wysuszonego tytoniu z zeszłego roku, zamiast tegorocznego zbioru, który się marnie zapowiadał. Od biednego Edgara Oxleya wziął dziki miód, chociaż nadal tkwił on w starych ulach, chronionych w dodatku przez pszczoły. U Saundierów zdobył trochę doskonałego wosku, choć poinformowano go, iż był przeznaczony na świece do kościoła i potraktowano go tak, jakby okradł Matkę Boską.

Po każdej takiej transakcji odczuwał coraz potężniejsze rozczarowanie i rozglądał się wokół, jakby się czegoś lub kogoś spodziewał.

Wszystko, co zdobył, nie było wiele warte. Tylko fakt, iż Samuel Stephen skupował najrozmaitsze towary, sprawił, że nie został z całym tym kłopotem. Musiał jednak dołożyć własne zapasy, aby wyprawa opłacała się pośrednikowi. Jemu samemu się to nie opłacało w najmniejszym stopniu.

Siedział pewnego czwartkowego wieczoru nad resztkami kolacji i zastanawiał się ponuro, co skłoniło jego ojca do osiedlenia się w tej zakazanej dziurze, pośród zapyziałych wieśniaków. Po całych tygodniach spędzonych na kłótniach i handryczeniu się niewiele zyskał.

Rozejrzał się po eleganckiej jadalni, zatrzymując wzrok na pięknym perskim dywanie, wypolerowanej podłodze, srebrnych świecznikach, francuskich kryształach i bawarskiej porcelanie. Renville House był jedyną wartościową rzeczą w całym spadku. Dom i otaczająca go ziemia. Pomyślał, że niechętnie pozbedzie się domu, pól uprawnych i wonnych ogrodów, ale nie było na to rady.

Późnym popołudniem następnego dnia Renville siedział w tawernie Renniera, czekając na konia, którego Alf zaprowadził do kowala, aby umocować obłuzowaną podkowę. Dziedzic postanowił poczekać w miejscowej gospodzie. Miał jeszcze tylko jedną sprawę do załatwienia - ostatnim długiem była brandy Barrettów.

Siedział przy chłodnej ścianie, popijając piwo. Na ustach błąkał mu się enigmatyczny uśmiech. Przez drzwi dolatywały głosy innych gości.

- ...niesamowity zbiór tytoniu. Jeszcze jeden deszcz, tylko jeden, i doczekamy do zbiorów - mówił znajomy głos. - Wtedy będę mógł dobudować izbę, o którą Maggie tak mnie męczy, i może jeszcze jedno piętro w stajni.

- Ceny w tym roku też są korzystne. To stary Darcy dał nam takie dobre nasiona, niech go Bóg błogosławi - odparł drugi głos, także znajomy.

Na dźwięk imienia ojca Renville usiadł prosto i zaczął się przysłuchiwać. Do tawerny weszło dwóch farmerów, bardzo z siebie zadowolonych.

- Rum... i piwo do popicia, Rennier. - Dick Pelham klepnął towarzysza w ramię. - Dla dwóch panów, którzy za chwilę będą bogaci.

Pelham nie zauważył ostrzegawczego grymasu Renniera i jego znaczącego spojrzenia, i mówił dalej:

- Powinieneś to zobaczyć, Rennier. Najczystszy zbiór tytoniu, jaki kiedykolwiek widziałem. Zielony i...

- Czyja też mogę zobaczyć? - odezwał się zimny głos za ich plecami.

Farmerzy odwrócili się i spojrzeli wprost na wściekłą twarz Renville'a.

- P...p...pan dziedzic - wyjąkał Pelham. - Co pan tu robi?
- Słucham, jak się przechwalasz swoim tytoniem. Wydaje mi się to bardzo dziwne, bo nie dalej jak dwa dni temu lamentowałeś, że cała twoja uprawa przepadła. Wyjaśnij mi to.

- To Treasure, panie dziedzicu, słowo daję.

Zauważywszy wreszcie dramatyczny wyraz twarzy Renniera i gwałtowne kręcenie głową, Pelham zrezygnował z rozpoczętej spowiedzi, ale Renville złapał go za koszulę na piersiach i przyciągnął do siebie.

- Co takiego zrobiła Treasure Barrett?

- Ona... aha... wynalazła lekarstwo na szkodniki. To prawdziwy cud, panie dziedzicu.

- Akurat! - warknął Renville. - Wiem, że zostałem oszukany, i teraz w dodatku wiem, komu to zawdzięczam. Tą informacją, Pelham, ocaliłeś skórę - dodał i rzucił farmera na zakurzoną podłogę.

W drodze do kowala ochłódł na tyle, że znów zaczął logicznie myśleć. Cały czas przeczuwał, że ta dziewczka coś kombinuje. Ale potwierdzenie wcale go nie pocieszyło. Dał z siebie zrobić absolutnego głupca! Powinien już dawno wybić jej z głowy wtrącanie się w jego sprawy, gdy tylko zaczął coś podejrzewać. Ale przekonał sam siebie, że ktoś taki jak ona nie mógł faktycznie zagrażać jego planom. A jej nieobecność w ostatnich dniach przekonała go, iż posłuchała jego ostrzeżenia. Teraz wiedział, że się nie pokazywała, bo wszystko, co wymyśliła, i tak zostało wykonane.

Treasure Barrett rozwiązała problem długów całej wsi, ale teraz myślicielka z Culpepper miała własny, znacznie poważniejszy problem.

Buck Barrett był przygotowany na wizytę Renville'a. Przez długie godziny szykował zapłatę dla syna swego starego przyjaciela. Większość swych trunków trzymał w specjalnie wykopanej jamie na skraju posiadłości, ale jej lokalizacja była tajemnicą, gdyż Barrett nie życzył sobie nieproszonych, darmowych klientów. Treasure zasugerowała, aby przeniósł resztę zapasów do jamy, tak że w specjalnym, chłodzonym pomieszczeniu niewiele zostało.

- Przykro mi, panie dziedzicu - powiedział Buck Barrett, wzruszając ramionami i wskazując dwie baryłki - ale musi się pan zadowolić tym, co mam.

- Albo dostanę osiem beczek, albo wsadzę cię do więzienia! - ryknął Renville, rozkazując Alfowi i Hanleyowi, aby przeszukali całe obejście. Buck z trudem powstrzymał synów przed rękoczynami i wreszcie uległ.

- Nic więcej nie mam - powiedział oschle - oprócz tego, co dopiero się robi. Właśnie skończyliśmy zbiór śliwek. Proszę, tutaj mam destylator.

Zaprowadził rozjuszonego Renville'a do małego kamiennego budynku, gdzie w wygaszonym palenisku nadal stał olbrzymi miedziany gar. Pod ścianą stało siedem dużych, dębowych beczek, z których unosił się zapach nieprzedestylowanego wina owocowego. Słodki, mocny zapach uderzył dziedzicowi do głowy.

- To już lepiej, Barrett - powiedział ciszej. - Siedem beczek, akurat tyle, ile jesteś winien. Plus jedna. Każ je zamknąć. Zabieram je ze sobą.

Zapach przypomniał mu Treasure i jej ukryte wdzięki, które...

Otrząsnął się szybko, wyszedł z destylarni i kazał Alfowi podjechać dużym wozem.

- Panie dziedzicu, te beczki nie są... - protestował Buck Barrett z irytacją.

- Nic, co powiesz, nie wpłynie na moją decyzję. Straciłem majątek przez waszą rodzinę i teraz mi za to zapłacisz. Ty i twoja córka. Gdzie ona jest?

- Kto?

- Twoja córka.

- Jaki jest dzisiaj dzień? - spytał Buck, marszcząc czoło.

- Piątek... Nic nie szkodzi, sam ją znajdę.

Ruszył przed siebie, a Buck starał się dotrzymać mu kroku.

- Ale panie dziedzicu, ta brandy nie całkiem...

- ...nadaje się do picia - skończył za niego Barrett. - Wiem. Ale to nie jest mój problem, tylko tych, co ją będą pili.

- Nie, to znaczy należałoby...

- ...wylać ją do rowu. To też wiem.

Renville wyciągnął z torby przy siodle zwitek papierków i rzucił je Barrettowi pod nogi, po czym wskoczył na konia i siedział przez chwilę nieruchomo, wpatrując się w ojca Treasure Barrett.

- Ostrzegam cię, Barrett, żebyś nie próbował przeszkadzać moim ludziom. Nic dobrego ci z tego nie przyjdzie.

- Ale panie dziedzicu...

Renville skrzywił się z niesmakiem i popędził konia, zostawiając za sobą Bucka Barretta w tumanach kurzu.

- Jeszcze nawet nie zdążyłem tej partii przedestylować - mruknął do siebie Barrett, machając ręką, aby odpędzić kurz. - Nie jest nic warta.

Kołysał się na palcach, a na twarz powoli wypłynął mu szeroki uśmiech. Treasure, jak zwykle, miała rację. Wzruszył ramionami i wrócił do destylarni, aby przygotować do wysłania paskudną brandy młodego dziedzica.

To był długi tydzień dla Treasure i z zadowoleniem powitała jego koniec. Cały czas niesłychanie się denerwowała, zajmując się swoimi obowiązkami, a jednocześnie niecierpliwie czekając na wiadomości dotyczące spotkań ze Sterlingiem Renville'em.

Leżała teraz na plecach w ciepłej wodzie i przyglądała się przepływającym jej nad głową chmurom. Uczucie rozczarowania wiązało się także z tym, że Treasure zaczęło brakować częstych spotkań z dziedzicem i wymiany złośliwych uwag. Nie chciała się jedynie przyznać, nawet sama przed sobą, że ten mężczyzna pociągał ją fizycznie i wzbudzał w niej nieznane dotąd uczucia.

Zadrżała i podniosła się, rzucając podejrzliwe spojrzenie na brzeg rzeki. Na szczęście nie było tam nikogo. Na samo wspomnienie sprzed tygodnia, na myśl o tym, jakim wzrokiem przyglądał jej się Renville, kiedy wyszła z wody, dostała gęsiej skórki.

Podeszła do kamienia, gdzie zostawiła ubranie, ale kiedy wyciągnęła rękę po suknię, czyjeś grube ramię zabrało ją jej sprzed nosa. Zdumiona podniosła głowę.

- Pierre! - wykrzyknęła i odruchowo zakryła rękami piersi, ledwo skrywane przez koszulę. - Przestraszyłeś mnie. Co ty tu ro... - Wyraz jego twarzy był dla niej wystarczającym ostrzeżeniem. - Idź stąd, Pierre - powiedziała stanowczo. - To już drugi raz. Tak łatwo ci tego nie zapomnę.

- *Non* - roześmiał się gardłowo. - Wolę, żebyś to sobie dobrze

zapamiętała, Treasure. Już od dawna powinnaś się była nauczyć, do czego służy kobieta. Tym razem ja będę nauczycielem.

- Nie bądź głupi. - Treasure prawidłowo odczytała wyraz jego głodnych oczu i spojrzała na niego wyzywająco. - Wracaj do domu, Pierre, nim wpadniesz w jeszcze większe kłopoty.

- Nie jesteś dla mnie żadnym kłopotem, Treasure. Jesteś już prawdziwą kobietą, dojrzałą i gotową. Widziałem cię...

Wyciągnął ramię, aby ją złapać, ale zrobiła unik. Pierre roześmiał się zachrypniętym, wulgarnym śmiechem.

- Miałem rację, że cię obserwowałem. A dzisiaj będziesz moja.

Podszedł bliżej i z pogardliwym gestem odrzucił jej suknię za siebie.

Treasure chciała stawić mu czoło, pokazać, że się go nie boi, odzyskać swój status myślicielki, ale nagle ją coś sparaliżowało i zdała sobie sprawę, iż po raz pierwszy jest w prawdziwym niebezpieczeństwie.

- Pierre, to, co chcesz zrobić, to grzech, śmiertelny grzech - ostrzegła, obchodząc kamień i starając się, aby wciąż ich przedzielała.

- To będę się modlił... na starość, jak już nie będę mógł się tobą rozkoszować. - Roześmiał się i wskoczył wprost na kamień, a z niego rzucił się na Treasure.

Przewrócił ją do tyłu, na trawę, i skoczył na nią jak wielki kot, przykrywając jej prawie nagie ciało. Usiłowała za wszelką cenę się uwolnić, choć w głębi duszy wiedziała, iż ucieczka nie ma najmniejszych szans powodzenia.

Pierre unieruchomił jej głowę i przycisnął usta do jej ust, wsuwając w nie język. Treasure z całej siły zacisnęła na nim zęby, na co Pierre zaklął, a potem stwierdził wulgarnie, że z drugiej strony nie jest tak dobrze zabezpieczona. Jedną ręką złapał jej obie dłonie w nadgarstkach, drugą podciągnął do góry mokrą koszulę, odsłaniając pierś, a nogą brutalnie rozsunął jej kolana.

Sterling Renville zmierzał nad rzekę z mocnym postanowieniem odebrania sobie tego, co - jego zdaniem - była mu winna ta szamanka, Treasure Barrett. Zamierzał udowodnić tej dziewczce, w najprostszy między kobietą a mężczyzną sposób, iż tym razem trafiła kosa na kamień.

Nim jednak doszedł na sam brzeg, powiew wiatru przyniósł za sobą dźwięk ludzkich głosów, choć nie dało się odróżnić poszczególnych słów. Renville zwolnił kroku. Nie przyszło mu do głowy, że Treasure nie będzie sama. Potem znów zapadła cisza i dziedzic ruszył dalej.

Kiedy zobaczył przed sobą otwartą przestrzeń, na brzegu nie było nikogo. Usłyszał jakiś dziwny dźwięk, jakby "nie", a może tylko westchnienie?

Na skraju wysokiej trawy leżała niebieska suknia Treasure. Renville pochylił się i podniósł ją jednym, szybkim ruchem. Znów ten dziwny jęk. Treasure tu była, w dodatku nie sama. Zaklął pod nosem, przeszukując wzrokiem najbliższą okolicę. Nagle zobaczył błysk nagiego Pierre'a, który właśnie ściągnął z siebie dolną część ubrania; Renville rzucił się w tamtą stronę.

Na widok nagiego ciała Treasure pod młodym wiejskim byczkiem wybuchł w nim gniew tak straszliwy, że skoczył i jednym ruchem złapał Pierre'a za koszulę na plecach.

- Wstawaj, ty wszawy gnoju!

Pierre z trudem wstał na nogi, wściekły, iż ktoś przeszkodził mu w najmniej odpowiedniej chwili. Ze zdumieniem zobaczył przed sobą młodego dziedzica. Nie było czasu na wyjaśnienia. Pięść Renville'a trafiła go w twarz, choć udało mu się lekko uchylić.

Treasure uniosła się na łokciu, drząc gwałtownie i nie będąc w stanie zrozumieć tego, co się działo na jej oczach.

Sterling Renville szarpał Pierre'a Fayette'a za koszulę, prowokując go do dalszego oporu, po czym niemal unióś go do góry i rzucił na ścieżkę.

- Niech cię wszyscy diabli wezmą! - wykrzyknął. - Jak cię jeszcze raz zobaczę, pożałujesz, że w ogóle przyszedłeś na ten świat.

Treasure usiadła prosto, czując zawroty głowy. Chwilowo funkcjonowała zaledwie połowa jej mózgu. Ta połowa rozpoznała wstyd i poniżenie, jakiego doznała od brudnego dotyku Pierre'a w najbardziej intymnych miejscach. Chciała jak najszybciej pozbyć się tego uczucia, uciec z tego okropnego miejsca. Wstała z trudem, zasłaniała się rękami i patrząc niewidzącym wzrokiem na pobliskie drzewa, ruszyła przed siebie. Chciała wrócić do domu...

Renville zobaczył błyszczące od łez oczy, kiedy Treasure na moment odwróciła się w jego stronę, i serce ścisnęło mu się ze współczucia.

- Treasure! - usłyszała za sobą znajomy, głęboki głos.

Z uporem przedzierała się przez krzaki, chcąc jak najszybciej uciec i znaleźć się w domu.

- Zaczekaj! - Złapał ją z tyłu za moką koszulę, choć wrywała mu się ze wszystkich sił. Wreszcie odwróciła twarz i wtedy Renville objął ją w pasie dwiema rękami i przyciągnął do siebie.

- Nie! Nie, proszę. Proszę mnie puścić.

Nie chciała teraz nikogo oglądać, zwłaszcza jego...

- Stój spokojnie! - rozkazał, przytulając ją do siebie.

- Chcę... iść... do domu - załkała jak dziecko.

- Pokazywanie się nago... Popisywanie się kochankiem... Amory na widoku publicznym... - wyliczał Renville. - Co to za zachowanie!

- Kochankiem? - wyjąkała Treasure, wrywając się z jego uścisku. - To nie jest żaden... mój kochanek. Przyszedł tu, żeby mnie zniewolić! Gdyby pan nie nadszedł... - Powoli się uspokajała. Wiedziała, że dziedzic jest bardzo silny i nie ma szans, aby mu się wyrwać, dopóki sam jej nie puści. - ...nie żaden kochanek - powtórzyła, potrząsając głową.

Renville z ulgą zdał sobie sprawę, że to, czego był świadkiem na początku, wyraźnie świadczyło, iż Treasure starała się wyzwolić z objęć napastnika.

Wziął ją na ręce i zaniósł na brzeg rzeki, gdzie usiadł na kamieniu, trzymając ją na kolanach.

- Proszę, niech pan mnie puści.

- Nie, muszę się najpierw dowiedzieć, co się stało. Kim był ten kundel?

- Pierre... Fayette. Był tu tamtego wieczoru... kiedy pan... I zobaczył mnie i...

- ...nabrał apetytu - dokończył Renville z niesmakiem. Jedną ręką odgarnął jej z twarzy mokre włosy i pogłaskał po policzku. Najwyraźniej tamtego wieczoru wdzięki Treasure nie tylko w nim wzbudziły pożądanie. A wszystko z powodu jego głupiego kaprysu i chęci zemsty.

- Zawsze... coś wymyślał. Mówił... Patrzył... Powiedział, że mnie nauczy. - Łzy napłynęły jej do oczu i zamrugała w panice. Nigdy nie płakała. Nigdy!

- Zrobił ci coś złego? - Renville z przerażeniem obserwował jej łzy i czuł, że w środku coś mu się przekręca z zimnego gniewu. - Zrobił ci coś złego? - powtórzył.

- Tak.

Renville zaklął pod nosem. Treasure zrozumiała, o co pytał, i poprawiła się:

- Nie, nie zdążył.

Przytulił ją do siebie i przez chwilę trzymał w objęciach, wdychając jej zapach podobny do zapachu letniej łąki. Czuł, jak jego ciepło przenika jej ciało i jak Treasure lekko się odpręża.

Odetchnęła głęboko i podniosła głowę. Renville był w tej chwili szalenie podobny do swego ojca. Może powinna go zapytać o motywy takiego, a nie innego męskiego postępowania. W końcu sam ją dwukrotnie napastował.

- Dlaczego chciał mnie zmusić do tego sportu, choć wiedział, że ja tego nie pragnę? - spytała.

Po chwili milczenia Renville zrozumiał, iż Treasure oczekiwała od niego odpowiedzi.

- Może ze złości... Albo z urażonej dumy. Jesteś bardzo prowokującą dziewczką.

- To dlaczego mnie nie uderzył? Dlaczego mężczyzna chce tak dotykać kobiety, kiedy jest na nią zły?

- To jest... dość skomplikowane. - Renville odetchnął głęboko i odsunął się trochę, starając się nie patrzeć na ledwo osłonięte ciało dziewczyny. - Mężczyzn podnieca opór... Czasem wzmaga to ich... - Przełknął i poczerwieniał. Nagle poczuł się jak wąż na gałęzi jabłoni. - W końcu przyjemność to przyjemność, niezależnie od tego, jak została osiągnięta - powiedział bez przekonania.

- Ale dla mnie to nie była przyjemność, tylko kara. - Zamknęła oczy, aby powstrzymać łzy. Po chwili je otworzyła i spojrzała na niego. - Z panem było zupełnie inaczej.

- Inaczej? - powtórzył tępo, nie wierząc własnym uszom.

- W bibliotece, jak mnie pan pocałował, a potem się pan na mnie położył... Też tego nie chciałam, ale było mi przyjemnie,

a kiedy Pierre robił te rzeczy, nienawidziłam go. Czy to dlatego, że pan mnie pierwszy dotknął?

- Wydaje mi się, że powinnaś o tym porozmawiać z kimś... mniej zaangażowanym.

Jej naiwne pytania wprawiły go w zakłopotanie. Przełknął ślinę i postanowił zdjąć ją z kolan, nim straci nad sobą panowanie.

- Ja bym chciała zrozumieć.

- Posłuchaj. - Renville odsunął się od niej jak najdalej, choć jego fizyczna męskość zdążyła zareagować na bliskość kobiecego ciała. - Wyglądasz bardzo ponętnie i to czasami powoduje, że mężczyźni tracą głowę... I zapominają o innych sprawach.

- Na przykład o grzechu i o tym, czy mnie lubią czy nie?

- Tak. I o tym, że jesteś małą, bezczelną, zarozumiałą dziewczką. Tu się różnimy z tym parobkiem. On wyraźnie chciał cię za to ukarać, a ja... nie chcę.

Kłamstwo omal nie utkwіło mu w gardle i pospiesznie oderwał dłonie od talii Treasure.

Zdawała sobie sprawę, iż dziedzic jest podniecony, i świadomość, iż miała wpływ na jego ciało, niesłychanie ją ekscytowała.

- To co pan chce ze mną zrobić? - spytała ochrypłym nagle głosem. - Dlaczego pan tu dzisiaj przyszedł?

Nim zdążyła coś jeszcze powiedzieć, złapał jej głowę w dłonie i pocałował.

Odrzucanie pokus nigdy nie było mocną stroną Sterlinga Renville'a i kiedy Treasure chętnie rozchyliła wargi, odrzucił wszelkie szlachetne myśli, jakie przedtem przychodziły mu do głowy.

Treasure objęła go za szyję. Wszystko, co czuła, było zupełnie inne niż z Pierre'em. Przysunęła się jeszcze bliżej, chcąc czuć dotyk jego ciała tak jak wtedy, w bibliotece. Chciała, aby jego delikatne dłonie wymazały z jej pamięci bezradność i poniżenie, jakie odczuwała przed chwilą. A najbardziej chciała doznać rozkoszy, jaką obiecywało jego gorące spojrzenie i wprawne pieszczoty.

Sterling podniósł ją i położył na ciepłym piasku, a potem nakrył ją swoim ciałem, pocierając piersią o jej piersi z wyprężonymi brodawkami. Po chwili pieścił je obiema rękami. Treasure jęknęła i przyciągnęła do siebie jego głowę, domagając się następnego słodkiego pocałunku.

Przesunął dłoń na brzuch, a potem na krągłe biodro. Była cudowna - każda część jej ciała pasowała doskonale do jego dłoni. Oderwał usta, aby przyjrzeć jej się spod przymkniętych powiek. Ciemne włosy rozsypały się na piasku, skóra się zaróżowiła, fiołkowe oczy błyszczały pożądaniem. Czubkiem różowego języka przeciągnęła po pełnych, rozchylonych wargach.

- Niech mnie pan nauczy - szepnęła, gładząc jego kark i zaciskając dłoń na plecach. - Proszę, chcę, aby mnie pan wszystkiego nauczył.

Oczekiwanie było tak nieskończenie słodkie, że Renville zawahał się lekko, jakby nie chcąc jeszcze iść do końca. Treasure w swej niewinności nie zrozumiała jego wahania.

- Proszę - szepnęła tuż przy jego ustach. - Niech mnie pan nauczy tego, czego nie mógł mnie nauczyć pański ojciec.

- Mam cię nauczyć? - Renville podniósł głowę i spojrzał na nią zszokowany. - Nigdy... Nigdy tego nie robiłaś? - Z trudem wydusił z siebie te słowa, gdyż wydawało mu się to absolutnie nieprawdopodobne.

Treasure kiwnęła tylko głową.

Nagle zaszcło mu w ustach. Myślicielka i dziewica. Dziewka, która go oszukiwała na każdym kroku, kiedy chciał jedynie odzyskać swój majątek, miała być dziewicą? A teraz znów chciała go wykorzystać.

- Niech to wszyscy diabli porwą! - wykrzyknął, odsuwając się od niej gwałtownie. Jego duma została poważnie nadwerżona. Zamierzał ją ukarać, rozkoszując się jej niewątpliwymi wdziękami, a tu nagle poczuł się zobowiązany do obrony jej cnoty. Jak jego stary, sklerotyczny ojciec. - Jeszcze czego! Ja miałbym cię uczyć? Stary dziedzic nie potrafił, więc teraz przyszła kolej na młodego?

Sam już nie wiedział, dlaczego tak się rozżłościł, w każdym razie odczuwał całkowite pomieszenie i zakłopotanie, które przerodziły się w gniew.

- Masz mnie za głupca? Myślisz, że nie wiem, jak kręciłaś i kombinowałaś, żeby mnie pozbawić należnego mi spadku? Wiem o szkodnikach w tytoniu, o śmierdzących serach, o krowie Gillcrestów i nawet o tych przeklętych koniach. Nie wiem wprawdzie dokładnie, jak to zrobiłaś, ale wiem, że to wszystko twoja sprawa!

A to miało być ostateczne osiągnięcie, co? Ukoronowanie twoich planów. Nie jestem starym, patetycznym Darcym, który był już tak zdzienniały, iż nie zdawał sobie sprawy, jak nim wszyscy manipulowali, a zwłaszcza ty!

Treasure usiadła, zasłaniając piersi rękami i wpatrując się w niego z niedowierzaniem. W jej oczach wyraźnie widać było cierpienie.

Przełknął ślinę, podniósł z ziemi suknię i rzucił w jej stronę. Miał ponurą satysfakcję na myśl, że jej rozczarowanie było równie bolesne jak jego.

- Jeśli spotkam w wiosce Fayette'a, powiem mu, że czekasz na dalsze lekcje.

Treasure z trudem wstała na nogi. Powoli miejsce szoku zajmował gniew. Jak śmiał tak ją potraktować - najpierw dotykał jej w najbardziej intymny sposób, a potem odrzucił ciało, które mu zaofiarowała. Musi nią strasznie pogardzać. Nagle poczuła się zupełnie pusta w środku.

Mężczyźni... Sport... Uczucia... Nic z tego nie rozumiała. Podeszła do rzeki i zanurkowała w chłodną wodę, żałując, że nie może zmyć z siebie wszystkich skomplikowanych emocji.

Pierre chciał ją zniewolić, co napełniło ją wstydem i wstrętem. Ale Renville zranił ją daleko bardziej. Wiedziała teraz, że przyszedł, aby ją ukarać. I zachował się gorzej niż Pierre. Na tym właśnie polegała różnica między wieśniakami a jaśnie pannicami - ci drudzy znali o wiele bardziej wyrafinowane sposoby sprawiania bólu.

Treasure wróciła do domu z sercem przepełnionym bolesną pustką.

Następnego dnia drobna, niebieskooka Annis Barrett stała w drzwiach kuchni i przyglądała się córce, która krzątała się na podwórzu i w kuchennym ogrodzie. Annis wiedziała, że Treasure coś głęboko przeżywa. Widziała to w niezwykłych oczach córki, gdy ta poprzedniego wieczoru wróciła do domu. Ten sam wyraz oczu powitał ją, kiedy Treasure przyszła na śniadanie. Ostatecznym dowodem był fakt, iż całe rano córka nie oddalała się prawie od domu. To było niepodobne do tej samodzielnej, pełnej różnych zajęć dziewczyny.

Przez całe lato Annis widziała w swej córce jakąś tęsknotę i oczekiwanie, którego nie potrafiła sobie wytłumaczyć.

Teraz zawołała Treasure na ławkę pod dużym dębem, na zakurczonym bocznym podwórku.

- Mam pewien problem, Treasure. - Annis wypowiedziała słowa, które zawsze prowokowały córkę do intensywnego myślenia.

Dziewczyna skinęła głową i wzięła w swoje dłonie szorstką rękę matki.

- Chodzi o moją starszą córkę. Ma jakiś kłopot i chciałabym wiedzieć, co się stało. To musi być coś doprawdy strasznego, bo jeszcze nigdy nie widziałam jej w takim stanie.

Treasure na moment zamknęła oczy, po czym szybko się opanowała i cofnęła chłodne dłonie.

- Tęsknię za starym dziadkiem - wyznała, choć nie powiedziała całej prawdy.

- I?

- I... za książkami.

Annis pokiwała głową i spojrzała na nią wyczekująco. Treasure poczuła przemożną ochotę, aby się z nią podzielić swoją potrzebą, porozmawiać z drugą kobietą.

- Wczoraj wieczorem Pierre Fayette przyszedł nad rzekę i chciał mnie zniewolić - powiedziała szybko. W oczach zapiekły ją łzy, a gardło ścisnęło się na wspomnienie przeżytego poniżenia.

- Wszyscy święci! - krzyknęła zaszokowana Annis. - Nie ośmieliły się!

- Zrobił to - rzekła Treasure z poczerwieniałą twarzą. - A potem przyszedł młody dziedzic i siłą ściągnął ze mnie Pierre'a. Kazał mu iść precz i sam mnie pocałował. A później... Pokłóciliśmy się. Strasznie krzyczał. On myśli, że jesteśmy głupkami i próżniakami, niegodnymi lizać jego pańskie buty. Zasłużył sobie, żeby stracić wszystko. Wszystko! Nie powinnam była niczego mu darować. Wstrętny kundel! Wie o tym, że pomagałam ludziom go oszukać. Pewno po to tam przyszedł, żeby mnie ukarać...

Annis widziała ogień, który ożywił córkę, kiedy mówiła o młodym dziedzicu, i wyczytała w nim przyczynę ich wzajemnego antagonizmu. Treasure była ładną, młodą dziewczyną a Sterling Renville - dumnym, jurnym mężczyzną, przyzwyczajonym do tego, że bierze, co chce. Annis przytuliła do siebie córkę i zaczęła ją pocieszać.

- Młody dziedzic niedługo wyjedzie - powiedziała uspokajająco. - A Pierre... Jeśli nadal będzie cię prześladował, Buck i chłopcy poradzą sobie z nim.

Krótką rozmowę miała dobry wpływ na Treasure, ale matka zaniepokoiła się poważnie. Tego samego wieczoru opowiedziała o wszystkim mężowi, a następnego dnia oboje udali się ze swym kłopotem na zaimprovizowane spotkanie wioskowych przywódców, którzy przyszli do kościółka ojca Vivanta. Oprócz księdza była tam pani Treacle, Robert Rennai, właściciel tawerny ze swoją młodą żoną Collette, Collin Dewlap, sklepikarz Benton Hegley, Pen Barrett i Lem Hodgson, który rozmawiał akurat z Penem, gdy ojciec zawołał go na spotkanie.

Annis przytoczyła opowiadanie Treasure i swoje najnowsze

obserwacje. Po początkowych okrzykach! zdumienia zapadła cisza. Zdarzyło się to, czego się wszyscy obawiali - ich myślicielka stała się kobietą i nie było nadziei, iż stan ten minie niby choroba zakaźna.

- Co mamy robić, ojczy? - spytał Rennier. - Treasure nie może już więcej biegać sama po nocy, spać gdzie popadnie... i u kogo popadnie. Musi przestać kapać się sama w rzece i jeździć konno z chłopakami. I chyba nie będzie już mogła przychodzić do tawerny, w każdym razie wieczorem. A jeśli jakiś chłopak zachoruje i będzie musiała go pielęgnować?

- Zaczekaj, Rennier, spokojnie. - Collin Dewlap zawsze szukał jaśniejszych stron w każdej sytuacji. - Może nie jest tak źle. Wiemy wszyscy, jaki jest Pierre. Lata za każdą dziewczyną w Culpepper. Nikt inny się tak wobec niej nie zachowa.

W tym momencie zebrani odwrócili się w stronę Pena, który był przedstawicielem miejscowych młodzieńców, a także bratem Treasure.

Pen odetchnął głęboko i potrząsnął głową.

- Widziałem to samo co oni, wtedy nad rzeką. - Pogładził brodę na wspomnienie szoku, a potem pożądaną, jakie widział w oczach przyjaciół. I nagle przypomniał sobie także nagie uda siostry pod ciałem dziedzica w bibliotece. - Macie się o co denerwować - powiedział, marszcząc czoło.

- O czym ty mówisz, Pen? - spytała zaalarmowana pani Treacle.

- Mówi o tym, że już niedługo Treasure będzie miała swój udział w sportowych zabawach - odezwała się nieoczekiwanie Collette Rennier.

Teraz, kiedy wyszła za owdowiałego właściciela tawerny, nosiła suknie z wysokim kołnierzem, ale na ustach nadal błąkała jej się prowokacyjny uśmieszek.

- Nie jesteście chyba głusi ani ślepi. Treasure jest dojrzałą dziewczką, i w dodatku ładną. Będą za nią latać, możecie mi wierzyć.

Pozostali westchnęli i ze smutkiem pokiwali głowami. Collette wiedziała, co mówi.

- Co zrobimy, ojczy? - Buck Barrett oparł łokcie na kolanach. - Już jest za późno, aby ją traktować jak zwyczajną dziewczynę. Nigdy się na to nie zgodzi.

- Co z nią będzie? - zapytała Annis drżącym głosem i większość osób wbiła wzrok w podłogę, żeby nie widzieć jej niepokoju.

- Treasure jest kobietą, *non?* - Powiedział wreszcie ojciec Vivant, stanowczo unosząc głowę. Jego dobre serce biło mu niespokojnie w piersi, ale musiał spełnić swój duszpasterski obowiązek. - Musi zrobić to, co jest celem każdej bogobojnej kobiety. Musi wyjść za mąż i rodzić dzieci.

- Ech?

- Co?

- Za mąż?

- A kto by się ożenił z Treasure? - prychnął z niedowierzaniem Buck.

- Mówiono tutaj, że mężczyźni... - ksiądz przełknął ślinę - będą się za nią uganiać, tak?

- Tak, ale uganiecie się a małżeństwo to dwa różne gatunki świń - stwierdził z przekonaniem Buck.

- Amen - dodała Collette.

Zapadła długa cisza, podczas gdy wszyscy gorączkowo zastanawiali się nad potencjalnym kandydatem. Rozważano każdego młodzieńca i każdego odrzucano ze smutnym kiwaniem głową. Żaden rozsądny mężczyzna nie pozwoliłby swojej żonie włóczyć się po okolicy, wychodzić nieustannie do sąsiadów, żeby pomóc przy urodzinach i operacjach, samemu pozostawać bez jedzenia i towarzystwa w łóżku, gdy Treasure będzie się zajmowała uzdrawianiem lub myśleniem, słuchać jej w sprawach hodowli i upraw.

- Cóż - powiedziała powoli pani Treacle - sądzę, że mogę do tego dodać jeszcze jedną złą wiadomość, żebyście wiedzieli o wszystkim za jednym zamachem. Dziedzic sprzedaje Renville House i ziemię. Dwa dni temu przyjechał wściekły do domu i oznajmił, że sprzedaje dom i wraca do Anglii. Mówił, że możemy zostać albo odejść i że da nam papiery...

Głos jej się załamał. Wyjęła z kieszeni chustkę i przyłożyła ją do oczu, a Annis Barrett pospiesznie się do niej przysiadła i objęła ją ramieniem.

Wszyscy wiedzieli, czym to grozi. Mało kto w Culpepper mógł sobie pozwolić na wykupienie dzierzawionej ziemi, a ci, którzy mieli coś własnego, i tak nie mogli utrzymać z tego rodziny. Przez

całe lata byli uzależnieni od szczodroblewości starego dziedzica. A teraz nadszedł dzień zapłaty.

- O, niebiosa! - wykrzyknął Collin Dewlap. - Komu sprzedaje?

- Słyszałam, jak mówił, że na pewno będzie musiał podzielić ziemię na mniejsze kawałki. W całości mógłby ją kupić tylko ktoś bardzo bogaty, a nikt bogaty by jej nie chciał.

- Podzielić? - powtórzył zszokowany Buck Barrett. Przez wiele lat pracował, aby doprowadzić sady do świetności. Czuł, że zostanie zrujnowany! - Musimy coś zrobić!

- Zawołajcie Treasure! - rozkazał Benton Hegley i znów zapadła cisza.

- Najpierw nasza myślicielka, a teraz ziemia - chlipnęła pani Treacle. - To nie do wytrzymania!

Zebrani siedzieli zniechęceni i osowiali niczym stadko mokrych szczeniaków wyłowionych dopiero co z rzeki. Czuli się tak, jakby Treasure umarła i jakby ktoś już wyrzucił ich z domu.

- Nie wierzę własnym oczom ani uszom. Nie widzicie najprostszego rozwiązania, które macie przed nosem - powiedziała Collette i po cichu szturchnęła Renniera w bok. - Macie dwa problemy... Obydwa wymagają tego samego rozwiązania. - Jej słowa spotkały się z nierozumiejącymi spojrzeniami i drapaniem się po głowach. Collette westchnęła z niesmakiem. - Musicie znaleźć męża dla Treasure i sprawić, aby młody dziedzic nie sprzedał domu i ziemi. Więc niech ona za niego wyjdzie. Jeśli pojedzie do Anglii, będzie musiał zostawić żonie dom i środki do życia. A jak nie wyjedzie, będą musieli razem gdzieś mieszkać.

- Treasure... miałyby wyjść za dziedzica? - Buck robił wrażenie, jakby go lekko zemdliło. - Ona go nienawidzi.

- Wiele kobiet nienawidzi własnych mężów. Wiem coś o tym. - Collette przyjrzała się zgromadzonym mężczyznom zmrużonymi oczyma.

- Treasure nigdy się na to nie zgodzi - zaoponował Rennier. - Większość panien nie ma pojęcia, że nienawidzi mężczyzn, dopóki nie wyjdzie za męża, więc chętnie ślubują. Treasure jest inna i na pewno się nie zgodzi na ślub z dziedzicem.

- A kto powiedział, że ma się zgodzić? - spytała Collette.

- O *non... non*. - Ojciec Vivant pochylił się do przodu, spog-

ładając z autentycznym przerażeniem na błysk oczu Collette. - Małżeństwo jest sakramentem. Musi się zgodzić, gdyż inaczej nie będzie to w oczach Boga prawdziwe małżeństwo. *Mon Dieu*, nie wolno ci tak myśleć, Collette. To grzech.

- Kto będzie dla niej lepszy? - Collette podparła się pod boki i spojrzała gniewnie na księdza i pozostałe osoby. - Wy-mieńcie chociaż jednego młodzieńca.

- Ja... mhm... - chrząknął Lem Hodgson. - Ja... mógłbym się z nią... ożenić.

Wszyscy spojrzeli na niego z niedowierzaniem.

- Ja się nie... boję.

- To bardzo ładnie z twojej strony, chłopcze. - Buck uśmiechnął się do największego i najsilniejszego młodzieńca w Culpepper i potrząsał głową. - Ale nie możemy pozwolić, abyś się tak poświęcał.

Lem odetchnął z ulgą, z poczuciem spełnionego obywatelskiego obowiązku.

- Nawet jak Treasure się zgodzi, to dziedzic na pewno nie. On, taki wielki pan - powiedział ponuro Benton Hegley.

- Niejeden mężczyzna został już zmuszony do pójścia do ołtarza - przypomniała Collette. - Nawet więksi panowie niż nasz dziedzic.

- To jest jakiś pomysł - mruknął Pen, przypominając sobie splecione ciała siostry i dziedzica tamtego popołudnia w bibliotece. Wyglądało na to, że Treasure nie miała wówczas nic przeciwko temu. A dziedzic był jedynym człowiekiem w okolicy, który nie bał się wykształconej Treasure, może dlatego, iż sam też nie był głupi.

Zebrani odwrócili się i spojrzeli na niego ze zdumieniem. Pen Barrett znał Treasure najlepiej ze wszystkich ludzi.

- Gdyby rzeczywiście miała wyjść za mąż, najlepiej, aby był to człowiek wykształcony, taki jak dziedzic - powiedziała głośno Annis.

- Żadne z nich nigdy się na to nie zgodzi - powtórzył Buck.

- To się da załatwić. - Oczy Collette rozbliły i Rennie lekko się zaczerwienił. - Gdyby ich przyłapano w łóżku, musieliby wziąć ślub.

Ojciec Vivant przeżegnał się i nerwowo rzucił okiem na ołtarz.

- Niech Bóg broni, Collette. Będziesz miała więcej niż zwykle do wyznania na spowiedzi.

- Nie powiedziałam, że mają cudzołożyć, ojcze. Wystarczy, jak będą w jednym łóżku.

- A jak zamierzasz ich namówić, żeby się tam razem położyli? - spytał cierpko Buck. Pomyślał przy tym, że nie zazdrości Rannierowi.

- Mężczyźni, jak sobie wypiją, robią czasem takie rzeczy, jakich inaczej nigdy by nie zrobili - stwierdziła zdecydowanie Collette. Jej wiedza wyraźnie brała się z własnego doświadczenia.

Rannier spojrział na nią spod oka.

- Najpierw ich upijemy, a potem położymy razem do łóżka. Kiedy się obudzą, będą zaręczeni, a następnego dnia mogą wziąć ślub.

- Ale Treasure nie pije alkoholu - wtrącił Lem Hodgson.

- Można jej podać specjalny napój nasenny.

- *Non, non, non!* - Ojciec Vivant zerwał się na równe nogi. - Zabraniam. Nie wolno robić sobie żartów z sakramentu. Prawdziwe małżeństwo musi wynikać z uczucia... I musi być skonsumowane w poświęconym małżeńskim łożu.

- To prawda, lecz Treasure nie jest pełną katoliczką, ojcze. - Buckowi zaczął podobać się pomysł, aby mieć bogatego dziedzica za zięcia.

- Kto mówi, że nie zostanie skon-su-mo-wane, jak już zamkną za sobą drzwi i okna? - Pen pogłaskała się po brodzie. - W żadnym małżeństwie nie można mieć pewności, dopóki nie przyjdzie na świat dziecko, prawda?

- Ale to... oszustwo. Grzech! - protestował ojciec Vivant, choć już nieco mniej gorączkowo.

Usiadł ciężko na drewnianej ławce i objął rękami pulchne kolana.

- Nie wezmę w tym udziału, *mes enfants*. To grzech. Jeśli zrobicie coś takiego, zapłacicie za to.

- Grzech? Prawdziwy grzech, ojcze? - Buck drapał się po piersi i przyglądał księdzu kalkulująco. - Czy to będzie grzech śmiertelny, czy zwykły?

Ojciec Vivant znalazł się w trudnej sytuacji i przez dłuższy czas namyślał się nad odpowiedzią.

- Chyba... zwykły - odparł wreszcie, robiąc nieszczęśliwą minę.
- To dobrze. - Buck uspokoił się, a zebrani odetchnęli z ulgą. - Jaka jest za to pokuta? Jedna lub dwie nowenny, kilka Ojcznaszek, co?

Ksiądz skrzywił się, a potem kiwnął głową, najwyraźniej zdegustowany tym targowaniem się z góry o pokutę.

- Nie mogę tego orzec z całą pewnością. To zależy od pozostałych grzechów...

- Zaryzykuję. - Buck uśmiechnął się szeroko i mrugnął do księdza. - Myślę, że Wszechmocny nam odpuści. Co robimy, Collette?

10

Jaki święty? - zapytał Sterling Renville, gdy Rennier przyszedł do Renville House, aby go zaprosić na miejscową fetę przy okazji pożegnania.

- Boulangeron. - Rennier przestąpił z nogi na nogę, modląc się w duchu, aby jego uśmiech wypadł jak najbardziej przekonująco.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- To znany święty w okolicy... Patron Culpepper od zbiorów i takich różnych - pytlował Rennier. - Zawsze mamy fetę w jego dniu. Jako podziękowanie.

- Za co? Za to, że jest największym cymbałem pośród świętych? Lepiej byście zrobili, gdybyście kanonizowali mnie. Więcej dla was zrobiłem.

- Ale dla pana, panie dziedzicu... Chcemy pana pożegnać. Ludzie będą załamani, jeśli pan nie przyjdzie.

- Niech sobie będą.

Jednakże następnego wieczoru, po długim i nudnym dniu spędzonym na przygotowaniach do podróży, Renville odczuwał potrzebę jakiejś rozrywki. Przeszedł z biblioteki przez wytworny salon do jadalni, gdzie czekał na niego zimny bufet. Zamówił wcześniej skromną kolację i dał służbie wolne.

Nie miał apetytu, nalał sobie jednak kieliszek porto i chodził po pokojach, odnajdując wszędzie ślady zmarłego ojca i pięknej, od dawna nieżyjącej matki, której prawie wcale nie pamiętał. Kiedy się odwrócił, nieomal wpadł na panią Treacle.

- Przepraszam, panie dziedzicu. - Cofnęła się o krok i wygładziła fartuch okrywający bujne kształty. - Jeśli niczego już pan nie potrzebuje, pójdę na plac.

Kiedy potrząsnął w milczeniu głową, unikając jej spojrzenia, pani Treacle dodała ze smutnym uśmiechem:

- Kiepska to będzie w tym roku zabawa bez dziedzica Renville. Na pewno się pan nie wybierze, panie dziedzicu?

- Nie, nie. Nie mam dziś nastroju do towarzystwa.

W domu zrobiło się jeszcze spokojniej i bardziej melancholijnie. Renville House stał się cmentarzyskiem marzeń, które zmarły powolną, żalostną śmiercią, marzeń o wspaniałym eksperymencie społecznym, o nowym życiu, o szczęśliwej rodzinie, o udanym małżeństwie. Marzeń jego zwariowanego ojca. Tymczasem wszystko przepadło... I wszystko nieodwołalnie miało się zakończyć następnego dnia, gdy dziedzic wyjedzie z Culpepper.

Powinien być zadowolony z zakończenia tego irytującego epizodu w koloniach, a jednak nie mógł się otrząsnąć z jakiegoś żalu. Spojrzał na drzwi do szeregu sypialni, które jego ojciec wybudował w nadziei na liczne dzieci i wnuki, a w których spało czasami tylko jedno dziecko - Treasure Barrett. Renville zatrzymywał się w swej wędrowce po kolei przed każdymi drzwiami, zastanawiając się, czy to właśnie tu sypiała Treasure. Nie mógł o niej zapomnieć i miał świadomość, iż wyjeżdża, zostawiając za sobą niedokończoną sprawę.

Nagle zawrócił na pięcie i tak jak stał, wyszedł z domu. W krótkim czasie, nie myśląc nawet, dokąd się wybiera, pokonał odległość dzielącą go od wioskowego placu.

Skrzypek, dobosz i flecista tworzyli zdumiewająco zgrany zespół. Tańczący kręcili się i wirowali w takt przyjemnej muzyki w kręgu zaimprovizowanych stołów, które ugiwały się pod szynkami, indykami, zapiekankami, świeżo upieczonym chlebem, ciastem z maki kukurydzianej i innymi gorącymi daniami. Z boku stał wóz, skąd rozdawano - w dowolnych ilościach - piwo, cydr i nalewkę z jabłek.

Dziedzic przyglądał się przez chwilę wesołej zabawie i coś mu w tym wszystkim nie pasowało. W oczy rzucała się nie tylko ilość przygotowanego jedzenia, lecz także porządne, wręcz eleganckie

ubrania mieszkańców Culpepper: czyste i całe bawełniane pończochy, skórzane buty, bawełniane bryczesy, lniane koszule, wełniane lub bawełniane suknie z wzorzystych materiałów z koronkowymi mankietami i kołnierkami.

Stał, wpatrując się z osłupieniem w mieszkańców Culpepper, aż zobaczył go Rennie i zaprosił do najważniejszego stołu.

- Pan dziedzic! - Rennie tryskał dobrym humorem zaprawionym alkoholem. - Jednak pan przyszedł! Teraz dopiero mamy elegancką fetę!

- Tak - powiedział Renville. - Aż za elegancką.

- Spójrzcie, kto przyszedł! - zawołał, gdy podeszli do stołu, za którym siedzieli sami znajomi.

Pani Treacle, Collette Rennie, Collin Dewlap, Benton Hegley, Buck i Annis Barrettowie wstali z ławek i entuzjastycznie przywitali dziedzica. Kiedy usiadł za stołem, Buck Barrett postawił przed nim kufel nalewki z jabłek.

Wszyscy zauważyli sztywną postawę Renville'a i jego badawczy wzrok. Nietrudno było się domyślić, że jest niezadowolony. Wiedzieli, iż on wie - celebrowali coś więcej niż dzień jakiegoś nieznanego świętego. Świątowali swoje nad nim zwycięstwo.

- I co, panie dziedzicu? - Buck wcisnął się obok niego na ławkę.

- Kiedy ręka grabi, owce chodzą gołe.

Buck zmarszczył czoło i cicho westchnął. Przypuszczalnie dziedzic i Treasure bardziej do siebie pasowali, niż przypuszczał. W każdym razie mówili w ten sam tajemniczy sposób.

- Zaraz panu doleję - zaferował Buck, gdy zobaczył, że dziedzic dopija resztki z kufła. - Dziś nikt nie może mieć sucho w gardle.

- A gdzie jest twoja córka, Barrett? Twoja bardzo mądra córka?

- Eee, mhm. - Buck rozejrzał się wokół. - Gdzieś tu jest, panie dziedzicu. O, tam! - zawołał, wskazując na Treasure, która stała w gronie młodych Riccardów.

Renville spojrzął na Treasure i zobaczył, że dziewczyna przygląda mu się z triumfującą miną. Ubrana była tak jak zawsze - w bezkształtną niebieską suknię i biały fartuch. Przez ramię miała przerzucony ten sam dziecienny warkocz.

Wypił zawartość drugiego kufła, ledwo czując piekący smak nalewki. Buck pospiesznie znów nalał mu do pełna.

Renville powoli zagłębiał się w opary alkoholu i wściekłości za to, że tak się dał podejść i stracił cały majątek. A wszystko przez tę dziewczkę. Powinien był ją wziąć, gdy sama go o to prosiła, i pokonać wreszcie urok, który na niego rzuciła. Do diabła, jeszcze nie było za późno, żeby to zrobić - w ostatnią noc swego pobytu w Culpepper.

Wypił to, co miał w kufłu, wstał i czując przyjemne otumanienie, ruszył wprost do Treasure Barrett. Nawet nie mrugnęła okiem, gdy złapała ją za ramię i pociągnął za sobą.

- Oczywiście twoje wyjątkowe wykształcenie obejmuje również taniec - warknął, zaciskając palce na jej gładkim ramieniu.

- Nie - odparła, dumnie unosząc głowę. - Myśliciele nie tańczą. Grają melodię, do której tańczą inni.

- Wierz mi, dziewczko, że dziś będziesz tańczyć - powiedział, wciągając ją między tańczących.

Buck i Robert Rennie spojrzeli na siebie z zadowolonym uśmiechem. Buck znów dołał nalewki do pustego kufła dziedzica. Wszyscy uważnie obserwowali niechętne ruchy Treasure i zdecydowany błysk w oczach dziedzica. Kiedy jednak taniec się skończył, Treasure szybko i zwinnie wymknęła mu się z rąk i znikła poza kręgiem światła. Renville przez jakiś czas usiłował ją odszukać, ale w końcu dał za wygraną, wrócił do stołu i rzucił się na ławkę, sięgając po kufel.

Pił wszystko, co nalał mu Buck, i powoli zaczynał odczuwać błogosławione otępienie. Nad jego głową konspiratorzy wymieniali niespokojne spojrzenia - dziedzic z pewnością mógł wiele wypić.

W miarę jak muzykanci popijali, muzyka stawała się coraz bardziej nieskoordynowana, ludzie śpiewali i śmiali się, szczęśliwi, że mają już za sobą zdenerwowanie ostatnich sześciu tygodni. W pewnej chwili Renville'owi się zdawało, że widzi Treasure, wstał więc, ale nogi miał coraz cięższe, a wzrok coraz bardziej zamglony, usiadł zatem z powrotem.

Nagle Treasure zjawiła się przy stole, przyprowadzona tu dyskretnie przez Collette Rennie. Spojrzała na Sterlinga Renville'a,

na jego arystokratyczne rysy, które miały na nią taki przemożny wpływ, a on odpłacił jej tępym spojrzeniem.

W jego pięknej męskiej twarzy wyraźnie widziała nienawiść; czuła ją w powietrzu. Właściwie nie powinno jej to wcale obchodzić, ale przedtem, kiedy do niej podszedł, kiedy jej dotknął, omal nie zemdląła z wrażenia.

Gdy wreszcie oderwała od niego wzrok, sięgnęła po kufel Bucka, wciągnęła oddech i jednym haustem wypita zawartość. W gardle, płucach i żołądku miała rozpalony ogień, a w oczach zakręciły jej się łzy.

- Jeszcze! - zażądała, zwracając się do Bucka.

Pograżona w ponurych myślach nie spostrzegła nawet, że ojciec z błyskiem w oczach szybko podał jej pełny kufel.

Godzinę później rozklekotany wóz ciągnął drogą w kierunku Renville House. Za wozem szła grupka najwybitniejszych obywateli Culpepper. Na wyścielanym słomą wozie leżała para śpiących ludzi. Konspiratorzy, milcząc, aby nie przebudzić śpiących, wzrokiem zachęcali się do dalszego działania.

Gdy wóz zatrzymał się przed owalnym portalem Renville House, pani Treacle pospieszyła do środka, aby zapalić świece, a Buck skinął na Lema Hodgsona, aby zaniósł dziedzica do środka. Lem zaszurał nogami, spojrzał na czekający nań ciężar i westchnął z ulgą, iż to nie on znajdzie się w łóżku z Treasure Barrett, po czym przerzucił sobie dziedzica przez ramię, jęcząc głośno.

Buck i Pen zdjęli Treasure z wozu. Wtedy Buck gestem nakazał Penowi, aby się odsunął, mrużąc, iż sam zanieśie córkę do "małżeńskiego łóża". Annis stała obok, z pobladłą twarzą, nerwowo załamując ręce. Collette prychnęła z irytacją, złapała Annis za ramię i pociągnęła do środka.

Dziwna procesja, z nieprzytomnym dziedzicem i śpiącą Treasure oraz całym orszakiem obserwatorów, szła za panią Treacle po krętych, mahoniowych schodach do „małżeńskiej sypialni”.

Treasure i dziedzica ułożono obok siebie na wielkim łóżu starego Renville'a i wszyscy z zadowoleniem spoglądali na swoje dzieło. Po chwili jednak pojawiły się pierwsze wątpliwości.

- To nie będzie całkiem wiarygodne - stwierdziła Collette - jeśli będą ubrani.

Mężczyźni spojrzeli na nią z porozumiewawczymi uśmieszkami, kobiety - z przerażeniem, ale Coliette znacząco dała wzrokiem znak Annis i pani Treacle, które milcząco ustąpiły.

- Jazda stąd, wszyscy- zarządziła Annis, zwracając się do mężczyźn.

Wyszli, mrużąc z niezadowoleniem pod nosem, rozczarowani, że ominie ich coś naprawdę ciekawego.

Coliette i Annis zdjęły z Treasure wierzchni fartuch i ściągnęły jej przez głowę niebieską suknię. Kiedy Annis zawahała się przy koszuli, Coliette sama sięgnęła po skraj spodniego odzienia.

- To nie - szepnęła Annis, patrząc na nią szeroko otwartymi oczyma.

- Jak się powiedziało A, to trzeba powiedzieć B, Annis. Jak będzie goła, nikt nie będzie miał wątpliwości, co zaszło.

Annis zsunęła przez głowę koszulę córki i gwałtownie się zaczerwieniła na widok jej nagiego ciała.

- Podobno urodziłaś dziesięcioro dzieci - stwierdziła ironicznie Coliette i pomogła przykryć Treasure prześcieradłem.

Annis podeszła do toaletki i wzięła szczotkę do włosów.

- A to po co? - spytała Coliette, biorąc się pod boki.

Annis zaczęła rozplatać gęsty warkocz córki.

- Niektórzy mężczyźni nie zwracają uwagi na nagość kobiety, ale lubią ładne włosy - wyjaśniła Annis.

- Zgadza się- mruknęła Coliette i podeszła do drzwi, aby wpuścić mężczyźn.

Renville'a rozebrano szybko i bezceremonialnie, i także przykryto prześcieradłem.

- Tak nie jest dobrze. - Coliette potrząsnęła głową. - Może trzeba go do niej bliżej przysunąć.

Przysunęli dziedzica bliżej i ponownie ocenili efekt swojego działania.

Kilka osób potrząsnęło głowami i zmarszczyło brwi.

- Może dziedzic powinien leżeć do niej twarzą? - zasugerował Pen.

Jednakże odwrócenie Renville'a na drugi bok też nie przyniosło spodziewanych efektów.

- Może powinien... jej dotykać - zaproponował Buck.

- No wiesz! - Annis obrzuciła męża oburzonym wzrokiem.
- Nigdy nie leżałem z tobą w łóżku bez dotykania - odparł.

Mężczyźni parsknęli cichym śmiechem, a Annis znów poczerwieniała pod wyzywającym spojrzeniem Collette.

- Spróbujmy- powiedziała pani Treacle, spoglądając przeprasząco na Annis. - Niech ją obejmie ramieniem w pasie.

Pen uniósł bezwładną rękę dziedzica i położył ją na talii Treasure, po czym pytająco uniósł brew.

- Lepiej - powiedział Benton Hegley - ale może trochę wyżej.

Pen posłusznie położył dłoń Renville'a na żebrach siostry.

- Wyżej - mruknęło chórem czterech mężczyzn.

Pen podsunął męską rękę aż do skraju piersi Treasure.

- Co za głupki - mruknęła zniecierpliwiona Collette i przykryła dłonią dziedzica nagą pierś dziewczyny. Teraz obie śpiące postacie przynajmniej pozornie wyglądały na zajęte pieśczętą.

Powoli wszyscy wyszli, jedynie Annis cofnęła się jeszcze od wyjścia i ułożyła pasmo włosów córki na poduszce. Zamknięto ciężkie podwójne drzwi sypialni i grupka konspiratorów zasiadła na korytarzu, aby oczekiwać na przebudzenie swej myślicielki i swego dziedzica.

Sterling Renville, weteran wielu rozpustnych uciech, pierwszy obudził się w nieprzyjemnej rzeczywistości. Bolała głowa groziła rozpadem i wydawało mu się, że cały świat wiruje. Zaciśnął rękę na czymś, co w niej trzymał, żeby jakoś odzyskać poczucie stabilności, ale to, co wypełniało mu dłoń, było za miękkie. Otworzył jedno przekrwione oko. Znajdował się we własnym łóżku, a jego ręka...

Rękę zaciskał na miękkiej piersi, a koło niego leżała kobieca postać. Z najwyższym wysiłkiem jednocześnie uniósł głowę i szerzej otworzył oczy. Na widok masy ciemnych włosów i zaróżowionej od słońca twarzy z długimi rzęsami i koralowymi, rozchylonymi ustami, aż usiadł. Z niedowierzaniem gapił się na częściowo okryte prześcieradłem ciało Treasure Barrett.

Usiłował sobie przypomnieć, jak to się mogło stać, że są tu razem, w jednym łóżku, ale cały miniony wieczór ginał w mrokach

niepamięci. Jedyny fakt, to była uroczystość świętego Bouillabaisse czy jak on się tam nazywał.

Pamiętał drogę na plac, to, że na jaw wyszło oszustwo mieszkańców Culpepper i że chciał się zemścić na Treasure Barrett...

Teraz wpatrywał się w nią z rosnącym niepokojem. Najwyraźniej zemścił się i posiadał dziewczkę, ale nie pamiętał z tego ani jednej chwili. Co mu się stało? Upił się do nieprzytomności? To mu się nigdy nie zdarzyło. I żeby nie pamiętał łóżkowych amatorów z taką rozkoszną dziewczką - to było wprost niewiarygodne. Ta szamanka musiała rzucić na niego jakiś urok.

Wstał, podszedł do miski z wodą, oblał sobie głowę, wytarł do sucha i znalazł na podłodze ubranie. Musiało mu się bardzo spieszyć...

Skończył się ubierać, gdy Treasure poruszyła się na łóżku i coś mruknęła. Otworzyła oczy i szybko znów je zamknęła, gdy zobaczyła Renville'a.

- Już rano, dziewczko. - Wyprostował się, czując się lepiej z każdą sekundą. - Pora wstać i zapłacić za grzechy minionej nocy.

Klepnął ją z całej siły w udo, aż łzy napłynęły jej do oczu.

Spojrzała na niego z wściekłością, ale nie zdążyła nic powiedzieć, gdyż zrobiło jej się niedobrze. Na szczęście w tym momencie ujrzała przed sobą nocne naczynie i mogła sobie ulżyć.

- Najlepiej wszystko z siebie wyrzucić.

Renville popchnął ją lekko z powrotem na poduszki i zdumiewająco delikatnie odsunął jej z twarzy wilgotne włosy.

- I nie dziw się, jeśli będzie to zaledwie pierwsza kara za nasze nocne zabawy. Kobiety nie powinny pić nalewki.

- Niech się pan zamknie - jęknęła i dopiero teraz zdała sobie sprawę, że jest całkiem naga i że leży na łóżku w sypialni starego dziedzica, które należało obecnie do Sterlinga Renville'a.

Za drzwiami dały się słyszeć jakieś głosy. Dziedzic odwrócił się ze złością. Drzwi otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich pani Treacle, broniąc wejścia własną piersią.

- Nie możecie tu wejść, to jest sypialnia pana dziedzica.

- Wiem, co to jest, kobieto, mam oczy.

Buck Barrett odepchnął ją i wszedł do środka. W rękę trzymał strzelbę, a za jego plecami stało trzech synów i potężny Lem Hodgson.

- Ty podstępny oszuście!

Buck wycelował strzelbę w brzuch Renville'a, przedstawiając sobą obraz zagniewanego ojca o czerwonej twarzy i z nabrzmiętymi żyłami na szyi.

- Co ty tu robisz? Jak śmiesz się tu pakować? - Renville postąpił dwa kroki w stronę Bucka.

- To ja powinienem pytać, co tu robi moja córka. A na to jest tylko jedna odpowiedź, skoro leży w pańskim łóżku, goła, jak ją pan Bóg stworzył.

Wszystkie oczy skierowały się na Treasure, która tylko jęknęła, podciągnęła prześcieradło i znów lekko zzieleniała.

- Zrujnował ją pan, panie dziedzicu. Moja Treasure była dobra, niewinną dziewczyną, a pan ją zrujnował! - Buck coraz bardziej rozgrzewał się w swej dramatycznej roli. - Powiniennem z panem skończyć od razu.

- Ależ ojciec... - Treasure usiłowała usiąść, ale nudności zmusiły ją do tego, aby zwinęła się w kłębek. Chciała umrzeć.

- Zaczekaj, Barrett! - Renville cofnął się o krok gdy mężczyźni ruszyli w jego kierunku. - To nie ja ją tu sprowadziłem...

Urwał, gdy obecni spojrzeli na niego z najwyższym niesmakiem.

- Jasne. - Buck zmrużył ironicznie oczy. - Zaraz pan powie, że moja córka sama weszła panu do łóżka. A przecież każdy wie, że jej te sprawy w ogóle nie interesują. - Lufa strzelby wymierzona była w pierś Renville'a.

- Nie, ojciec, zaczekaj...

Treasure zadrżała spazmatycznie i przechyliła się przez brzeg łóżka, wymiotując.

- Wielki Boże! Co pan jej zrobił?! Zapłaci mi pan za to, draniu! Biercie go, chłopcy - dodał, zwracając się do synów.

Bez słowa, nie dając mu żadnej szansy, zanieśli go na dół, do biblioteki, na oczach przerażonej służby. Tam posadzili go w starym fotelu ojca. Strzelba leżała na biurku, wycelowana w pierś dziedzica.

Po chwili nadszedł ojciec Vivant - czerwony na twarzy, bez tchu, przerażony.

- *Non, non*, to zbyt okropne! *Mon Dieu*, panie dziedzicu, jak pan mógł coś podobnego zrobić? Sprowadził pan na nas

take nieszczęście! I to kiedy się zebraliśmy, żeby pana godnie pożegnać.

- Straty wianka u dziewczki nie można traktować jak nieszczęścia, Vivant. Każ, żeby mnie puścili, albo zapłacisz mi za to, przysięgam!

Renville spojrział na księdza z żądzą mordu w oczach i ojciec Vivant przełknął ślinę.

- Treasure nie jest zwykłą młodą dziewczyną; jest naszą myślicielką i ma specjalne talenty dane jej przez Boga. *Sacre bleu!* Obraził pan Boga i pogwałcił jego prawa!

- Być może ciebie przekonała, iż jest darem od Boga, Vivant, ale ja spotkałem już w życiu sporo kobiet, które miały podobne złudzenia, i niełatwo mnie zwieść. Jeśli chodzi o te sprawy, lubi je tak samo, jak wszystkie inne dziewczki o gorącym temperamencie. Po ostatniej nocy nie mam wątpliwości. - Tu dziedzic trochę się zagalopował. - W gruncie rzeczy sama pewno to wszystko obmyśliła. Nie wystarczyło jej, że się wtrąciła w moje porachunki i zwrot długów. Zachciało jej się czegoś więcej. Czego chce tym razem Barrett? Pieniędzy? Ziemi? Czy tylko arystokratycznego ogiera?

- Dość!

Tolerancja ojca Vivanta miała swoje granice. Młody dziedzic nawet nie próbował zaprzeczać, że posiadł Treasure. Niezależnie od tego, czy było to ukartowane przez niektórych mieszkańców Culpepper, czy nie, ojciec Vivant uwierzył, że ta okropność faktycznie się zdarzyła. Jego brązowe oczy pały świętym oburzeniem i dosłownie urósł na ich oczach, stając się uosobieniem kościelnego oburzenia. Podszedł bliżej i pomachał dziedzicowi przed nosem pulchnym palcem.

- Niech Bóg panu wybaczy, panie dziedzicu, pańskie bezbożne zachowanie. - Tu ksiądz przeżegnał się szybko. - Musi pan zapłacić za swój grzech względem Treasure Barrett i wszystko naprawić. *Tout de suite*. Ożeni się pan z nią jeszcze dzisiaj.

Renville skoczył do przodu, wrywając się z rąk Barrettów.

- Jeszcze czego!

Reakcja Treasure, gdy ojciec Vivant odwiedził ją trochę później na łożu boleści, niewiele się różniła. Annis pielęgnowała ją w łóżku Renville'a za pomocą naparu z ziół.

- Wyjść za Renville'a? To absurd! Nie, ojcze, żaden grzech nie wymaga takiej pokuty! - Nie zwracając uwagi na błagalne spojrzenia matki, zerwała się z łóżka i stanęła przed księdzem, zapominając, iż jest tylko w cienkiej koszuli. - Nie zgadzam się! Nie mogę być ukarana za coś takiego, czego sobie w ogóle nie przypominam.

- Treasure, musisz się poddać prawom kościoła i naprawić zło. Uwiedzenie jest rzeczą złą, występna i niską moralnie i nie może pozostać bez kary.

Treasure spojrzała na niego z przerażeniem.

- Nie myśli ojciec, że to moja wina! - zawołała i oblała się rumieńcem.

- *Non, ma cherie.* - Ojciec Vivant westchnął ciężko. - To wina Renville'a. I może nalewki twego ojca, co? Ale to nie gra roli. Co się stało, to się stało, i Renville zasłużył, aby się z tobą ożenić.

- Zasłużył?! To ma być jego kara? - Zacisnęła pięści. - Do diabła!

- Treasure! Nie pozwalam na takie bluźnierstwa! *Mon Dieu!* Co ci się stało? Znasz kanon kościelny równie dobrze jak ja... Wiesz, jakie są konsekwencje, kiedy mężczyzna i dziewczyna robią to poza małżeństwem.

- Nie jestem dziewczyną! - wykrzyknęła. - Jestem myślicielką, a to zupełnie coś innego. - Podeszła bliżej i spojrzała mu prosto w oczy.

- Mylisz się, Treasure Barrett. - Ojciec Vivant nie potrafiłby wyprzeć się standardów Kościoła. Z bólem spojrzał na jej piękną twarz. Dziewięć lat temu nie przyszłoby mu do głowy, że jego nauki i popieranie jej specjalnych talentów mogą doprowadzić do czegoś takiego. - Jesteś kobietą, moje dziecko. Niech mi Bóg wybaczy, powinienem był przewidzieć, iż ten dzień kiedyś nadejdzie, i cię nań przygotować. Teraz jednak nie dam się zwieść z właściwej drogi. Treasure, musisz wyjść za człowieka, który odebrał ci dziewictwo, nawet jeśli jest to dziedzic.

Tymczasem na dole Buck i jego chłopcy usiłowali przekonać Renville'a o tym, że musi się ożenić z Treasure, ale on nadal

protestował i się wykręcał. W końcu Lem Hodgson podszedł do niego, chrząknął i powiedział:

- Wiele razy występowałem w obronie Treasure. Zrobię to jeszcze raz. - Pozostali spojrzeli na niego ze zdumieniem. Dwa zdania to był dla Lema absolutny rekord. Potężny młody człowiek splótł przed sobą dwie wielkie pięści i uśmiechnął się złośliwie. - Zawsze chciałem na własne oczy zobaczyć tę błękitną, arystokratyczną krew.

Buck i jego synowie bez słowa zaczęli przesuwając meble pod ściany.

- Myślę, że będziesz chciał porozmawiać z dziedzicem w cztery oczy. - Buck wyprostował się i zarzucił strzelbę na ramię. - Przypilnujemy, żeby wam nikt nie przeszkadzał.

Dyskusja była nieco burzliwa i dłuższa, niż przypuszczano, choć z drugiej strony dziedzic też nie należał do słabeuszy, a poza tym bronił tego, co jest dla mężczyzny najcenniejsze: własnej wolności. W końcu jednak drzwi się otworzyły i przewidywany zwycięzca wyszedł z biblioteki chwiejnym krokiem.

- Czerwona - mruknął wielce rozczarowany Lem. - Jest czerwona.

11

Zaślubiny odbyły się następnego wieczoru w eleganckim salonie w Renville House. Odłożono je o dwadzieścia cztery godziny, pani Treacle bowiem potrzebowała trochę czasu, aby przygotować weselną ucztę. Opóźnienie spowodował też opór panny młodej.

Perswazje i namowy nie przynosiły żadnego skutku. Tracono już nadzieję, kiedy do sypialni wszedł Pen. Treasure, która siedziała zgarbiona przy drzwiach od balkonu, spojrzała na niego ze złością.

- Widziałem cię po kolana we krwi i bydlęcych wnętrznościach - zaczął. - Widziałem, jak nie mrugnawszy okiem ucięłaś Amosowi Lingenfeldtowi nogę powyżej kolana. Widziałem, jak poskromiłaś konia, który oszalał. Widziałem, jak sama sobie nastawiłaś złamaną rękę. Ale nigdy nie widziałem, żebyś się czegoś bała - do tej pory.

- Ja się boję? Chyba nie wiesz, co mówisz - warknęła.

Uwagi Pena były jednak dość bliskie prawdy. Nie tyle bała się Renville'a, który w końcu był tylko mężczyzną, ale po prostu nie wiedziała już, kim sama jest. Renville udowodnił jej, że jest dojrzałą kobietą, i sprawił, że zaczęła wiele rzeczy odbierać emocjonalnie. Dopóki go nie poznała, nigdy nie odczuwała takich ataków gniewu, nigdy nie chciała umrzeć ze wstydu, nie marzyła o zemście, nie cierpiała na nocną gorączkę. Bała się tego, co jeszcze może odkryć, jeśli zmuszą ją do małżeństwa.

- Boisz się jak nie wiem co - dogadywał Pen.

- Właśnie, że nie!

- Boisz się Renville'a. On jest przyzwyczajony do eleganckich dam i ich kaprysów.

- Nie bądź śmieszny. I tak go okpiłam.

- A on ci się odwdzięczył. - Pen roześmiał się swym gardłowym śmiechem i Treasure mimowolnie poczerwieniała.

Pen ruszył do drzwi. Treasure złapała go za ramię.

- Mówię ci, że się go nie boję.

- To o co tyle hałasu? Spędzisz z nim jedną noc, małżeństwo będzie legalne, a potem on i tak pojedzie do Anglii. I wszystko wróci do normy. Tyle że będziesz tutaj mieszkać... Jak dama.

- Nic nie rozumiesz!

- Więcej, niż ci się wydaje. Może ci się to nie podoba, ale masz na niego chętkę. Jak zwyczajna kobieta.

- Nieprawda! -wykrzyknęła, ale Pen już zamknął za sobą drzwi.

W salonie oprócz ojca Vivanta, który miał dokonać ceremonii zaślubin, zebrali się tylko Barrettowie, Lem Hodgson i służba Renville'a. Treasure wystąpiła w swojej zwykłej niebieskiej sukni i nie pozwoliła zmienić sobie fryzury. Kiedy nadeszła pora, Buck poszedł na górę po córkę.

- Mam cię poprowadzić do ołtarza.

- Raczej na nim złożyć - mruknęła i sama zeszła na dół.

Renville z kolei nie zamierzał specjalnie się ubierać i wystąpił jedynie w koszuli. Twarz miał całą pokiereszowaną i poruszał się szttywno.

Oboje weszli oddzielnie do salonu i trzeba ich było szturchnąć, aby stanęli przed ojcem Vivantem, który jeszcze nigdy nie udzielał ślubu tak niechętniej parze. Patrzyli wprost przed siebie, unikając wzrokowego kontaktu.

Ojciec Vivant odczytał modlitwę po łacinie, a potem zamknął mszał, złożył dłonie na brzuchu i czekał w milczeniu, aż staną twarzą w twarz. Po długiej chwili Renville odwrócił się trochę w stronę Treasure, wziął ją za ramiona i postawił twarzą do siebie.

Treasure ze współczuciem spoglądała na zmasakrowane oblicze Renville'a i ból malujący się w jego oczach, nie bardzo słysząc słowa księdza. Zamrugała gwałtownie, gdy ojciec Vivant podał

modlitewnik Penowi, wziął ją za rękę i połączył z ręką Renville'a. Kiedy podniosła na niego wzrok, przekonała się, iż w jego oczach nie widzi złości ani nienawiści.

Sterling Renville przyglądał się z zainteresowaniem uczuciom, które tak wyraźnie występowały na obliczu Treasure, i serce przepełniło mu coś zbliżonego do wzruszenia.

Kiedy jednak ojciec Vivant kazał mu powtarzać słowa przysięgi małżeńskiej, szybko wrócił do ponurej rzeczywistości. Ta dziewczka nieźle udawała współczucie, a on prawie dał się na to nabrać. Mogli go zmusić do powtórzenia słów przysięgi, ale nie mogli sprawić, aby jej przestrzegali.

Kiedy skończono oficjalną ceremonię, ojciec Vivant przypomniał Renville'owi, że może pocałować świeżo poślubioną żonę. Zapadła głucha cisza.

- To właśnie tego rodzaju bezsensowne postępowanie doprowadziło mnie tutaj - powiedział Renville lekceważąco.

Treasure omal nie rzuciła się na niego z pięściami, na szczęście Pen zdołał ją w porę powstrzymać.

- Będzie i później na to czas. - Ojciec Vivant odkaszlnął nerwowo. - Jest takie powiedzenie, że zabieganie o względy kobiety powinno się rozpocząć następnego dnia po ślubie.

Renville odwrócił się i poszedł za panią Treacle do przystrojonej jadalni. Długi stół ozdabiały świeże kwiaty i biały obrus, zapalano właśnie nowe woskowe świece, meble wyczyszczono do połysku. Żółte światło tańczyło w załamaniach francuskich kryształów i odbijało się w srebrnej zastawie. Barrettowie, Lem i ojciec Vivant aż krzyknęli z wrażenia i podziwu.

Pani Treacle usadziła gości według zwyczaju, kiedy zaś po prawej ręce dziedzica zostały tylko dwa miejsca, Pen prędko usiadł między nim a siostrą.

Posiłek przebiegał w dość chaotyczny sposób. Buck z uśmiechem zwracał się co chwilę do Renville'a per „synu”, co ten przyjmował zamykaniem oczu i bezgłośnym otrząsaniem się. Barrettowie domagali się stale kolejnych butelek wina, mówili z ustami pełnymi jedzenia, wycierali tłuste brody w rękawy i opowiadali szczegóły z życia Treasure.

Niechęć i pogarda Renville'a dla swych nowych krewnych,

nieustannie przez niego manifestowana, sprawiła, iż Treasure coraz bardziej przyciskała się do oparcia krzesła.

Wreszcie Renville odsunął się z hałasem od stołu i wstał, rzucając na stół serwetę.

- To był dla mnie szczególnie męczący dzień - oznajmił. - Nie przeszkadzajcie sobie w zabawie.

Odwrócił się i zdążył zrobić dwa kroki, gdy rozległ się głos Bucka:

- Dzie... Synu, zapomniałeś o żonie.

Renville odwrócił się z wystudiowaną cierpliwością i spojrział lekceważąco na Treasure.

- Ach, tak. Chodź... żono.

Treasure założyła ręce na piersiach i nawet nie drgnęła.

- Nie należy jej pobłażać, panie dziedzicu. Za długo pozwalaliśmy jej...

Renville spojrział na wściekłą Treasure z chłodną uwagą, po czym zakręcił się na pięcie i wyszedł. Buck siedział najpierw z otwartymi ustami, ale kiedy ojciec Vivant przypomniał mu, że tego właśnie można się było spodziewać, podskoczył i poderwał córkę z krzesła. Nim zdążyła zareagować, przerzucił ją sobie przez ramię.

- Puść mnie, ojcze... Nie!... Nie zmusisz mnie...

Jednakże protesty Treasure na nic się nie zdały. Ojciec zaniósł ją na górę i bezceremonialnie posadził na podłodze w sypialni Renville'a. Nim ten się zorientował, Buck wyciągnął klucz z zamka, wyszedł i zamknął ich w sypialni od zewnątrz.

Dziedzic najpierw załomotał kilka razy pięściami w drzwi, a potem zaczął nerwowo chodzić po pokoju. Powinien był się od razu zamknąć od środka, ale nie przyszło mu do głowy, że własny ojciec wepchnie mu Treasure do sypialni.

Spojrział na dziewczynę, która siedziała oszołomiona na podłodze, w podwiniętej sukni, odsłaniającej zgrabną nogę. Dziedzic podszedł i stanął nad nią, trzymając się pod boki.

- Niech mnie pan nie dotyka! - syknęła. Odsunęła się kawałek, uklękła i wstała.

- Nie mam najmniejszego zamiaru, dziewczko. Zapamiętaj to sobie raz na zawsze. Kręciłaś, oszukiwałaś i wreszcie pościeliłaś

sobie luksusowe łóżko. Dziś będziesz na nim spała. Ale się nie przyzwyczajaj, bo to nie potrwa długo. I nie wchodź mi w drogę. Jeśli mnie rozżłościsz i coś się stanie, będzie to wyłącznie twoja wina za zmuszenie mnie do tej farsy. Nawet nie mogę nazwać tego „małżeństwem”.

- Oszukiwanie? Zmuszanie? Niech pan sobie nie pochlebia, Renville. Nie miałam z tym nic wspólnego!

- Przypuszczam zatem, że to było nadzwyczaj korzystne zrządzenie losu, iż znaleziono cię w łóżku z człowiekiem, który chciał zabrać ziemię twemu ojcu? Bierzesz mnie za głupka?

- Tak, za okrutnego, chciwego i zarozumiałego głupka - odparła. - Ja miałabym kręcić, żeby wyjść za pana? Czy za kogokolwiek innego? Musieli mnie zamknąć, żeby mnie zmusić do tego ślubu.

- Kłamstwo! Nie ma kobiety, która by nie chciała wyjść za mąż za kogoś lepszego od siebie.

- Nie jestem zwykłą kobietą! Jestem myślicielką! A myślicielki nie muszą wychodzić za mąż.

- Nie, one się tylko pokładają na brzegu rzeki, kiedy przyjdzie im ochota.

Nim zdążył oderwać wzrok od jej pałających ogniem oczu, z całej siły walnęła go w twarz. I natychmiast z przerażeniem położyła dłoń na ustach, spoglądając ze strachem na Renville'a. Dziedzic jedną ręką trzymał się za policzek, drugą miał zwiniętą w pięść. Treasure była pewna, że za chwilę odda jej cios.

Tymczasem Renville wyprostował się i z wysiłkiem zrobił krok do tyłu. Opuścił rękę, którą trzymał przy policzku, i zobaczył na niej krew. Uderzenie dziewczyny na nowo otworzyło jedną z ran.

Na ten widok Treasure odzyskała przytomność umysłu. Jeszcze nigdy w życiu nikogo nie uderzyła, a teraz - w noc poślubną - zraniła Sterlinga Renville'a do krwi.

- Ja... - Wyciągnęła do niego drżącą rękę, a on cofnął się, jakby to była żmija. - Mogę coś z tym zrobić.

- Już zrobiłaś.

- To znaczy... Mogę zatamować krew. - Wzięła go za ramię, ignorując fakt, iż usiłował się wyrwać. - Proszę tu podejść i usiąść.

Po chwili Renville dał się zaprowadzić do dużego fotela obok

wygaszonego kominka. Treasure pośpiesznie wzięła stojącą obok łóżka swoją torbę z ziołami i już po chwili stała przed nim z garścią ziół i miską z wodą. Ostrożnie przysunęła się bliżej, postawiła mu na kolanach miskę i spojrzała na strumyczek krwi ciekący ze skaleczonego policzka. Zmoczyła w wodzie ręcznik i powoli obmyła ranę. Kiedy dotknęła chłodnymi palcami skóry, Renville zesztyniał i zacisnął usta.

- Nie chciałam pana urazić - powiedziała załamującym się głosem, przyciskając do siebie krawędzie rozciętej skóry. - W ten sposób tamuję krew. Potem posmaruję to miejsce balsamem ze specjalnego zioła.

Przyglądał jej się spod przymkniętych powiek, czując, jak dotyk jej palców sięga mu aż do serca. Nie potrafił zrozumieć Treasure Barrett - w jednej chwili była dumna, wściekłą lisicą, w drugiej - delikatnym, szczerym dzieckiem. Z jednej strony pociągała go jej słodycz i rzadka zmysłowość, z drugiej - doprowadzały do szału zarozumiałość i zuchwalstwo.

Jego ciało jednoznacznie reagowało teraz na jej ciepłą bliskość, a jeszcze przed chwilą miał ochotę ją udusić.

Treasure wiedziała, iż dziedzic jest wściekły. Dotykając jego skóry, czuła w sercu niewypowiedzianą samotność.

- Jeszcze nigdy nikogo nie uderzyłam. Przepraszam - szepnęła.

- Mam to wątpliwe szczęście, że zawsze jestem w czymś pierwszy - mruknął i odsunął jej dłoń od twarzy. - Wystarczy, na pewno się zagoi.

Tylko siłą woli udało mu się oderwać rękę od jej palców. Szybko wstał z fotela i stanął tyłem do niej, pośrodku pokoju, wpatrując się w zapadającą ciemność.

- Idź spać - powiedział beznamiętnym głosem.

Otworzył drzwi na balkon i wyszedł na zewnątrz. Treasure przyglądała mu się z żalem, wiedząc, iż dziedzic nie jest w stanie przebywać z nią w tym samym pomieszczeniu. Powłócząc nogami, podeszła do wielkiego łóża i usiadła. Jeszcze nigdy nie czuła się tak mała i samotna. Gdyby tylko był przy niej stary Darcy...

Renville walczył ze sobą w narastającej ciemności. Pożądał Treasure Barrett bardziej niż jakiegokolwiek kobiety w swoim

życiu. Niezależnie od swych wad, wypełniała jego myśli i podniecała ciało. Była wyjątkowo zmysłowa, nieprzewidywalna i fascynująca. Z drugiej strony przyszyły hrabia Rothmere nie mógł się zadawać z kobietą niskiego pochodzenia. Wyobraził ją sobie w eleganckim londyńskim salonie markizy Eiderly - z bosymi nogami, w wypłowiałej sukni z dziecinnym warkoczem... A potem siłą woli przypomniał sobie także, że to ona była winna jego nieobliczalnych strat finansowych.

Nie wierzył, iż nie maczała palców w tym ukartowanym małżeństwie, choć musiał przyznać, że sam też nie był bez winy. Co gorsza, posiadał ją po pijanemu i nie miał z tego żadnej satysfakcji. Ale i nie będzie miał za czym tęsknić po powrocie do Londynu.

Ta myśl pozwoliła mu racjonalnie pomyśleć o czekającej go nocy. Kiedy wszedł do pokoju, Treasure siedziała na łóżku, kręciła w rękach brzeg fartucha i walczyła ze łzami.

- Do diabła! Jak masz płakać, to zrób to!

Odwróciła się do niego tyłem.

- Ja nie płaczę - powiedziała ostro. - Ja nigdy nie płaczę.

- Nie bądź śmieszna. Wszystkie kobiety płaczą. Od urodzenia.

- Nie jestem kobietą! Jestem myślicielką.

Rozpaczliwy wyraz fiołkowych oczu uderzył Renville'a prosto w serce. Nim zdążył pomyśleć i powiedzieć coś kąśliwego, złapał ją za ramiona i postawił na nogi, kładąc usta na jej rozchylnych wargach.

Początkowo Treasure usiłowała mu się wyrwać i nabrać powietrza w płuca, ale wkrótce niespodziewana przyjemność pozbawiła ją tak przyziemnych zmartwień jak śmierć przez uduszenie w trakcie pocałunku. Przyłgnęła do niego mocniej i oddała się pieszczocie.

Renville błędził rękami po jej ciele, po wszystkich tych zakamarkach, po których tak często do tej pory błędził jedynie wzrokiem. W końcu, ze zduszonym jękiem, oderwał się od jej ust i spojrzał na zaróżowioną namiętnością twarz.

- Nie jesteś taka mądra, jak ci się wydaje - powiedział ochrypłym głosem - skoro nie wiesz, że jesteś prawdziwą kobietą.

Po chwili Treasure poczuła, że coś szarpie ją za warkocz, i zrozumiała, że Renville rozplata jej włosy, które w gęstych, błyszczących puklach opadły jej na plecy. Przeczesał je rękami,

a potem przytknął jedno pasmo do twarzy i ich zapach całkowicie wyrugował z jego myśli jakkolwiek logikę.

Rozwiązał tasiemki fartucha, który opadł na podłogę, i już po chwili ściągał z niej przez głowę niebieską suknię. Treasure próbowała zasłonić się rękami, ale Renville nie pozwolił na to, przyciągając ją do siebie i całując, gdy jednocześnie dłońmi zataczał koła na jej rozkosznym tyłeczku ledwo osłoniętym cienką koszulą. W odpowiedzi przycisnęła do niego drżące piersi.

Kiedy podniósł ją do góry i położył na miękkim łóżku, przestała myśleć, cała skupiona w oczekiwaniu, jakiego nigdy dotąd nie potrafiła sobie wyobrazić.

Leżąc na wysokich poduszkach, przyglądała się, jak Renville ściąga buty i zdejmuje koszulę, a potem idzie do niej.

Początkowo całował jej szyję i włosy, potem wrócił do ust i całował ją tak namiętnie, że zarzuciła mu ręce na szyję i odpowiedziała całą sobą. Doświadczonymi rękami pieścił jej piersi, biodra i wzgórek Wenus między nogami. Instynktownie odwzajemniała pieszczoty.

Podniósł jej koszulę i przylgnął do niej nagim torsem. Kiedy wreszcie zdjął bryczesy i rozsunał kolanem jej nogi, wygięła się w łuk, chcąc go jak najszybciej poczuć w sobie. Doszli do punktu, który już wcześniej osiągnęli. Dalsze postępowanie wymagało zaufania i Treasure bez wahania obdarzyła nim Sterlinga Renville'a, powierzając mu całą siebie - swoje ciało i duszę. A on przyjął je troskliwie.

Wszedł w nią powoli, nie za głęboko, dążąc do osiągnięcia całkowitej przyjemności w jak najdłuższym czasie.

Wsuwał się i wysuwał, redukując jej napięcie i wypełniając ją potrzebą rozkoszy. Wzdychała, kręciła się po nim i przyciskała go do siebie w rosnącym pożądaniu. Kiedy wreszcie jej twarz nabrała cudownego brzoskwiniowego koloru, wiedział, że nadszedł czas, i wszedł w nią do końca, mocno obejmując rękami jej wspaniałe ciało.

Tępy ból zaskoczył Treasure; jęknęła i wbiła paznokcie w plecy Renville'a. Poczul, że zeszywniała, i wszedł w nią jeszcze głębiej, przypisując jej reakcję brakowi doświadczenia. Kiedy znów się rozluźniła, pod wpływem nieustannych pocałunków, ponownie zaczął się poruszać w jednostajnym rytmie.

Niewysłowiona przyjemność zalała Treasure falami, które przychodziły i odchodziły w miarę, jak Renville poruszał się w niej coraz szybciej.

Czuła, że się rozpląwa, że znika w otaczającej ją bezgranicznej jasności, że znajduje się nad skrajem przepaści, w której za chwilę zginie ze szczęścia.

Po długiej chwili Treasure otworzyła oczy. Renville uśmiechnął się, pocałował ją delikatnie i poruszył się, chcąc się przesunąć na łóżko.

- Nie - powiedziała szybko i zaczerwieniła się, widząc zdumienie w jego oczach.

- Jestem dla ciebie za ciężki - mruknął, odgarniając jej z twarzy wilgotne kosmyki. A kiedy potrząsnęła głową, roześmiał się, bo i on nadal odczuwał pożądanie.

- Nie martw, nie idę daleko.

Wrócił po chwili i wziął ją w objęcia. Treasure wiedziała, że Sterling Renville nie udowodnił jej, iż jest kobietą; on z niej zrobił kobietę. Przymknęła powieki i po raz drugi w życiu z jej oczu popłynęły łzy.

12

W chłodnej szarości przed świtem Treasure poruszyła się w ramionach Renville'a i jego ciepłe, nagie ciało szybko przypomniało jej o doznanej satysfakcji.

A więc to jest sport, pomyślała. Nie było to odpowiednie określenie na coś tak słodkiego i jednocześnie wstrząsającego. Znała cały szereg innych określeń, ale żadne z nich nie odpowiadało temu, co czuła, żadne nie zawierało w sobie czułości i niesłyszanej przyjemności, jakie przeżyła ze Sterlingiem Renville'em. Było w tym coś kochającego... Tak, pomyślała z zadowoleniem, to jest kochanie.

Renville przez sen przewrócił się powoli na plecy. Treasure po raz pierwszy mogła wyraźnie zobaczyć wszystkie siniaki i skaleczenia na jego twarzy. Wstała cicho z łóżka i poszła do umywalni, gdzie stała jej torba z ziołami. Wkrótce wróciła i usiadła po turecku na łóżku, obok pogrążonego we śnie Renville'a.

W ręce miała kulkę oczyszczonego gęsiego tłuszczu, który zmieszała teraz z suchym liściem i bardzo delikatnie posmarowała tą mieszaniną twarz Renville'a, a potem, impulsywnie, pochyliła się i lekko pocałowała każde skaleczenie.

Renville otworzył oczy.

- Nie śpi pan. Myślałam...
- To bardzo przyjemny sposób budzenia - powiedział i uśmiechnął się krzywo. - Czym mi posmarowałaś twarz?
- Specjalnym ziołowym balsamem. Robi się go z gwiazdnicy, nazywanej także ptasim zieleń. To nisko rosnąca roślina z małymi

białymi kwiatkami. Jest bardzo dobra na skaleczenia i zadrapania, a zwłaszcza na siniaki. Susquehannas...

Renville wyciągnął rękę i położył jej na ustach.

- A to drugie? Czy zrobiłaś to wyłącznie w celach terapeutycznych?

- Nie jestem pewna - przyznała, nie mogąc oderwać wzroku od jego oczu. - Być może. - Dłoń Renville'a przesunęła się z jej kolana na biodro. - Matki zazwyczaj stosują ten sposób i... zwykle pomaga... Łagodzi ból.

Palce Renville'a zatrzymały się na jej piersi.

- Zrób to jeszcze raz - rozkazał.

Pochyliła się i dotknęła wargami jego skroni, policzka i szczęki. W tej samej sekundzie objął ją i przyciągnął do siebie. Pocałowała go w kącik ust.

- Przysięgam, że już mi lepiej. - Ona naprawdę jest szamanką, pomyślał. - Czy mam ci powiedzieć, gdzie mnie jeszcze boli?

Zamknęła mu usta pocałunkiem, który przyprawił oboje o drżenie.

- Moja słodka Treasure, takim całusem mogłabyś wskrzeszać umarłych - powiedział ze śmiechem. Miał wspaniały, głęboki, męski śmiech. - Mnie w każdym razie podniosłaś.

Z tymi słowami przycisnął ją mocniej do siebie, udowadniając to, co wyraził słowami.

- Jesteś bardzo piękna, Treasure. Jest w tobie wszystko, czego mężczyzna może chcieć od kobiety... I jeszcze więcej - dokończył i zaczął przesuwając wargami po jej szyi i piersiach. Odczucia Treasure były wprost paraliżujące.

Kiedy znieruchomiał, otworzyła oczy, żeby zobaczyć, co się dzieje. Przyglądał się jej ciału płonącymi oczyma, a po chwili delikatnie dotknął jej rudozłotych włosów łonowych.

- Są rude! - wykrzyknął ze zdumieniem.

- Czy to źle? - spytała nieśmiało.

- Nie, to bardzo interesujące - odparł z lubieżnym uśmiechem.

Treasure przyciągnęła go do siebie. Chętnie zaakceptowała jej zaproszenie.

Tym razem umiała lepiej dopasować się do jego rytmu i razem osiągnęli spełnienie. Kiedy w końcu Sterling Renville pocałował

ją czule i odsunął się na łóżko, mruknęła tylko z ukontentowaniem i zwinęła się w kłębek, kładąc głowę na jego ramieniu. Czuła się zupełnie spokojna i cudownie zaspokojona. Nic dziwnego, że kobiety dla takiej przyjemności ryzykują nawet możliwość urodzenia dziecka, pomyślała.

A może to tylko Sterling Renville posiadał takie umiejętności? Jakoś nie umiała sobie wyobrazić w tej roli Pierre'a Fayette'a. A może to oni razem tworzyli taką niesamowitą parę? W końcu nie wszystkie kobiety były tak entuzjastycznie nastawione do fizycznej miłości, szczególnie te, które nie za bardzo lubiły swoich mężów.

Pocałowała Renville'a w policzek, a potem polizała jego skórę.

- Ma pan smak soli - powiedziała, odnotowując jeszcze jedną informację.

Wziął jej dłoń, która leżała na jego piersi, i po kolei oblizał wszystkie palce.

- Ty też.

Po chwili oboje spali.

Był późny sierpniowy ranek. Renville poruszył się leniwie i szybko oprzytomniał pod wpływem ciepła bijącego z przytulonego do niego ciała Treasure. Z prawdziwą satysfakcją obrzucił spojrzeniem jej wspaniałą sylwetkę. Wspomnienia minionej nocy sprawiły, że uśmiechnął się z zadowoleniem.

Treasure Barrett była chętna i rozkoszna, dokładnie tak, jak przewidywał. Zdziwiła go jej reakcja - mimo braku doświadczenia znalazła w ich zbliżeniu pełnię przyjemności. Była doprawdy wyjątkowa, sprytna i... pomysłowa.

To ostatnie określenie spowodowało, że zmarszczył z niepokojem czoło. Jej pomysłowość drogo go kosztowała. Biorąc ją do łóżka, zachował się całkiem bezsensownie. Znowu dał się nabrać. Skonsumował ich małżeństwo i nic już nie mogło go uratować.

Wstał i spojrzał na śpiącą Treasure z autentycznym strachem. Przysięgał sobie, że nie zrobi niczego, co mogłoby zapobiec anulowaniu małżeństwa.

Zaczął nerwowo chodzić po pokoju, przeczesując włosy, w końcu

wziął z podłogi spodnie i koszulę, aby zakryć i powstrzymać swoje zdradzieckie ciało.

Odkąd tu przyjechał, męczył go nieustanny niepokój. Pił za dużo, za często słuchał głosu sumienia i miewał idiotyczne napady sentymentalizmu. Zachowywał się jak nie on. A wszystko to, prawie wszystko, zawdzięczał Treasure Barrett. Cała jego przyszłość, całe jego życie było zagrożone.

Podszedł do łóżka i spojrzął na nią. W końcu to, że posiadał ją ponownie, nie miało większego znaczenia. Raz czy dwa - co za różnica? Na szczęście miłość fizyczna nie stanowiła jeszcze małżeństwa. Jakby w odpowiedzi na jego spojrzenie Treasure przewróciła się na plecy. Szukał wzrokiem jakiejś wady, która przekreśliłaby tę jego niewytłumaczalną fascynację. Nagle wzrok jego padł na prześcieradło przy jej biodrach. Renville nie wierzył własnym oczom.

Na śnieżnobiałej pościeli widniały trzy zaschnięte strużki brązowej krwi. Odruchowo dotknął palcami policzka. Ranka była sucha. A niedoświadczona Treasure Barrett mogła krwawić w nocy tylko z jednego powodu.

- Do diabła! - szepnął. - Do diabła! - powtórzył głośniej. - Była dziewicą aż do... To znaczy, że nie posiadałem jej tamtej nocy i nie istniały powody, aby zmusić mnie do małżeństwa! - Znów został oszukany!

Wszystko to źle wróżyło na przyszłość. Mógł się wypierać fizycznych kontaktów przed małżeństwem, ale fakt, iż posiadał ją w noc poślubną jak każdy mąż, zmieniał całą sytuację. Teraz trudno mu będzie żądać anulowania małżeństwa przed sędzią pokoju. Poza tym nie pozwalało mu na to jego poczucie honoru angielskiego dżentelmena.

- Do diabła! - wykrzyknął na cały głos, wznosząc pięści do nieba.

Rzucił się do drzwi, przekonał się, że nie są już zamknięte na klucz, i ruszył do schodów, wołając starego Baileya i panią Treacle.

Umęczeni Barrettowie leżeli pokotem na meblach w salonie. Z jadalni wyłonił się ojciec Vivant w pomiętej sutannie, z podkrążonymi oczyma.

Goście powoli budzili się, mrużyli przekrwione oczy i łapali

się za głowy, słysząc, jak Renville żąda śniadania, powozu i zapakowania reszty rzeczy.

Stary Bailey i pani Treacle spojrzeli tylko na wściekłego dziedzica, po czym pośpiesznie ruszyli spełnić jego rozkazy. Renville tymczasem wrócił na górę, aby się przebrać do podróży.

Treasure siedziała na łóżku, zasłaniając się prześcieradłem i spoglądając na niego ze zdumieniem. Wkroczył do sypialni i zaczął ściągać z siebie koszulę. Obrzucił ją wściekłym spojrzeniem, a potem podszedł do umywalni i wziął przybory do golenia.

Treasure milczała, choć dziesiątki pytań cisnęły jej się na usta. Renville prędko naostrzył brzytwę i namydlił twarz.

- Panie dziedzicu? - Stary Bailey stanął w progu i Treasure gorączkowo zaczęła się okrywać. Renville spojrzął na nią ze złością.

- Wyjźdź, Bailey. I wróć za pięć minut - powiedział ostro.

Kiedy sługa wyszedł, Renville odwrócił się do Treasure.

- Ubieraj się!

Dziewczyna wstała i wzięła z podłogi ubranie. Nagość nadal ją szokowała, a jednocześnie przywróciła do rzeczywistości. Przycisnęła do piersi suknię i podeszła do Renville'a.

- Co pan robi? - spytała zdumiewająco opanowanym głosem. Przejechał brzytwą po szyi i spojrzął na nią kątem oka.

- Gole się - powiedział nieprzyjemnym tonem. - Masz chyba na tyle doświadczeń z mężczyznami, że wiesz, co to jest golenie.

- Nie o to... Słyszałam wcześniej jakieś krzyki. Co się stało?

- Nic, co by cię za bardzo dotyczyło. - Urwał i odwrócił się do niej z grymasem na twarzy. - Wydaje mi się, że dostałaś, czego chciałaś. Wyjeżdżam za godzinę, żono.

- Wyjeżdża pan?

- Do Filadelfii, a stamtąd z powrotem do Anglii. - Wytarł ręcznikiem resztki mydła i mówił dalej: - W Filadelfii zamierzam wynająć adwokata i anulować to wymuszone małżeństwo. Ciesz się z tego, co na razie masz, Treasure Renville, bo za tydzień będziesz znów zwykłą Treasure Barrett. A sprzedaż domu i ziemi odbędzie się tak, jak zaplanowałem. Możesz powiedzieć swojej rodzinie, że podstęp się nie udał.

- Mówiłam już... - Treasure oblała się rumieńcem. - Nie mia-

łam z tym nic wspólnego. I nie wiem o żadnym podstępie. Sprzedaje pan ziemię i Renville House?

Renville zrobił krok naprzód.

- Sprzedaję wszystko- powiedział z wściekłością. - I już nigdy więcej nie wrócę do Marylandu ani do twojego przekłętego Culpepper. A to znaczy, że już nigdy więcej nie będę cię musiał oglądać.

- Nigdy...

- Nigdy więcej. - Odrzucił ręcznik i podszedł do stojącej pod ścianą komody, z której wyciągnął świeżą koszulę. Kiedy się odwrócił, kończąc zapinać guziki, Treasure nadal stała w tym samym miejscu, przyciskając do piersi spłowiałą, niebieską suknię i spoglądając na niego wielkimi, fiołkowymi oczami. Poczł w piersi jakieś dziwne uczucie, którego nie potrafił sobie wytłumaczyć.

- Bailey przyjdzie tu za dwie minuty, żeby skończyć pakowanie moich rzeczy, niezależnie od tego, czy będziesz ubrana, czy nie.

- Wyjeżdża pan? Teraz? Po ostatniej...

- Zwłaszcza po ostatniej nocy. - Powiedział to, choć wiedział, że dla niej jego słowa mają inne znaczenie. - Wreszcie pojąłem ogrom twojego oszustwa, dziewczko. Doprawdy wart jest myślicielki. Doskonale odegrałaś swoją rolę... Wręcz entuzjastycznie.

Celowo ją prowokował, ale nie reagowała tak, jak oczekiwał. Chciał, aby się rozżołościła i pokazała swoją dumę, wtedy łatwiej byłoby mu ją porzucić.

Jednakże w nocy Sterling Renville zrobił z niej kobietę i w świetle dnia nie potrafiła inaczej się zachować. Usłyszała, jak zaklął pod nosem, po czym usiadł na krześle i zaczął wciągać buty.

Sterling Renville wyjeżdżał, tak jak zapowiedział Pen. Tyle że nie zamierzał wrócić. Sprzedawał ziemię i... ją też porzucał. Myślała jedynie o tym, że już nigdy nie zobaczy jego doskonałych rysów twarzy, szerokich ramion, długich nóg. Nigdy nie zobaczy jego srebrnych oczu, nie poczuje na twarzy jego delikatnych palców.

Odrzuciła się i odruchowo włożyła suknię i fartuch. Jakiś dodatkowy zmysł powiedział jej, że Renville wyszedł z sypialni. Stała przy łóżku, przeczesując rękami włosy i spoglądając niewidzącym wzrokiem na zmiętą pościel.

Tymczasem stary Bailey wszedł do pokoju i teraz coś jej podawał. Wróciła do rzeczywistości na widok szczotki do włosów w jego ręce. Kiedy podniosła głowę, żałość na twarzy starego sługi była nie do zniesienia. Na drżących nogach wyszła z sypialni.

Kiedy zeszła na dół, powóz właśnie zajechał. Wszędzie kręcili się słudzy, rzucając jej zaciekawione spojrzenia, ale Treasure nie zwracała na nich najmniejszej uwagi. Czuła się pusta i wypalona. Istniało tylko jedno miejsce, w którym chciała teraz być, jedno miejsce, gdzie mogła znaleźć pocieszenie. Nacisnęła klamkę i weszła do biblioteki starego dziedzica.

Znajomy zapach starych ksiąg, kurz unoszący się w strugach słońca wpadającego przez drzwi na taras, zapach tytoniu - wszystko to było balsamem na jej zbolałą duszę.

Wyciągnęła z półek kilka tomów i zaniósła je na kanapę. Otwierała je po kolei i przeglądała, przypominając sobie znajome teksty, przesuając palcami po dobrze znanych linijkach. Łapczywie pochłaniała oczyma zapisane strony, ale nadal czuła w sobie jedynie pustkę.

Treasure zamknęła oczy i przycisnęła do piersi zakurzony tom. Teraz poznała wreszcie straszną prawdę. Mogła kochać księgi i zawartą w nich mądrość, ale one nigdy nie odwzajemniły jej miłości. Spokój i ukojenie mogły jej teraz zapewnić jedynie ramiona mężczyzny kierującego się odruchem serca. Wiedza nie mogła zaspokoić wszystkich potrzeb człowieka.

Gdzie ona jest, do diabła? - spytał Renville starego Bailey, stojąc na schodach przed domem.

Bailey ze smutkiem pokiwał głową i Renville spoglądał po kolei na nich wszystkich: na panią Treacle, Bucka, ojca Vivanta i resztę rodziny Barrettów. Wyszli przed dom, aby pożegnać dziedzica, i teraz spoglądali na siebie z niepokojem, wzruszając ramionami.

- Wyjeżdżam... - Ruszył do powozu, ale nagle coś sobie przypomniał i zatrzymał się. - Do diabła! - wykrzyknął głośno.

Wbiegł do domu z jej imieniem na ustach i dotarł do biblioteki. Drzwi były lekko uchylone.

Siedziała na kanapie, przyciskając do piersi tom Arystotelesa,

otoczona książkami, z twarzą tak nieszczęśliwą, iż Renville poczuł się tak, jakby Lem porządnie przyłożył mu w żołądek.

- Wyjeżdżam - stwierdził ostrym tonem, starając się, aby głos mu nie zadrżał.

Treasure w milczeniu kiwnęła głową.

- Mój adwokat przyśle ci papiery.

Znów kiwnęła głową.

Renville podszedł, złapał ją za ramiona i postawił na nogi, zrzucając książki na podłogę. Treasure próbowała uwolnić się z jego rąk.

- Proszę... Nie... - zaczęła, sama nie wiedząc, czego się najbardziej obawiała.

- O co ci chodzi, dziewczko? - spytał szorstko, przyciągając ją do siebie, choć doskonale wiedział, jakie to może być dla niego niebezpieczne. - Takie zachowanie jest do ciebie niepodobne. Coś knujesz, ale nic ci to nie pomoże. Zamierzam się ciebie pozbyć i sprzedać to miejsce za duże pieniądze.

Właściwie czuł do siebie niesmak za to, iż tak ją potraktował. Opuścił ręce i odsunął się o krok.

Z drugiej strony nigdy nie wiedział, jakie myśli krążą jej po głowie. Może chciała tym razem zagrać na jego wyższych instynktach, tak jak w nocy zagrała na niższych? Wziął ją za brodę i natychmiast cofnął rękę jak oparzony. Po twarzy Treasure toczyły się ciche łzy.

Renville mógł zrobić tylko jedno, ale kiedy ją pocałował i podniósł głowę, z jej oczu trysnęły świeże strumienie. Coś ostrego ukłuło go w okolice serca. Odebrał jej Arystotelesa, złapał ją za rękę i pociągnął za sobą do holu.

- Nie... Proszę przestać... Co pan robi?! - wołała.

Renville nie zwracał na nią uwagi i po chwili znaleźli się przed domem.

- Jedziesz ze mną - rozkazał ostro.

- O nie.

- O tak.

Poprosiła o pomoc rodzinę, ale Renville po prostu przerzucił ją sobie przez ramię, każąc im trzymać się z daleka.

- Teraz jest moja, prawda? Po to chyba była ta cała farsa

wczoraj. - Już przy drzwiach powozu odwrócił się jeszcze i rzuć. złośliwie: - Zobaczmy, jak sobie poradzi Culpepper bez swojej' genialnej myślicielki.

Wsadził Treasure do powozu, sam wsiadł za nią i kazał jechać. Pen i Con chcieli biec za nimi, ale ojciec Vivant powstrzymał ich, choć troska o Treasure malowała się także na jego twarzy.

- *Non*, moje dzieci. Ona należy teraz do niego. Musi iść za nim, tam gdzie jej każe.

- Ale ojcze, on jej wcale nie chce - zaprotestował Buck. - Dlaczego ją nam zabiera? Żeby nas ukarać?

Annis podbiegła do męża i ukryła zapłakaną twarz na jego piersi.

- Jeden Bóg wie. - Ojciec Vivant rzucił okiem na tuman kurzu i przeżegnał się. - Ale to jest na pewno część Jego planu.

Powóz tłuł się, kołysał i telepał na wszystkie strony, zarówno z powodu wyboistej drogi, jak i turbulencji w środku. Treasure była wściekła, Renville - zdeterminowany i oboje dali temu wyraz za pomocą głosów i pięści. Po jakimś czasie Renville zaczął się zastanawiać, czy aby do reszty nie postradał zdrowego rozsądku, skoro ciągnął za sobą Treasure wbrew jej woli, po to tylko, aby ją w końcu porzucić.

Kiedy późnym wieczorem zatrzymali się w małym zajeździe niedaleko Baltimore, Treasure była otepiała ze zmęczenia. Nie mogła nawet skrzywić się z oburzeniem, kiedy Renville kazał jej jeść, a potem zamknął ją na noc w małej izdebce bez okna.

Następnego dnia Treasure nadal domagała się, aby Renville odesłał ją do domu, a on odpowiadał, że zrobi to po anulowaniu małżeństwa. Kiedy po pięciu dniach podróży dojechali wreszcie do Filadelfii, Treasure była brudna, wykończona fizycznie i wściekła. To jednak nie powstrzymało jej od wpatrywania się przez okno powozu w widoki wielkiego miasta, o którym słyszała od dziecka. Renville musiał ją szarpnąć i usadzić z powrotem na ławce, żeby nie robiła z siebie widowiska.

Późnym popołudniem zatrzymali się przed imponującym domem z cegły, na szerokiej, wysadzonej drzewami ulicy, w modnej części miasta. Renville wysiadł, każąc wypakować bagaże i mówiąc stangretowi, gdzie ma poszukać stajni. Potem wyciągnął Treasure i zaprowadził ją po schodach do dwóch par białych, wielkich drzwi

z wypolerowanymi, mosiężnymi zawiasami i klamkami. Czekając, aż ktoś odpowie na jego energiczne stukanie, z całej siły ścisnął ją za ramię.

- Pan Renville! - Drzwi otworzył ubrany na ciemno służący i zaprosił ich do środka, przyglądając się gościom z szeroko otwartymi oczami i ustami.

Renville zażądał widzenia się z kimś, kogo nazywał „Colbourne”.

- Jest w swoim gabinecie, proszę pana - odparł pośpiesznie lokaj. - Powiem mu...

- Sam mu powiem. - Renville przeszedł do końca holu, ciągnąc za sobą Treasure, jakby była nieposłusznym dzieckiem.

Jej wściekłość wróciła z nową siłą i Treasure zaparła się nogami w miękkim dywanie, uwalniając na moment ramię.

- Proszę mnie nie dotykać!

Renville złapał ją w pasie i na wpeł ciągnąc, na wpeł niosąc, otworzył szeroko duże drzwi i wrzucił ją do środka.

- Zachowuj się przyzwoicie, bo cię zwiążę! - wrzasnął, zatraskując drzwi.

- Wielki Boże, Renville! - Wysoki, szczupły, dość młody mężczyzna upuścił plik papierów i poderwał się zza orzechowego biurka. Ze zdumieniem spoglądał brązowymi oczyma to na Renville'a, to na Treasure.

- Colbourne, pilnie potrzebuję twojej pomocy - zwrócił się Renville do przyjaciela, nie spuszczać wzroku ze swojej towarzyski. - Siadaj! - rozkazał, wskazując na wytworną kanapę przy kominku.

- Nie chcę. Już się dość nasiedziałam - warknęła.

- Siadaj! - powtórzył i ruszył w jej stronę. Treasure zaczerwieniła się z gniewu, ale tym razem posłuchała, rozglądając się przy tym wokół siebie. Pokój był rzeczywiście czymś w rodzaju gabinetu czy biblioteki; na ścianie za biurkiem stał szereg półek wypełnionych książkami, które natychmiast zwróciły uwagę Treasure. Przez wielkie okna wpadało dużo światła, a przed biurkiem stały dwa skórzane fotele.

- Co się dzieje, na litość boską? - Wyatt Colbourne spojrział na potargane włosy i brudne, bose stopy Treasure. - Spodziewałem się ciebie już dawno. Twoje przekłete beczki przybyły dwa

tygodnie temu i tylko zajmują masę miejsca. Statek odpływa za cztery dni. Zastanawialiśmy się...

- Zatrzymał mnie... ślub. - Renville poprawił ubranie, wciąż spoglądając na Treasure. - Mój ślub.

- Twój ślub? - wykrztusił z trudem Wyatt. - Wielki Boże, z kim?

- Z tym - pokazał z niesmakiem Renville. - Zmusili mnie. Teraz chcę to jak najszybciej anulować. Zanim wypłyniemy w podróż do domu.

- To... jest twoja żona?

- Trudno tak to nazwać. To jest dziewczka, którą kazano mi poślubić.

Colbourne kołysał się na piętach, przenosząc zdumiony wzrok ze swego wyraźnie znękanego przyjaciela na skuloną na kanapie dziewczynę. Treasure zeszywniała i ramieniem odsunęła z twarzy splątane włosy. Teraz żałowała, że nie posłuchała Renville'a, który proponował jej, aby się trochę odświeżyła i doprowadziła do porządku.

- Nie rozumiem. - Colbourne potrząsnął głową i obszedł biurko, żeby się jej lepiej przyjrzeć. - Kto i jak cię zmusił, abys się z nią ożenił?

- Jej rodzina i miejscowy ksiądz katolicki. Twierdzili, że ją posiadam i znieważyłem. Możesz sobie wyobrazić...

- Zrobiłeś to?

- Co?

- Posiadałeś ją?

- Wyatt! Zostałem do tego małżeństwa zmuszony. I to nie podlega wątpliwości. - Renville dotknął palcem gojącego się skaleczenia na policzku i zielonożółtych siniaków wokół oczu. - Nie mieli prawa zmuszać mnie do małżeństwa, niezależnie od powodu. Nie, nie posiadam jej!

- Kłamca! - powiedziała pogardliwie Treasure.

Wyatt szerzej otworzył oczy i spojrzął na to dziwne stworzenie, ale za chwilę musiał otworzyć je jeszcze szerzej, kiedy wygłosiła łacińską sentencję, którą Wyatt rozpoznał.

- ...*en dictum* - zakończyła, unosząc w górę twarz w kształcie serca. Zacytowała mu przepis prawa kanonicznego dotyczący małżeństwa.

- Ona zna łacinę? - Colbourne, nie wierząc własnym oczom ani uszom, zwrócił pytający wzrok na przyjaciela. - I prawo?

- Nauczył ją mój zwariowany ojciec. Nie wziąłem jej do łóżka. Początkowo myślałem, że tak, i zmusili mnie, abym ją poślubił, zanim poznałem prawdę. Posłuchaj, Wyatt, nie o to chodzi, przymus to przymus.

- Wziął mnie pan do łóżka. - Treasure zerwała się na nogi, wściekła, że Renville odmawia jej czegoś, co było dla niej takie ważne.

- Ale dopiero po ślubie, dziewczko - warknął. - Kobiętę można pozbawić dziewictwa tylko raz i znaki są wyraźne. Nie mogłem cię posiąść tej nocy, kiedy nas razem odkryto, bo byłaś nietknięta podczas naszej nocy poślubnej. Nie było powodu dla tego małżeństwa. Wymuszono je podstępem.

- Posiadłeś ją w noc poślubną, ale nie wcześniej? - Colbourne gwałtownie się zaczerwienił.

- Nie chciałem tego robić. To nie był akt wolnej woli - wyjaśnił Renville. - Czy możesz sobie wyobrazić, że z własnej i nieprzymuszonej woli wziąłbym do łóżka kogoś takiego?

- Cóż, Sterling, przyznaję, że nie jest całkiem w twoim stylu.

Wyatt, wyraźnie zaszokowany, cofnął się i oparł się o brzeg biurka.

- Chcę tę sprawę zakończyć, Wyatt. Im szybciej, tym lepiej.

- A ona? - Wyatt ruchem głowy wskazał na Treasure i dwie pary męskich oczu spojrzały na nią - jedna z niechęcią, druga z nieukrywanym zainteresowaniem.

Nigdy jeszcze nie czuła się tak poniżona. Jak śmieli mówić o niej tak, jakby była jakimś śmieciem, który im przeszkadza? Poczwała szczypanie w oczach i przeraziła się, że się za chwilę rozpłaczę.

- Chcę się wykapać - powiedziała ostro.

Colbourne'a tego popołudnia już nic nie mogło zadziwić.

- Oczywiście - odparł, jakby była to najzwyczajniejsza rzecz na świecie. - Tyle dni w podróży, tyle kurzu na drogach. - Podeszedł do drzwi i zawołał lokaja, żeby pokazał jej gościnny pokój i poprosił gospodynię. - Proszę pójść z Thomasem, zaprowadzi panią do pokoju, a pani Evans niebawem się panią zajmie.

Kiedy go mijała w drodze do drzwi, Renville złapał ją za ramię i zwrócił się ze złością do przyjaciela:

- Nie znasz jej... Co będzie, jak uciekniesz?

Wyatt otworzył usta, a potem je zamknął. Obrzucił nieprzytomnym spojrzeniem fiołkowe oczy Treasure i jej koralowe usta.

- Zechce pani przyjąć moją gościnę, prawda?

Treasure kiwnęła głową i Renville ją puścił. Kiedy drzwi za dziewczyną i Thomasem się zamknęły, Wyatt podszedł do baru i nalał dwa duże kieliszki brandy. Podał jeden Renville'owi, który znużony opadł na fotel przy biurku.

- Wielki Boże, co tam się stało, Sterling? Wyglądasz okropnie. A jeśli chcesz się jej pozbyć, to po co wiozłeś ją ze sobą aż do Filadelfii?

- Nie mogłem jej zostawić. Nigdy nie wiadomo, co może uczynić. - Sterling wypił duży łyk brandy, krzywiąc się, gdy ogień wypełnił mu żołądek. - Powiadam ci, Wyatt, ona ma prawdziwie diaboliczny umysł. Omal mnie nie puściła z torbami, uniemożliwiając odzyskanie majątku. W dodatku nawet nie wiem dokładnie, jak to zrobiła. Teraz razem ze swoją rodziną wrobiła mnie w małżeństwo. Wyatt, musisz mi szybko załatwić unieważnienie.

- Wymuszone małżeństwo na podstawie fałszywych przesłanek jest... Ale z drugiej strony, jeśli poszedłeś z nią potem do łóżka... - Wyatt potarł rękami twarz. - Fizyczny stosunek to poważna sprawa, Sterling.

- Tylko nie wyskakuj mi teraz ze swoimi pouczeniami moralnymi, Wyatt. Nie mam nastroju.

- Tutaj nie ma prawa pierwszej nocy dla dziedzica. Zakładam, że ona jest córką dzierżawcy czy coś w tym rodzaju.

- Coś w tym rodzaju. A dokładnie rzecz biorąc, jest wioskową myślicielką. I małą, niechlujną filantropką. Uczennicą mojego znikowanego ojca. Zna łacinę, lekarstwa ziołowe i dużo przysłów ludowych. Posłuchaj, Wyatt, chcę tylko wrócić do domu, ożenić się z Larendą i po cichu się wzbogacić. Czy jest w tym coś złego?

- Nic, stary przyjacielu, ale na razie jesteś już żonaty. - Kiedy Renville zaczął protestować, Wyatt uniósł dłoń, uśmiechając się kącikiem ust. - Zobaczymy, co się da zrobić - obiecał.

Treasure znalazła się w dużej, elegancko umeblowanej sypialni pod opieką pulchnej matrony, która cmokając i sykając nad jej wyglądem, zajęła się od razu jego poprawą. Rozebrała Treasure do naga i wsadziła do wielkiej wanny z cudownie ciepłą wodą, wręczając jej lawendowe mydło i szczotkę. Potem pani Evans umyła jej głowę, wypłukała włosy w occie i w piwie, posadziła owiniętą w ręcznik Treasure na stołku i zabrała się do rozczesywania jej splątanych loków.

W końcu Treasure dostała pożyczoną czystą koszulę i znalazła się w łóżku, aby odpocząć i pozbyć się bólu głowy spowodowanego rozczesywaniem włosów. Zasnęła, wmawiając sobie, iż jest w Renville House.

Było prawie ciemno, gdy gospodyni przyniosła suknię Treasure, wypraną i wysuszoną przy kuchennym palenisku, oraz parę butów należących do jednej z pokojówek. Pani Evans ponownie rozczesała jej włosy i absolutnie odmówiła zaplatania ich w warkocz. Opadały teraz swobodnie na plecy i ramiona dziewczyny, która podziękowała, nie chcąc wyjść na osobę niewdzięczną, choć z lustra spoglądał na nią ktoś zupełnie obcy.

Pani Evans zapowiedziała, że kolację podadzą za chwilę w jadalni, i wyszła, zostawiając Treasure samą. Początkowo siedziała smutna, myśląc z tęsknotą o rodzinnym domu, ale zaraz przywołała się do porządku.

- Jesteś myślicielką, moja droga, a myślicielki nie jęczą, że chcą wrócić do domu. Raczej rozglądają się, czego się mogą nauczyć w nowych warunkach. John Locke czy Izaak Newton na pewno nie siedzieliby tak, użalając się nad sobą.

Wyszła z pokoju i zaczęła chodzić po przestronnym domu, z ciekawością przyglądając się eleganckim, importowanym meblom, obrazom i szczegółom architektonicznym.

Burczenie w brzuchu przypomniało jej o kolacji, kiedy jednak - przypominając sobie wskazówki pani Evans - dotarła do jadalni, ułyszała stamtąd podniesiony głos Renville'a.

- Do diabła, Wyatt, nie żartuj.

- Wcale nie żartuję, Sterling. Przez ostatnie dwie godziny studiowałem moje księgi i wygląda na to, że jesteś żonaty na zawsze. Złożyłeś przysięgę, tak czy nie?

- Tak, ale pod przymusem - powiedział, wskazując na swą pokiereszowaną twarz.

- Mogłeś wpaść na drzwi, to nie jest dowód. A potem posiadłeś tę dziewczynę z własnej woli.

- Byłem mylnie przekonany, iż szkoda już się dokonała.

- Cóż, unieważnienia małżeństwa można by dokonać jedynie wtedy, gdyby nie zaszedł akt fizyczny. A to najwyraźniej się zdarzyło.

- Moglibyśmy przysiąc, że nic się nie stało. - Renville położył ręce na stole, pochylił się i obrzucił Wyatta błagalnym spojrzeniem. - Ja już właściwie o wszystkim zapomniałem. Nigdy nie dotknąłem tej dziewczki.

- Ona twierdzi co innego. - Wyatt poczerwieniał i wstał od stołu. - Nie będę brał udziału w żadnych oszustwach.

- Do diabła, Colbourne, chodzi o moją przyszłość, o całe moje życie. Na litość boską, przecież mam wracać do domu i ożenić się z Larendą. Od tego zależy moja przyszłość. Czy możesz sobie wyobrazić, że mógłbym iść przez życie uwiązany do... do tej szamanki, do prostytutki bez grosza, której rodzina nawet nie wie, do czego służy widelec? Równie dobrze mógłbym być uwiązany do świni!

Treasure krew odpłynęła z głowy. Całym ciałem oparła się o ścianę w holu, starając się opanować. Porównał małżeństwo z nią do uwiązania do świni! Jednym zdaniem przekreślił wszystkie przyjemności, które razem przeżyli w łóżku. To, co dla niej było słodkim przebudzeniem ciała i duszy, dla niego najwyraźniej było jedynie zwierzęcym zaspokojeniem żądzy. A teraz wracał do domu, żeby się ożenić.

Treasure uniosła do góry brzeg sukni, pędem pobiegła do drzwi wejściowych i szarpnąwszy klamkę otworzyła je na oścież, nie zwracając uwagi na służbę.

Biegła opustoszałą ulicą, aż łyzy przesłoniły jej świat, a w boku zakłuła kolka. Skuliła się, oddychając z trudem i wycierając ręką oczy. Kiedy podniosła głowę i rozejrzała się, zobaczyła, iż jest na rogu ulicy. Dokąd miała iść? Jak się dostać do domu?

Stangret zabrał powóz, ale miał wracać do Culpepper dopiero następnego dnia. Postanowiła, że znajdzie go i wróci razem z nim. Renville powiedział Freddy'emu, że musi jechać do stajni na

wschód, a potem w dół. Spojrzała w niebo, ale z zamglonych gwiazd trudno było odczytać kierunek. Ruszyła zatem przed siebie, rozglądając się i szukając stajni, od czasu do czasu spoglądając w niebo, aby sprawdzić, czy nie widać konstelacji Oriona.

Dwukrotnie znalazła stajnie, ale były puste lub należały do jakiejś rodziny. Nikt nie wiedział, jakiej stajni szuka, a Treasure nie potrafiła tego dokładnie wyjaśnić. Filadelfia była dużo większa, niż myślała, a liczne ulice poważnieją dezorientowały. Po pewnym czasie poczuła dziwny, słony zapach. W tej części miasta kręciło się więcej ludzi, byli wśród nich żołnierze w czerwonych mundurach i prostacko wyglądający marynarze, którzy zataczali się i przeklinali. Instynktownie unikała większych grupek żołnierzy i na ich widok chowała się w cień.

Zmęczona wieloma godzinami chodzenia po mieście, znalazła się wreszcie na nadbrzeżu, schowała się w jakiejś małej łódce i tam przeczekała do wschodu słońca, kiedy znów podjęła poszukiwania. Z każdą chwilą niebezpieczeństwo, że Freddy już wyjechał, stawało się coraz bardziej realne.

Na ulicach pełno było żołnierzy w czerwonych mundurach, którzy schodzili z okrętów. To byli Brytyjczycy, którzy przypłynęli walczyć z Francuzami. Tak jak jej bracia. Może oni jej pomogą...

Sterling Renville zachowywał się jak człowiek nawiedzony. Nieogolony i rozczochrany, przemierzał konno ulice w poszukiwaniu Treasure. Był na zmianę wściekły i przerażony, że coś jej się stało. Postanowił, że jeśli ją znajdzie, własnoręcznie ją zabije... Dlaczego tak się zachowała? Co jej przyszło do głowy? Dziewczynina z prowincji w takim gnieździe rozpusty jak Filadelfia...

Odkryli, że uciekła, kiedy nie przychodziła na kolację i pani Evans poszła jej poszukać. Służący wspomnieli, że wybiegła wcześniej z domu, i wszyscy zaczęli jej szukać. Renville spędził większość nocy jeżdżąc po ciemnych ulicach, co raz zaglądając na wybrzeże, gdyż spodziewał się, że światła i obecność ludzi mogą ją tam przyciągnąć. Wciąż widział ją w myślach taką, jaka była następnego dnia po ślubie, w bibliotece, ze smutnym wyrazem oczu. Powinien był ją zostawić w Culpepper z rodziną i książkami.

W pewnej chwili po zachodzie słońca znalazł się na jednej z głównych ulic dzielnicy portowej pośród tłumów żołnierzy. Siedział na koniu, więc miał dobry widok na przechodniów. Skrecił w boczną ulicę i zauważył szczególnie hałaśliwą grupkę żołnierzy. Kiedy uniósł się na siodle, aby lepiej widzieć, spostrzegł nagle plamę wyblakłego błękitu i błysk rudawych włosów. W tym samym momencie zeskoczył z konia i sięgnął do kieszeni po pistolet.

- Chodź, panienko - powiedział z nieprzyjemnym śmiechem jeden z żołdaków i razem z kamratem wyciągnął łapy po Treasure. - Bądź dla nas miła, a sami potem odprowadzimy cię do domu, prawda, chłopcy?

- Proszę przestać! Dajcie mi przejść! - zawołała Treasure przestraszonym głosem, starając się odepchnąć od siebie lepkie ręce.

- Chodź z nami - proponował inny. - Twój Freddy nie będzie miał nic przeciwko temu, żeby się z nami podzielić. - Jego słowom towarzyszył głośny wybuch wulgarnego śmiechu.

- Zabierajcie swoje brudne łapy! - Renville przepchnął się między żołnierzami i stanął przy Treasure, mierząc do nich z pistoletu.

- Kto mi każe? - zapytał jeden z żołnierzy, obłapiając Treasure. Kiedy jednak zobaczył broń, zmiął się na twarzy i szturchnął w bok towarzysza.

- Ja. - Renville cofnął się tift, aby mieć za plecami ceglany mur. Miał przed sobą piętnastu żołnierzy, a w ręku jeden niewielki pistolet na obronę swoją i Treasure.

- A kim ty jesteś? - spytał jeden z nich, obrzucając pogardliwym wzrokiem jego eleganckie ubranie i pańską broń.

- Ja jestem ten Freddy, do którego ona należy, przyjacielu. To jest moja żona. Jeśli zaraz nie zabierzesz swoich łap, z przyjemnością cię zabiję.

- Renville - powiedziała Treasure, spoglądając nieprzytomnym wzrokiem i wyciągając do niego rękę.

- Puście ją, do diabła! - krzyknął.

W następnej sekundzie była wolna. Pędem rzuciła się do Renville'a i złapała go za szyję.

- Powinno się was wychłostać - warknął do żołnierzy. - Jak śmiecie zaczepiać na ulicy przyzwoitą kobietę? Złożę w tej sprawie skargę waszym oficerom.

Pociągnął ją za sobą wzdłuż muru i nim napastnicy zdążyli się zorientować, podsadził ją na konia, wskoczył za nią i ruszył galopem.

Kiedy dość już się oddalili z tamtego miejsca, zatrzymał konia.

- Jesteś pewna, że nic ci nie zrobili? - Usiłował odsunąć ją od siebie, żeby się jej przyjrzeć, ale trzymała się go kurczowo, łkając cicho. - Do diabła, cały dom cię szuka. Co ci przyszło do głowy, żeby wypuszczać się samej do miasta, którego w ogóle nie znasz? - zapytał. Zabrzmiało to dosyć histerycznie. Renville zamilkł. Przesunął Treasure, aby mieć dostęp do lejc, i ruszył powoli w stronę domu Wyatta Colbourne'a. - Dlaczego szukałaś Freddy'ego? - zapytał po chwili.

- Chciałam wrócić do domu. - Treasure nic z tego wszystkiego nie rozumiała. Dlaczego jej szukał, skoro tak bardzo chciał się jej pozbyć? - Proszę... Chciałabym wrócić do domu. Czy Freddy już odjechał?

- Tak - mruknął Renville. - Dziś rano.

W milczeniu dojechali do domu Colbourne'a. Mimo protestów Renville wziął Treasure na ręce. W drzwiach czekał na nich uspokojony już Wyatt. Renville wchodził na górę z Treasure na rękach, a Colbourne dreptał za nimi, wypytując o szczegóły. Na górze Renville otworzył drzwi od pokoju Treasure, ale kiedy wszedł do środka, zatrzasnął je Colbourne'owi przed nosem. Posadził Treasure na łóżku i stanął przed nią, trzymając się pod boki. Był bardzo zły.

- Dlaczego uciekłaś?

- Już mówiłam, chciałam wrócić do domu. Jak później wrócę, kiedy unieważni pan małżeństwo? Pomoże mi pan, prawda? - spytała błagalnie.

Kiedy Renville nie odpowiedział, Treasure jeszcze bardziej się zaniepokoiła. Może odszukał ją po to, żeby przysięgła, że między nimi nic nie zaszło? A potem zostawi ją na łaskę losu, a sam popłynie do Anglii?

- Nic nie szkodzi! Jeśli będę musiała, pójdę piechotą. - Przesunęła się na łóżku, unikając jego wzroku. - Niech mi pan tylko powie, komu mam przysiąc, że nigdy mnie pan nie kochał.

- Nigdy cię nie kochałem? - powtórzył, marszcząc czoło.

- Że nigdy mnie pan nie posiadał - poprawiła się szybko. - Przysięgnę, że nigdy mnie pan nie dotknął. A jeśli mnie zbadają,

powiem, że to był... Freddy. Czy to wystarczy? Czy wtedy pomoże mi pan wrócić do Culpepper?

Renville zeszywniał, jakby mu wymierzyła policzek. Obrzucił ją wściekłym spojrzeniem. Na wszelki wypadek Treasure zsunęła się z łóżka i stanęła na podłodze z drugiej strony. Kiedy Renville obszedł łóżko dookoła, powtórzyła ten manewr.

- O co panu chodzi? Powiedziała, że pomogę panu unieważnić nasze małżeństwo. Chyba nie proszę za dużo w zamian za zwrócenie panu wolności. Będzie pan mógł się ożenić z tą, jak jej tam...

- Skąd o tym wiesz? - zapytał, czerwieniejąc, jakby potwierdziły się jego podejrzenia co do motywów jej ucieczki.

- Ja dużo wiem - odparła, dumnie unosząc głowę do góry. - Wiem, że mnie pan nienawidzi, i myślę, że ma pan powody. Pomogłam moim ludziom chować przed panem rzeczy, zachować zwierzęta i zbiory, choć prawnie należały się panu. Ale nie miałam nic wspólnego z aranżowaniem naszego małżeństwa.

Zmrużył oczy. Prawdopodobnie mówiła prawdę. Zawsze była wyjątkowo szczerą, nawet sama przed sobą. I myślała, że jej nienawidzi. Owszem, złościła go, podniecała i regularnie poniżała, ale na pewno nie czuł do niej nienawiści.

Przeciągająca się cisza niepokoiła Treasure. Dziewczyna powoli, bacznie go obserwując, przesuwała się stroną drzwi.

- Jeśli pan chce, dam to panu na piśmie. Założę się, że nigdy nie widział pan świni, która potrafi pisać...

Renville rzucił się w jej stronę, a Treasure w tej samej chwili skoczyła do drzwi. On był szybszy. Złapał ją, przyciągnął do siebie i bez zastanowienia zamknął jej usta pocałunkiem.

- Treasure - szepnął, gładząc ją po twarzy. - Tak bardzo się o ciebie niepokoiłem...

Objęła go za szyję i cała się w niego wtuliła. Zaniósł ją do łóżka, postawił na podłodze i drżącymi rękami zdjął z niej suknię. Zrzucił surdut i buty i położył się razem z nią. Najpierw ją tulił i głaskał, a potem się na niej położył.

- Jesteś cudowna - mruknął, całując ją delikatnie.

Kiedy w końcu rozsunął jej nogi i wbił się w wilgotny środek, zadrzała z ulgą. Po chwili oboje jednocześnie przeżyli spełnienie. Razem też wrócili do rzeczywistości, słysząc walenie w drzwi.

- Renville, do diabła, otwórz drzwi albo je wyłamie! - Wyatt był bardzo zdenerwowany.

Zaskoczony Renville uniósł się na łokciu i spojrzął na Treasure. Gdyby Wyatt wszedł teraz do pokoju, nie miałby najmniejszych wątpliwości, co robili.

Jęknął, pocałował ją w zmarszczone czoło i odsunął się pospiesznie, siadając na brzegu łóżka i zapinając guziki spodni. Wciąż na wpół rozebrany poderwał się na nogi, gdy Wyatt wpadł do pokoju.

Pałacym wzrokiem obrzucił negliż Renville'a i leżącą na łóżku Treasure.

- Macie oboje być w moim gabinecie za pięć minut! - powiedział z furją.

Sterling Renville bez słowa wepchnął Treasure do gabinetu Wyatta.

- Siadaj! - rozkazał, wskazując na kanapę.

Treasure założyła ręce na piersiach i spojrzała na niego wyzywająco.

- Siadaj! - krzyknął Wyatt.

Zaskoczona Treasure natychmiast go usłuchała.

- Ty też! - spojrzawszyście na Renville'a, który szybko usiadł w jednym z foteli przy biurku.

Adwokat przyglądał im się przez chwilę z wyraźnym niesmakiem. Potem wstał, podszedł do Treasure i obrzucił ją takującym wzrokiem. Renville jęknął w duchu. Treasure wyglądała tak, jakby dopiero co wyszła z łóżka.

- Po tym, czego byłem świadkiem dziś rano - zaczął Wyatt - mogę całym swoim autorytetem potwierdzić, że jesteście i pozostaniecie małżeństwem.

- Ale Wyatt...

- Słyszałem już wszystkie twoje kłamliwe zapewnienia, Sterling. Wreszcie masz za swoje. - Na twarzy Wyatta malowała się prawdziwa przyjemność. - Posiadłeś tę dziewczkę zaledwie parę minut...

- Nie! - przerwała mu gniewnie Treasure. - Wcale nie. Nigdy

tego nie zrobił... - dokończyła ciszej i mniej pewnie, zdetonowana bólem malującym się na twarzy Renville'a i uśmiechem Wyatta.

- Młoda kobieto, ile pani ma lat?

- Ja... Jaki mamy dziś miesiąc?

- Wrzesień. Chyba szósty - odparł zaskoczony Wyatt.

- Osiemnaście. Skończyłam osiemnaście lat pierwszego. -

Miała wrażenie, że zaskoczyła Renville'a. - Pan chyba nie rozumie. Nie jestem kobietą, jestem myślicielką. Moi ludzie mnie potrzebują. Idzie zima, muszę ich leczyć, pomóc im w...

- Nie! - Wyatt usiadł raptownie, mocno zniecierpliwiony. - To pani nie rozumie. Jest pani mężatką, młoda kobieto. Mężatką! I według prawa należy pani do niego - dodał, wskazując Renville'a. - Niech się pani z tym pogodzi. *Ducunt volentum fata, nonlentum trahunt.*

- Seneka nie miał na myśli małżeństwa, kiedy to napisał. To zdanie z jego rozprawy... - zaczęła ze złością.

Colbourne szeroko otworzył oczy.

- Mówiłem ci, że ona zna wiele przysłów - wtrącił się Renville. - Sam widzisz, w co mnie pakujesz.

Widząc, jak rzucają sobie wściekłe spojrzenia, Wyatt roześmiał się ironicznie.

- Mój Boże, Sterling, długo na to czekałem. Jesteś nieodwoalnie żonaty, stary przyjacielu. I dopilnuję, abyś przestrzegał wszystkich zasad małżeńskiej przysięgi.

- Ale ja nie chcę być niczyją żoną, zwłaszcza jego! - Treasure zerwała się na nogi, zacisnęła pięści i spoglądała na nich pałającym wzrokiem. - Jest arogancki, głupi i wciąż przeklina.

Wyatt przyglądał jej się z wielką radością, nie przestając się śmiać.

- Och, na pewno da się temu jakoś zaradzić. - Otarł wilgotne oczy. - Ż czasem na pewno się pani do niego przekona.

- Nie szybciej, niż jakiś adwokat trafi do nieba - odparła.

Wyatt znów się roześmiał. Trzymał się za brzuch i uderzał ręką w poręcz fotela.

- Mój Boże, Sterling, nie wiem jak ty, ale ja dzięki niej jestem absolutnie szczęśliwy.

14

Statek „Indulgence” kołysał się w brudnej wodzie portu. Wysokie maszty wystawały znacznie poza dachy domów. Był to porządny i sprawdzony statek handlowy, który przewoził zazwyczaj pewną liczbę pasażerów z Anglii do amerykańskich kolonii i z powrotem. Rerville wynajął kabinę na statku trzy miesiące wcześniej, kiedy przypłynął do Ameryki. To tłumaczyło jego pośpiech w ściąganiu długów i pieniędzy za dzierżawę od mieszkańców Culpepper.

Wyatt Colbourne wynajął kabinę na ten sam rejs, ponieważ musiał udać się do Anglii w interesach i podróżowanie ze starym szkolnym przyjacielem bardzo mu odpowiadało. Fakt, iż Rerville się ożenił, wymagał pewnych zmian i choć Treasure nadal nalegała, aby odesłano ją do domu, nikt jej nie słuchał. Przypuszczała, że miała to być jakaś kara dla niej i dla mieszkańców Culpepper, ale i dla Rerville’a nie mogła to być przyjemność, gdyż warunki skazywały go na przebywanie w bezpośredniej bliskości świni. Jednakże w ostatnich dniach przed podróżą widywała go tak rzadko, że nie zdążyła go o to zapytać.

Teraz, w drodze przez port, przyglądała się z zainteresowaniem wdzięcznej sylwetce statku. Wokół panował straszliwy hałas i rozgardiasz, ale Treasure nie zwracała na to większej uwagi, jej serce bowiem przepełnione było wielkim żalem. Starła się usilnie nie myśleć o swoich rodzicach, o Penie, starej Klarze i innych, jednak myśl o tym, że już nigdy ich nie zobaczy, napełniała ją rozpaczą. Coraz trudniej było jej oddzielić fakty od świeżo rozbudzonych uczuć. Z pobladałą twarzą szła obok Rerville’a.

Po chwili weszli na pokład statku, gdzie Wyatt kończył załatwiać sprawy z pierwszym oficerem. Wokół nich ładowano towary do przepastnych czeluści, ale Treasure nie bardzo zwracała na to uwagę. W rękę trzymała węzełek ze swoją starą, niebieską suknią i dwiema zapasowymi, pożyczonymi halkami i koszulami. To był jej cały ziemski majątek oprócz koszyka ze słodyczami i suszonymi owocami, które dostała na pożegnanie od pani Evans.

Kiedy Renville puścił jej ramię, żeby sprawdzić, czy nadeszło zamówione wcześniej jedzenie, tęsknie obejrzała się za siebie. Jednakże nie była już taka głupia, żeby znów zapuścić się samej w to wielkie, niesamowite miasto.

Stała zatem obok Wyatta i przyglądała się ładowaniu towarów, co było procesem trudnym i żmudnym, prowadzonym metodą prób i błędów. W pewnym momencie siatka, w której przenoszono towar, zerwała się i duży ciężar przygniół przebiegającego w pobliżu marynarza.

Nim Wyatt i pierwszy oficer spostrzegli, co się stało, Treasure już biegła do przywalonego beczkami mężczyzny. Na szczęście jego towarzyszom udało się go dość prędko uwolnić, ale mimo wszystko jęczał i zwijał się z bólu.

- Puście mnie! - zawołała Treasure. - Chcę mu pomóc.

Stanowczo odsunęła stojący wokół rannego tłumek i przyklękła, każąc innym, aby go przytrzymali.

Marynarz wskazywał na nogę. Trzymający go czterej towarzysze widzieli niejeden taki wypadek i wiedzieli, że perspektywy nie są zbyt wesołe.

Treasure starannie obmacała całą nogę rannego, po czym rozewała nogawkę spodni, żeby sprawdzić, skąd leci krew. Kiedy skończyła, westchnęła z ulgą i spojrzała w górę na twarze zebranych wokół marynarzy.

- Na szczęście nie jest złamana - powiedziała. - To tylko nieprzyjemne skaleczenie i naciągnięcie mięśni. Zaraz coś na to zaradzę.

Splunęła na kolano mężczyzny i potarła mocno dłonie, aż stały się gorące. Wymasowała całe kolano, a potem nacisnęła kciukiem pewien punkt pod kolanem, zamykając oczy.

Wyatt, który tymczasem podszedł bliżej, przyglądał jej się ze

zdumieniem. Treasure otworzyła oczy i usiadła na piętach. Ranny marynarz oparł się na łokciach i z niedowierzaniem spojrzął na swoją nogę. Wśród zebranych rozległ się głośny szmer.

- Przyniescie mi trochę rumu albo brandy i igłę z nitką, a ja...

- Na pewno nie! - wykrzyknął jej nad uchem Renville, który przedarł się przez tłum i postawił ją na nogi.

- Ale ten człowiek... - zaczęła, gdy Renville odciągnął ją na bok.

- Mają tu na statku doktora, który się nim zajmie - burknął, nie zwalniając uścisku.

Zebrani mężczyźni zareagowali niechętnym pomrukiem, niezadowoleni z tego, w jaki sposób ten dżentelmen potraktował dziewczkę, która pomogła ich towarzyszowi. Wyatt musiał wyjaśnić, że dziewczyna jest żoną tego dżentelmena i w dodatku damą. Marynarze podrapali się po głowach i poszli do swoich zajęć, a Wyatt podniósł z ziemi koszyk i węzełek i poszedł zanieść je Treasure do kabiny.

- ...nie pętają się nie wiadomo gdzie i nie dotykają męskich nóg! - krzyczał Renville. - I ty też nie będziesz!

Wyatt stał za drzwiami i uciszał wyrzuty sumienia. Słuchanie rozmowy z pewnej odległości, przez zamknięte drzwi, nie było w gruncie rzeczy podsłuchiowaniem.

- Ale ja nie jestem damą! Ani żoną! Jestem myślicielką i uzdrowicielką. Chciałam tylko...

- Widziałem, co robiłaś! Wszyscy widzieli! Od tej chwili zabraniam ci uzdrawiać. Kogokolwiek.

- Mówi pan bzdury, Renville. To chrześcijański obowiązek...

- To nie jest twój chrześcijański obowiązek. Teraz jesteś moja i będziesz się mnie słuchać. Nie ma mowy o dotykaniu innych mężczyzn. Trzeba pamiętać o przyzwoitości i pewnych formach.

Wyatt zamknął oczy i pokiwał głową. Kiedy nalegał, aby Renville wypił piwo, którego nawarzył, nie myślał o dziewczynie. Treasure nie była zwykłą dziewczką ze wsi. Oprócz urody, wdzięku i niesłychanego wykształcenia, miała w sobie coś, czego prawdziwy mężczyzna nie może ignorować. Wyraźnie zażądała Renville'owi za skórę i najwidoczniej nie bardzo wiedział, jak sobie z tym poradzić.

Wyatt odczekał jeszcze chwilę, a kiedy w kabinie zapadła cisza,

zastukał do drzwi. Kiedy się otworzyły, podał Sterlingowi rzeczy Treasure. Przyjaciel gestem zaprosił go do środka, a sam wyszedł na zewnątrz. Wyatt podał dziewczynie jej rzeczy, uśmiechnął się przepraszająco i wyraził nadzieję, iż zobaczy ją później przy stole kapitańskim.

- Nie zaczynaj ze mną- ostrzegł go przez zaciśnięte zęby Renville, kiedy szli po schodach na górę.

Wyatt westchnął ciężko i spojrzał na przyjaciela spod oka.

- W tych warunkach zachowałeś się trochę za porywczco.

- Nie znasz jej tak jak ja. Dasz jej palec, a porwie całą rękę. Widziałem dorosłych mężczyzn, którzy trzęśli się ze strachu, kiedy groziła im kara za jakieś drobne przewinienie.

Wyatt prychnął z niedowierzaniem.

- To prawda. Sam zobaczysz.

- Już widziałem.

- Nie pouczaj mnie, Colbourne. Schowaj swoje uwagi dla siebie. Nie znasz się na kobietach ani na małżeństwie.

Z tymi słowami Renville porzucił przyjaciela i przez następną godzinę spacerował samotnie po pokładzie.

Treasure siedziała na wąskiej koi, wpatrując się w białe, drewniane ściany małej kabiny. Nadal trzymała w ręce swoje rzeczy i usiłowała przyjąć do wiadomości, że to będzie jej dom w najbliższej przyszłości. Sporo miejsca zajmował kufer Renville'a, poza tym stało tam krzesło i mała umywalnia z cynowym dzbanem i miską. Przy ścianie wisiała na łańcuchach szeroka deska, która miała służyć za stół. Treasure mówiła sobie, że nie jest to wszystko takie złe, pod warunkiem, że nie będzie musiała zbyt dużo czasu spędzać w kabinie. Na razie miała wrażenie, że za chwilę się udusi.

Szybko wyciągnęła spinki z modnie upiętych włosów, rozczesała je i zaplotła w wygodny warkocz. Musi nosić ciasną w talii suknię, ale przynajmniej nie będzie męczyć się z włosami.

Kiedy wyszła na pokład, Renville przypatrywał się wybieraniu kotwicy, ale widząc Treasure, natychmiast pospieszył w jej stronę.

- A dokąd to się wybierasz? - spytał gniewnie, biorąc ją za ramię.

Treasure nie mogła wykrztusić z siebie słowa. Była samotna,

zła, smutna, przestraszona, a nade wszystko śmiertelnie zraniona zachowaniem Renville'a.

On z kolei przyglądał jej się uważnie, chcąc lepiej ją zrozumieć. Oczy Treasure jak zwykle wyrażały wszystko, co odczuwała: strach przed wyjazdem, obawy przed nieznanym, ekscytację tym, co ją czekało w przyszłości.

- Czy jeszcze ich zobaczą? Moją rodzinę? - szepnęła.

Renville milczał. Nie chciał kłamać, ale nie miał też ochoty mówić jej, że prawdopodobnie już nigdy nie zobaczy rodziców, sąsiadów, swej wioski ani nawet Renville House. Najchętniej przycisnąłby ją do serca i obiecał, iż on teraz będzie jej rodziną, ale zdobył się jedynie na dotknięcie dłonią jej rozgrzanego policzka.

Stali tak przez dłuższą chwilę. Przechodzący marynarze obrzucali ich zaciekawionymi spojrzeniami, a Wyatt przyglądał im się z nadbudówki, gdzie stał z pierwszym oficerem. Po chwili podszedł do nich.

- Odpływamy - poinformował, aby jakoś wytłumaczyć swą obecność.

Renville spojrzął na niego nieprzytomnym wzrokiem, a kiedy zdał sobie sprawę z tego, że wciąż gładzi Treasure po policzku, odruchowo przesunął rękę na jej włosy i w tym momencie zauważył zmianę.

- Co się stało z twoją fryzurą? - spytał ostro.

- Tak jest mi łatwiej utrzymać je w porządku - wyjaśniła, zdumiona tonem jego głosu.

- Zejdź zaraz na dół i uczesz się tak jak przedtem - rozkazał. - Nie możesz pokazywać się ludziom na oczy w tym stanie.

Treasure spiekła raka, zakręciła się na pięcie, zeszła do kabiny i głośno zatrzęsęła za sobą drzwi.

Kiedy po zachodzie słońca steward przyszedł po nią, aby ją zaprowadzić na kolację przy stole kapitańskim, nie miała najmniejszej ochoty widzieć Renville'a, a z drugiej strony nie miała też zamiaru chować się przed nim. Steward zaprowadził ją do przestronnej mesy, gdzie byli już oficerowie, inni pasażerowie i wielki stół zastawiony jedzeniem. Treasure była jedyną kobietą.

Renville najpierw odruchowo spojrzął na jej włosy, których nie udało jej się zbyt porządnie uczesać, a potem przedstawił ją kapitanowi, oficerom i współpasażerom jako swoją żonę.

Następnie podszedł do stołu i odsunął jedno z krzeseł. Pozostali mężczyźni stanęli przy stole. Renville wpatrywał się w nią wściekłym wzrokiem, a Treasure nie miała pojęcia, o co mu tym razem chodzi. Kapitan wyratował ją z opresji.

- Proszę panią do stołu.

Kiedy wszyscy usiedli, zorientowała się, że czekali, aż zajmie miejsce.

Potem było jeszcze gorzej. Kiedy wszyscy zachwycali się ostrygami, Treasure nie była w stanie przełknąć ani jednej.

- Trzeba się do nich trochę przyzwyczaić. - Kapitan roześmiał się.

- Moja żona wychowała się z daleka od morza - wyjaśnił Renville nieprzyjemnym tonem. Przez dłuższą chwilę przy stole panowała cisza.

Przy drugim daniu dżentelmen z Nowego Jorku spytał Treasure, w jaki sposób pomogła rannemu marynarzowi. Jego koledzy mówili o tym wydarzeniu jak o cudownym ozdrowieniu.

- To nie było nic nadzwyczajnego - powiedziała cicho, czerwieniąc się z zażenowania. - Nie ma o czym mówić.

- Proszę wybaczyć, ale jestem innego zdania - nalegał mężczyzna z miłym uśmiechem, który przypominał nieco ojca Vivanta.

- Noga nie była złamana. Ja tylko zlikwidowałam ból. - Ostrzegawczy wyraz twarzy Renville'a sprowokował ją do dalszych wyjaśnień. - Nauczyłam się tego od starej Shinawhey, Indianki z plemienia Susquehanna, która mnie wychowywała. - Wszyscy zapomnieli o jedzeniu. - Są takie miejsca w ciele człowieka, gdzie zbiera się limfa. Kiedy się ją zatrzyma, następuje pewnego rodzaju odrętwienie.

Treasure pokazała, gdzie są takie miejsca w ciele człowieka.

- Tu... i tu - powiedziała dotykając pachy i miejsca na łokciu. - A także pod kolanem, w uchu, w dwóch miejscach na plecach, w stopie i w dwóch miejscach w pachwinie.

Renville wstał raptownie, przeszedł na drugą stronę stołu i złapał Treasure za ramię, nim skończyła swój pokaz.

- Moja żona źle się dzisiaj czuje. Najwyraźniej zaszkodziły jej ostrzygi. Proszę nam wybaczyć.

Wciągnął ją na zewnątrz i zaprowadził do kajuty.

- O co panu chodzi?! - wykrzyknęła z gniewem.
- O to, że robisz z siebie przedstawienie! Nie masz żadnych manier! - Odwrócił się, starając się na nią nie patrzeć. - Muszę się za ciebie wstydzić.
- Ale to smakowało okropnie. Jakbym przeżyła...
- Nic mnie to nie obchodzi! Nie wiesz, jak usiąść, jak rozmawiać, jak się zachowywać. Będiesz teraz jadała posiłki w kajucie i wychodziła na spacer po pokładzie jedynie rano i po południu - zarządził i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Nowy dzień wstał pochmurny i burzliwy. „Indulgence” kołysała się na wysokich falach, które zalewały pokład. Gdy Renville dołączył do kapitana i paru innych osób na posiłek, był kompletnie przemoczony i było mu zimno, ale uparł się, że nie pójdzie do kajuty po suche ubranie.

- Steward powiedział, że twoja żona źle się czuje - mruknął Wyatt, spoglądając na Renville'a spod oka.

- Wszyscy źle się czują z powodu sztormu - odparł Renville.

Po kolacji lepsi pasażerowie zebrali się przy świetle lampy w kabinie kapitana przy kieliszku brandy. W pomieszczeniu dla pasażerów niższej klasy kilka osób chorowało i Renville zaczął się zastanawiać nad powrotem do własnej kajuty i niemożliwej żony.

- Widziałeś ją dzisiaj? - z udawaną obojętnością spytał Wyatt.

- Nie.

- Może powinieneś jednak wrócić do kajuty. Nie sądzę, aby twoja żona nadal się dąsała.

- Nie potrzebuję twoich rad, Wyatt. Kapitan zaproponował, żebyśmy spędzili noc tutaj. Zamierzam skorzystać z jego oferty.

- Pańska żona nie otworzyła drzwi, kiedy przyniosłem jej jedzenie dziś rano. Wczoraj wieczorem też nie - powiedział następnego dnia steward, podchodząc do Renville'a. - Ona jest chora, proszę pana.

- Albo uparta - odparł Renville.

Steward odszedł, mamrocząc coś pod nosem.

Wyatt chrząknął i stwierdził, że pierwsza podróż statkiem może być bardzo nieprzyjemna, zwłaszcza przy takiej pogodzie.

- Jeśli ty do niej nie pójdziesz, ja to zrobię - dodał.

Renville zszedł na dół. Tuż za nim podążał Wyatt. Kiedy otworzyli drzwi, w nozdrza uderzył ich zapach wymiotów. Treasure leżała na koi, blada i nieruchoma. Oderwała kawałek koszuli i przywiązała się nią do koi, żeby gwałtowne przechyły statku nie zrzuciły jej na podłogę.

- Do diabła! - wybuchnął Renville. Podbiegł do łóżka i złapał Treasure za ramiona. Kiedy nie reagowała na jego krzyki, zerwał pasek materiału, którym była przywiązana, wziął ją na ręce, i zaczął nią potrząsać.

- Treasure, obudź się, powiedz coś...

Jej głowa kiwała się niepokojąco na wszystkie strony, rzęsy poruszyły się na moment i znów zastygły bez ruchu na policzkach.

Wyatt zamoczył kawałek szmatki, żeby wytrzeć twarz Treasure. Renville położył ją z powrotem na łóżku i odgarnął z twarzy wilgotne, splątane włosy. Wyatt podał mu mokrą szmatkę i Renville niezgrabnie wytarł jej bladą, spoconą twarz.

Z niepojem spojrział na przyjaciela.

- Nie wiem, co robić. Na statku nie ma żadnej innej kobiety. - Rękami rozcierał jej zimne, pozbawione życia dłonie. - Posłać po lekarza?

- Przypuszczalnie będzie z niego więcej szkody niż pożytku. - Wyatt nerwowo wytarł ręce w spodnie i wreszcie spojrział wprost na Sterlinga. - Na litość boską, jesteś jej mężem. Musisz się nią zająć.

- Ale ja się nie znam na chorobach. Sam chyba nigdy nie byłem chory.

- Ułóż ją wygodniej i daj jej coś do picia. Jak jesteś chory, przeważnie dają ci pić. Zapytam innych, zobaczę, co zaproponują. Z pewnością ktoś musi wiedzieć, co robić.

Wyatt wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Sterling Renville siedział, trzymając Treasure za ręce. Napój... Wyatt mówił o picciu. Podskoczył, wyciągnął z kufra mały, srebrny kubek i napełnił go wodą. Krople spływały jej po brodzie, ale Renville był pewien, że Treasure przełknęła trochę płynu. Rozejrzał się i spostrzegł, że żona ma na sobie tę samą ciasną suknię, w której już wcześniej było jej niezbyt wygodnie, a materac jest stary i brudny. Na pewno przydałaby się świeża pościel.

Drżącymi rękami wyciągnął z węzełka starą niebieską suknię Treasure i szybko ją przebrał. Nim Wyatt powrócił z butelką brandy i zasłyszanymi radami, Renville zdążył przykryć materac czystym prześcieradłem i jeszcze raz obmyć chorej twarz.

Zawinął Treasure w koc, usiadł na łóżku i niezgrabnie wziął ją w ramiona.

To był bardzo długi wieczór i jeszcze dłuższa noc. Treasure chwilami odzyskiwała przytomność, ale nazwała Sterlinga „dziedzicem” i mruzczała coś o pomarańczach, które chciała mu koniecznie pokazać. Z jej słów wynikało, że rozmawiała z jego ojcem. Później widziała w nim Pena i ojca Vivanta.

Renville słuchał tego wszystkiego z bólem serca. Zabrał dziewczynę na statek, powodowany kaprysem i swoją egoistyczną chęcią. Wprawdzie niezbyt chciał się z nią ożenić, ale już wcześniej wiedział, że nie będzie w stanie jej zostawić.

W ciągu nocy jeszcze wiele razy obmywał jej twarz, poił ją brandy z wodą, gładził jej blade policzki i odgarniał włosy z czoła. To on powinien był chorować i chętnie oddałby jej teraz część swego zdrowia.

Wreszcie chora znów zapadła w głęboki sen. Renville siedział przy niej i patrzył.

Po dwóch dniach pogoda się poprawiła i morze uspokoiło, ale Treasure nadal była w tym samym stanie - odzyskiwała przytomność, a potem znowu zasypiała. Wyatt zmieniał go na parę godzin każdego dnia, ale Renville najchętniej leżał po prostu w swojej koi w pobliżu Treasure.

Kiedy jednego razu wyszedł na pokład, spotkał dwóch marynarzy, którzy spytali go o zdrowie żony.

- Ani lepiej, ani gorzej - odparł.

- Noga Harveya całkiem się zagoiła. - Starszy z dwóch mężczyzn pokazał na swego towarzysza. - Odmawia za nią różaniec.

Sterling przełknął ślinę i przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu.

- Na pewno to doceni - wykrztusił wreszcie.

Później tej nocy siedział w kabinie i przyglądał się nerwowemu szamotaniu i niezrozumiałym okrzykom Treasure. Zmęczony i udręczony wyrzutami sumienia, po raz pierwszy pomyślał, że

dziewczyna może umrzeć. Pochylił się nad nią i zapytał, czy czegoś nie chce. Otworzyła oczy i spojrzała na niego zamglonym, niewidzącym wzrokiem, a potem wymówiła jego imię.

- Jestem tu - odparł, siadając na brzegu koi. Ze zdumieniem poczuł, iż jej palce dotykają jego rękawa. Z nadzieją chwycił jej dłoń.

- Nie kobieta... - mamrotała. - Elegancki dziedzic... piękny Renville... złoty... do widzenia, Renville - powiedziała na koniec i zamknęła oczy.

Kurczowo przyciągnął ją do siebie.

- Nie zostawiaj mnie, Treasure, proszę.

W duchu przysięgał, że jeśli ona przeżyje, odeśle ją do domu. Sam ją tam zawiezie. Może Vivant miał rację. Może nie mogła należeć tylko do jednego mężczyzny. Była bezcenna dla całej swojej wioski.

Przed świtem zasnął zmęczony, trzymając Treasure w objęciach.

Rano znalazł ich Wyatt i delikatnie szturchnął Sterlinga w ramię, podając mu kubek gorącej herbaty. Renville dotknął czoła Treasure, które było trochę cieplejsze, a jej twarz bardziej zaróżowiona. Otworzyła oczy i spojrzała najpierw na Renville'a, a potem na Wyatta.

- Treasure? - Renville dotknął jej policzka z wyraźną ulgą.

- Pan tu jest? - spytała zdziwiona. - Nie odszedł pan?

- Dokąd?

- Jest tu od wielu dni - powiedział Wyatt.

- Czuję się... dziwnie. Chce mi się pić.

Sterling usiadł i wziął od Wyatta kubek.

- Może napijesz się herbaty?

Kiwnęła głową i Renville dał jej się napić. Spojrzała na niego uważnie, a potem spytała, czy był chory.

- Nie, to ty chorowałaś - odparł Renville. - Ale najgorsze już minęło. Jesteś głodna?

Zastanawiała się przez chwilę, a potem kiwnęła głową. Renville uśmiechnął się, uszczęśliwiony.

Tego dnia zjadła zupę, następnego - chleb maczany w mleku, a trzeciego - kawałek mięsa i suszone owoce. Wciąż przesypiała całe godziny, ale kiedy się budziła, Sterling, ogolony i elegancko

ubrany, był zawsze przy niej. W miarę jak nabierała siłą, zauważyła, że smutkiem, że Renville znowu staje się obcy.

Marynarz Harvey wraz z kolegą przyszli w odwiedziny, przynosząc w prezencie rzeźbę z fiszbinów, wykonaną przez jednego z „chłopaków”. Kapitan, który przyszedł złożyć swoje uszanowanie, miał nadzieję, że nie zaszkodziły jej ostrygi. Kiedy spytał, czy mógłby dla niej coś zrobić, Treasure początkowo potrząsnęła głową, ale gdy wychodził, zatrzymała go.

- Może... gdyby miał pan jakąś książkę, którą mogłabym pożyczyć...

Po kilku minutach przysłał stewarda z grubym tomem dotyczącym problemów nawigacyjnych i z przeprosinami, iż nie może jej służyć niczym innym. Sterling roześmiał się głośno, kiedy się o tym dowiedział.

- Czy pan się śmieje ze mnie? - spytała, otwierając książkę.

- Nie. Pomyślałem tylko, że byłabyś bardzo rozczarowana, gdyby była to książka o haftach.

- Sprawiałam panu wiele kłopotu, Renville. To miło, że się pan tak o mnie troszczy.

- Miło? Ja nigdy nie robię niczego... miłego. To nie przynosi żadnych korzyści.

- Dlaczego tak panu zależy na korzyściach?

- To jest w życiu najważniejsze. Wszystko musi pracować na naszą korzyść.

- Wszystko?

- Wszystko. Nawet największą fortunę można zdobyć i stracić w ciągu jednej nocy. Życie pośród ludzi uprzywilejowanych jest bardzo ryzykowne.

- Życie jest ryzykowne także pośród biedaków, Renville. A zatem każdy człowiek, bogaty czy biedny, musi sam zdecydować, co jest dla niego w życiu najważniejsze.

- Odpocznij, Treasure - powiedział, wychodząc z kabiny.

15

Pod koniec tygodnia Renville codziennie wynosił Treasure na pokład, aby mogła odetchnąć świeżym powietrzem. Tam załoga, oficerowie i inni pasażerowie zawsze ją serdecznie witali. Wkrótce znała nazwę każdego żagla i każdej części na statku wraz z historią jej rozwoju i użycia. Pewnego dnia rozejrzała się wokół i spytała:

- W jaki sposób odnajdziemy Anglię?

, Rozbawiony kapitan pokazał jej swoje mapy i zaczął ją uczyć, jak się posługiwać sekstansem.

- Wielki Boże! - wykrzyknął Wyatt, który usiadł jednego popołudnia obok Sterlinga. Wlepił wzrok w Treasure, która w nadbudówce wyznaczała pozycję statku według słońca. - Czy myślisz, że kapitan naprawdę korzysta z wyników, które ona mu podaje? - zapytał niepewnie.

- Kapitan jest rozsądnym człowiekiem. Co ona może wiedzieć o nawigacji? Prawdopodobnie chce jej zrobić przyjemność.

Jej ozłoczone włosy, zarumienione policzki i błysk zainteresowania w oczach, kiedy rozmawiała z kapitanem, oczarowały Renville'a. Teraz, gdy nie martwił się już jej stanem zdrowia, zaczął się martwić tym, że odczuwa palącą potrzebę jej bliskości. Nadal spał w swojej koi we wspólnej kajucie, ale chwile przed pójściem spać i tuż po wstaniu, kiedy byli w kabinie tylko we dwójkę, stały się nieznośnie kłopotliwe. Wmawiał sobie wprawdzie, że myśli jedynie o jej samopoczuciu, ale gdy teraz podeszła do niego, gwałtowne pożądanie przepełniło go całego.

- Chyba pójdę trochę odpocząć - powiedziała. - Nie powinien pan być za długo na słońcu bez kapelusza, Renville.

- Dziękuję, nic mi nie będzie - mruknął.

Jednakże gdy zeszła na dół, przegrał walkę z samym sobą i wstał.

- Może jednak pójdę po kapelusz - burknął pod nosem.

W kajucie panował przyjemny chłód. Treasure wciąż miała w oczach sylwetkę Renville'a, jego wdzięczne ruchy, zarys silnych ramion, gesty szczupłych, ładnych dłoni. Marzyła o tym, aby znów traktował ją jak kobietę.

Drzwi do kajuty otworzyły się i Renville wszedł do środka. Treasure czuła, że za chwilę jej dotknie, i drżała w niecierpliwym oczekiwaniu. Kiedy podszedł bliżej, uniosła twarz, wpatrując się w niego rozmarzonym, zachęcającym wzrokiem. Pocałował ją, ale po tylu dniach słodki pocałunek jej nie wystarczał. Przyłgnęła do niego całym ciałem i mocno go objęła.

Sterling sięgnął po koniec jej warkocza. Pomogła mu go rozpleść, wiedząc, iż jest zafascynowany jej włosami. Powoli rozpiął jej suknię, całując nagie ramiona. Treasure objęła go za szyję i przesunęła jego głowę jeszcze niżej. Po chwili całował ofiarowane mu skarby. Niebawem leżeli nago na koi, łapczywie się dotykając i pieszcząc.

Sterling przyciągnął ją do siebie, rozkoszując się jej gwałtowną reakcją na każdą pieszczotę. Nie spotkał jeszcze takiej kobiety. Czuł się tak, jakby przeżywał wszystko po raz pierwszy.

Wszedł w nią powoli, świadom każdego ruchu, dzięki którym stąpiali się w jedność i razem dążyli do spełnienia. Wspólnie osiągnęli doskonałe zespolenie i pełnię rozkoszy.

Kiedy Renville wysunął się z jej objęć, Treasure westchnęła z zadowoleniem i przytuliła się do niego, kładąc mu głowę na ramieniu i słuchając wciąż gwałtownego bicia jego serca. Później zsunęła się niżej i przyłożyła ucho do jego brzucha. Delikatnie przeciągnęła palcami po skórze. Renville zadrżał. Treasure oparła się na łokciu i spojrzała na niego.

- Twoje ciało wydaje bardzo interesujące dźwięki - mruknęła, opierając brodę na jego piersi.

- Dźwięki?

- Słuchałam wielu ciał, ale twoje jest najciekawsze.
- Co robiłaś?
- No, głównie słuchałam bicia serca i oddechu, rzadziej żołądka.
U ciebie wszystko jest fascynujące.

- To mi... pochlebia.
- W gruncie rzeczy cały jesteś fascynujący. Jesteś gładki i twardy, a kiedy się poruszasz, widzę grę mięśni pod skórą. Masz bardzo mocne dłonie. A twoje oczy są czasem szare, czasem srebrne, a czasem, tak jak teraz - niebieskie.

- Potraktowałaś mnie jak egzemplarz okazowy.
- Wcale nie. Nie miałam przedtem pojęcia, że ciało może być aż tak interesujące... pod tym względem. Po raz pierwszy mogę kogoś tak dokładnie przestudiować.

- Mam nadzieję, że na mnie poprzestaniesz. I że nie będziesz rozczarowana brakiem dalszych okazów.

- Chyba nie. Jesteś bardzo interesujący, Renville. I bardzo piękny - dodała ciszej.

- Nie mówi się o mężczyznach, że są piękni.
- Ale ty jesteś. Jesteś cały złoty i ukształtowany jak posąg.
- Jak posąg?
- Twój ojciec miał książkę z wizerunkami sławnych artystów i posągów. Był tam rysunek króla Dawida, wyrzeźbionego w marmurze...

- Przez Michała Anioła - dokończył. - Widziałem go.
- Naprawdę? Och, twoja twarz jest inna, ale masz takie same szerokie i silne ramiona, i to miejsce na klatce piersiowej...

- Dość!
Wielki Boże, nawet nie mrugnawszy okiem porównała go do sławnego Dawida. I w dodatku mówiła to wszystko z absolutnym przekonaniem. Większość kobiet obsypywała mężczyzn komplementami, spodziewając się czegoś w zamian, ale Treasure Barrett do nich nie należała.

Uniósł się i znów zagarnął ją pod siebie.
Kiedy wreszcie zszedł z koi, słońce zachodziło za horyzontem. Delikatnie przebudził Treasure, a kiedy usiadła, na wpół śpiąca, był już ubrany.

- Lepiej wstań i ubierz się - powiedział - bo zaraz wpadnie

tu Wyatt, aby sprawdzić, czy nie zrobiłem ci krzywdy. - Postukał palcem w czubek jej nosa i uśmiechnął się miękko.

Odwzajemniła uśmiech, myśląc, że czasem potrafi być szalenie czuły i delikatny i że przypomina teraz swego ojca.

- Twój ojciec tak samo dotykał mojego nosa - powiedziała.

Zapanowało niezręczne milczenie.

- Postaram się więcej tego nie robić - powiedział chłodno Renville i wyszedł z kabiny.

Tego wieczoru po kolacji Wyatt podszedł do Sterlinga, który stał przy balustradzie nadbudówki. Przyglądał mu się przez chwilę, starając się odgadnąć jego myśli.

- Jak ona się ma? - spytał wreszcie, jakby od niechcenia.

Sterling spojrzał na niego ostro.

- Dość dobrze.

- Nie sądzisz, że powinieneś pozwolić jej jadać razem ze wszystkimi? W kajucie musi jej być bardzo niewygodnie.

- Nie narzeka.

- Choć raz zachowaj się jak człowiek, a nie jak dżentelmen! - wybuchnął Wyatt. - Na litość boską, jest twoją żoną. Nie możesz jej trzymać w zamknięciu jak jakiejś... jakiejś konkubiny.

Sterling wałnął pięścią w balustradę, obrzucił przyjaciela wściekłym spojrzeniem i odszedł bez słowa.

Kiedy Treasure wyszła później na pokład, aby zaczerpnąć świeżego powietrza, znalazła Renville'a w złym humorze. Z trudem ukryła rozczarowanie, tłumacząc sobie, iż nie powinna być zdziwiona. Za każdym razem, kiedy byli razem w łóżku, Renville tak się zachowywał. Najwyraźniej żałował, że znów to zrobił.

Sympatyczny Wyatt postanowił jej pomóc i wkrótce wciągnął w rozmowę innych pasażerów, którzy z zainteresowaniem słuchali Treasure. Potrafiła inteligentnie rozmawiać na każdy temat i miała sporą wiedzę. Kiedy jednak konwersacja zeszła na temat kontrowersyjnych szczepień dzieci na ospę, cierpliwość i tolerancja Renville'a wyczerpała się.

- ...najtrudniej jest przekonać ludzi. Dziedzic Renville był nieugięty, a ojciec Vivant też użył swego autorytetu. Wreszcie rodzice się poddali. I dziedzic posłał po doktora Zabdiela Boylstone'a z Bostonu, żeby nam pokazał, jak...

Renville nie mógł tego słuchać. Treasure, jak zwykle, nie umiała zachować się jak dama. I w dodatku musiała mówić o jego ojcu, niepoprawnym fanatyku. Szczepionka na ospę dla wiejskich bachorów! I co jeszcze!

Tymczasem Treasure przeszła do obrzydliwych szczegółów.

- ...nabrzmiałe narośle na wymieniu. Potem wszystko trzeba było wygotować.

- I jak to się potem robiło? - spytał jowialny mężczyzna z Nowego Jorku. - To znaczy, jak się podawała tę szczepionkę i jakie były rezultaty? Czy potem się choruje?

- Zalurza się igłę w ropnym roztworze i drapie skórę przedramienia. Tam jest najmniej narażona na zakażenie. Po paru dniach pojawia się narośl. Niektóre dzieci miały trochę gorączki, dwoje zachorowało na ospę, ale żadne nie umarło. Na ramieniu zostaje mała blizna. - Treasure podciągnęła rękaw sukni i pokazała biały ślad.

Renville odepchnął zebranych, złapał Treasure za rękę, burknął nieprzekonującą wymówkę o niedawnej chorobie żony i potrzebie wypoczynku i zaciągnął ją na dół do kajuty.

- Mówiłem ci, że nie będę tolerował takich przedstawień!

- To ty robisz przedstawienie, Renville. Ja tylko...

- Zrobiłaś głupka z siebie i ze mnie. Mówisz wstrętnym językiem i pokazujesz swoje ciało obcym mężczyznom. Od tej pory nie wolno ci rozmawiać z żadnym pasażerem, słyszysz? A jeśli jeszcze raz usłyszę słowo „ropa”, wyszoruję ci usta mydłem.

- Uważaj, bo będziesz miał zakrwawioną rękę. Nie jestem dzieckiem, Renville, i jeśli zrobisz coś takiego, więcej mnie nie dotkniesz.

Zapadła głucha cisza. Oboje wiedzieli, że Treasure nie rzuca słów na wiatr. A Renville też nie zwykł był rzucać pogroźek, których nie zamierzał dotrzymać.

- I nie życzę sobie, żebyś opowiadała o idiotyzmach mojego ojca.

- Twój ojciec nie był idiotą. Był dobrym i szczodrym człowiekiem, który poświęcił życie...

- Był patetycznym, zapatrzonym w gwiazdy filantropem, który zabrał moją matkę z Anglii w dzikie, pozbawione wygod, chorobliwe miejsce na końcu świata, gdzie zachorowała i nigdy nie doszła

do siebie. Uciekła wreszcie do Filadelfii, gdzie niedługo umarła. Była zbyt słaba, aby wrócić do Anglii, o czym marzyła. Przynajmniej udało jej się wysłać tam mnie, żebym miał w życiu jakąś szansę. I mam zamiar ją wykorzystać bez dalszych przeszkód z twojej strony. Przez resztę podróży możesz rozmawiać wyłącznie z Wyattem i ze mną.

- Nie masz prawa...

- Mam wszelkie prawo. Jestem twoim mężem - warknął wychodząc.

Treasure z rozpaczą wpatrywała się w zamknięte drzwi. Mylił się. Nie był jej mężem, tylko panem.

Dwa dni później Treasure znów wyszła wieczorem na pokład. Ponieważ nie wolno jej było rozmawiać z innymi pasażerami, starała się wychodzić tylko wtedy, kiedy nikogo tam nie było. Słuchała teraz rozmów marynarzy i zamieniła kilka słów z Harveyem, któremu wyleczyła nogę. Nagle usłyszała z góry melodyjny, znajomy język. Na maszcie nad jej głową siedział młody chłopak i śpiewał tęskną piosenkę po portugalsku.

Szybko podeszła bliżej i odezwała się do niego w ojczystym języku. Zdumiony chłopak zeskoczył i po chwili rozmawiali żywo, równie żywo przy tym gestykulując.

Wyatt początkowo obserwował ją z oddali, ale zbliżył się, zafascynowany ich rozmową. Widząc go, Treasure przypomniała sobie o Renville'u i prędko skończyła konwersację, obiecując marynarzowi, że później zamieni z nim jeszcze parę słów.

- Gdzie się pani nauczyła po...? Co to był za język?

Wyatt poprowadził ją w stronę środkowego pokładu, nie widząc Renville'a, który zbliżał się do nich.

- Portugalski. Nauczyłam się go w tym samym roku, kiedy ojciec Vivant nauczył mnie francuskiego, a dziedzic zaczął mnie uczyć łaciny. Nikt nie znał hiszpańskiego, więc zaczęliśmy portugalski. Dziedzic znalazł marynarza, który pochodził z Portugalii. I wie pan co? - Spojrzała na marynarza, który teraz opowiadał o swojej rozmowie pozostałym członkom załogi. - On mówi dokładnie tak samo jak Lesandro. Czyż to nie cudowne?

Przypuszczalnie nie było w tym nic nadzwyczajnego, skoro obaj pochodzili z tego samego niewielkiego kraju, ale Wyatt nie zdążył jej tego powiedzieć. Zobaczył za jej plecami Sterlinga, którego twarz przypominała chmurę gradową. Treasure odwróciła się i zamarła, spodziewając się kolejnej awantury.

Ale Renville tylko na nią spojrział.

- Idź na dół, Treasure - powiedział bardzo cicho. - I idź spać.

Zaskoczona, stała przez chwilę bez ruchu, po czym posłusznie zeszła dół. Najdziwniejsze było to, że Renville odezwał się do niej po francusku.

- Ona jest niewiarygodna - stwierdził miękko Wyatt, z pewnym współczuciem dla przyjaciela. Prawdziwy dżentelmen nie potrzebował niewiarygodnej żony. A Renville był prawdziwym dżentelmenem z wszelkimi pretensjami, zasadami i uprzedzeniami.

Wyatt dopiero teraz zrozumiał, że przyjaciel ma ciężki orzech do zgryzienia. Z jednej strony najwidoczniej jego uczucia do Treasure były bardzo silne, skoro ciągnął ją ze sobą przez pół świata, z drugiej - jej pochodzenie i zachowanie w żaden sposób nie mogło mu odpowiadać.

Myśli Sterlinga biegły podobnym torem. Jaka inna kobieta znała się na tylu rzeczach - na leczeniu, szczepionkach, nawigacji... I jeszcze te języki.. Wcześniej tego dnia dowiedział się, że faktycznie pomagała kapitanowi w wyznaczaniu kursu i podobno o tydzień skróciła ich podróż.

Nie znał mężczyzny, który dorównałby jej intelektem. A jednocześnie była prawdziwą, wrażliwą, zmysłową i chętną kobietą. W jej ramionach czuł się jak półbóg, do którego go porównała.

Nie zwracając uwagi na Wyatta, podszedł do burty i ciężko oparł się na relingu. Nie wiedział, co zrobić. Nie pasowała do jego świata, do wartości i zasad, którymi się kierował. Nie powinien był się z nią w ogóle zadawać, nie powinien się z nią kochać.

Kochać?! Co też mu przyszło do głowy?! Miłość była dla poetów, dla niedojrzałych młodzieńców i głupich filantropów. Światowy mężczyzna nie zawracał sobie głowy takimi głupstwami.

Wszystko razem zapowiadało katastrofę.

Bristol był pełen statków i musieli cały dzień stać na redzie, nim wpłynęli do portu. Jednakże sam widok stałego ładu sprawił, iż Treasure nie czuła rozczarowania. Spędziła prawie całe popołudnie na pokładzie z Wyattem, obserwując rozładowywanie towarów i rozglądając się wokół z ekscytacją. To była ojczyzna, źródło ich cywilizacji. Nagle poczuła przypływ gwałtownej tęsknoty za Culpepper, za rodzicami - nie była pewna, jak się odnajdzie w tym nowym miejscu.

Wyatt zabawiał ją anegdotkami ze swego szkolnego życia w Devonshire i obserwacjami na temat powoli zmieniających się obyczajów Anglii i jej kolonii, kiedy jednak zobaczyła Renville'a, przeprosiła i odeszła. Przez ostatnie dwa tygodnie udało jej się unikać jego wybuchów irytacji jedynie dlatego, że starała się jak najmniej przebywać w jego towarzystwie.

Wyatt widział, iż Sterling jest mocno zdenerwowany, i pocieszył się, że to, co miał mu powiedzieć, nie może już bardziej zepsuć mu humoru.

- Rozumiem, że przed wyjazdem do Devonshire zatrzymasz się na jakiś czas w Bristolu - zaczął ostrożnie.

- Nie, wyjeżdżam pojutrze, jak tylko zamówię powóz - odparł Renville, przyglądając mu się podejrzliwie.

- To bez sensu - stwierdził Wyatt. - Będziesz potrzebował co najmniej dwóch tygodni, żeby kupić jej odpowiednie stroje i nająć właściwą służącą.

- Stroje? - prychnął Renville, autentycznie zdziwiony. - Nie żartuj.

- Daj spokój, Renville! Nigdy nie byłem bardziej poważny. Jak możesz tak ją zaniedbywać? Ostatecznie w Filadelfii śpieszyłeś się na statek, ale teraz musisz ją natychmiast wyposażyc w odpowiednią garderobę. Wielki Boże, ta kobieta nosi rzeczy po moich służących, czesze się w warkocze i z pewnością pół dnia chodzi boso. Jeśli tak ją zabierzesz do hrabiego, ośmieszysz i ją, i siebie. A jeżeli nawet ty na to zasługujesz, to ona na pewno nie.

- Zamknij się, Colbourne, to nie twoja sprawa! Gdyby kto inny tak się do mnie zwrócił, gorzko by tego pożałował.

- To twoja żona, człowieku!

- I radzę ci o tym nie zapominać. Jest moją żoną i zrobię, co zechcę. Jeśli nie chcę wyrzucać pieniędzy na stroje dla niej, to jest to wyłącznie moja sprawa. Treasure jest, jaka jest, i nawet najelegantsze suknie tego nie zmieniają.

Przez chwilę panowała cisza. Sterling przypomniał sobie, gdzie są i rozejrzał się, ale nikogo przy nich nie było.

- Nie odwiedzaj mnie w Bristolu, Colbourne. Nie będę miał czasu cię przyjąć - powiedział zimno i odwrócił się na pięcie.

Przy najbliższym zejściu z pokładu stała opatulona w szal Treasure. To, że unikała jego wzroku i starała się przejść koło niego jak najszybciej, świadczyło, iż słyszała jego rozmowę z Wyattem.

Spoglądał za nią, gdy sztywnym krokiem podeszła do burty i wbiła wzrok w wody oceanu, spoglądając w kierunku odległej ojczyzny. Po paru minutach znalazł się w kajucie, ale jeszcze długo nie mógł zapomnieć jej wielkich, smutnych oczu.

Renville zostawił Treasure w Laningbury Inn, w najelegantszej części Bristolu, i udał się na poszukiwanie powozu, ostrzegając ją w ostrych słowach przed opuszczaniem zajazdu.

Treasure siedziała sztywno na kanapie, wpatrując się w złote tapety i grube dywany. Pokojówka w wykrochmalonym fartuchu przyniosła wielką, srebrną tacę i zaczęła rozstawiać jedzenie na okrągłym, inkrustowanym masą perłową stoliku. Treasure przyglądała się porcelanie i srebrnej zastawie, które pokojówka ustawiała i układała w precyzyjny sposób - nóż, dwa widelce, łyżki i łyżeczki, serwetki i wysokie kieliszki do wina. Renville dopiero wyszedł, posiłek był więc najwyraźniej przeznaczony dla niej samej. Treasure miała nadzieję, iż pokojówka nie będzie nad nią stała i czekała, aż zacznie jeść. Na szczęście dziewczyna dygnęła sztywno i wyszła.

Treasure zajrzała do półmisków i waz, ale wzięła tylko ukradkiem jedną bułkę i zjadła zaledwie połowę, choć burczało jej w brzuchu. Usiadła z powrotem na kanapie i rozglądała się po pokoju szeroko otwartymi oczyma. Wszystko było równie eleganckie jak w Renville House, ale o wiele bardziej onieśmielające.

To był świat Sterlinga Renville'a, gdy tymczasem ona pochodziła z zacofanych kolonii. Nieobyta wieśniaczka, która bała się nawet zjeść z talerza. A gdyby kupił jej elegancką suknię, byłaby tylko wieśniaczką w eleganckiej sukni. To miał na myśli poprzedniego dnia na statku, kiedy rozmawiał z Wyattem. Przypuszczalnie się nie mylił. Nic dziwnego, że tak się ciągle irytował.

Nim pokojówka znów się pojawiła, Treasure zdażyła sobie parę spraw przemyśleć. Szybkim spojrzeniem oceniła jej szarą perkalową suknię i wkrochmalony biały fartuch, i postanowiła, że zrobi wszystko, aby przyzwoicie wyglądać, gdy przyjedzie do Devonshire.

- Ładna suknia - powiedziała z uśmiechem.

Pokojówka odwróciła się zdziwiona i spojrzała krytycznie na brązową, wełnianą suknię Treasure.

- Myślę, że masz jeszcze drugą, z którą mogłabyś się rozstać.

- Mogłabym - odparła pokojówka z zuchwałym uśmieszkiem - za właściwą cenę.

Uzgodniona cena polegała na usunięciu kilku brzydkich brodawek. Treasure przyjrzała im się uważnie. Od dziecka usuwała brodawki, a te już dawno do tego dojrzały. Zapaliła świecę i pocierając brodawki, mruzczała specjalne zaklęcia. Obiecała pokojówce, że szpecące zgrubienia znikną najpóźniej po tygodniu, a dziewczyna obiecała, że następnego dnia dostarczy suknię i fartuch.

Renville wrócił wieczorem, ale zjadł kolację w swoim pokoju. Następnego dnia znów wyszedł rano, a kiedy wrócił wieczorem, zastał Treasure na środku pokoju w perkalowej, szarej sukni, białym, wykrochmalonym fartuchu i sztywnym czepku na głowie. Stał jak wryty, a Treasure wstrzymała oddech, nie wiedząc, czy jest zły, czy raczej nie zwróci na nią uwagi.

- Co to jest? - zapytał, opanowując się z najwyższym trudem.

- Myślałam, że to będzie bardziej odpowiednie - wyjąkała niepewnie.

- Mój Boże - mruknął, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu.

W koloniach służba nosiła zwykłe ubrania, ale w Anglii, zwłaszcza w lepszych domach, musiała wkładać specjalne uniformy.

- Skąd to masz? - spytał, ocierając łzy z oczu. - Wszystko jedno. Nie chcę wiedzieć - dodał i znów zaniósł się niepohamowanym śmiechem.

Uspokoił się wreszcie, kiedy spostrzegł, że jest bliska płaczu.

- Jutro oddasz te rzeczy.

- Nie możesz mnie zmusić. Dostałam je w uczciwej wymianie - powiedziała drżącym głosem.

Jej powstrzymywane za wszelką cenę łzy odniosły skutek, którego nie udało się osiągnąć Wyattowi.

- Nie będziesz ich potrzebowała - powiedział niebezpiecznie miękko głosem i sztywno ruszył do drzwi, powstrzymując chęć wzięcia jej w ramiona. - Jutro zabiorę cię do szwaczki.

Kiedy następnego dnia wyszli z pracowni szwaczki, Treasure miała na sobie niebieską sznurowaną z przodu suknię z delikatnej wełny i małą pelerynkę obramowaną futrem. W rękach, ogrzewanych po raz pierwszy w życiu rękawiczkami z miękkiej skóry, trzymała paczkę z perkalową i batystową bielizną. W nowym ubraniu czuła się trochę dziwnie i poruszała się sztywno. Renville z uśmiechem pomógł jej wsiąść do powozu.

Kiedy wracali do zajazdu, Treasure zastanawiała się, czy rzeczywiście wygląda jak wystrojony snopek siana. A Renville zastanawiał się, czym zapłaci w zajezdzie, skoro wydał ostatnie pieniądze na ubranie swojego jedyne go skarbu.

16

W ynajęty powóz trząsał się i telepał po wyboistych drogach między żółtymi polami i zielonymi sadami. Treasure, patrząc na krajobraz za oknem, wspominała Culpepper i zastanawiała się, czy w tym roku ojcu udały się jabłka i czy stara Klara miała jakieś zbiory w swym ogrodzie.

W powozie panowała cisza. Początkowe zachwyty Treasure nad widokami Bristolu, a później Devonshire, zmroziła rosnąca irytacja Renville'a. Najwyraźniej denerwował się tym, co czekało ich na końcu podróży. Z jego zdawkowych uwag domyśliła się, że stryj i hrabia to jedna i ta sama osoba - starszy brat Darcy'ego Renville'a. Stary dziedzic nigdy nie mówił, że ma brata. Być może hrabia Renville był potworem. To by wyjaśniało coraz gorszy humor Sterlinga. To albo prespektywa wyjaśniania wujowi, skąd wziął taką żonę.

Nagle Renville pochylił się do przodu i wyjrzał przez okno. Treasure poszła za jego przykładem.

- Rothmere - oznajmił Sterling.

W oddali widniał wielki dwór z szarego kamienia. Prowadził do niego długi, kolisty podjazd, wysadzany starymi drzewami. Z jednej strony błyszcząca w słońcu tafla małego jeziorka. Wokół dworu rozciągały się dobrze utrzymane ogrody.

• Masywne frontowe drzwi otworzyły się przed nimi jakby same z siebie, ale zza nich wyłonił się służący w niebieskiej, obramowanej złotem liberii. Treasure chłonęła wszystko wzrokiem: majestatyczne wejście z wielkimi kamiennymi wazami z chryzan-

ternami, ciemny hol z posadzką z biało-czarnego marmuru, ogromny kryształowy żyrandol, zdobione ściany i sufity oraz marmurowe schody. Stała tuż przy wejściu, rozglądając się z niekłamanym zachwytem, a lokaje czekali cierpliwie, aż przejdzie dalej, żeby zamknąć drzwi.

Jakiś osobnik w niebieskim ubraniu przywitał Sterlinga z ciepłym zdumieniem. Nie podali sobie rąk i Treasure doszła do wniosku, iż najprawdopodobniej nie jest to hrabia.

- Jego hrabiowska mość będzie bardzo zadowolony, że pan wrócił...

Słowa głównego lokaja przerwało wejście z drugiej strony trzech mężczyzn, z których jeden, niski i krępy, w koszuli ozdobionej koronkami i kamizeli ze złotego brokatu, maszerował przed siebie energicznym krokiem, oganiając się od pozostałych.

- Nie teraz, idźcie sobie... - powtarzał zniecierpliwiony hrabia, odsuwając od siebie papiery, które pozostali dwaj podstawiali mu pod nos. Wszyscy trzej stanęli jak wryci na widok Sterlinga.

- Sterling! - Hrabia rzucił się ku niemu z wyciągniętą ręką i uśmiechem na twarzy. - Dzięki Najwyższemu, że wróciłeś. I w dodatku w samą porę!

- Witaj, wuju. - Sterling podał rękę hrabiemu, a potem spojrzął ostrym wzrokiem na wyższego z dwóch mężczyzn, którzy trzymali się z tyłu.

- Co to wszystko znaczy, Delaney?

- Witamy szanownego pana - wyjąkał Delaney z mdłym uśmiechem. - Nie spodziewałem się pana...

- To widać. - Sterling wyprostował się i przybrał obojętny wyraz twarzy. - A ja nie spodziewałem się tu ciebie.

Obaj mężczyźni szybko ruszyli do wyjścia. Treasure odsunęła im się z drogi, a kiedy wyszli, służący mogli wreszcie zamknąć drzwi.

- Sępy - powiedział z niesmakiem hrabia, poprawiając z godnością kamizelkę. - Chodź, chodź, mój chłopcze. - Wziął Sterlinga za ramię i poprowadził do wielkich drzwi z lewej strony. - Jak podróż? Mam nadzieję, że niezbyt kłopotliwa. Wielki Boże, od miesiąca nachodzą mnie w dzień i w nocy. Ci dwaj są najgorsi. - Słowa hrabiego dobiegały coraz ciszej, gdyż weszli do salonu. -

...i tak mało czasu na moje gruszki w butelkach... a ogród... przeklęte kłopoty...

Ktoś chrząknął i Treasure odwróciła się gwałtownie. Za jej plecami stał lokaj, wyciągając cierpliwie rękę.

- Pani okrycie, proszę pani.

- Ach, tak.

Pozwoliła zdjąć z siebie pelerynkę i poszła za Sterlingiem, stając w drzwiach salonu i przypatrując się z podziwem eleganckiemu wystrojowi.

Właściciel tego dworu był trochę niższy i bardziej krępy niż jego zmarły brat, ale było między nimi wyraźne podobieństwo, zarówno w rysach, jak i w ruchach.

Nagła cisza przywróciła Treasure do rzeczywistości. Hrabia zrobił dwa kroki w jej kierunku i teraz wpatrywał się w nią, mrużąc oczy.

- Kto to jest? - zapytał.

- To - zaczął Sterling, opuszczając głowę i biorąc głęboki oddech - jest moja żona.

- Żona? - Hrabia zamrugał. - Żona? Ależ to absurd, Sterling. Za parę miesięcy masz poślubić Larendę...

- Taka była między nami umowa, ale, na szczęście, niczego nie ogłosiliśmy publicznie. Teraz to już nie wchodzi w rachubę, ponieważ jestem żonaty... z nią.

- Ale dlaczego? - dopytywał się hrabia, unosząc ze zdziwieniem krzaczaste brwi.

- Nie miałem szczególnie...

- On nie chciał... - wtrąciła się Treasure.

- ...cię denerwować, wuju - dokończył Sterling, rzucając jej wściekłe spojrzenie. - Dlatego nic ci nie pisałem. Sądziłem, że taką wiadomość najlepiej jest przekazać osobiście. Wszystko zdarzyło się bardzo prędko i w warunkach, których... nie udało się uniknąć.

- Żonaty. Jestem głęboko rozczarowany, Sterling. - Hrabia potarł rękami twarz, jakby nie wiedział, co robić. - Wiesz, że bardzo mi zależało na tym, abyś poślubił Larendę. To - wskazał gestem na Treasure - szalenie wszystko utrudnia. Małżeństwo z osobą z kolonii... Wielki Boże, Sterling, przecież ty nie znosisz

ludzi stamtąd! Kim ona jest? Czy to ktoś ważny i bogaty? - Obrzucił Treasure krytycznym spojrzeniem. Owszem, nie była brzydka, ale ktoś tak skromnie ubrany nie mógł być ani ważny, ani bogaty.

- Ona nazywa się Treasure... Barrett. Jej ojciec był jednym z...

- Jestem myślicielką - przerwała mu ponownie Treasure i dumnie podniosła głowę. Miała serdecznie dość tego, że ludzie rozmawiali o niej, jakby jej nie było. - Dziedzic Darcy był moim najdroższym przyjacielem i nauczył mnie wielu rzeczy z różnych dziedzin, abym mogła myśleć za moich ludzi i pomagać im w ich problemach.

- Darcy był nauczycielem? Sądziłem, że miał ziemię... - Philamon Renville obrzucił bratanka zdumionym spojrzeniem.

- Miał ziemię - odezwała się Treasure. - Bardzo dużo ziemi. Ale ja nie chciałam wychodzić za Renville'a, żeby ją dostać... Ani żeby go powstrzymać od sprzedaży majątku.

Nim hrabia zdążył zareagować na jej słowa, z holu dobiegł dźwięczny damski głos, a wraz z nim w salonie pojawiła się jego właścicielka w sukni ze szmaragdowego jedwabiu z dużą ilością koronkowych ozdób.

- Sterling! - Blond zjawisko zatrzymało się w drzwiach, łapiąc się jedną ręką za gardło, a drugą szukając umocowanego u paska wachlarza. - Co za niespodzianka! - Zrobiła kilka kroków i wyciągnęła do Sterlinga drżącą rękę. - Mogłeś nas zawiadomić o swym przyjeździe. Przygotowalibyśmy się na twoje powitanie.

- Jesteś, jak zwykle, czarująca, Larendo. - Sterling uniósł do ust jej dłoń. *

W tym samym czasie hrabia odzyskał głos, choć zabrakło mu zdrowego rozsądku.

- Larendo, on przywiózł żonę!

Zdumiona Larendo szeroko otworzyła błękitne oczy i spojrzała na Sterlinga z niedowierzaniem.

- Żonę? - powtórzyła, blednąc z wrażenia. - Jaką żonę? Gdzie?

- Tam. - Hrabia pokazał na Treasure, która dumnie podniosła do góry brodę.

Larendo odwróciła się, zdumiona. Jej dłoń nadal tkwiła w dłoni Sterlinga.

- To jest twoja żona? - zdążyła zapytać i zemdłała.

Było to szczególnie wdzięczne omdlenie. Treasure nigdy nie widziała czegoś podobnego. Jako uzdrowicielka często leczyła omdlenia, ale wzywano ją już po fakcie, i tylko dwukrotnie widziała na własne oczy mdlejącą osobę. Człowiek padał po prostu jak długi, waląc głową o ziemię. Ta Larenda straciła przytomność z ręką nadal tkwiącą w dłoni Sterlinga, a potem osunęła się na podłogę, jak opadający liść.

Sterling podtrzymał ją, a hrabia podbiegł natychmiast i zaczął klepać ją po ręce i wachlować. Treasure odsunęła go na bok.

- Proszę mi pozwolić... - Dotknęła twarzy Larendy i podniosła powiekę, zaglądając do oka, co wywołało protesty hrabiego.

- Wszystko w porządku, wuju. Ona jest... czymś w rodzaju lekarza - mruknął Sterling, starając się utrzymać Larendę w ramionach.

- Połóż ją lepiej na kanapie - powiedziała Treasure.

- Nie, nie, w żadnym wypadku - mówił zdenerwowany hrabia. - Zanieś ją na górę do jej apartamentu. Poślę po tego osobistego lekarza.

- Nie trzeba - powiedział Sterling, idąc do wyjścia z Larenda w ramionach i dzielnie dając sobie radę z szeroką krynoliną. - Treasure jest bardzo dobrą uzdrowicielką.

Treasure, zdumiona jego pochwałą, ruszyła po chwili za nimi. Widok pięknej Larendy w ramionach Sterlinga ranił jej serce. To była kobieta, którą zamierzał poślubić i zrobiłby to, gdyby nie Treasure i podstęp jej rodziny. Larenda była prawdziwą damą i należała do jego eleganckiego świata.

Sterling doskonale wiedział, dokąd się udać, i przeszedłszy przez mały salonik, złożył Larendę na wielkim łożu, dyskretnie rozkładając jej krynolinę. Wyszedł.

Treasure została z chorą sama. Stojąc przy łóżku, przyjrzała się jej dokładnie, a potem przewróciła ją na bok i całkowicie rozluźniła jej gorset i suknię. Przeszła do saloniku i uspokoiła hrabiego, który wymruczał jakieś podziękowania i wyszedł. Treasure została sam na sam ze Sterlingiem.

- Nic jej nie będzie - powiedziała, dotykając lekko jego ręki, i wróciła do swojej pacjentki.

Siedząc na brzegu łóżka, starała się nie myśleć o konsekwencjach wyczynów Sterlinga. Rozejrzała się po luksusowo urządzonej sypialni i przypomniała sobie, że hrabia mówił coś o Jej apartamencie". Czyżby ta Larenda też tu mieszkała?

Larenda była szczupłą, młodą damą z jasnymi włosami i niebieskimi oczami. Treasure przyjrzała się jej dokładnie i doszła do wniosku, że jest ona bardzo ładną i pociągającą kobietą, co wcale nie poprawiło jej nastroju.

Kwadrans później Larenda poruszyła się na łóżku. Treasure zmierzyła jej puls.

- Nic pani nie będzie - powiedziała, gdy Larenda spojrzała na nią ze zdziwieniem. - To tylko szok i za ciasna suknia. Nie powinna się pani tak sznurować. To źle robi na trzewia. Organy wewnętrzne, jelita - wyjaśniła, widząc konsternację na twarzy Larendy.

- Je...jelita? - Larenda wyglądała tak, jakby za chwilę znów miała zemdleć. Jednakże opanowała się i obrzuciła krytycznym spojrzeniem zwykłą, niebieską suknię Treasure i jej miedziane włosy. - Ożenił się z tobą?

Treasure zaczerwieniła się i kiwnęła głową, przygryzając dolną wargę. W tym momencie podzielała niedowierzanie Larendy.

- Bardzo mi przykro. Widzi pani, nie wiedziałam, że był zaręczony. Nikt z nas nie wiedział. Ale fakt pozostaje faktem i nic tu już nie można zmienić.

- Och, ja nie chciałam... To tylko szok. - Larenda usiadła na łóżku i wbiła wzrok w śliczną twarz Treasure, jakby usiłowała odkryć w niej coś, co sprawiło, że ambitny Sterling Renville ożenił się z nią, przekreślając przy tym zapewne swoją przyszłość.

- Przykro mi, że zdenerwowałam panią i hrabiego - powiedziała Treasure, spuszczać oczy.

- Proszę, nie! To znaczy, proszę się mną nie przejmować. Obawiam się, że zdarza mi się to dość często.

- Często pani mdleje?

Larenda kiwnęła głową i Treasure zmarszczyła brwi.

- Nie jestem zbyt silna. - Larenda gładziła nerwowo zielony

jedwab na kolanach i skubała brzeg krynoliny. Spojrzała na Treasure i poczuła, że musi powiedzieć prawdę tej osobie o ciepłych, fiołkowych oczach. - Gdybym miała więcej siły, zaprotestowałabym, gdy hrabia zdecydował, że muszę wyjść za Sterlinga. Ale ja nie cierpię konfliktów i nie chciałam go rozczarowywać. Nigdy nie znalazłam dość siły, aby mu się sprzeciwić.

- Sprzeciwić? - powtórzyła Treasure, zaskoczona stosunkiem Larendy do byłego narzeczonego i faktem, że ktoś mógłby nie chcieć wyjść za cudownego, męskiego Sterlinga.

- O Boże! Powierzyłam ci mój największy sekret i nawet nie wiem, jak się nazywasz.

- Treasure. Treasure Barrett. To znaczy, Renville.

- Co za wspaniałe imię.

- A ty... nie lubisz Renville'a?

- Ależ lubię. Dość lubię. Szanuję go. Jest bardzo mądry i jest prawdziwym dżentelmenem. No i jest grzeczny i silny, i przystojny. I zajmuje się majątkiem hrabiego, i nawet moimi sprawami... - Widząc zmarszczone czoło Treasure, przełknęła ślinę, po czym zdobyła się na odwagę i szepnęła: - Wiem, że jest wzorem doskonałości, ale ja... ja się go boję.

Bać się Renville'a? Treasure potrząsnęła głową ze zdumieniem.

- Ach, straszna ze mnie gęś. - Larenda wyciągnęła do niej rękę, ale szybko ją cofnęła. - Przepraszam, uraziłam cię. Proszę, zapomnij, co mówiłam.

Treasure złapała ją za zimne dłonie.

- Wcale nie jestem obrażona. Wprawdzie nie mogę powiedzieć, że cię rozumiem, lecz cieszę się, że nie jestem przyczyną twego cierpienia.

Dopiero kiedy wyszła z apartamentu Larendy, przyszło jej do głowy, że cierpienie może być natomiast udziałem Renville'a.

Treasure dostała apartament trochę mniejszy od apartamentu Larendy, urządzonego w kolorze kremowym i fiołkowym. Spędziła pół godziny, podziwiając z bliska wzorzyste tapety, narzutę z brokatu i obicia mebli. Po raz pierwszy w życiu zasiadła na stołku przed lustrem toaletki, starając się jakoś zapanować nad włosami. Wzorem była dla niej fryzurą Larendy, ale nie miała

pojęcia, jak się do tego zabrać. W końcu wyszczotkowała włosy i upięła je w zwykły kok, myśląc przy tym, że wie już, jak się czują strzyżyki patrzące na szczygły.

Kiedy weszła do jadalni, Sterling przywitał ją z wielką atencją i pocałował w rękę. Miał na sobie surdut ze złotego welwetu z białą kamizelką, bryczesy i żabot z belgijskich koronek. Treasure nigdy jeszcze nie widziała piękniejszego mężczyzny.

Podczas kolacji obserwowała Sterlinga, który przyglądał się Larendzie. Swymi pięknymi szaroniebieskimi oczyma spoglądał na jej suknię wyszytą perłami, wyszukaną fryzurę i gładkie, szczupłe ramiona. Treasure miała ochotę zapaść się pod ziemię i jedynie duma sprawiła, iż wysiedziała do końca posiłku.

Wcześniej tego popołudnia Sterling usiłował wytłumaczyć hrabiemu, dlaczego poślubił Treasure Barrett. Nie wiadomo dlaczego nie powiedział przy tym nic o strzelbie Bucka ani o pięściach Lema. Jego stosunek do Treasure najwyraźniej przeszedł kolejną metamorfozę. Teraz, aby nie dać się ponieść nieokiełzanym emocjom, skoncentrował się na obserwacji Larendy.

Po raz pierwszy oceniał ją jak kobietę, a nie jak damę. Jej włosy i cera były jakieś wyblakłe, ramiona szczuplejsze niż kiedyś, usta blade i wąskie, a oczy pozbawione ognia. Włosy Treasure błyszczały w świetle świec, fiołkowe oczy pałały życiem i bezwstydnym pożądaniem, jej usta były wilgotne i słodkie, a ciało ciepłe i chętne.

Jęknął w duchu, wiedząc, iż nie powinien sobie pozwalać na takie ekstrawaganckie myśli.

- Kim są twoi rodzice, moja droga? - zapytał hrabia przy końcu posiłku. Na ten temat Sterling nic bliższego mu nie wyjawiał. Treasure spojrzała na Renville'a, który zeszywniał i rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie.

- Mój ojciec jest... sadownikiem.
- Hodowcą? - spytał hrabia z żywym zainteresowaniem.
- Nie całkiem. Nie tej klasy co Didymus Mountain czy Loenard Mascall lub Jethro Tull. Ale mój ojciec zna się na owocach lepiej od nich i robi zabójczo doskonałą nalewkę.

- Zabójczo doskonałą? - powtórzył hrabia z błyskiem w oku,

pochylając się na krześle. - Powiedz mi, moja droga, czy bije swoje drzewa, czy też podcina im gardła?

- Grzmoci śliwki, kiedy są za bardzo uparte, i wbija gwoździe w pnie jabłoni i grusz, gdy są za słabe. Ale nie miedziane gwoździe, które są trujące.

- Fantastycznie! - Hrabia podskoczył na krześle z chłopięcym wigorem, zadowolony, że pomyślnie zdała egzamin. - A wiśnie, co robi z upartymi wiśniami?

- To jest poważna sprawa. - Treasure uśmiechnęła się lekko, zaskoczona zachowaniem hrabiego. - Drzewo wiśniowe musi trochę krwawić, trzeba je lekko naciąć. Mój brat Con wycina różne wzory, żeby powstawały ładne blizny na korze.

- Doprawdy? A ma jakiś sekret dotyczący nawożenia drzew? Muszę ci powiedzieć, że sam trochę zajmuję się uprawą i najwięcej problemów mam z drzewami owocowymi.

- A czego pan używa? - Treasure miała błyszczące oczy i zaróżowione z emocji policzki.

Sterling przysłuchiwał się ich rozmowie z coraz większą obawą, ale na razie się nie odzywał.

- Zwykłe stare szczynty, ale jeden z moich ludzi ma już osiemdziesiąt lat - stwierdził z dumą hrabia, spodziewając się zrobić wrażenie na Treasure.

- To może być pański problem. Ojciec twierdzi, że najlepsza jest mieszanka: jedna część szczynt, jedna część osadu z wina i dwie części wody. I każdej jesieni nawożenie popiołem. Przydzielił każdemu z moich braci część sadu do „podlewania”, jak tylko zaczęli chodzić, i drzewa świetnie rodzą. Moim zdaniem wiek podlewającego nie ma wpływu na jakość jego...

- Treasure! - Sterling miał czerwoną twarz i palcami kurczowo ścisnął brzeg stołu. - Stryj Philamon nie jest zainteresowany twoimi teoriami - powiedział przez zaciśnięte zęby.

- Ależ jestem, jak najbardziej - zaprotestował Philamon Renville. - Sterling, nic mi nie mówiłeś, że ona tak doskonale zna się na uprawach. To fantastyczne! To stawia wszystko w nowym świetle.

Hrabia zachęcał Treasure do wynurzeń na niewygodne tematy i Sterling nie mógł nic na to poradzić.

- ...sam wymyśliłem kilka nowatorskich rozwiązań - mówił z wielkim zapałem hrabia. - Jutro z samego rana muszę ci koniecznie pokazać moje gruszki w butelkach. W tym roku są wspaniałe. A ostatnio dostałem kilka ananasów.

- Ananasów? Naprawdę? - Treasure była pod wrażeniem.

- Czy twój ojciec też eksperymentuje?

- Głównie z aparatem destylacyjnym i z nalewkami. Choć czasem wprowadza coś nowego w uprawie. Od Pliniusza Starszego wzięliśmy pomysł z nasionami w kulkach i doskonale się udały.

Kiedy hrabia spojrzął na nią pytająco, wyjaśniła:

- Wzięliśmy nasiona sałaty i cebuli, wetknęliśmy je w kulki łajna i w ten sposób je posialiśmy. Najlepsze jest łajno kóz, bo od razu jest w kulkach. Brukselka wyrasta nadzwyczajnie szybko...

Larenda osunęła się na skraj krzesła, spoglądając przed siebie zamglonym wzrokiem. Sterling zerwał się na nogi i gwałtownie odsunął krzesło Treasure.

- To był bardzo męczący dzień, zwłaszcza dla Treasure. Proszę jej wybaczyć.

Złapał ją za rękę, wyciągnął z jadalni i zaprowadził na górę. Kiedy znaleźli się w jej apartamencie, wziął ją za ramiona i potrząsnął.

- Odczuwasz jakąś szczególną przyjemność ośmieszając mnie w oczach innych, prawda?

- Nieprawda! Rozmawiałam z twoim wujem o...

- Słyszałem, o czym rozmawiałaś, i to było obrzydliwe.

- To on zaczął! Ja tylko odpowiadałam na pytania - odparła z gniewem, czując pod powiekami palące łzy. - Myślałam, że chcesz, abym była uprzejma...

- Bycie uprzejmym nie polega na odpowiadaniu na każde głupie pytanie, które zada ci jakiś dureń! W dodatku językiem ze stajni. Nawet ty musisz to wiedzieć!

Oczywiście, że wiedziała. Nawet w skromnym domu Barrettów nie rozmawiało się na pewne tematy i przestrzegało pewnych zasad. Ale widok Sterlinga, spoglądającego tęsknie na Larendę, wyprowadził ją z równowagi.

- To znaczy, że miałam tam siedzieć jak wieśniak na płocie, gdy ty...

- Gdy ja co? - zapytał i znów nią potrząsnął.

- P-p-proszę... - Łzy popłynęły jej z oczu i Sterling zwolnił uścisk. - Przykro mi z powodu Larendy - wypaliła. - Widziałam, jak na nią patrzyłeś... - Przygryzła wargę, aby powstrzymać łzy. - Na pewno można coś zrobić... Możesz się ze mną rozwieść...

Treasure widziała jego pożądlivy wzrok, ale nie miała pojęcia, że spoglądał na Larendę, aby się nie zdradzić z prawdziwym źródłem swego pożądania. Przez moment odczuwał pokusę, żeby się przed nią jednak zdradzić. Tylko przez moment. Potem objął jej twarz i starł łzy z policzków.

- Mój skarbie... - Pocałował ją, zamykając w objęciach gładkie ramiona i wspinał się na piersi. Przed dalszym działaniem powstrzymał go brzeg dekoltu.

Treasure otworzyła oczy, nie rozumiejąc, dlaczego znieruchomiała.

- Larenda - szepnęła.

- Nie. - Wypuścił ją z ramion. - Nie rozwiodę się z tobą, Treasure. Jesteś moją żoną.

Za każdym razem, kiedy się kochali, trudniej mu było ją potem zostawiać, ale tak musiało być. Miłość - bo przyzwyczajają się powoli do tego określenia - była jednym, a wspólne życie z Treasure czymś zupełnie innym.

- Dobranoc, Treasure.

Kiedy została sama, żal i gniew powoli ustąpiły czystemu rozumowaniu. Na drżących nogach podeszła do łóżka i usiadła, rozmyślając nad tym, o czym mówili. Znów ją zostawił, ale tym razem nie było to tak bolesne. Powiedział, że nie chce Larendy, że się z nią nie rozwiedzie i że dalej jest jego żoną.

17

W ciągu trzech dni wszyscy mieszkańcy Rothmere poznali niezwykłą żonę Sterlinga i część osób nawet zdążyła skorzystać z jej niecodziennych umiejętności. W kuchni poradziła, aby usunąć plamy z pigwy sokiem z niedojrzałej pigwy, w stajni położyła okład na skaleczoną nogę konia, a w mleczarni zrobiła specjalny pasek dla krowy, która miała zwyczaj kopać dójki. Resztę czasu spędzała z hrabią, który oprowadzał ją po swych ogrodach warzywnych, sadach, cieplarniach i oranżerii.

Hrabia wyjaśnił Treasure, że prawdziwy dżentelmen zawsze się stara, aby podawane u niego jedzenie było jak najbardziej urozmaicone i egzotyczne i dlatego on na przykład próbował wyhodować ananasy, w czym konkurowała z nim markiza Eiderly.

Treasure polubiła brata starego dziedzica. Był fantastycznie wszystkiego ciekaw i wypytywał ją nieustannie o roślinność Marylandu i o wiele problemów związanych z uprawą i hodowlą. Nigdy nie znała żadnego innego hrabiego, ale intuicyjnie czuła, że prawdziwy dżentelmen nie klęczy w jedwabnych spodniach w oranżerii, wykopując rękami korzenie chorego drzewka pomarańczowego.

Mimo wszystkich zajęć Treasure zauważyła, że Sterling zjawiał się zawsze tam, gdzie ona, tylko kwadrans wcześniej albo później. Starła się o tym nie myśleć, choć nie wiedziała, dlaczego on jej unika. Każdego wieczoru przy kolacji wydawał się zmęczony i ledwo się odzywał. A każdej nocy, kiedy zdejmowała ubranie i kładła się do łóżka, czuła w sobie pustkę, którą tylko Sterling Renville mógł wypełnić.

Czwartego dnia skończyła właśnie śniadanie i udała się na poszukiwanie hrabiego. Zbliżał się koniec października i obiecała mu pomóc w opatrywaniu na zimę drzew owocowych. Przechodząc obok biblioteki, usłyszała głosy i zatrzymała się przy drzwiach.

- ...jest najważniejszym pracownikiem w cieplarni. Zrobił cuda z pomarańczami i uratował sadzonki ananasów, kiedy przyjechały z Indii. Zasłużył na podwyżkę. Poza tym jego żona niedługo urodzi czwarte dziecko i potrzebują więcej miejsca...

- Nawet dwudzieste nic by tu nie pomogło - powiedział ze zmęczeniem w głosie Sterling. Wstał zza biurka i podszedł do stryja. - On i tak za dużo dostaje, a stryj nie może sobie na więcej pozwolić. A ci dwaj nowi ogrodnicy, których stryj dopiero co przyjął, muszą odejść.

- O nie! - Hrabia spojrział na bratanka ze zgrozą. - Nie mogę... Nie zmusisz mnie, żebym ich odprawił. Wielki Boże, Sterling! Właśnie podkupiłem ich markizie Eiderly. Stałbym się pośmiewiskiem, gdybym ich teraz odprawił z braku funduszy.

- To ja ich zwolnię - odparł surowo Sterling. - Nie, nie, nie! - zawołał, machając rękami. - Niech stryj posłucha, miałem okropną kłótnię z Delaneyem i innymi, żądając, aby zaczekali na pieniądze do żniw. Robię, co mogę, ale stryj też musi czasem ustąpić. W tym wypadku to "znaczy, że nie ma pieniędzy na dodatkowych ogrodników. Jasne?

Zapadła cisza, po czym hrabia kiwnął głową jak niegrzeczny chłopiec.

- A ten rachunek... - Sterling podszedł z powrotem do biurka i wziął do ręki zmięty papier. - W dodatku za nawóz! Mało mamy tego tutaj, że stryj musi importować?

- To nawóz z Lancaster. - Hrabia skulił się w obronnym geście. - Eiderly uprawia na nim olbrzymie truskawki. I dostarczyli nam za darmo.

- Za darmo! - Sterling zakrył rękami twarz i widać było, nawet przy drzwiach, gdzie stała Treasure, że z trudem się opanowuje.

Kiedy opuścił ręce i ją zobaczył, aż się zaczerwienił ze wstydu, że przyłapała go na strofowaniu stryja, człowieka starszego i dżentelmena.

- Co ty tu robisz? - spytał ostro.

- Szukam pana hrabiego. - Treasure miała na sobie starą, pożyczoną w Filadelfii suknię i widziała, że Sterlingowi to się nie podoba.

- I podsłuchujesz. Od tej pory masz czekać na stryja Philamona w ogrodzie.

Kiedy się zawahała, podniósł głowę.

- Idź! - krzyknął gwałtownie. - Na co jeszcze czekasz?

- „Na żonę, psa i drzewo orzechowe nie żałuj kija” - zacytował hrabia, z lekkim zdumieniem obserwując zachowanie Sterlinga wobec żony. - Nigdy tego powiedzenia nie uważałem za słuszne, no, może oprócz części o drzewie. Wolę to, które mówi: - „Szukaj cnotliwej kobiety, albowiem jest cenniejsza od rubinów”.

Sterling zadygotał z irytacji.

- Teraz stryj będzie mnie też częstował przysłowiami, co? Odpowiem w podobnym stylu: „Ten, kto ma żonę, czuje ostrogę w boku”.

Stryj ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Znam to powiedzenie, chłopcze. Obawiam się, że brzmi ono trochę inaczej: „Ten, kto ma miłość w sercu, ma ostrogę w boku”.

Wciąż rozłoszczona Treasure weszła do salonu z zaciśniętymi pięściami.

- Do diabła! -wybuchnęła. -Jak on śmie rozstawiać wszystkich po kątach, jakby był właścicielem naszych dusz i ciał. Tyran!

Usłyszała chrząknięcie i szybko się odwróciła. Larenda siedziała na delikatnym krzeselku przy oknie, pracując nad gobelinem rozpiętym na dużej, stojącej ramie.

- Przepraszam - wyjąkała zażenowana Treasure. - Myślałam, że tu nikogo nie ma.

- To Sterling jest tym tyranem, prawda? - spytała Larenda ze współczuciem.

- Wydawało mi się, że tylko mnie traktuje jak głupią kobietę ze wsi, ale przed chwilą byłam świadkiem, jak napadł na biednego hrabiego, w dodatku własnego stryja. To po prostu despota, wściekły i...

- Hrabia znów wydał za dużo pieniędzy, prawda? - Larenda pokiwała głową, znając odpowiedź na swoje pytanie.

Treasure spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Wydatki hrabiego zwykle doprowadzają Sterlinga do szału. Kochany staruszek nie ma głowy do finansów. Jedynie Sterling potrafi sobie z nim poradzić.

- Przesadza. - Treasure nie podobała się obrona Renville'a wygłoszona przez Larendę. - Wrzeszczy i grozi...

- Nie powinnaś być zbyt surowa dla Sterlinga - powiedziała Larenda z konsternacją. - Hrabia musiał wynajmować coraz to nowych prawników, dopóki Sterling kilka lat temu nie zajął się jego sprawami. To bardzo ładnie z jego strony, iż nadal jest naszym opiekunem, biorąc pod uwagę... warunki.

- Opiekunem? Co to znaczy? - Treasure podeszła do Larendy i usiadła na ławeczce w oknie wykuszowym, przez które wlewały się promienie słońca.

- Nie w ściśle prawniczym znaczeniu tego słowa. Prowadzi nasze interesy, moje i hrabiego, i zajmuje się też majątkiem. Obawiam się, że czasem jest dość trudno, ale Sterling jakoś sobie radzi. Na przykład z tym okropnym panem Delaneyem.

- To jest kredytor, tak?

- Nie mogę rozporządzać moim majątkiem, dopóki nie ukończę dwudziestu sześciu lat albo nie wyjdę za mąż, więc niewiele mogę pomóc. - Larenda westchnęła. - Dlatego wymyślili, że byłoby wspaniale, gdybym wyszła za... - Urwała, przerażona własnymi słowami.

- Renville'a - dokończyła za nią Treasure, powoli zaczynając wszystko rozumieć.

Larenda kiwnęła głową.

- I to, oczywiście, rozwiązałoby także problem tytułu. Mój mąż, Robert, był jedynym synem hrabiego i hrabia postanowił przenieść tytuł na mojego następnego męża. Było logiczne, by Sterling, jako bratanek hrabiego, został kolejnym kandydatem. Oczywiście najbardziej zasługiwał, żeby dziedziczyć tytuł...

Zasługiwał? Żał w głosie Larendy i delikatne użycie czasu przeszłego zwróciło uwagę Treasure.

- To znaczy, że teraz...

Larenda odwróciła głowę, gwałtownie się rumieniąc.

- Właściwie nie wiem dokładnie... - wyjąkała. - O tym się przecież nie mówi, ale obawiam się, że hrabia był całkiem zdecydowany, kiedy rozmawiał z prawnikami po śmierci Roberta. Sterling musiał...

- ...ożenić się z tobą albo zapomnieć o tytule - dokończyła Treasure.

- Sterling jest mądrym człowiekiem i ma wiele talentów. Jestem pewna, że ma przed sobą wspaniałą przyszłość. Gdzieś... Jakoś... - Jej dzielne starania sprawiły, że wszystko zabrzmiało jeszcze żałośniej. - Przykro mi - dodała cicho.

Nic dziwnego, że Renville tak się bronił przed małżeństwem z nią i że potem tak mu zależało na unieważnieniu, pomyślała Treasure". Początkowo sądziła, iż to ze względu na uczucie do pięknej i dystygowanej Larendy, ale teraz pojęła, że Sterling stracił nie tylko odpowiednią żonę, lecz także coś znacznie ważniejszego - tytuł i widoki na przyszłość.

Treasure udała się do małego, zakurzonego, rzadko używanego saloniku na drugim piętrze, żeby spokojnie to wszystko przemyśleć. Popatrzyła przez okno na Rothmere - Sterling, żeniąc się z nią, stracił ogromny majątek.

Pojechał do kolonii, aby odzyskać pieniądze, a wrócił z pustymi rękami i przemądrzałą wieśniaczką. Teraz nie mógł już nawet wżenić się w fortunę. Los okazał się równie okrutny dla nich obojga. Ona z kolei wyszła za człowieka, którego pokochała, ale który chciał jak najszybciej zapomnieć o jej istnieniu. Owszem, czasem był dla niej czuły, niemal kochający, ale zawsze zdarzało się to wtedy, gdy chciał zaspokoić swe męskie potrzeby.

Tego się właśnie obawiała, gdy kazali jej wyjść za Renville'a. Przez niego cierpiała z wielu powodów, a to, z czego była najbardziej dumna - umysł i intelekt - dla niego nic nie znaczyły. Wręcz się jej wstydził.

Jesteś myślicielką, powiedziała sobie w akcie rozpacz. Myśl zatem! Masz pomagać ludziom, uczyć się, dowiadywać nowych rzeczy. Przestań się nad sobą użalać!

IN ie mam pojęcia, co się stało. - Tkaczka pokazała jej świeżo ufarbowany len, który nierówno przyjął pomarańczową farbę.

Treasure przyjrzała się uważnie...

- Ten nicpoń nie ma tutaj wstępu - powiedziała tymczasem tkaczka do męża.

Treasure westchnęła i zaczęła medytować.

- A gdzie się mają podziąć, jak wezmą ślub? - Mąż wziął w obronę córkę i jej narzeczonego.

Treasure pomyślała o ogromnych przestrzeniach w Rothmere Hall i z namysłem postukała się po brodzie.

Kilka dni później Renville obserwował przez okno Treasure i hrabiego. Oboje klęczeli nad rabatą. Ten ostatni tydzień był dla Renville'a koszmar. W ciągu dnia często jej szukał, aby przyglądać jej się choćby z daleka, a później, wieczorem, musiał przejść obok drzwi jej sypialni. Nocami w ogóle nie sypiał, wyobrażając sobie Treasure w pokoju obok. Czasem schodził do biblioteki i wychylał kilka kieliszków brandy, ale ten gatunek też już mu nie smakował po nalewce, którą pił w koloniach.

Ostatniej nocy doszedł do przykrego wniosku, iż nie da się dłużej żyć z Treasure Barrett pod jednym dachem. Z jednej strony nie mógł jej pokazywać ludziom, z drugiej - była zbyt wyjątkowa, aby zmuszać ją do przystosowania się do powszechnie obowiązujących w jego klasie społecznej wymagań. Jedynym wyjściem było osadzenie jej gdzieś z dala od ludzkich oczu, może w małym domku, który widział na skraju posiadłości. Tam będzie dość blisko hrabiego i Larendy, a zatem nie zostanie pozbawiona ich towarzystwa, będzie miała dostęp do książek w Rothmere oraz zamieszka w pobliżu ludzi, którym nadal będzie mogła pomagać ze swą niewyczerpaną energią. Może to wystarczy, aby była szczęśliwa. Przynajmniej będzie wiedział, iż jest bezpieczna.

I może czasem ją odwiedzi, kiedy już nie będzie mógł sobie tego w żaden sposób odmówić...

Dlaczego przynosi swoje rzeczy do zachodniego skrzydła? - spytał Sterling, który właśnie poinformował gospodynię, że ma mu natychmiast przysłać głównego lokaja Crandalla.

Spędził bezsenną noc i nie zamierzał zwlekać z wprowadzeniem w czyn swoich planów wobec Treasure.

- Przeprowadza się do jednego z pokoi w zachodnim skrzydle, w starej części, proszę pana. Żeby zrobić miejsce dla starego Edwarda i Horace'a Smytha, którzy zajmą jego dotychczasowy pokój. Będą mieszkać razem, proszę pana.

- Crandall? Na gorze? - Sterling był równie zirytowany, co zdumiony. - Kto tak powiedział?

- Pan hrabia zgodził się na propozycję pani Treasure...

- Pani Treasure?! Ona kazała mu się przeprowadzić?

- Żeby Edward i Horace mieli duży pokój na parterze. - Tęga pani Fernoble pobladła, gdy zrozumiała, iż nikt nie konsultował tych planów z panem Sterlingiem. - Stary Edward ma reumatyzm, a Horace nie może chodzić po schodach ze względu na serce. Amos i Frieda zajmą pokoje, w których przedtem mieszkali Edward i Horace, a Deborah i Hazel, główna pokojówka i młodsza kucharka, przeniosą się... do... ich dawnego pokoju. - Pani Fernoble zamilkła.

- A kto będzie mieszkał na podaszu? - spytał zimno. - Książę Yorku?

Pani Fernoble potrząsnęła głową.

- Ned Pawley, drugi pomocnik ogrodnika, i Owen Tremble, trzeci stajenny - szepnęła. - Będą mieszkać razem.

- Ach tak? A gdzie jest teraz pan hrabia?

Hrabia podobno nadzorował przenoszenie narzędzi ogrodniczych z budynku obok stajni, żeby mogła się tam przenieść rodzina głównego stajennego. Kiedy jednak Sterling się tam zjawił, skierowano go do czworaków służby. Panowało ogólne zamieszanie.

Tak się złożyło, że hrabia z „panią Treasure” poszli tymczasem do domu głównego gajowego na skraju posiadłości. Renville mszył ich śladem, zaciskając pięści.

Kiedy dotarł do kamiennego domku, obrośniętego winoroślą, stojącego pośród dostojnych dębów i wiązów, ze zmęczenia

z trudem oddychał i cały był spocony. Przy drzwiach stał dwukołowy powozik, przy którym bawiło się troje dzieci.

Plany Renville'a dotyczyły właśnie tego domu. To było idealne miejsce dla Treasure. Ona tymczasem zepsuła wszystko jakimś swoim wydumaniem pomysłem. Ze złością wszedł do środka.

Treasure pomagała właśnie ustawiać przyrządy do palenia na kominku i odwróciła się, słysząc swoje imię. Powoli podeszła do męża, wycierając zasmolone dłonie.

- Co tu się, do diabła, dzieje?! - Sterling do reszty stracił nad sobą panowanie, gdy tylko na nią spojrział.

Treasure, nie mrugnawszy okiem, zaczęła mu wyjaśniać, że córka Harveya Dedhama, Ernestine, chciała wyjść za mąż za młodego Charliego Mortensena, ale nie mieli gdzie mieszkać. Poza tym James Wayburn, który pracował w szklarniach hrabiego, musiał mieć większe mieszkanie albo wyższą pensję, a ponieważ to drugie nie wchodziło w grę, Treasure postanowiła załatwić to pierwsze. I tak się zaczęły wszystkie te przenosiny i przeprowadzki. Hrabia i jego ogrodnik szklarniowy zeszli z góry w samą porę, usłyszeli więc odpowiedź Sterlinga.

- Do diabła, nic z tego! W tej chwili, natychmiast, przeniesiesz każdego z powrotem. Są doskonałe powody, dla których służba mieszka tam, gdzie mieszka, a ty jesteś tu za krótko, żeby coś o tym wiedzieć.

- Co się stało? - Z kuchni wyszła ciężarna kobieta, trzymając się za brzuch, jakby lada chwila miała urodzić.

.Sterling zeszytniał.

- Zaszła pomyłka. Musicie zaraz wrócić do starego mieszkania.

Kobieta zbladła i ciężko oparła się o drzwi, wołając na pomoc męża.

- Ależ, Sterling, czy nie możemy o tym porozmawiać? - spytał pojednawczo hrabia. - Treasure ma świetny plan...

- Nie ma o czym dyskutować. Gdyby ktokolwiek raczył mnie spytać, dowiedziałby się, że mam plany względem tego domku. A ty - zwrócił się do Treasure - natychmiast wracaj do dworu. Porozmawiamy później.

Po długiej chwili Treasure skuliła się i wyszła.

Zaskoczony ogrodnik i jego żona zaczęły zbierać swoje rzeczy.

Hrabia starał się im pomóc, mimo sugestii Sterlinga, żeby także wrócił do domu. W końcu Renville, zmęczony, spocony i zły, włączył się do pomocy.

Niewiele tam było do pakowania: mały fotelik, kufer, parę naczyń kuchennych, talerze i zniszczona kołyska. Sterling wynosił właśnie ciężką kołyskę, kiedy Wayburn spojrział na żonę, która stała na środku pokoju, i zobaczył na podłodze u jej stóp kałużę. Podskoczył najpierw do niej, a potem do drzwi z okrzykiem, że się zaczyna. Hrabia pospieszył do środka, gdy Wayburn prowadził swoją Beatrice do małej sypialni, skąd nie zabrano jeszcze słomianego materaca.

- Teraz nie może nigdzie iść! - zawołał Wayburn, widząc irytację Sterlinga. - One się bardzo prędko rodzą. I musi jej ktoś pomóc. Niech pan z nią zostanie, a ja polecę po położną.

- Nie bądź śmiesz... Ona naprawdę już rodzi? Zaczekaj, zawołałam Treasure. - Kiedy ją dogonił wydyszał: - Żona Wayburna... zaczęła rodzić.

Po chwili razem biegli z powrotem.

Kiedy znaleźli się w domku, Treasure miała już przygotowaną w głowie listę rzeczy, które będą jej potrzebne: płótno z kufra, woda z pobliskiego źródła, porządny ogień w piecu oraz pomoc. Hrabia zamrugał i opadł na ławkę pod domem, a przyszedł ojciec stał na środku pokoju i załamywał ręce.

- Ktoś musi mi pomóc - powiedziała Treasure, wpatrując się w Renville'a.

W następnej chwili przerażony Sterling Renville zdejmował surdut i podwijał rękawy koszuli, żeby zabawić się w pomocnika przy urodzinach, które niweczyły jego plany.

Do pewnego momentu poród przebiegał normalnie, a potem nagle się zatrzymał. Treasure co chwilę badała położnicę, starając się nie okazywać swych obaw. Spokojnie rozmawiała z Beatrice Wayburn i czekała. Sterling siedział na stołku, niezgrabnie obmywał twarz rodzącej i pozwalał, aby ścisnęła go za ramię.

- Nie martw się - powiedział, spoglądając kątem oka na Treasure. - Pani Treasure zna się na rzeczy.

- Obawiam się, że hrabia zażartował sobie ze mnie, a pani Fernoble wzięła to poważnie. Najwyraźniej nie wiedziała, jak się

do mnie zwracać, i tak zostało. - Treasure wzruszyła ramionami. - Mnie jest wszystko jedno.

- Może lepiej byłoby „pani Renville” - powiedział miękko Sterling.

Treasure spojrzała na niego szeroko otwartymi, fiołkowymi oczyma, ale w tym samym momencie Beatrice krzyknęła głośno i trzeba się było szybko zająć sprowadzeniem na świat kolejnego Wayburna. Niestety, tak jak Treasure podejrzewała, dziecko było nieprawidłowo ułożone. Posłała Jamesa Wayburna do dworu po niezbędne rzeczy i poinformowała Sterlinga, w jaki sposób będzie jej musiał pomóc.

Następna godzina była bardzo trudna, ale w końcu Treasure zdołała przekręcić dziecko. Sterling przez ten czas trzymał Beatrice za ramiona. Wreszcie czwarte dziecko Wayburnów przyszło na świat. Treasure położyła czerwonego noworodka płci męskiej na prześcieradle, które trzymał Sterling, i kazała mu porządnie go wytrzeć, a sama zajęła się matką.

Hrabia odważył się wejść do środka, żeby złożyć gratulacje i powiedzieć, że wraca do domu, a James Wayburn gorąco podziękował Sterlingowi i Treasure.

Myjąc się w kuchni, Treasure pomyślała, że Sterling - w przeciwieństwie do wielu innych mężczyzn - zachował się przy porodzie w sposób opanowany i wielce pomocny. Ponadto miał w sobie pewną czułość, podobną do tej, którą okazywał jej w chwilach intymnych.

Treasure jeszcze raz sprawdziła, czy z Beatrice wszystko jest w porządku, i obiecała przysłać dziewczynę do pomocy. James Wayburn ponownie uściskał dłoń Sterlinga i zaprosił go do odwiedzin „małego Sterlinga”, kiedy tylko zechce.

- Małego Sterlinga? - powtórzył czerwony na twarzy Renville.

- Bea się uparła, proszę pana. Mam nadzieję, że się pan zgodzi.

Sterling wymamrotał coś przypominającego zgodę i rzucił ponure spojrzenie na Treasure, która z trudem powstrzymywała uśmiech. Roześmiała się głośno, dopiero kiedy byli w drodze do domu. Jej śmiech miał dziwny wpływ na Sterlinga, który wprawdzie się skrzywił, ale po chwili wziął ją za rękę.

- Możesz sobie teraz przypisać zasługę w sprowadzeniu na świat małego Sterlinga - powiedziała. - Twoje pierwsze dziecko.

- I ostatnie - mruknął, ale w tej samej chwili zatrzymał się jak wryty. Wolał nie myśleć o podtekstach stwierdzenia Treasure. Nie chciał teraz z nią dyskutować ani się kłócić, chciał jedynie cieszyć się ich bliskim, intymnym kontaktem. I chciał ją kochać.

Treasure widziała wyraz jego oczu. Podeszła bliżej i uniosła ku niemu twarz. To była jej odpowiedź na jego nieme pytanie.

Po długim, namiętym pocałunku Sterling wziął Treasure na ręce i zaniósł do pobliskiego stogu siana. Pole było opustoszałe.

Treasure reagowała każdą, nawet najmniejszą cząsteczką swego ciała na to, co robił z nią Renville. Ich ciała poruszały się teraz w jednym rytmie, dążąc do osiągnięcia spełnienia, które znów okazało się wybuchem niezwykłej jasności i poczuciem niezwykłego szczęścia.

- Zimno ci - powiedział, siadając i naciągając na jej gołe uda dół sukni. Potem zaczął sznurować z przodu stanik.

Kiedy wreszcie oprzytomniał na dobre, rozejrzał się wokół ze zgrozą. Wielki Boże, wziął ją w stogu siana jak jakiś prosty chłop. Wprawdzie kiedyś, na początku miłosnej kariery, zdarzyło mu się wylądować w sianie na strychu, ale przynajmniej miał wówczas dach nad głową.

A teraz wziął własną żonę na polu. To nic, że była to Treasure Barrett i że wyraźnie nie miała mu tego za złe. On wiedział, iż nigdy nie powinien był posunąć się do czegoś takiego.

Szybko podniósł się na nogi i jeszcze szybciej zapiął bryczesy, po czym strząsnął z siebie źdźbła siana. Treasure nadal siedziała na ziemi i przyglądała mu się ze zdumieniem. Przełknął ślinę i wyciągnął do niej rękę.

Kiedy stanęła przed nim, zaczął ją otrząpywać z kurzu i siana, unikając jej wzroku. Zawsze było tak samo. „Kochał” ją do granicy rzeczywistości, a potem zostawiał, powracając do swego dżentelmeńskiego zachowania. Już miała go o to zapytać, ale powstrzymał ją chłodny, obojętny wyraz oczu Sterlinga.

- Kiedy wrócisz do domu, idź od razu do siebie i zrób coś z włosami - powiedział, prowadząc ją z powrotem na drogę. - Układanie fryzur nie należy do moich umiejętności - dodał z bladym uśmiechem.

18

Tego wieczoru Treasure zeszła na kolację jak w transie. Usiłowała zrozumieć coś z tego, co zdarzyło się między nimi po południu, i doszła do wniosku, iż to wszystko nie ma sensu.

Kiedy jednak Crandall wszedł do jadalni i poinformował hrabiego, że pan Sterling wyjechał w interesach do Londynu i nie należy się go spodziewać na kolacji... ani w ogóle przed nastaniem wiosny, Treasure przeżyła prawdziwy szok.

Pan Sterling zamierzał otworzyć na zimę dom w Londynie. Hrabia nie wiedział, co powiedzieć, Larenda nerwowo skubała chustkę do nosa i oboje spoglądali pytająco na Treasure, która z łoskotem opadła na krzesło.

- Nie wiedziałaś, że Sterling wyjeżdża? - spytał z niedowierzaniem hrabia.

- Ostatnio rzadko rozmawialiśmy - odparła załośnie Treasure.

- Okropnie się zdenerwował tymi wszystkimi przewodzkami, ale myślałem, że mu przeszło - dociekał hrabia. - Coś musiało się stać. Pokłóciłaś się z nim?

Treasure uniosła głowę, przygryzła wargę i potrząsnęła energicznie głową.

Łzy napłynęły jej do oczu na myśl, że ich „kochanie” w stogu siana musiało go sprowokować do wyjazdu. Co takiego zrobiła czy nie zrobiła, że zostawił dom, aby tylko nie być razem z nią? Przecież mógł po prostu odesłać ją do Culpepper i mieć spokój. Dlaczego dotykał jej tak, iż myślała, że za chwilę umrze z rozkoszy, a potem spoglądał na nią zimno i niechętnie?

Hrabia wyciągnął chustkę i podał ją Treasure. Larenda przyglądała jej się ze współczuciem.

- Wydaje mi się, że wiesz, dlaczego Sterling... nas opuścił - powiedział delikatnie hrabia.

Treasure, wyrwana ze swych rozmyślań, przyjęła chustkę i wytarła oczy.

- Mogę to wyjaśnić, bo i tak wie pan, że nasze stosunki są bardzo napięte. Nie wiem, co Renville panu powiedział, ale on został zmuszony, aby mnie poślubić. - Hrabia poczerwieniał, a Larenda zbladła. - To okropny mezalians, wiem. On nie może znieść tego, że pochodzę z rodziny biednego wieśniaka w koloniach. Jest przyzwyczajony do luksusu, przepychu, pięknych kobiet...

- Ale ty wcale nie jesteś wieśniaczką - zaprotestował grzecznie hrabia.

- Jestem, jestem. - Treasure uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. - I wcale mi to nie przeszkadza. Ale najgorsze jest to, że urodziłam się i zostałam wychowana na myślicielkę. Renville nie jest specjalnie szczęśliwy, że znam łacinę i trygonometrię i że dotykam obcych mężczyzn. Nic na to nie poradzę - dodała, widząc ich zaszokowane twarze. - Kiedy ktoś jest chory, muszę mu pomóc. I chyba mnie naprawdę nienawidzi, skoro wyjechał z własnego domu i wyruszył do Londynu po tym, jak...

Larenda wiedziała, że Treasure mogła myśleć tylko o jednym. Pochyliła się i ujęła jej zimne ręce.

- Tak bardzo go kochasz?

- Czy go kocham? - powtórzyła Treasure, wpatrując się w anielską twarzyczkę Larendy.

Zdumienie malujące się na jej twarzy sprawiło, że hrabia i Larenda spojrzeli na siebie z niepokojem.

- Czy nic ci nie jest, Treasure? - spytał hrabia. - Może powinnaś się położyć.

Spojrzała na niego skonfundowana. Wreszcie znalazła słowo na te dziwne uczucia, które nią miotają. To była miłość. Kochała Sterlinga Renville'a. Teraz mogła na nowo wszystko przemyśleć. Wstała, mrużąc pod nosem przeprosiny, i była w połowie drogi do drzwi, kiedy zatrzymał ją głos hrabiego.

- Koń, który ciągnie za sobą uździenicę, nie całkiem uciekł - powiedział.

Spoglądał na nią zmartwionym wzrokiem i Treasure uśmiechnęła się krzywo. Nic dziwnego, że Renville tak bardzo nie znosił przysłów.

Dwa dni później Treasure znalazła się na dnie rozpacz. Odkrycie, że kocha Renville'a, ukazało jej całą beznadziejność sytuacji i zaostrzyło odczuwany ból. Po raz pierwszy w życiu nie chciała myśleć.

Nadal pomagała hrabiemu w ogrodach, ale nawet widok pierwszego, długo oczekiwanego kwiatu ananasa nie poprawił jej nastroju. Snuła się po ogrodach i pokojach w atmosferze nieszczęścia i w takim stanie usłyszała pewnego dnia, zza drzwi małego saloniku, dziwne odgłosy.

Weszła do pokoju i zastała Larendę gwałtownie wyrwijącą się z ramion wytwornego mężczyzny.

- Przepraszam - powiedziała, zaszokowana. - Nie wiedziałam, że ktoś tu jest.

Zaskoczony mężczyzna z wolnił lekko uścisk i Larenda z trudem mu się wyrwała.

- Zaraz wychodzę - powiedziała Treasure. - Przyszłam po książkę...

- Jak śmiesz wchodzić bez pozwolenia?! - wykrzyknął z furją mężczyzna. - Natychmiast stąd wyjdź!

- Jak znajdę książkę - odparła zimno Treasure. - Pomożesz mi, Larendo?

- Jak śmiesz? - zaczął mężczyzna.

- Ach, nie! - zawołała Larenda. Jej towarzysz, sądząc po sukni, niewątpliwie doszedł do wniosku, iż Treasure jest służącą. - Posłuchaj, Vance, to jest twoja nowa kuzynka, żona Sterlinga. Treasure Barrett Renville. Treasure, to jest siostrzeniec hrabiego, Vance Montreaux. Jest synem nieżyjącej już siostry hrabiego, Meredith.

- To jest żona Sterlinga? Naprawdę? - Vance nawet nie próbował ukryć swego zaskoczenia. Jednakże bardzo prędko

przypomniał sobie o dobrych manierach i podszedł do Treasure z szerokim uśmiechem i wyciągniętą ręką, ledwo widoczną pośród koronek. Był dość wysoki, średniej budowy, z brązowymi, ufryzowanymi lokami do ramion. Miał przypudrowaną twarz w celu zatuszowania opalenizny, widoczne bruzdy wokół ust i przenikliwe, głęboko osadzone oczy.

- Najmocniej panią przepraszam. Pomyliłem...

- Jestem ubrana do pracy w ogrodzie.- Treasure cała się najeżyła, gdy pocałował ją w rękę i nadal trzymał jej dłoń ze złośliwym błyskiem w oczach. Dokładnie wiedziała, co o niej myśli i wie, że ona wie...

- Słyszałem, że kuzyn Sterling ożenił się w koloniach. Pośpiesznie przybyłem z Sussex, aby mu pogratulować. Bardzo się zmartwiłem, że go nie zastałem. Mam nadzieję, iż wkrótce będzie mógł odwzajemnić moje gratulacje - dodał, spoglądając na Larendę.

- Zamierza się pan żenić? - spytała Treasure.

- Jeszcze nie ogłoszono formalnych zaręczyn, ale jestem pewien, że to niebawem nastąpi - powiedział, biorąc rękę Larendy i przyciskając ją do piersi.

Larenda z trudem utrzymała się na nogach.

Obserwując jej reakcję, Treasure pomyślała, że Montreaux nie ma litości.

- Skoro już tu jestem, powinniśmy się bliżej zaznajomić - oświadczył, zwracając się do Treasure. - Utytułowana głowa rodziny ponosi pewną odpowiedzialność za całą rodzinę. Nawet najdalszą - dodał ze złośliwym uśmiechem. - A teraz muszę przywitać wuja. Mamy ważne rodzinne sprawy do omówienia. Tylko poważne sprawy związane z tytułem mogą mnie odciągnąć od Larendy - powiedział, wyciskając na jej dłoni ognisty pocałunek. - Najdroższa, będę liczył godziny do kolacji - dodał i wyszedł z pokoju, nawet nie rzucając okiem na Treasure.

Dziewczyna pomogła Larendzie podejść do krzesła i usiadła obok.

- Wychodzisz za niego? - spytała ze zdumieniem.

- Jemu się wydaje, że... powinnam to zrobić - wyjąkała Larenda, przyciskając chusteczkę do skroni. - Ale sposób, w jaki mnie przyciska i obmacuje... - Zadrzała. - Jego dotyk sprawia... Nie jestem pewna, czy mogłabym...

- ...być jego żoną- dokończyła za nią Treasure.

- Jest siostrzeńcem hrabiego, w takim stopniu z nim spokrewnionym jak Sterling, i zawsze chciał mieć tytuł. Oczywiście nie miał szans, kiedy miałam wyjść za Sterlinga, ale teraz wygląda na to, że dostanie i jedno, i drugie. Jest dość bogaty i ma ustosunkowanych przyjaciół. Jest raczej przystojny, ma nieskazitelne maniery i doprawdy nie wiem, dlaczego mam wobec niego takie odczucia... Nic na to nie poradzę. A on tak nalega...

- Szczur- stwierdziła krótko Treasure, Oto jeszcze jedno nieszczęście wywołane jej małżeństwem z Renville'em.

Przez następne dwa dni, ku wielkiemu niezadowoleniu Vance'a Montreaux, nie odstępowała Larendy i skutecznie broniła jej przed jego towarzystwem. Hrabia nie zwracał na nic uwagi, bez końca opowiadając o swych ananasach siostrzeńcowi, który uśmiechał się wymuszenie przez zaciśnięte zęby. Wreszcie wściekły Vance Montreaux wyjechał do Kornwalii dzień wcześniej, niż planował.

Kiedy jego powóz odjechał, Larenda z ulgą usiadła na schodach, tam gdzie stała. Treasure usiadła przy niej, wzdychając. Larenda westchnęła jeszcze głęśniej.

- Chciałabym mieć choć część twojej śmiałości - mruknęła Larenda, potrząsając głową. - Nigdy nie umiem nikomu się sprzeciwić, jedynie mdleję, plotę od rzeczy i kurczę się ze strachu. Jak to dobrze, że wyszłaś za Sterlinga. Przeraziłby mnie na śmierć w czasie nocy poślubnej.

- Na pewno nie. Sterling jest cudownym, czułym kochan... - Urwała i poczuła, iż łzy napływają jej do oczu. Zamrugała i mówiła dalej: - Chciałabym choć w połowie być taką damą jak ty. Może gdybym wiedziała, jak się kłaniać, wachlować i jeść z eleganckiej zastawy, Sterling by nie wyjechał. Przynajmniej jak wyjdiesz za męż, twój mąż nie będzie cię porównywał do świni i unikał jak zarazy.

- Świni?! Och, Treasure... - Larenda parsknęła śmiechem w bardzo nieelegancki sposób. - Nie powiesz mi...

- Owszem. - Treasure sama nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać.

Zapadła chwila ponurej ciszy.

- Spójrz tylko, jakie jesteśmy żałosne - podsumowała w końcu

Larenda. - We dwie razem nie jesteśmy nawet jedną porządną kobietą.

Pociągnęła nosem i Treasure wiedziała, że Larenda też płacze.

Z przyzwyczajenia zaczęła myśleć. Jeśli Larenda miała rację, żadna z nich nie była nawet w połowie kobietą.

- To bzdura! - zawołała, wycierając nos. - Masz wszystkie kobiece cechy. I ja też. Ciało, umysł, uczucia i talenty.

- Ja nie mam żadnych talentów - powiedziała Larenda, spoglądając na nią z pewnym zdumieniem.

- Właśnie, że masz. - Treasure namyślała się przez moment. - Jesteś prawdziwą artystką w wyszywaniu. I jesteś bardzo miłym towarzyszem. - Treasure rozpedzała się coraz bardziej. - Jesteś piękna, Larendo. Naprawdę. I masz dobre, współczujące serce. Spójrz, jak opiekujesz się hrabią, przypominasz mu o posiłkach i dbasz o jego ubranie. Masz wszystkie niezbędne kobiece cechy. Reszta to sprawa gustu. Brak ci jedynie pewności siebie. A pewność siebie jest niczym ospa, trzeba się nią zarazić.

- Tak myślisz? - Larenda, spoglądając na zaczerwienioną twarz Treasure i jej błyszczące oczy, gotowa była uwierzyć we wszystko.

- Posłuchaj, Larendo, czy trudno jest nauczyć się być damą? - spytała z rozpędu.

- Nie jestem pewna. Ja się urodziłam damą.

- No, dobrze, powiedz, czy to trudniejsze niż twierdzenie Pitagorasa?

- Nie mam najmniejszego pojęcia.

- W ciągu jednego roku nauczyłam się francuskiego i portugalskiego. Dziedzic powiedział, że jeśli zechcę, nauczę się wszystkiego. Nie mogę być urodzoną damą, ale może się nauczę. Jeśli nie będę wprawiała Renville'a w zakłopotanie, przestanie mnie unikać... I może mnie polubi...

- Twój wygląd... Na pewno dałoby się coś zrobić - powiedziała Larenda, choć własne słowa sprawiły jej przykrość. - Zauważyłam, że ciągle nosisz te same dwie suknie. Używasz sztuczków nie tak, jak należy. Nie wiesz, jak rozmawiać, poruszać się i tańczyć... - Teraz Larenda zaangażowała się w temat. - Masz cudowne włosy, powinnysmy...

- Pomożesz mi zatem? Jestem myślicielką, potrafię się wszystkiego nauczyć. Jeśli pokażesz mi, jak być damą, ja cię nauczę pewności siebie. Uda nam się, na pewno nam się uda!

Przez całe popołudnie konferowały w zapamiętaniu i następnego dnia, wstrzymując oddech, przedstawiły swój plan hrabiemu, który wstał zza biurka i zaczął przechadzać się po pokoju, rozmyślając nad kosztami takiego przedsięwzięcia. Niebawem jednak postanowiono, iż pewne oszczędności razem z kieszonkowym Larenda pozwolą przynajmniej na rozpoczęcie kampanii.

Następnego dnia Larenda posłała po swoją szwaczkę, madame Dupree z Bristolu, która w ciągu zaledwie paru dni oceniła możliwości Treasure i zajęła się jej ubraniem.

Madame przywozła ze sobą niesłychaną ilość materiałów, rysunków i dodatków, z których wybrano przede wszystkim tkaniny w kolorze niebieskim, turkusowym, złotym i purpurowym, gdyż one najlepiej podkreślały złocistorude włosy Treasure i jej fiołkowe oczy.

Larenda okazała się wielce pomocna, nie tylko bowiem sprawdziła każdy materiał pod względem jego przydatności i wytrzymałości, lecz także pamiętała o pewnej wstrzeźliwości finansowej. Treasure musiała się zadowolić pięcioma balowymi sukniami, oprócz tuzina sukni dziennych, dwóch kostiumów do konnej jazdy oraz długiego i krótkiego płaszcza na zimę. Zamówiono też oczywiście szale, obuwie, rękawiczki, kapelusze, bieliznę i stroje nocne. Możliwości wyboru oszołomiły Treasure, ale Larenda doskonale wiedziała, jaką wybrać garderobę dla damy, która chce pozyskać względy dżentelmena.

- O Boże! Nie mogę oddychać! - zaprotestowała Treasure, gdy po raz pierwszy została zasznurowana w gorsecie.

- Oczywiście, że możesz. Musisz tylko oddychać płycej i częściej. Dzięki temu twój głos będzie zadyszany i przyspieszony, co bardzo się podoba mężczyznom - odparła rzeczowo Larenda.

Była to pierwsza lekcja Treasure na temat zależności między strojem kobiety a jej zachowaniem. Druga miała miejsce, gdy po raz pierwszy włożono jej szerokie koła z fiszbinów. Kiedy się

poruszała, koła dźwięczały i kręciły się na wszystkie strony, a ponadto Treasure nie mogła podchodzić za blisko mebli i nie mieściła się w drzwiach.

- Musisz drobić, o tak - pokazała Larenda, unosząc zrecznie własne fiszbinowe koła. - Siada się rzadko i bardzo ostrożnie, żeby nie pognieść sukni. Musisz przysiąść na skraju kanapy, a potem powoli się przesuwając...

- Czuję się, jakbym żyła w beczie - stwierdziła Treasure po wielu mniej i bardziej udanych próbach. - W gorsecie i tych kółkach nie mogę siadać, schylać się ani dosięgnąć...

- Bo i nie masz się schylać ani sięgać. Od tego jest służba. Krynolina ma swoje zalety. Po pierwsze, musisz się zgrabnie poruszać, a po drugie, jeśli rozboleją cię nogi, możesz zawsze zdjąć pantofle i nikt tego nie zauważy. Poza tym nikt nie może podejść zbyt blisko i w ten sposób unikasz nieprzyjemnych szeptów i niepożądanych awansów ze strony dżentelmenów. Przeważnie będziesz ją nosić na wieczorkach muzycznych i na przyjęciach, ale dopóki się nie przyzwyczaisz, musisz ją nosić cały czas.

W tym momencie Treasure po raz pierwszy zauważyła, że Larenda ma w sobie coś z generała wydającego rozkazy. Najpierw wydawała polecenia modniarce, a później jej samej. Treasure doszła do wniosku, że zasadniczo się pomyliła, biorąc Larendę za osobę nieśmiałą i zupełnie pozbawioną pewności siebie.

W miarę posuwania się prac Treasure stwierdziła, że kilka rzeczy jest dla niej absolutną zagadką.

- Dlaczego suknie, które najmniej zakrywają, są najdroższe? - spytała. - I dlaczego te cieniutkie halki są tak bogato zdobione?

Larenda westchnęła.

- Spod krynoliny czasem widać brzeg halki - wyjaśniła. - A panowie lubią, jeśli suknia nie zasłania całego biustu.

Treasure zaczęła się nad tym wszystkim zastanawiać i stanęła przed dużym lustrem, spoglądając na obcisły, aksamitny stanik sukni, który odsłaniał jej pełne piersi i nagie ramiona. Czuła się tym zażenowana i wydawało jej się, iż Renville także będzie skrupowany, gdy ją wreszcie zobaczy ubraną według najnowszej mody.

- Och, Sterling jest do tego przyzwyczajony - mruknęła lek-

ceważąco Larenda, popijając herbatę, - Pamiętaj jednak, na litość boską, abyś nigdy nie podniosła sukni tak, żeby pokazać kostkę. To uważa się za zuchwałe zaproszenie do miłosnych awansów.

- Doprawdy?

- Jedynie nieprzystojna kobieta ośmieliłaby się pokazać kostkę mężczyźnie. Niektórzy twierdzą, iż nie powinno się ich pokazywać nawet mężowi. Aha, to samo dotyczy łokci.

- Łokci też? - Treasure poczuła się nieswojo. W ciągu pierwszego miesiąca ich znajomości Renville niemal codziennie oglądał jej bose stopy i kostki. Nic dziwnego, że nie miał o niej wysokiego mniemania. A później, na statku, podwinęła rękaw przed innymi mężczyznami. Może Renville miał rację, kiedy jej czynił wyrzuty.

Powoli Treasure dowiadywała się całego szeregu zupełnie nowych dla niej rzeczy. Przede wszystkim istniały specjalne określenia na różne części ciała: nogi nie były nogami, lecz członkami, piersi nazywano biustem, a ciało - osobą. Nie należało w żadnym przypadku zwracać uwagi sąsiadowi na wszy wychodzące z jego peruki. Nie można się było pokazać nieupudrowaną, ale nie można się było, pod żadnym pozorem, przyznać do używania tegoż pudru. Mrugnięcie okiem oznaczało pewnego rodzaju umówione spotkanie, a uderzenie dżentelmena wachlarzem w ramię można było interpretować na kilka sposobów. Zagłębienie między ściśniętym gorsetem piersiami mogło służyć jako swojego rodzaju schowek, ale zawsze - chowając coś lub wyjmując - należało się dyskretnie odwrócić.

Wszystko to niesłychanie przytłaczało Treasure, zatem westchnęła z ulgą, gdy pewnego popołudnia Larenda zaprowadziła ją do biblioteki. Oczekując odpoczynku od niesłychanych katuszy, Treasure długo wahała się nad wyborem między tomem rycin rolniczych a dużą, płaską księgą z mapami i opisami ziemi. Tymczasem Larenda kazała jej nosić książkę na głowie. Przez kilka dobrych dni Treasure przechadzała się po dworze w krynolinie i z *Geografią fizyczną Kornwalii* na głowie.

Zmęczona Treasure zaczęła się wymykać do szklarni i ogrodów wczesnym rankiem, ale Larenda i tam ją odnalazła, gdy pewnego razu usiłowała wyleczyć zaropiałe oczy piątki kociaków, i odesłała do domu.

Treasure miała wyrzuty sumienia, bo Larenda jedynie dotrzymywała danego słowa i usiłowała nauczyć ją, jak być damą, ale kiedy chciała upudrować jej włosy grubą warstwą mąki, zaprotestowała i stwierdziła, że prędzej zrezygnuje z bycia damą. Tym razem postawiła na swoim i jej włosy nadal cieszyły oczy swym prawdziwym kolorem.

Kiedy zakończono szykowanie strojów, przyszła pora na maniery i zachowanie w towarzystwie, takie jak taniec i rozmowa. Hrabia był nieoceniony w sprawach zachowania przy stole, a kiedy przyszło do lekcji tańca, poprowadził ją na parkiet do wtóru muzyki wygrywanej przez Larendę na wirginalu. Ponadto wyszkolił ją w sztuce „mowy wachlarza” oraz potencjalnych problemów w sztuce konwersacji.

- Nigdy nie mów z nimi o stroju, zwłaszcza jeśli jest nie w porządku. Nigdy nie wspominaj o religii, finansach, polityce ani moralności. A przede wszystkim nigdy nie zwracaj uwagi na gafy. Jeśli ktoś popełni gafę, zignoruj to. I nigdy, przenigdy nie przepraszaj, jeżeli sama znajdziesz się w takiej sytuacji.

- Och - szepnęła Treasure. Różnorakie jej gafy były najczęściej przyczyną gniewu Renville'a. Regularnie zawstydziała go i pogłębiała towarzystwo, wyłącznie z niewiedzy.

- Lady Moxelton wylała kiedyś herbatę na aksamitny rękaw księcia Marbury i natychmiast powiedziała: „Wasza wysokość, wydaje mi się, że wasz rękaw znalazł drogę do mojej filiżanki”.

Hrabia roześmiał się serdecznie i Larenda mu zawtórowała, zasłaniając usta ręką jak prawdziwa dama. Treasure pomyślała, iż lady Moxelton miała szczęście, że nie był to rękaw Renville'a.

Przez pełne dwa miesiące dwór w Rothmere obserwował przeistaczanie się Treasure Barrett w Treasure Renville. Każdego dnia dodawała jakąś nową umiejętność lub informację do swego repertuaru. Jej wygląd i naturalny wdzięk sprawiały, iż sprawiała wrażenie prawdziwej damy, choć jej zachowanie wciąż pozostawiało wiele do życzenia. Nadal patrzyła mężczyznom w oczy podczas konwersacji, nadal przepraszała za popełnione gafy i nadal miała skłonności do dłuższych wypowiedzi na najrozmaitsze

tematy. Kiedy się zamyśliła, potrafiła drapać się po głowie, a kiedy była zmęczona, siadała po turecku. Wszystko to jednak były drobnostki w porównaniu z postętami, jakie uczyniła.

W połowie grudnia, po szczególnie eleganckiej kolacji, gdy Treasure musiała się wykazać wieloma umiejętnościami, hrabia kazał przynieść najlepsze porto i wznosił toast za najnowszy skarb Anglii, panią Renville. Larenda pokiwała głową z zadumą.

- Tak wiele ci zawdzięczam - powiedziała zaczerwieniona Treasure, unosząc kielich.

- Nie więcej niż ja tobie. - W oczach Larendy zabłyśły łzy. - Czuję się silniejsza, bardziej pewna siebie. Pomagając ci, zdałam sobie sprawę z tylu rzeczy, jakie znam... I z wielu spraw, o których zapomniałam. To dziwne, od dawna nie miałam przyjaciółki. To cudowne uczucie.

Treasure pokraśniała z zadowolenia. Nigdy jeszcze nie miała prawdziwej przyjaciółki, nie miała kogoś, z kim mogłaby porozmawiać, wymienić poglądy, dzielić radości i smutki. W Culpepper była kimś ważniejszym od innych i to ją pozbawiło możliwości wyrażania najzwyczajniejszych ludzkich uczuć. Nie wolno jej było płakać, złościć się, odczuwać samotności.

Dopiero arogancki, pewny siebie Sterling Renville otworzył ją na głębsze uczucia, na radości i żale ludzi, na dobre i na złe...

Z zamyślenia wyrwał Treasure głos hrabiego:

- ...okazja do debiutu w roli pani Renville. I będzie to mój najwyższy botaniczny triumf. W samą porę - jeszcze tydzień i mój ananas będzie złoty i dojrzały. - Hrabia pomachał wygrawerowanym zaproszeniem. - Celebracja Nowego Roku u Eiderlych jest zawsze towarzyskim wydarzeniem. Sterling na pewno przybędzie z Londynu - dodał, spoglądając na Treasure.

Treasure zdrząła. Renville tu będzie. Spojrzała pytająco na hrabiego, a później na Larendę.

- Ach - roześmiała się Larenda na widok nietypowego wyrazu zwięzienia na twarzy Treasure. - Jesteś całkowicie gotowa.

19

Glenmoral, rozłożysty wiejski dwór markiza Eiderly, stanowił masywną kamienną strukturę, która łączyła w klasycznych liniach elżbietańskie łuki z proporcjami złotego środka. Treasure znalazła w bibliotece hrabiego dwie fantastyczne książki o architekturze i teraz usiłowała się skoncentrować na ozdobnych szczegółach wielkiego holu, aby uniknąć paniki na myśl o tym, co ją jeszcze czeka. Przełknęła ślinę, gdy służący wzięli jej płaszcz, mufkę i podróżny kuferek, i po raz piętnasty od wyjazdu z domu poprawiła swój strój.

Kiedy ich zapowiedziano, rozmowy w przestronnej, oświetlonej słońcem galerii umilkły.

- Hrabia Rothmere, lady Larenda Winderleigh-Avalon Renville i pani Sterlingowa Renville.

- To jest żona Sterlinga przywieziona z kolonii? - zapytał głośno markiz Eiderly, obrzucając spojrzeniem śliczną twarz Treasure w kształcie serca, jej błyszczące włosy, suknię ze złotego aksamitu i rozkosznie zaokrąglone ciało. - Ależ to prawdziwy klejnot, Rothmere - zwrócił się do hrabiego. - Sterling zawsze miał doskonały gust, jak chodzi o kobiety. - Rzucił okiem na Larendę, która gwałtownie się zaczerwieniła. - Sterling nie przyjechał z wami? - spytał, rozglądając się.

- Przybędzie... później - odparł hrabia, spoglądając spod oka na swe współniczki.

Wszyscy troje z obawą myśleli o chwili, gdy publicznie zaskoczą Sterlinga swoją tu obecnością. Hrabia otworzył zaproszenie dla

Sterlinga, a później przesłał mu je do Londynu. W ostatnich czasach hrabia rzadko brał udział w towarzyskich zgromadzeniach i Renville miał prawo przypuszczać, iż będzie jedynym przedstawicielem swej rodziny na balu noworocznym w Glenmoral.

Markiz poprowadził nowo przybyłych wokół zatłoczonej galerii, mając u swego boku z jednej strony Larendę, z drugiej - Treasure. Niebawem wokół szumiało od rozmów na temat rzadkich, towarzyskich wizyt hrabiego, uderzającej urody nowej pani Renville i uprzejmości Larendy Avalon Renville, która swą obecnością dawała do zrozumienia, iż nie ma nic przeciwko tej sytuacji.

Treasure uśmiechała się skromnie, przyjmując liczne gratulacje z powodu małżeństwa, choć czuła się w środku całkowicie sparaliżowana. Starając się zachować jak prawdziwa dama, wpadła niemal w panikę, gdy Larenda zatrzymała się, aby porozmawiać z grupką starszych pań, a hrabiego gdzieś odwołano. Wkrótce siedziała przy oknie, w świetle słońca, otoczona przede wszystkim przez elegancko ubranych dżentelmenów. Nieustannie sprawdzała, czy nie widać jej kostki lub łokcia, nie zwracając uwagi na komplementy i pytania, które jej zadawano. Jeden wyjątkowo śmiały młodzieniec usiadł przy niej, nie przejmując się obręczami sukni, i przy aprobujących spojrzaniach innych przysunął się zdumiewająco blisko.

- Aż trudno uwierzyć, że pochodzi pani z kolonii. Pani język jest bardzo wytworny i brzmi zupełnie jak angielski - powiedział nieprzyjemnym głosem.

Spojrzała mu prosto w oczy, obrzucając go zimnym wzrokiem, i odpowiedziała po... łacinie.

Zamrugła nerwowo i cofnął się lekko, zdumiony tym, że przemówiła jak mężczyzna.

- Jeśli wszedłeś między wrony, musisz krakać tak jak one - przetłumaczył po chwili inny dżentelmen.

- A to ci przygadała, Ponsenby- rzekł markiz, podchodząc bliżej. Roześmiał się i wyciągnął rękę do zaczerwienionej Treasure, aby ją wyprowadzić z męczącego towarzystwa.

Już po paru minutach wszyscy zebrani powtarzali sobie, co zaszło, odpowiednio ubarwiając całe wydarzenie. Ta nowa pani Renville, która umiała dać odprawę niewczesnym zalotom po

łacinie, stała się przedmiotem powszechnej ciekawości, ale bardzo prędko protekcjonalność zmieniła się w rozbawienie. Pełna życia piękność miała w sobie coś więcej niż tylko interesujące kształty i wszyscy chcieli się jak najwięcej dowiedzieć o nowym, interesującym nabytku pośród dobrze znanego towarzystwa.

Przy kolacji została wyczerpująco przepytana na temat kolonii i jej powiązań rodzinnych przez markizę i Alfreda Pattena z Izby Handlowej. W jej wersji ojciec został niemal posiadaczem ziemskim, a stary dziedzic - bliskim przyjacielem rodziny.

Kiedy hrabia z Larendą odprowadzili ją późnym wieczorem do pokoju, przyjaciółka powiedziała, że wszystko udało się nadzwyczajnie. Treasure była zbyt zmęczona, aby cieszyć się sukcesem swego debiutu w roli damy. Myślała jedynie o tym, co przyniesie następnego dnia.

Triumfalny powrót z kolonii - powiedział markiz następnego popołudnia na powitanie Sterlinga. - Szkoda, że oddziały Loudouna nie mogą się poszczycić podobnym sukcesem w walkach z Francuzami i Indianami. - Pochylił się bliżej, trzymając Sterlinga za rękę, i mruknął: - Masz szczęście, stary.

Sterling zmarszczył czoło i markiz dodał dla wyjaśnienia:

- Twoja pani Renville to niezła kobita. Była gwiazdą wieczoru.

Sterling zaskoczony stał w miejscu, podczas gdy markiz przeszedł dalej, witając następnych gości. Treasure tutaj?! Bąknął jakieś przeprosiny i ruszył na jej poszukiwanie. Był niezwykle wzburzony.

Nie znalazł jej ani w salonie, ani w bibliotece, ani w głównej sali balowej i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że rozgląda się za wypłowiałą niebieską suknią i rudym warkoczem.

Boże, jak ona się tu dostała, myślał z niepokojem, odpowiadając zdawkowo na liczne gratulacje połączone z szeptanymi komentarzami i zazdrosnymi spojrzeniami. I jak ją stąd zabrać, nie zwracając niczyjej uwagi?

W pewnym momencie zatrzymał go lord Clayton James i do Sterlinga dotarło słowo „uroda”. Nagle zrozumiał, że wszyscy zebrani goście wyrażają się o Treasure z sympatią.

- Gdzie mógłbym *znaleźć* moją żonę? - spytał wreszcie i skierowano go do długiej galerii. Zobaczył ją z daleka i z trudem rozpoznał. Miała na sobie atłasową suknię w koralowym kolorze z ozdobami z koronki. Rozkoszne piersi i ramiona były modnie odsłonięte. Masa loków, podpięta do góry, opadała wdzięcznie z jednej strony na kark. Fiołkowe oczy błyszczały, szczupłe dłonie poruszały wachlarzem. Mężczyźni i kobiety, którzy ją otaczali, roześmieli się i Treasure zaczerwieniła się delikatnie.

Czując na sobie czyjeś gorące spojrzenie, rozejrzała się po sali i spostrzegła Sterlinga stojącego w drzwiach. Znieruchomiała i zamilkła, a Renville ruszył przed siebie zdecydowanym krokiem. Otaczający ją goście rozsunęli się.

- Renville? - powiedziała, odruchowo unosząc dłoń.

Renville wziął jej dłoń w obie ręce i podniósł do ust. Treasure zdrząła i pokryła się gęsią skórka, co, niestety, zauważył stary plotkarz, lord Edgar Trexel.

- Moja droga - powiedział Renville ochrypłym głosem, spoglądając na nią z błyskiem w oku. - Muszę z tobą porozmawiać. Proszę nam wybaczyć, ale od dłuższego czasu nie miałem przyjemności...

Jego słowa powitał wybuch śmiechu. Renville wziął Treasure pod ramię i pociągnął do drzwi. W tej chwili nadepnął na coś i rzucając dyskretnie okiem w dół zobaczył atłasowy pantofel. Natychmiast popchnął żonę lekko do tyłu i kopnął pantofel pod suknię. Treasure z trudem zdołała jakoś wsunąć go częściowo na stopę.

Kiedy znaleźli się wreszcie w pustym korytarzu, Treasure wyrwała się z jego uchwytu.

- Zwolnij trochę! Za chwilę pogubię buty.

- Pięć minut temu to ci szczególnie nie przeszkadzało.

- Nic nie mogłam na to poradzić. Zaskoczyłeś mnie. Zdjęłam je pod suknię, bo długo nie da się w nich ustać. Wszyscy tak robią. Larenda mi mówiła.

Renville zacisnął zęby. Rozglądając się po pustym korytarzu, dostrzegł przy jednym z okien wnękę z kanapą, dokąd natychmiast pociągnął Treasure.

- Wkładaj buty i wyszukuj się do wyjścia.

- Nie mogę. Nie dosięgnę. Damy zawsze najpierw wkładają buty, a potem suknie.

- Siadaj! - rozkazał wściekłym szeptem, - Daj mi nogę.

Po chwili niezgrabnie wkładał jej na nogę aksamitny pantofel. Na widok małej stopki w jedwabnej pończosze odczuł nagły przypływ pożądania. Treasure spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma.

- Co takiego? - warknął i schylił się do drugiej nogi.

W tej samej chwili nadeszła młoda para, która nie zauważyła wcześniej, że kanapa we wnęce jest już zajęta. Teraz stali, podziwiając z zafascynowaniem, jak Renville nurkuje pod suknię, łapie drugą stopę, poprawia pantofel, sznuruje go i pożądlawie gładzi szczupłą kostkę. Młoda kobieta wydała z siebie lekki okrzyk. Renville odwrócił się gwałtownie, obciągnął kamizelkę, wstał z klęczek i z godnością podał żonie rękę. Powoli odeszli korytarzem. Gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem wzroku tamtej pary, Renville z wściekłością pociągnął Treasure do bocznego korytarza.

- Przepraszam, Renville, nie...

- Wielki Boże! - zawołał, nerwowo przeczesując ręką włosy. - Mogłaś coś powiedzieć. Za chwilę wszyscy będą sobie opowiadać, jak wszedłem ci pod suknię i obmacywałem publicznie nogi.

- Ale ja...

- Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że po tym nie mogę cię teraz zabrać do domu. Musimy zostać przynajmniej jeszcze jedną noc. - Cofnął się o krok, zaciskając pięści. - Skąd się tu w ogóle wzięłaś?

- Hrabia nas przywiózł. Larendę i mnie. - Treasure zdała sobie sprawę, iż Renville nie zauważył nawet jej eleganckiej sukni ani fryzury. - Przyjechaliśmy wczoraj.

- I już cię wszyscy znają? Cóż takiego zdażyłaś wczoraj zrobić?

Nim zdołała cokolwiek powiedzieć, zamknął oczy i jęknął:

- Nie, lepiej nic nie mów. Nie chcę wiedzieć. Łatwiej mi będzie znieść jakoś ten pobyt. Chodźmy.

Pośpiesznie zaprowadził ją do dużego salonu, oddając ukłony i mrużąc pod nosem, aby Treasure w ogóle się nie odzywała. Przez resztę ich wizyty miała się zachowywać jak kołek w płocie.

Treasure musiała wysilić całą swą wolę, żeby nie wybuchnąć płaczem albo go nie uderzyć. Gdy hrabia i Larenda natknęli się na nich później w salonie, stali obok siebie jak para kamiennych posągów.

- A, znalazłeś nas - powiedział hrabia do Sterlinga z udawaną jowialnością.

- Rzeczywiście. - Sterling wepchnął ich do sali jadalnej, w której zakończono przygotowania do kolacji. Zamknął drzwi i zwrócił się do nich z wściekłym błyskiem w oczach. - Co to wszystko znaczy?

- No... Dzięki Treasure mój ananas wreszcie zaowocował - zaczął hrabia, starając się, aby wypadło to jak najbardziej wiarygodnie. - Właśnie dojrzewał, kiedy przyszło zaproszenie. Przesłałem je tobie, ale zacząłem się zastanawiać... To by dopiero było, gdybym zaprezentował mojego ananasa osobiście na przyjęciu noworocznym Eiderly'ego. Czekałem na twój przyjazd - dokończył słabym głosem, widząc, iż nie przekonał Sterlinga.

- To była doskonała okazja, żeby przedstawić Treasure naszym przyjaciołom i całemu towarzystwu - powiedziała Larenda, blednąc pod spojrzeniem zmrudzonych oczu Sterlinga, ale nadal dumnie unosząc brodę.

- To wyjaśnij mi, proszę, skąd ona ma taki ekstrawagancki strój.

- Proszę bardzo. Z pieniędzy domowych i z moich przeznaczonych na drobne wydatki. Sterling, nigdy cię nie widziałam w takim paskudnym humorze. Po wszystkich naszych wysiłkach i wydatkach, aby zapewnić Treasure debiut w towarzystwie...

- Strata czasu i pieniędzy. Ona nie będzie bywać w towarzystwie. Jutro wraca do Rothmere i tam pozostanie. W przyszłości nie będzie potrzebować tych... fatałaszków.

Treasure otworzyła usta, ale nie wydobyła z siebie głosu. Nie mogła już dłużej tego znieść. Uniosła głowę i dumnie wyszła z pokoju.

Zjawiła się na kolacji w sukni ze złotego aksamitu, który podkreślał złote błyski w jej włosach i oczach. Zebrani goście od początku zaakceptowali ją jako damę i jedynie Renville nie chciał przyjąć do wiadomości jej osiągnięć, choć to dla niego zdobyła się na ten wysiłek. Postanowiła, iż musi przewyciężyć jego

uprzedzenia i zdobyć go całkowicie. Wiedziała, że z obawy przed jej nieprzewidzianym zachowaniem Renville nie odstąpi jej na krok, i na tym opierała swe plany.

Podczas kolacji hrabia wstał, zapowiedział wręczenie prezentu gospodarzowi i przywołał dwóch lokajów ze srebrną tacą. Z zaczerwienioną z przejęcia twarzą triumfalnym gestem uniósł pokrywę, odsłaniając ukochanego ananasa na podłożu z atłasu, otoczonego zielonymi liśćmi. Markiz wykrzyknął ze zdumienia i podskoczył, aby z bliska obejrzeć dumę hrabiego.

- To jest nie tylko moja zasługa - powiedział i uśmiechnął się z dumą. - Siedząca tu Treasure bardzo mi pomogła. Ona ma niebywałe zdolności do uprawy roślin.

- Naprawdę? - zdziwił się markiz. - Czemu przypisuje pani ten sukces? - spytał Treasure. - Czyżby przywiozła pani z kolonii jakąś tajemniczą substancję?

- Ach, nie, mój panie. Podejrzewam, iż jest to zasługa cudownego angielskiego nawozu. Ananasy w Indiach niczego podobnego nie znały.

Cały stół, wraz z markizem i hrabią, wybuchnął śmiechem. Treasure zarumieniła się i zakryła usta ręką, ale w jej oczach migotały żartobliwe ogniki.

Kiedy wyszli z sali jadalnej, Sterling usiłował dyskretnie pociągnąć ją w stronę schodów. Treasure wiedziała, iż musi być wściekły z powodu rozmowy o ananasach.

- Nie bądź głupi, Renville - szepnęła. - Ludzie będą plotkować, jeśli się teraz wycofamy.

- Do nikogo się nie odzywaj, słyszysz?

- Ach, czyli mam wziąć z siebie przykład i zachowywać się niegrzecznie wobec twojej rodziny i przyjaciół. Lepiej bądź przy mnie i sprawdzaj, czy dobrze to robię - powiedziała i ruszyła do głównego salonu.

Kiedy Renville po zakończonym wieczorze odprowadził ją do pokoju i kazał się przygotować do wyjazdu wczesnym rankiem, Treasure poczuła, iż opuszcza ją wszelka nadzieja. W dodatku Renville zamknął za sobą drzwi i przekreślił klucz w zamku. Treasure zerwała z ręki wachlarz i rzuciła nim przez pokój. Wylądował na podłodze obok znanego jej już kufra...

Tak, oczywiście, ja tylko myślałem...

- Trochę u nas tłoczno, proszę pana - wyjaśnił lokaj, którego Sterling zapytał o swój pokój. - Musieliśmy dać pana rzeczy do pokoju pani Renville. Przepraszam za tę niewygodę.

- No, tak... rozumiem. Nic nie szkodzi.

Renville machnął ręką i odwrócił się na piecie. Musiał albo dzielić pokój z Treasure, albo narazić się na wstyd, gdyby go nakryto na spaniu na sofie w salonie. Przez chwilę stał pod drzwiami, po czym przekręcił klucz.

- Sprawdzasz mnie, Renville?

- Nie. - Wszedł do środka, zamknął drzwi i przekręcił klucz. - Okazuje się, że nie mają dość pokoi. Tu spędzę noc. Nie musisz się przejmować, prześpię się na podłodze.

Treasure opuściła powieki, aby ukryć promyk nadziei w oczach. Kiedy znów podniosła na niego wzrok, w jej oczach nie mógł niczego odczytać.

- Pokojówka Larendy przyszła, żeby pomóc mi się rozebrać, ale ponieważ drzwi były zamknięte na klucz, powiedziałam, iż nie jest mi potrzebna. - Odwróciła się do niego plecami. - Nie mogę dosięgnąć sznurówki - odpowiedziała, rzucając mu spojrzeń przez ramię.

Renville przełknął ślinę i postanowił w racjonalny sposób potraktować życzenie Treasure. Podeszedł do niej i pociągnął za koniec kokardki od sznurówki na wysokości bioder. Sznurówka poluzowała się i gorset zaczął się otwierać na boki. Racjonalizm Renville'a gdzieś się ulotnił. Gwałtownymi ruchami szarpał sznurówkę, całkowicie wyciągając ją z dziurek, zamiast tylko ją lekko rozsznurować. Kiedy skończył, Treasure odwróciła się, żeby mu podziękować, i zobaczyła na jego twarzy ten sam wyraz, który zawsze oznaczał fizyczne pożądanie.

Na miękkich nogach podeszła do szafy i podniosła do góry suknię oraz halki, aby odpiąć fiszbinowe koła krynoliny. Później, prowokacyjnie powoli zdejmowała z siebie poszczególne części garderoby.

Renville, który tymczasem usiadł nieopodal, na twardym krześle, zaciskał pięści i usiłował zapanować nad swoim ciałem. Mógłby zająć się własnym ubraniem, ale zdawał sobie sprawę, że stanowiło ono w tej chwili jedyną barierę między nimi.

Treasure usiadła przed toaletką, rozpuściła bujne włosy i porządnie je rozczesała. Renville nie mógł oderwać od niej wzroku.

Po chwili podeszła do niego i powiedziała coś o „innych sznurówkach”. Renville, na wpół przytomny, rozsznurował dolną część gorsetu i Treasure znów podeszła do szafy, aby go odłożyć. Jej ruchy były wdzięczne, naturalne... takie jak tamtej pierwszej nocy nad brzegiem rzeki.

Kiedy jednak usiadła na kanapce obok szafy i zaczęła rozsznurowywać pantofel, Renville gwałtownie zaprotestował.

- O nie! - powiedział ochryłym głosem. - Rozwiązywałem tamte i to też zrobię. - Z zapartym tchem oczekiwał na jej reakcję.

Wreszcie Treasure zamknęła swe wielkie, fiołkowe oczy i milcząco kiwnęła głową.

Renville ukląkł przed nią, wziął w dłoń jej stopę i drżąca ręką pogładził zgrabną łydkę. Kiedy pocałował kostkę, łydkę i kolano, Treasure zabrakło tchu. Kiedy i drugą nogę potraktował w ten sam sposób, Treasure niemal omdlewała z rozkoszy.

Nagle, bez ostrzeżenia, Renville wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko. Powoli, jedna po drugiej, odpiął koronkowe podwiązki i zsunął jedwabne pończochy, obsypując pocałunkami odsłanianą, nagą skórę.

W pewnej chwili Treasure przyciągnęła do siebie jego głowę i zaofiarowała mu atłasowe wnętrze swych ust, zatapiając wzrok w jego niebezpiecznie głębokich, ciemnych oczach.

Jedynie ubranie Sterlinga było teraz przeszkodą we wzajemnym połączeniu. Kiedy wstał, aby pozbyć się kępujących barier, Treasure spod oka obserwowała jego złote, muskularne ciało, w miarę jak po kawałku odsłaniało się przed jej oczyma.

Kiedy był już nagi i swobodny, odwrócił ją na plecy i wślizgnął się między jej uda, wchodząc jednym ruchem w jej gorące, wilgotne wnętrze. Wkrótce poruszali się jednym rytmem, a po chwili razem osiągnęli spełnienie.

20

Sterling obudził się pierwszy, spojrzął na opuszczone zastony i dopalające się świece, i ponownie zamknął oczy, rozkoszując się spokojem ducha i ciała. Przez wiele miesięcy nie mógł znaleźć sobie miejsca, gdyż ambicja i duma nie pozwalały mu zaakceptować požądania, które czuł wobec Treasure.

Treasure poruszyła się w jego ramionach i Renville porzucił rozmyślenia o przyszłości. Szybko otworzyła oczy, przyglądając mu się uważnie i oceniając jego nastrój. Na widok krzywego uśmiechu też się lekko uśmiechnęła. Renville jeszcze nie zdążył przemienić się w obcego człowieka, jakim często wobec niej bywał.

- Jesteś wspaniały, Renville - powiedziała takim tonem, jakby dokonała wielkiego odkrycia. Kiedy roześmiał się cicho, zarumieniła się, ale ciekawość była silniejsza. - Skąd wiesz, że stopy są takie wrażliwe?

- Ja... - Urwał, szukając odpowiednich słów. - Mam pewną praktykę.

- Ach... - Miał na myśli inne kobiety. Usiadła powoli, marszcząc brwi. Nietrudno było odgadnąć jej myśli.

- Choć ostatnio nie praktykowałem. Dopiero dziś wieczorem.

Widząc, że Renville się uśmiecha, Treasure wyraźnie się rozluźniła. Dokładnie wiedział, o co jej chodziło. Na widok jej dziewczęcego, pełnego wdzięczności uśmiechu, serce mu się ścisnęło.

- Wiesz, za każdym razem, kiedy to robimy, dużo się uczę.

- Na pewno - przytaknął ze śmiechem, przesuując ręką po

jej biodrze. Rzuciła mu sztucznie oburzone spojrzenie i położyła rękę na jego dłoni.

- Chodzi mi o łokcie, palce u nóg... i inne części. Nigdy nie myślałam, że coś tak zwykłego może być tak niezwykle. Czy ty też tak to odczuwasz?

- Nie wiem. To znaczy... - Przełknął ślinę, zaskoczony i dziwnie zawstydzony jej pytaniem. - Kobiety zazwyczaj nie... To mężczyźni traktują w ten sposób kochanki, ale...

- Nikt ci tego nie robił - dokończyła za niego Treasure.

Światowiec Sterling Renville zaczerwienił się gwałtownie. Jego milczenie było wystarczającą odpowiedzią. Z błyskiem w oku Treasure przesunęła się na łóżku i zaczęła masować delikatnie jego zgrabne stopy;

- Treasure, naprawdę, teraz...

Całowała jego palce stóp i kostki, a kiedy doszła do kolan, Renville zacisnął dłonie na prześcieradle. Gdy znów wróciła do palców u nóg, całując je i liżąc, zadrżał i z jękiem wypowiedział jej imię.

Treasure obserwowała go uważnie i wcale się nie zdziwiła, kiedy poderwał się nagle i przyciągnął ją do siebie, całując w usta.

Gdy mogła ponownie odetchnąć, westchnęła i pogłaskała go po plecach.

- Podobało ci się?

- Ummm. - Podniósł na nią oczy i jednym ruchem wszedł w nią, jednocząc na nowo ich ciała.

Później obudziło ją uczucie chłodu. Początkowo pomyślała, że Renville wyszedł, kiedy jednak usiadła na łóżku, w szarym świetle poranka, tuląc do siebie prześcieradło, zobaczyła, że siedzi na krześle z zamkniętymi oczyma i wyciągniętymi przed siebie nogami. Miał na sobie ciepły, wełniany szlafrok, który najwyraźniej wyciągnął z otwartego kufra. Obserwowała go przez chwilę, wiedząc, iż nadszedł moment, którego zawsze się obawiała. Zwykle odsuwał się od niej, przypominając sobie o dzielących ich barierach pochodzenia.

O nie, nie tym razem, pomyślała, ześlizgując się z łóżka.

Podeszła cicho do szafy i włożyła cienki, jedwabny szlafroczek, po czym usiadła przed toaletką i wzięła w rękę szczotkę do włosów.

Nagle podskoczyła pod wrażeniem dotyku rąk Renville'a na ramionach. Kiedy się odwróciła, zobaczyła w jego oczach ciepłe uczucie i poczuła wielką ulgę. Jeszcze przez jakiś czas należała do niej.

- Posłałem po kawę i czekoladę, ale to na pewno potrwa - powiedział, masując jej ramiona. - Nie jadłaś wiele wczoraj wieczorem.

- Byłam... zbyt zdenerwowana - szepnęła, roztapiając się pod jego dotykiem. - Starałam się o wszystkim pamiętać i odpowiednio zachowywać.

Dłonie Renville'a znieruchomiały i Treasure zeszywniała. Co ją podkusiło, żeby to powiedzieć?

- Strasznie dużo trzeba pamiętać, prawda? - Zdumionemu Sterlingowi przyszło naraz do głowy, że zapewne to on jest przyczyną jej wszelkich starań, zarówno w łóżku, jak i poza nim. Pocałował ją przelotnie we włosy przy uchu i postawił na nogi.

- Wyglądasz rozkosznie w tym szlafroczku - powiedział ochryple, błędząc palcami w okolicach jej piersi.

- Larenda go dla mnie wybrała. Mówiła, że dżentelmeni doceniają takie rzeczy.

- Doprawdy? Miała absolutną rację. Nie spodziewałbym się tego po niej.

Zgniółł wargami jej usta, przyciskając ją do piersi.

- Będziesz znów się ze mną kochał?

- Rozważam taką możliwość.

- Jeśli się zdecydujesz, czy możesz mi obiecać... - Urwała i odwróciła głowę, zawstydzona tym, co chciała powiedzieć.

- Co takiego?

- Obiecuj... że nie będziesz tego później żałował.

- Obiecuję- szepnął, całując lekko jej czoło, nos i wargi, a potem zaniósł ją na łóżko i pieścił z niezwykłą czułością.

Pomysł, aby wyjechać wczesnym rankiem, spalił na panewce ze względu na to, iż dość późno opuścili wspólny pokój. Treasure miała nadzieję, iż Renville w ogóle zrezygnuje z wyjazdu. Dotrzymał obietnicy, wyraźnie nie żałował, iż się z nią kochał i zachowywał się wobec niej lepiej, niż się spodziewała. Jednakże nadzieje przysły, gdy pożegnał się z gospodarzem i kazał przy prowadzić powóz hrabiego.

- Odwożę Treasure do Rothmere, a potem odstawię tu powóz w drodze do Londynu - wyjaśnił hrabiemu. - Mam tam pracy co najmniej na miesiąc. Powinieneś zostać tu jeszcze przez kilka dni, żeby zachować pozory...

Hrabia ze smutkiem skinął głową, a Larenda zgarbiła się przygnębiona. Treasure, wpatrując się w przystojny profil Renville'a, poczuła nagłą irytację, iż chce ją zawieźć do Rothmere tylko po to, aby ją tam zostawić samą. Nadal pozostawało między nimi wiele spraw do wyjaśnienia i Treasure podejrzewała, że ich rozstanie tego nie ułatwi.

- Oczywiście możesz mnie zawieźć do Rothmere, jeśli chcesz, ale ja bym ci tego nie radziła. - Rzuciła okiem na Larendę, która nadstawiła ucha. - Kiedy się mnie zostawia bez nadzoru, zachowuję się bardzo niekonwencjonalnie.

- Co takiego?! - wykrzyknął Sterling.

- Być może zauważyłeś, że Larenda zachowuje się ostatnio inaczej niż zwykle. A hrabia stanowczo na zbyt wiele mi pozwala. Jesteś pewien, że możesz mnie zostawić pod ich opieką?

- Nie bądź śmieszna, Treasure - zaczął i prędko zdał sobie sprawę, iż ona nie jest śmieszna, tylko sprytna i zdeterminowana. - Pojedziesz do Rothmere - rozkazał - i będziesz się zachowywać jak dama.

- Ja? Jak dama? Zapomniałeś, Renville, że jestem myślicielką. Z drugiej strony, Londyn na pewno bardzo by mi się spodobał. Przy tylu atrakcjach nie miałabym czasu na złe zachowanie. A pod twoim kierunkiem z pewnością wiele bym się nauczyła.

Wiedziała, iż było to poważne wyzwanie, ale chciała, żeby traktował ją jak żonę nie tylko w łóżku, z dala od obcych oczu.

Sterling odszedł kilka kroków i odwrócił się do nich tyłem. Przymknął powieki. Nadszedł moment, którego się obawiał od

samego początku. Musiał znaleźć miejsce dla Treasure w swoim życiu, a nie tylko w sercu, albo na zawsze ją utracić. A życie bez Treasure nie było nic warte.

Kiedy otworzył oczy i odwrócił się, zobaczył, że Treasure podeszła bliżej i spogląda na niego spokojnie, jakby przygotowana na najgorsze.

- Za dzień lub dwa odeślę powóz z Londynu, żeby was zawiózł do domu - poinformował hrabiego.

Treasure zamrugała, podskoczyła i zarzuciła Renville'owi ręce na szyję.

- Och, dziękuję, Renville, dziękuję - pisnęła, wisząc mu na szyi.

Ludzie na korytarzu przystawali i gapili się na nich. Renville pomyślał z rezygnacją, iż będzie się musiał do tego przyzwyczaić.

- Jeszcze jedno! - zawołała Treasure. - Jeśli nie zabierzemy ze sobą Larendy, przypuszczalnie zrobi coś szalonego, na przykład ucieknie z Vance'em Montreaux.

- Co? - Larenda spojrzała na Treasure ze zdumieniem, ale szybko pokiwała głową. - Tak, tak, to właśnie zrobię.

- Wielki Boże! - Sterling zamknął oczy. - Ty też się wybierasz do Londynu? - zapytał z westchnieniem hrabiego.

Londyńska siedziba lorda Rothmere była eleganckim domem z czerwonej cegły w modnej części miasta. Huddleston, starzejący się lokaj, nie spodziewał się Renville'a przez następne dwa tygodnie, dał zatem wolne większości służby i zredukował zapasy łątko psującego się jedzenia. Kiedy więc służący udał się do sąsiadów pożyczyć wiktuały na zimną kolację, szybko rozeszła się w sąsiedztwie pogłoska o przyjeździe Renville'a i jego towarzystwa.

Siwowłosa Huddleston poprowadził ich ciemnymi korytarzami do salonu na górze, w którym Sterling ostatnio przebywał. Obiecał, że zaraz rano wywietrzy dom i przygotuje go do użytku, i rozpalił dla nich na kominku. Larenda zajrzała do kilku sypialni, pokazując przy okazji Treasure część pierwszego piętra. Sądząc z inspekcji, Sterling używał wyłącznie głównej sypialni salonu na piętrze.

Treasure z zadowoleniem spostrzegła ogólny bałagan w salonie - nic nie wskazywało na to, aby Sterling przyjmował tu jakieś damy.

- Mój Boże, Sterling! - wykrzyknęła Larenda. - Przez dwa miesiące ograniczyłeś się do używania tylko tych dwóch pokoi?!

- Nie mam wielkich wymagań - odparł szorstko. - Nie mogłem przyjmować gości pod nieobecność gospodyni.

Kiedy Huddleston ze Sterlingiem wnieśli na górę bagaże, Treasure uparła się, żeby jej rzeczy odnieść do sypialni Renville'a. Po chwili niezręcznej ciszy mężczyźni poszli odstawić kufer podróżny Larendy do przeznaczonego dla niej pokoju.

- Co ja takiego zrobiłam? - spytała zdumiona Treasure.

- Dżentelmeni na ogół nie śpiją w tych samych pokojach co ich żony. Obawiam się, że to moja wiria. Zapomniałam ci powiedzieć.

- Nie śpiją w tych samych pokojach? To jak w ogóle... - Treasure zobaczyła, że Larenda gwałtownie zbladła. - Ty i Robert nie mieliście wspólnej...

Larenda potrząsnęła głową.

- Nie byliśmy zbyt długo małżeństwem, zaledwie niecałe pół roku. Robert nie był bardzo... wymagającym mężem. Wiesz, on bardzo przypominał hrabiego, miał mnóstwo różnych zajęć i pomysłów. Wydaje mi się, że na ogół mąż i żona aranżują spotkanie w jakiś umówiony sposób, na przykład kładzie się szlafrok na łóżku, przysyła butelkę wina.

- To dość dziwne. W Culpepper mąż i żona zawsze śpią w tym samym łóżku.

- Naprawdę? Tutaj to by było niemożliwe. Wyobraź sobie, że dżentelmen miałby oglądać żonę w dezabilu, nie ubraną albo nie uczesaną... Pomyśl, jaki to wstyd.

Teraz z kolei zdziwiła się Treasure. Renville'owi jakoś nie przeszkadzało, gdy widział ją nie ubraną lub nie uczesaną. Wprost przeciwnie - w dezabilu raczej mu się podobała. Może to tylko Larendę krępowały takie rzeczy albo jej „niewymagającego Roberta”.

Sterling przyszedł do sypialni dość późno, po dłuższej chwili spędzonej w ciemnym salonie, z kieliszkiem koniaku w ręce. Treasure leżała przed kominkiem, okryta kapą z łóżka. Gdy

wszedł, usiadła i wszystkie wątpliwości, jakie przeżywał, natychmiast znikły.

- Nie wiedziałam o oddzielnych pokojach... Przepraszam. Larenda mówi, że powinnam mieć swoją sypialnię, żeby cię nie krępować, i że powinniśmy mieć umówiony gest... na...

- Muszę koniecznie podziękować Larendzie za jej wskazówki - mruknął sucho, biorąc ją w ramiona. - Gest? - szepnął, schylając głowę. - Taki? - spytał, całując ją gwałtownie.

Po chwili zaniósł ją do łóżka i zdążył zdjąć surdut, gdy zręczne palce Treasure - ku jego ogromnemu zdumieniu - wzięły się za rozpinanie guzików kamizelki. Po kolei zdejmowała części jego garderoby, okazując mu nieskrywane zainteresowanie. Kiedy był nagi, wsunęła się pod przykrycie, a on natychmiast do niej dołączył.

Rano Sterling obudził ją filiżanką czekolady i pieśczętą. Przyglądała się, jak się ubierał, a potem wstała i włożyła szlafrok. Nagle Sterling posadził ją sobie na kolanach, przodem do siebie. Całował i gładził jej nagie uda. Po chwili odsunęła się lekko i szeroko otwartymi oczyma spojrzała na jego wyraźne podniecenie.

- Wiesz, chyba można to robić na milion sposobów - szepnęła. Sterling roześmiał się głośno.
- Co najmniej na milion, mój gorący skarbie.
- A my dopiero wypróbowaliśmy siedem.
- Ona to liczy - westchnął, zamykając oczy.

21

Wyatt? Wyatt Colbourne?! - Treasure pośpiesznie zbiegła po schodach, z radością myśląc o znajomej twarzy pośród tylu obcych ludzi, nieustannie odwiedzających ich dom. Przez dwa dni po ich przyjeździe marna zimowa pogoda powstrzymywała gości, ale były to jedyne dwa dni, jakie mieli dla siebie.

- Przychodzą zobaczyć się ze Sterlingiem - wyjaśniła Larenda, wzruszając ramionami.

- Dlaczego?

- Nie jestem całkiem pewna. Interesy czy coś równie nudnego. Boże, strasznie dużo jedzą i piją. To już trzeci dzbanek herbaty i czwarty talerz ciastek. Muszę poprosić Huddlestonea, żeby przyniósł sherry.

I tak każdego popołudnia Sterling, mimo iż nie wychodził z domu, omawiał jakieś nie cierpiące zwłoki sprawy z utytułowanymi dżentelmenami, gdy tymczasem żony i córki piły herbatę i zajadały ciastka, którymi częstowała je Larenda. Treasure była bacznie obserwowana jako nowa pani Renville i niebawem dość miała zarówno herbaty, jak i wymizdrzonych kobiet. Kiedy tylko mogła, uciekała z książką do salonu na górze, gdzie wcale nie czuła się zbyt wyobcowana i zostawiona sama sobie.

Najgorsze było to, że dość rzadko widywała Sterlinga. Na jej niezbyt entuzjastyczne polecenie Huddlestone przeniósł jej rzeczy do sypialni sąsiadującej z pokojem Sterlinga i przeważnie spotykała go przy świetle księżyca, kiedy przychodził do niej do łóżka, albo przy wybornie nakrytym stole przy kolacji, kiedy wydawał się

czymś zajęty i nieobecny duchem. Gdyby nie cudowne spotkania w łóżku, równie dobrze mogłaby być w Rothmere.

I dlatego właśnie, kiedy tego popołudnia zobaczyła na dole Wyatta Colbourne'a, zapomniała o wszelkich manierach i po prostu rzuciła mu się na szyję.

- Treasure! Czy to naprawdę ty?

Poklepał ją niezręcznie po ręce i Treasure zorientowała się, że Huddleston przygląda jej się z otwartymi ustami, a sam Wyatt jest bardzo zakłopotany.

- Wielki Boże, wcale bym cię nie poznał - dodał.

- Och, Wyatt, jakże się cieszę, że cię widzę. - Treasure wzięła go pod ramię i pociągnęła do salonu, gdzie Larenda podawała codzienną herbatę z cierpliwością godną żony Hioba.

- Wygląda pani wspaniale, madame Renville. Widzę, że Sterling wreszcie zrobił, co do niego należało - powiedział, spoglądając na jej wyszukaną fryzurę i elegancką suknię.

- Jeśli jestem teraz dla ciebie panią Renville, to zaraz pójde i włożę starą brązową suknię.

- Nie, proszę, Treasure. - Roześmiał się i wziął ją za rękę. - Bardzo się cieszę, że twoje usposobienie nie zmieniło się tak całkowicie, jak twój wygląd.

- Może byłoby lepiej, gdyby tak się stało - westchnęła. - Te wszystkie maniery i zasady są potwornie nudne - szepnęła, rozglądając się, czy jej nikt nie słyszy.

- Mogłabyś je trochę ożywić - zasugerował z uśmiechem. - Bardzo się zdziwiłem, kiedy się dowiedziałem, że Sterling i jego "żona z kolonii" przyjechali do Londynu w środku zimy, kiedy nic się tu nie dzieje, a wieści szybko się rozchodzą.

Taktownie nie wspomniał o niektórych nieprzystojnych komentarzach - że Sterling Renville był tak oczarowany żoną, iż nie pozwolił jej zająć własnej sypialni, albo że nikogo do żony nie dopuszczał, trzymając ją blisko siebie. Wynajęta służba zawsze plotkowała jak najęta.

- Chcesz powiedzieć, że nie widziałeś Sterlinga, kiedy był w Londynie poprzednim razem? - spytała Treasure.

- Nawet nie wiedziałem, że tu był - odparł Wyatt, marszcząc czoło. - Z drugiej strony nie jestem pewien, czy chciały się ze

mną zobaczyć. Kiedy się rozstaliśmy w Bristolu... - Dobre wychowanie nie pozwoliło mu na dokładniejsze wyjaśnienia, ale Treasure знаła prawdę o rozstaniu wieloletnich przyjaciół. Westchnęła tylko i popchnęła Wyatta do salonu, aby przywitał się... z jakimś kolejnym honorowym gościem.

Larenda odwróciła się na moment do gości, z pustym dzbankiem w ręce, aby przeprosić, iż musi ich na chwilę zostawić z braku dostatecznej liczby służby. Treasure zaczęła nogą o dywanik. Wyatt podskoczył, żeby ją podtrzymać, zderzając się z Larendą, która omal nie upadła. Jedyne heroiczne chwyt Wyatta zapobiegł jej upadkowi, ale heroizm był niesłychanie intymny, bo zmuszał go do bliższego kontaktu z jej talią i piersiami. Sterling wyszedł właśnie z biblioteki z lordem Serreltonem i zdążył jeszcze zobaczyć Larendę w ramionach jakiegoś dżentelmena.

Lord Serrelton, jego żona i dwie blade córki pospiesznie rzuciły się po okrycia i kazały wołać powóz. Larenda obrzuciła Wyatta pochmurnym spojrzeniem, podobnym do tego, jakim Sterling spoglądał na Treasure, po czym przeprosiła i wyszła, żeby zmienić suknię, którą poplamiała herbata. Gdy Treasure niechętnie poszła za nią, usłyszała, że powinna wrócić i zająć się tym „łobuzem z kolonii”.

- ...chyba całkiem jasno. Nie martw się o Treasure - mówił Sterling nieprzyjemnym tonem.

Słyszając to, Treasure zatrzymała się w holu. Skoro mieli rozmawiać o niej, lepiej, aby jej przy tym nie było.

- Powiedziałem ci tylko komplement, Sterling - łagodnie napomniął go Wyatt. - Nie umiesz się zachować?

Zapadła cisza.

- Najwyraźniej nie umiem - prychnął Sterling, zniesmaczony własnym zachowaniem. - Usiądź, Wyatt. Napijemy się brandy.

- To był lord Serrelton - powiedział Wyatt. - Obracasz się w niezłym towarzystwie.

- Wcale nie. Czy wiesz, jak to jest, kiedy inni obrastają w majątek dzięki twoim radom, a sam nie masz ani grosza? Trzeba mieć pieniądze, żeby robić pieniądze. A teraz wszystko, co uda mi się zdobyć, muszę wydać na bieżące wydatki i utrzymanie. Kiedy wróciłem do Rothmere, okazało się, że stryj Philamon dał

majątek pod zastaw hipoteczny, aby sfinansować wyprawę po ananasa! Możesz to sobie wyobrazić? A Larenda wydała prawie roczną rentę na nowe wnętrze swojej sypialni.

- Twoja Larenda? To była twoja Larenda?

- Żadne z nich nie ma pojęcia, ile co kosztuje, ani o tym, że mało co nie stracili dachu nad głową. Przez prawie dwa miesiące tkwiłem tu, inwestując niewielkie sumy i pertraktując z wierzycielami w sprawie kapitału. A kiedy pojechałem do Eiderly'ego, okazało się, że wydali majątek na stroje dla Treasure...

- Oni wydali? To znaczy, że nie ty ją ubrałeś?

- Wyatt, czy ty masz jakąś obsesję na punkcie ubrań mojej żony? Zwariowałeś na stare lata? Najpierw sam się ożeń, a potem będziesz udzielał mi rad.

Wyatt chrząknął. Treasure usłyszała odgłos odsuwanego krzesła.

- Na litość boską, usiądź i skończ brandy - powiedział Renville łagodniejszym tonem. - Mogę cię nawet przeprosić. Te ostatnie dni były nie do wytrzymania, jeden problem po drugim. Serrelton chciał, abym przejrzał małżeńskie oferty dla jego córek. Nieźle się bawi, wybierając najbogatszego kandydata. To wielka ulga, gdy mogę porozmawiać z kimś, kto niczego ode mnie nie chce.

- Zatem muszę cię pożegnać - powiedział Wyatt - gdyż przyszedłem do ciebie po prośbie.

Treasure przypomniała sobie, jak kiedyś Renville mówił jej, że każde działanie powinno przynosić korzyści. Ale nie zostawił stryja ani Larendy ich własnemu losowi, choć sam nie mógł już liczyć na spadek ani na tytuł.

- ...nikt mnie nie zobaczy. Przez całe tygodnie kazano mi czekać w korytarzach, aż przyjmie mnie jakiś zastępca zastępcy Izby Handlowej - mówił Wyatt, kiedy Treasure znów wróciła do rzeczywistości. - Wszyscy są strasznie ważni. Nie wiem, co robić, Sterling. Jestem tu już od ponad dwóch miesięcy i udało mi się tylko wręczyć petycję od związku plantatorów i spedytatorów, których reprezentuję.

Kiedy Renville nie kazał mu wyjść na wspomnienie kolonii, Wyatt wyprostował się i kontynuował.

- Wszystko przez to cholerne embargo, które dusi plantatorów.

Izba Handlowa obawia się, że nasze nadwyżki zboża i żywności wpadną w łapy Francuzów. Zamknęli porty i woła, żeby żywność gniła, a farmerzy popadli w ruinę, niż żeby jeden czy drugi statek popłynął do Francji.

- Jesteśmy w stanie wojny z Francją, głównie o kolonie. Wy, tam w koloniach, przez całe lata domagaliście się ochrony granic, a teraz narzekacie na niewygodę z tym związane.

- Posłuchaj, Sterling, ludzie tracą ziemię, środki do życia, nawet życie z powodu tego idiotycznego embarga. Co nam po ochronie, jeśli nie ma czego chronić? Zawsze będą typy, które dla zysku wejdą w układy nawet z diabłem, ale większość ludzi to uczciwi, ciężko pracujący farmerzy. Chcą tylko móc sprzedać swoją żywność po przyzwoitej cenie. Sam powinieneś wiedzieć, jakie są fatalne skutki cen zboża... Ciebie też to dotknęło. Jak myślisz, dlaczego dostałeś taką kiepską cenę za swoje zboże, kiedy wreszcie trafiło na rynek?

- Nie jestem plantatorem, nie jestem farmerem i nie jestem kolonistą - wycodził przez zęby Renville. - Nie mam z tym nic wspólnego.

- Owszem, masz. W tej żyznej, małej dolinie jest twój majątek, twój spadek. To wszystko, co masz, i teraz nie ma to żadnej wartości, dopóki nie będzie można uczciwie handlować. Obecnie nie znalazłbyś nawet kupca na swoją ziemię.

Sterling odwrócił się gwałtownie i jednym haustem opróżnił kieliszek kiepskiej brandy. Drżał z gniewu na myśl o tym, że nadal jest związany z tymi przeklętymi koloniami. Przypominał sobie palące promienie słońca, zapach świeżo ściętego siana, smak doskonałej nalewki, powiew wieczornego wiatru i dotyk chłodnych warg na twarzy. To właśnie w Culpepper poznał Treasure. I może wtedy, kiedy stamtąd wyjechał, zabrał ze sobą coś więcej niż tylko żonę.

Wyatt zrozumiał, iż posunął się za daleko. Wstał. Wpatrzony w pusty kieliszek walczył z ogarniającą go frustracją.

- Wiesz, co jest najtrudniejsze? - spytał, odstawiając kieliszek i poprawiając surdut drżącymi rękami. - Jakiś tłusty lord w Izbie Handlowej ma na pewno własny interes w tym, aby trzymać nasze zboże z dala od angielskich rynków. Embargo, które niszczy naszą

gospodarkę, przypuszczalnie nabija kabzę jakiemuś bogaczowi w Anglii. Dlatego nie chcą mnie nawet wysłuchać. Jeśli Anglia szybko nie zda sobie sprawy z tego, jakie szkody wyrządza własnym koloniom, drogo za to kiedyś zapłaci. Przepraszam, że zająłem ci czas. Przekaż ukłony Treasure.

- Niech cię wszyscy diabli, Colbourne! Jak śmiesz przychodzić tutaj ze swoimi patetycznymi pogadankami, a potem wychodzić, nie wysłuchawszy nawet mojej odpowiedzi? Czego właściwie chcesz ode mnie dla swoich ukochanych kolonii?!

Wyatt cofnął się od drzwi i zamachał rękami.

- Masz znajomości, Sterling. Kontakty. Mógłbyś załatwić, żeby mnie ktoś ważny przyjął, a może nawet życzliwie wysłuchał...

- Życzliwie wysłuchał? - Sterling z niedowierzaniem potrząsnął głową. - Na jakim ty świecie żyjesz? Naprawdę wierzysz, że petycja i prośby zmieniają długotrwałe zwyczaje wygodne dla niektórych ludzi?

- Mam liczby, zestawienia, fakty...

- I z tym wrócisz do Filadelfii, ze swoimi liczbami i faktami. Mogę ci załatwić przyjęcie, Wyatt, ale to ci nic nie da.

- To co ja mam zrobić, Sterling? Ktoś musi nam pomóc.

Renville przyglądał mu się i coraz bardziej odczuwał chęć, aby pomóc swemu staremu przyjacielowi. Milczał przez dłuższy czas, mając nadzieję, iż ta nieracjonalna chęć sama przejdzie, ale nic takiego się nie stało. Wyatt i jego kolonie, Treasure i jej ludzie...

- Potrzebujesz czegoś, co mógłbyś użyć praktycznie. Czegoś, co zmieniłoby nastawienie tych ludzi i sprawiło, by znaleźli w zniesieniu embarga coś dla siebie. Nikt nie będzie ignorował własnych interesów. Ewentualnie mógłbym ci pomóc pod warunkiem, że nie będziesz moralizował i mnie pouczał. I jeszcze jedno: nie robię tego z tęsknoty dla tej dziury, którą odziedzyczyłem, ani dla twoich ukochanych kolonii. Robię to wyłącznie dla własnego zysku. Rozumiesz? Tak się składa, że twoje potrzeby polityczne i moje interesy finansowe są ze sobą sprzężone. Jeśli ci nie pomogę, będę uwiązany do Culpepper przez resztę życia. A to jest jeszcze gorsze niż gra w karty, żeby opłacić rzeźnika.

Treasure nie słyszała odpowiedzi Wyatta. Poszła w stronę

schodów, zapominając, iż wcześniej zdjęła pantofle i zostawiła je tam, gdzie stała.

Wszystko, co usłyszała, kłębiło jej się w głowie: hrabia był bez grosza, wierzyciele stali pod drzwiami, ważni ludzie chcieli, aby Sterling doradzał im w różnych sprawach, Renville zajmował się hazardem i inwestował, aby zapewnić im utrzymanie, nadal był właścicielem Culpepper, nienawidził kolonii, ale zgodził się pomóc Wyattowi...

Najważniejsze było to, że ludzie przychodzili do niego po rady, przedstawiali mu swoje problemy, a on pomagał im je rozwiązywać. Na swój własny sposób, czy mu się to podobało, czy nie, Sterling też był myślicielem.

22

Tydzień później Treasure stała u boku Renville'a w drzwiach rześście oświetlonego salonu lorda Duncana. Larenda długo go przekonywała, aby przyjął zaproszenie. Kiedyś przecież musieli zacząć bywać. Treasure miała na sobie swoją najlepszą suknię z purpurowego i fioletowego brokatu z bardzo dużym dekoltem, podpiętą z tyłu, tak aby odsłaniała bogato haftowaną halkę z atłasu w kolorze kości słoniowej. Każdy szew rozszyty był flamandzką koronką. Miała włosy upudrowane i upięte wysoko, przeplecione koronkowymi wstążkami i sznurami pereł. Na szyi miała jeden z rubinów Larendy, a w ręce wachlarz na wypadek, gdyby przez jakiś gwałtowny ruch całkowicie odsłoniła piersi.

Rzuciła okiem na Renville'a, który przyglądał jej się z tym swoim krzywym uśmiechem. Jemu taki nagły wypadek z pewnością by nie przeszkadzał, ale to był jej debiut na londyńskich salonach i postanowiła zachować się pod każdym względem jak dama, nawet gdyby miało ją to nie wiadomo ile kosztować.

Wśród tłumu rozległy się szepty. Renville przyszedł nie tylko z żoną, ale i z kobietą, którą jedni nazywali „wdową po kuzynie”, a inni - „porzuconą”.

Treasure w tajemnicy przed wszystkimi zamierzała znaleźć sposób, aby wypraktykować grę w karty. Podczas ostatnich kilku dni obserwowała, jak liczni wierzyciele, którzy dowiedzieli się, że Renville jest w Londynie, pchali się do niego drzwiami i oknami.

Usiłowała znaleźć jakiś sposób na poprawę ich finansów, a co za tym idzie - także humoru Renville'a. Wszystko zaczynało się

i kończyło na pieniądzach. Treasure nie mogła zrozumieć, jak człowiek, który tak intymnie dotykał i pieścił jej ciało, wzdragał się przed wyjawieniem jej problemów finansowych. Gdyby nie słyszała na własne uszy, co mówił, byłaby przekonana, że powodzi im się równie dobrze, jak wszystkim innym.

- Ach, naturalnie, bardzo dziękuję - powiedziała, przyjmując zaproszenie do tańca od lorda Duncana.

Jej pierwszy taniec należał wyłącznie do męża, zaskoczonego jej znajomością kadryla. Po lordzie Duncanie przysłała kolej na Thomasa Bassingstoke'a, a później na Willarda Gunna. Sterling doszedł do wniosku, iż nie musi jej już tak bardzo pilnować, i sam zatańczył z Larendą, a potem wdał się w rozmowę z innymi dżentelmenami.

Kiedy Treasure zobaczyła, że Renville zaczął poważną rozmowę z lordem Serreltonem, postanowiła wykorzystać okazję. Najpierw zatańczyła z siwowłosym lordem Eagletonem.

- Wie pan, trochę bołą mnie nogi i chętnie bym odpoczęła, przyglądając się grze w karty. Czy pan się na tym zna?

Miała szczęście. Stary lord znacznie bardziej wolał rozegrać kilka partyjek, niż narażać się podczas tańca. Początkowo przyglądali się, podczas gdy lord Eagleton wyjsniał jej zasady różnych gier, które toczyły się przy stolikach. Treasure wybrała „oczko” i „faraona”. Były dość łatwe, a kalkulacja szans dawała się obliczyć ściśle matematycznie.

Kiedy nadeszła pora zmiany graczy, Treasure i lord Eagleton usiedli razem przy stoliku. Obserwowała jego grę i w końcu poprosiła, aby postawił dla niej małą sumę. Odwróciła się dyskretnie i wyjęła zza dekoltu dwa złote suwereny.

To się nazywa szczęście początkującego. Treasure stale wygrywała, niezależnie od tego, kto trzymał bank i w co grała. Lord Eagleton był zachwycony. W krótkim czasie wygrała imponującą liczbę złotych monet od swych przeciwników, całkowicie ich przy tym oczarowując. Powoli w pokoju karcianym zaczęli gromadzić się goście, którzy chcieli zobaczyć nowe zjawisko. Treasure, zajęta wygrywaniem, nie zdawała sobie sprawy z zamieszania, jakie wywołała.

- W takim tempie przed świtem będzie pan właścicielem

połowy Londynu - rzucił jakiś młodzieniec, przerywając Sterlingowi rozmowę z lordem Gravelym i panem Halleranem, posłem do parlamentu.

- Co takiego?

- Pańska żona za chwilę ogra ich do ostatniego grosza.

Renville zeszytniał z przerażenia, a potem, ledwo bąkając słowa przeprosin, pośpiesznie ruszył na poszukiwanie Treasure. Powinien był przewidzieć coś takiego. Purpurowy na twarzy, groźnie błyskając oczami, przedarł się przez tłum widzów i dotarł do stołu, gdzie siedziała Treasure w towarzystwie starego lorda Eagletona i - o dziwo - lorda Serreltona.

Serce podeszło mu do gardła na widok stosów złotych monet, które leżały przed nią na stole. W tym momencie Treasure coś powiedziała i lord Eagleton oraz jego strona stołu wybuchnęli śmiechem. Kiedy jednak poczuła na sobie gorący wzrok Renville'a podniosła głowę i zamarła. Niestety, nie była na to przygotowana.

- Treasure - powiedział Renville zimnym głosem. - Najwyższy czas się pożegnać.

- Wielki Boże, Renville, nie możesz jej teraz zabierać, za chwilę rozbije bank - zaśmiał się lord Eagleton. - A ja zrobiłem na ten temat zakłady na boku, dzięki którym będę wygodnie żył przez cały rok.

Nie zważając na piorunujące spojrzenie Renville'a, zaczęto następne rozdanie.

Treasure dostała jedną kartę, potem drugą. Sterling rozepchnął się między ludźmi siedzącymi przy stole i zdołał dosięgnąć Treasure w chwili, gdy poskrobała swymi kartami po stole, dając znak, iż prosi o trzecią. Renville zacisnął rękę na jej ramieniu i w tym momencie zobaczył jej karty. Wszyscy zamilkli i wstrzymali oddech, gdy Treasure po jednej wyłożyła karty na stół: król, dama i as. Dwadzieścia jeden.

Pośród okrzyków radości i podniecenia lord Eagleton podsunął Treasure jej wygraną. Ktoś go zapytał o jej wysokość i stary lord odparł, iż to musi być co najmniej osiem albo dziesięć tysięcy. Renville jeszcze mocniej zacisnął dłoń na jej ramieniu i pociągnął ją do góry z lodowatą wściekłością.

- Mam nadzieję, panowie, żeście się dobrze bawili - powie-

dział głośno - ale, oczywiście, nie mogę się na to zgodzić. Musicie zabrać z powrotem swoje pieniądze. Jestem panom niewymownie wdzięczny za zabawianie mojej żony, byliście jednak zbyt szczerzy.

- To niemożliwe, Renville - powiedział Serrelton, ignorując nadętą minę Sterlinga.

W żaden sposób nie można było zwrócić dżentelmenowi pieniędzy, które przegrał w karty. Oznaczałoby to, iż rzeczony dżentelmen nie miał pieniędzy na przegrywanie.

- Nikt z tu obecnych nie liczy strat w towarzystwie tak pięknej i uroczej damy.

- Słuchajcie, słuchajcie! - poparli go inni.

Sterling poczerwieniał jeszcze bardziej.

- Co pani robi z wygraną? - zapytał kobiecy głos.

Treasure spojrzała na Renville'a. Być może była to jej ostatnia szansa, nim ją zabije.

- Oddam mojemu mężowi. Zawsze oddaję mu wszystko, co mam - powiedziała, wzbudzając powszechny aplauz.

- Lordzie Eagleton, czy mógłby się pan zająć wygraną? - zwrócił się Renville do starego lorda. - W pańskich rękach pieniądze będą bezpieczne.

- Czuję się zaszczycony.

Sterling niezbyt dyskretnie popchnął Treasure w stronę wyjścia, ale zatrzymał go Edmond Halleran, poseł do parlamentu.

- Ma pan szczęście - stwierdził, łapiąc go za łokieć.

Sterling zeszywniał z wściekłości i wyrwał rękę, po czym zaczął popychać Treasure do wyjścia. Próbowwała się bronić ze względu na obserwujących ich gości.

- Nie możemy teraz wyjść... Co ludzie pomyślą?

- Trochę za późno sobie o tym przypomniałaś.

- Nigdzie nie idę! - wykrzyknęła, rozglądając się, żeby prosić kogoś o pomoc.

- Jedziemy do domu, nawet jeśli będę cię musiał stąd wynieść - syknął Renville i, nie bacząc na rozbawione towarzystwo, przrzucił sobie Treasure przez ramię i wyniósł ją na zewnątrz. W pierwszym momencie koła krynoliny zasłaniały mu widok, ale po chwili fiszbiny popękały. Renville wrzucił Treasure do wynajętego powozu i niebawem znaleźli się przed domem.

Tu potraktował ją w ten sam sposób, przenosząc z powozu do domu i prawie rzucając na podłogę.

- Przestań! - zawołała, zła i już na dobre przestraszona. - Puść mnie, ty głupcze!

- Nigdy! - warknął, ciągnąc ją do schodów.

Na pierwszym podeście znów przerzucił ją sobie przez ramię, wbiegł na górę, pędem przemierzył korytarz i wrzucił Treasure do jej sypialni, zamykając od środka drzwi na klucz.

Gdy leżała w ciemności na podłodze, pozapalał świece i stanął nad nią biorąc się pod boki rękami zaciśniętymi w pięści. Treasure skurczyła się w sobie.

- Musiałś to zrobić, prawda? Musiałś zrobić przedstawienie z siebie i ze mnie przed całym Londynem. To ostatni raz... Słyszysz?

Obiema rękami złapał ją w pasie i poderwał na nogi.

- Co chcesz zrobić? Zbić mnie? - spytała, przerażona jego gniewem.

W tym momencie uświadomił sobie, że właściwie nie ma pojęcia, choć wiedział, iż musi jej dać nauczkę, której szybko nie zapomni, a jednocześnie dać upust swej wściekłości.

- Nie da się z tobą żyć, a Bóg mi świadkiem, że próbowałem! Zabieram cię z powrotem do Rothmere i tam cię zamknę. Ale najpierw dam ci porządne lanie, na które zasłużyłaś.

- O, nie!

- O, tak!

Usiadł na krześle, przełożył ją sobie przez kolana i... stwierdził, że położył ją w złą stronę i musiałyby ją uderzyć lewą ręką, a nie umiał niczego nią robić.

- Nie, Renville, proszę... - Jeszcze nigdy w życiu nie była w ten sposób ukarana.

Bach! Pierwszy klaps nie wyrządził wielkiej szkody przez liczne pokłady ubrań. Renville ze złością zaczął się przekopywać przez kolejne warstwy i uderzył ją - niecelnie - po raz drugi. Treasure spadła mu z kolan na podłogę.

- Zrobiłam... to... tylko... dla ciebie! - krzyknęła, z trudem łapiąc powietrze w ciasnym gorsecie. Miała łzy w oczach. - Potrzebowałeś pieniędzy... Sam grasz w karty na pieniądze...

Tymczasem Renville podniósł ją z podłogi. Otarła łzy rękami, myśląc, iż z jej starań nigdy nic nie wychodzi. I że nigdy jej się nie uda zdobyć jego serca, jego miłości, jego szacunku... Jej duma również została mocno narażona na szwank.

- Nie waż się mnie więcej uderzyć! - krzyknęła i uderzyła go w twarz.

Renville siedział oszołomiony, trzymając się za policzek.

- Wiem, że mnie nie cierpisz, ale okazujesz to w dziwny sposób. Nic dziwnego, że nie wiem, co myśleć. Dlaczego nie potrafiłeś zachować się uczciwie i być dla mnie niemiły cały czas? Najpierw chciałeś anulować małżeństwo albo gdzieś mnie zamknąć, żeby mnie ukarać za to, że pomogłam ci oszukiwać. W końcu zdecydowałeś się na coś jeszcze gorszego. Zapłaciłam ci za wszystko tysiąckrotnie! Ale już nigdy mnie nie dotkniesz, rozumiesz? Jeśli uda mi się wyjść z tego pokoju, jadę wprost do Bristolu i w jakiś sposób załatwię sobie przejazd do domu. Możesz wszystkim ogłosić, że umarłam, i prowadzić sobie to swoje życie dżentelmena. Bo wolałabym umrzeć, niż... żyć z tobą... i nie... - Atak płaczu przerwał jej słowa.

Gniew Sterlinga wymierzony był nie tylko przeciwko niej. Przeznaczenie, zwariowany ojciec, własna cielesna słabość i niewyobrażalne pożądanie - to wszystko złożyło się na skomplikowane szaleństwo.

Kiedy zrobiła dwa kroki do drzwi, skoczył za nią, porwał jednym ruchem i rzucił na łóżko, przyciskając całym ciałem.

- Nigdzie nie idziesz!

- Puść mnie, Renville, proszę, nie... - Łzy płynęły jej po policzkach i walczyła coraz słabiej. - Pozwól mi odejść i przysięgam, że...

- Myślisz, że to takie proste? Odejść i kazać mi powiedzieć ludziom, że umarłaś? Zniszczyłaś mi życie, zrujnowałaś moją przyszłość, pozbawiłaś mnie spadku, ośmieszylaś przed całym światem, a teraz chciałybyś tak po prostu odejść? Nigdzie nie pójdziesz... Wciąż jesteś mi winna...

- Dziś wieczorem zarobiłam na swoje utrzymanie, a nawet więcej. Odbierz pieniądze od lorda Eagletona. Jest dość, aby zapłacić nawet za Culpepper...

- Myślisz, że parę nędznych monet uwolni cię ode mnie? - Na samą myśl, że miałby żyć bez niej, poczuł gwałtowny ból w sercu. - Jesteś mi winna coś więcej niż pieniądze!

- Ja nic więcej nie mam, Renville - odparła z płaczem. - Dałam ci wszystko. Starłam się zachowywać jak dama: ładnie wyglądać, elegancko się ubierać i nie pomagać tyle innym ludziom. Starłam się być dla ciebie miła i pomóc ci w rozwiązaniu twoich problemów. Niczego z tego nie chciałeś. Nie chcesz mnie, Renville. Dlaczego mnie tu trzymasz? Proszę, pozwól mi wrócić do domu... do Culpepper.

Sterling delikatnie odwrócił ją do siebie. Złość i frustracja gdzieś się ulotniły.

- Czy naprawdę mogłabyś mnie zostawić, Treasure? - spytał.

Otworzyła oczy i w nich wyczytała odpowiedź. Nim kiwnęła głową, potrząsnęła przecząco i znów potaknęła.

- Nauczyłam się chodzić z książką na głowie... - Na policzkach pojawiły się świeże łzy. - Siadać w gorsecie, dygać, tańczyć i używać tych wszystkich łyżeczek. A ty, Renville, zobaczyłeś tylko drogie suknie puste w środku. Nic na to nie poradzę. Starłam się dla ciebie zostać damą... - Przerwała i znów zamknęła oczy, porażona tym, co powiedziała, do czego się przyznała.

Sterling zadrżał. Złamał jej serce, ponieważ z uporem nie chciał przyznać, jaka jest cudowna i wspaniała. Nosila te suknie, brała te potworne lekcje nie dla siebie, lecz dla niego. Żeby ją zauważył, żeby zobaczył w niej kobietę... Boże, jak bardzo ślepy może być człowiek!

- Nie pozwolę ci odejść.

Słyszac dziwny ton jego głosu, otworzyła oczy. Twarz Renville'a była nieprzenikniona.

- Proszę cię, Renville... Proszę - błagała ze łzami.

- Nie pozwolę ci odejść, Treasure, ponieważ... ponieważ cię kocham.

Gwałtownie odwróciła głowę.

- Nie...

- Kocham cię, Treasure Barrett... Moja słodka, piękna Treasure. - Za drugim razem słowa przysłyły mu łatwiej.

- Nie mów tak, proszę. Nie kochasz mnie. Tylko tak mówisz,

kiedy chcesz uprawiać trochę... sportu, A ja nie chcę, żebyś mnie więcej tak dotykał... Nie mogę tego znieść.

Sterling spojrział na nią, zdumiony. Nie wierzyła w jego miłość. Sam ją tego nauczył, zachowując czułe słówka i pieszczoty jedynie do łóżka. Teraz to, co już od dawna chciał jej powiedzieć, nie miało dla niej znaczenia.

Jak miał ją przekonać, jeśli nie chciała, aby jej dotykał, i nie wierzyła w miłosne deklaracje? Usiadł, oparł rękę na kolanie i potarł twarz.

- Sam bym nie wierzył na twoim miejscu - mruknął. - Sam przez dłuższy czas nie mogłem w to uwierzyć. Ja miałbym się zakochać w siedemnastoletniej dziewczce, która chodziła boso i cytowała łacińskie przysłowia? Za każdym razem, kiedy cię widziałem, wpadałem w złość. Potem zobaczyłem twoje wspaniałe ciało i obiecałem sobie, że w ten sposób za wszystko mi zapłacisz. A potem nie potrafiłem sobie tego wziąć. Naprawdę chciałem cię zostawić w Culpepper. -

Patrząc na jego spiętą twarz i opuszczone ramiona, widziała, że mówi prawdę.

- Ale kiedy cię zobaczyłem wśród tych książek i wyglądałaś tak żałośnie i krucho... nie mogłem bez ciebie wyjechać. Tak bardzo cię pożałowałem. Potem, w Filadelfii, kiedy uciekłaś... I na statku, kiedy myślałem, że cię stracę... Wcale nie chciałem cię pokochać, Treasure Barrett. Nie jesteś dla mnie odpowiednią żoną. Ode mnie się nauczyłaś, że miłość może sprawiać ból i że nie można wierzyć słowom miłości. Za to wszystko bardzo cię przepraszam, Treasure.

Kiedy na nią spojrział, miał oczy błyszczące wilgocią.

- Nadal cię chcę. I naprawdę cię kocham. I nie mam pojęcia, co dalej.

Zapadła długa cisza.

- Jestem tylko wieśniaczką, Renville - powiedziała zdumiewająco spokojnie.

- Cudowną i rozkoszną wieśniaczką.

- Jestem także myślicielką.

- Diabolicznie mądrą.

- I mam już osiemnaście lat.

- Wiem. Myślisz, że nie zauważyłem? Wiem o tobie dużo, Treasure Barrett.

- Co na przykład? - spytała, siadając naprzeciwko niego.

- Lubisz pomarańcze i świętego Tomasza z Akwinu. Nie znosisz oszustwa, ale podsłuchujesz pod drzwiami i podkradasz czekoladę z kuchni. Jesteś uparta jak buldog i krucha jak motyl. I co najmniej od pół godziny twój biust jest całkiem na wierzchu.

Spojrzała na siebie i spróbowała coś temu zaradzić, ale gorset był zbyt ciasno zasnurowany.

Sterling złapał ją za ręce i roześmiał się.

- Po co masz to robić, skoro za chwilę wszystko z ciebie zdejmę?

- Renville!

- I jeszcze jedno. Mam na imię Sterling. Myślę, że skoro nauczyłaś się łaciny, francuskiego i portugalskiego, to i to nie powinno ci sprawić trudności.

Nie zważając na jej opór, posadził ją sobie na kolanach.

- Powiedz mi... co czujesz. Już nigdy nie będę zakładał, iż wszystko o tobie wiem. To zbyt niebezpieczne.

- Kocham cię, Ren... Sterling. Kocham cię bardziej niż pomarańcze i świętego Tomasza, bardziej niż Culpepper, nawet bardziej niż starego dziedzica. Zrobiłeś ze mnie kobietę, nauczyłeś mnie, co to znaczy być prawdziwym człowiekiem. Gdybyś nie przyjechał do Culpepper, może nigdy bym się tego nie dowiedziała. Ale czasami jesteś bardzo twardym człowiekiem. Nie rozmawiasz ze mną, nie mówisz mi o rzeczach, które dotyczą nas obojga. Muszę sama się domyślać albo usłyszeć przez otwarte drzwi, żeby wiedzieć, co się dzieje. A z drugiej strony potrafisz być łagodny i kochający. Pozwalasz mi uczyć się miłości bez zastrzeżeń i obiekcji. Chciałabym, aby między nami nie było żadnych tajemnic. Ani reguł.

- Oprócz reguł miłości - powiedział, gładząc ją po twarzy. - Oprócz wzajemnej troski.

- I rozmowy - dodała. - Będziesz ze mną rozmawiał, Renville?

- Sterling - poprawił. - Będę z tobą rozmawiał, mój skarbie. Czy obiecujesz, że będziesz słuchać?

- Obiecuję.

Sterling przypieczętował tę obietnicę gorącym pocałunkiem,

mocno przytulając ją do siebie i rozkoszując się jej ciepłem i bliskością, a także rosnącym pożądaniem.

- Czy podobała ci się moja suknia ze złotego aksamitu z bufias-tymi rękawami? - spytała nagle.

- Co takiego?

- Chciałabym wiedzieć. Nic nie powiedziałaś o tym, jak wy-głądałam dziś wieczorem. Czy wyglądałam jak dama? Czy podobał ci się ten purpurowofioletowy brokat?

Sterling znów się roześmiał.

- Jesteś większą damą niż myślałem. Purpurowofioletowy brokat... hmm. Przedtem czy potem? - spytał, spoglądając zna-cząco na jej uwolnione z gorsetu piersi.

- Sterling! - zawołała oburzona, uderzając go lekko w ramię.

Pociągnął ją na łóżko i położył się na niej.

Ciagle jesteś zły, że wygrałam te pieniądze? - spytała od-wracając głowę i spoglądając na niego.

Otworzył oczy i uśmiechnął się krzywo.

- Tylko więcej tego nie rób. Nie zniosę, żeby mówiono o mnie jako o utrzymanku.

23

Mój Boże, zapomnieliśmy o Larendzie! - wykrzyknęła Treasure, gdy następnego ranka schodzili na dół na lekkie śniadanie.

Sterling wzdrygnął się. Pospiesznie zbiegli po schodach i znaleźli Larendę w salonie.

Nie wiedziała, czy zacząć od pretensji, czy najpierw dowiedzieć się raczej, co między nimi zaszło. Kiedy opowiedzieli jej, z pominięciem pewnych szczegółów, przebieg wydarzeń po powrocie do domu, wybaczyła im to, że o niej zapomnieli, opuszczając przyjęcie.

Treasure nie miała ochoty, aby Sterling zostawił ją samą, kiedy jednak po południu oznajmił, iż musi odwiedzić lorda Eagletona, nie zgłosiła zastrzeżeń.

Oczekiwała na jego powrót w bibliotece i tam ją znalazł, nad wielką księgą o muzyce i sławnych kompozytorach.

- Czy nadal jesteśmy bogaci?

Pocałował ją w czubek nosa i w usta, a potem usiadł przy niej na kanapie.

- W pewnym sensie i tylko na krótko. Poza tym wszyscy o nas mówią. Lord Eagleton z samego rana podążył do banku i włożył pieniądze na rachunek. Treasure...

- To twoje pieniądze. Nigdy nic nie miałam i nie wiedziałabym, co z nimi robić. Ty znasz długi hrabiego i umiesz inwestować. Będziesz się musiał tym zająć. A może kiedyś mi to wytłumaczysz, dobrze?

- Dobrze.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował, gniotąc przy tym książkę.

Kiedy się odsunął, nadal siedziała z zamkniętymi oczyma i uniesioną głową.

- Och - powiedziała zawstydzona, wygładzając książkę. - Musimy uważać na wielkich kompozytorów. Czytałam o ich muzyce, podobno kiedy się ją słyszy, zaczyna się myśleć obrazami. Słyszałeś kiedyś taką muzykę?

- Tak. I ty też usłyszysz - obiecał.

I dotrzymał słowa. Następnego wieczoru zaprowadził Treasure i Larendę do Vauxhall na koncert wybranych utworów Georga Friedricha Handla. Kiedy wychodzili z domu, zjawił się Wyatt Colbourne i jego też zaproszono na koncert, co sprawiło wielką przyjemność Treasure i znacznie mniejszą Larendzie.

W następnych tygodniach Sterling został przewodnikiem Treasure w dziedzinie kultury i sztuki. Prowadził ją do muzeów i na koncerty, na wystawy o dzikich zwierzętach, do galerii i zimowych ogrodów. W zimie nie było tam wielu zwiedzających i często mieli galerię czy park wyłącznie dla siebie.

Treasure była wdzięczną uczennicą i chłonęła z wrodzoną inteligencją wszystko, o czym mówił jej Sterling. Mimo dużej wiedzy, bywała czasem zaskoczona rozbieżnością między wiadomościami z książek a prawdziwym życiem, między aspiracjami ludzi a ich zachowaniem.

Pewnego wieczoru obejrzeni w Covent Garden wyjątkowo interesującą sztukę. Namówili nawet Wyatta, żeby się z nimi wybrał. Larenda w ostatniej chwili dostała silnej migreny i musiała zostać w domu. Teraz Sterling kończył się rozbierać, a Treasure czekała na niego w łóżku. Kiedy przyszedł, otworzyła ramiona.

- Mmmm - mruknęła, odwracając twarz, aby mógł dosięgnąć wargami każdego miejsca. - Bardzo ci dziękuję za to wszystko, czego mnie nauczyłeś o obrazach i sztukach teatralnych, a zwłaszcza o historii. Nie miałam pojęcia, że tylu myślicieli, którzy napisali książki z biblioteki starego dziedzica, już nie żyje.

- Historia zawsze była moją ulubioną dziedziną. To dziwne, że on nie miał u siebie książek historycznych. Można by przypuszczać, że w takiej znakomitej kolekcji powinien...

- Zaczynam mieć wyrzuty sumienia, że zabieram ci tyle czasu - mruknęła.

- Nie ma dla mnie nic ważniejszego, Treasure - powiedział i zajął się jej chętnym ciałem.

Ale jego słowa i dziwny błysk w oczach przypomniały jej się następnego dnia.

Wyatt przyszedł z wizytą i namówili go, aby został na obiedzie. Wyraźnie chciał coś omówić ze Sterlingiem w cztery oczy, a jego obecność równie wyraźnie zdenerwowała Larendę. Po obiedzie mężczyźni zostali sami, a Treasure i Larenda przeszły do małego salonu.

- Nie za bardzo lubisz Wyatta, prawda? - spytała Treasure.

- Pan Colbourne jest przyjacielem twoim i Sterlinga. Oczywiście jest tu... mile widziany. - Larenda pochyliła głowę i zajęła się robótką.

- Czy to z powodu tego okropnego zdarzenia w salonie pierwszego dnia? Nie możesz wciąż mieć mu tego za złe.

- On... jest... ma... taki dziwny wzrok - wykrztusiła Larenda.

- Wyatt? - Treasure musiała się uśmiechnąć. - Ależ skąd. Pod tym względem jest większym dżentelmenem niż Sterling.

- Nie podoba mi się sposób, w jaki na mnie patrzy. Dostaję gęziej skórki. Nie wiem, o czym Sterling może z nim tak długo rozmawiać. - Larenda zaczerwieniła się i zacisnęła usta, jakby chciała dać do zrozumienia, że nie będzie więcej nic na ten temat mówić.

- Sterling pomaga mu w pewnych sprawach związanych z koloniami. Tak mi się wydaje.

Prawdę mówiąc, nie miała pojęcia, w jaki sposób Sterling miałby pomóc Wyattowi, skoro od dwóch tygodni spędzał z nią dnie i noce. Zachowywał się tak, jakby Treasure była dla niego najważniejszą rzeczą na świecie. Po chwili zmarszczyła brwi, zastanawiając się, co się właściwie stało z tymi wszystkimi ludźmi, którzy przychodzili do niego po radę.

- Czy Sterling miał ostatnio jakichś gości, Larendo?

- Tych samych co zwykle. Przeważnie nie ma go w domu, więc zostawiają bilety wizytowe i mówią, że przyjdą kiedy indziej. Huddleston kładzie je na biurku w bibliotece. Powiedział, że lord

Serrelton był w bardzo złym humorze, kiedy przyszedł wczoraj i dowiedział się, że Sterlinga znowu nie ma.

Treasure poszła do biblioteki. Na dużym pustym dębowym biurku stała tylko srebrna misa wypełniona biletami wizytowymi i ręcznymi liścikami. Przejrzała je, zastanawiając się, czy to to samo, co podsłuchiwanie pod drzwiami.

Powiedział, że nie ma nic ważniejszego niż kochanie się z nią. Było to miłe i Treasure mu nawet wierzyła, ale teraz po raz pierwszy pomyślała o jego przyszłości, zaplanowanej tak starannie i zakłóconej małżeństwem z nią.

Londyński dom lorda Serreltona nie był duży i dlatego na zimowe przyjęcia zapraszano najwyżej około stu osób z towarzysztwa. Sterling wziął pióro, żeby podziękować za zaproszenie, i spojrzał z niepokojem na Treasure.

- Obiecuję, że nie zbliżę się do stołów z kartami... Bo na pewno jakieś będą, prawda?

- Treasure...

- Och, będę się najwyżej przyglądać. Czy sądzisz, że lord Egelton też jest zaproszony?

Sterling odłożył pióro i Treasure roześmiała się.

- Musisz mi to obiecać - powiedział z naciskiem i zrozumiała, że chodzi tu o jego męską dumę. - Możesz tańczyć, z kim chcesz, i rozmawiać z każdym mężczyzną, pod warunkiem, że nie o nawozach, ale nie wolno ci się zbliżać do stołu z kartami.

Westchnęła, podeszła bliżej i oparła się o jego ramię, gładząc palcem policzek i dolną wargę Sterlinga.

- Obiecuję.

Larenda siedziała w powozie naprzeciwko Sterlinga i Treasure w drodze na przyjęcie u lorda Serreltona. Przed chwilą zauważyła, że Treasure wsunęła swą drobną rękę w dużą dłoń Sterlinga, i westchnęła, odwracając wzrok. W ciągu ostatniego miesiąca była świadkiem wielu intymnych gestów i znaczących spojrzeń. Oczywiście cieszyła się z tego, że nieporozumienia między nimi się

skończyły, oraz odczuwała dumę z osiągnięć Treasure, do których sama walnie się przyczyniła, ale coraz bardziej czuła się w ich towarzystwie jak piąte koło u wozu.

Ich wejście nie stanowiło już takiej sensacji, jak przy pierwszym przyjęciu sprzed miesiąca, ale wśród zebranych był ktoś, kto z niechęcią obserwował ich swobodne zachowanie.

Larenda ze zdziwieniem spostrzegła Wyatta Colbourne'a, który stanął przed nimi, witając się po kolei ze Sterlingiem, Treasure i z nią samą. Podała mu dłoń, czerwieniąc się z zażenowania, i umknęła spojrzeniem, napotykając wzrok... Vance'a Montreaux. Zbladła i wyrwała rękę Wyattowi. Vance już do nich podchodził.

- Vance...

- Słodka Larenda i... Sterling. - Przywitał się z przesadnym ukłonem, biorąc Larendę za rękę.

To, że celowo pominął Treasure, nie uszło uwagi Sterlinga.

- I naturalnie twoja czarująca żonka z kolonii - dodał Vance po dłuższej, pełnej napięcia chwili.

- Byłem szalenie rozczarowany, kiedy nie zastałem pani w Rothmere, moja droga - powiedział, trzymając cały czas dłoń Larendy. - I pośpiesznie przybyłem do Londynu, aby się z panią zobaczyć. Rezerwuję sobie ten taniec i okazję do posłuchania o pani... przygodach. Proszę nam wybaczyć.

Larenda zaczerwieniła się. Treasure spoglądała za nimi z niepokojem.

- Co za niewychowany człowiek. I nawet nie poczekał, aż go przedstawimy Wyattowi.

- Vance nie lubi ludzi z kolonii i nie ukrywa tego.

- Niestety, nie jest w tym odosobniony. My, koloniści, musimy trzymać się razem - powiedział Wyatt, patrząc ze smutkiem za odchodzącą Larendą. Treasure zauważyła z biciem serca, że Sterling aprobująco kiwnął głową.

Larenda tymczasem z zadowoleniem przyjęła powolnego menueta, przy którym trudno było rozmawiać. Vance miał lepkie ręce i przyglądał jej się w nieprzyjemnie obleśny sposób.

- Treasure dopiero weszła do towarzystwa i chciałam jej ułatwić pobyt w Londynie - powiedziała, tłumacząc się ze swej nieobecności w Rothmere.

- To bardzo ładnie z pani strony. Pomogła pani przeciąć plotki - powiedział Vance. - Ale też postąpiła pani dość nierozważnie. Pani ciągłe, przebywanie w ich towarzystwie może zaszkodzić pani reputacji. Musi pani pamiętać o swojej przyszłości w charakterze gospodyni Rothmere. Nie zgodzę się, aby moja przyszła żona była uważana za kogoś bez ambicji.

- Bez ambicji? Ależ Vance, ja... - zaczęła Larenda i urwała.

Przypomniała sobie wszystkie nieprzyjemne spojrzenia i szeptane komentarze. Uważano ją zatem za porzuconą kobietę, która nie miała wcale ambicji i dumy i nadal trzymała się byłego narzeczonego, mimo że już ożenił się z inną. Jedynym rozwiązaniem mogło być małżeństwo ze spadkobiercą tytułu, z Vance'em Montreaux.

Vance odstraszał wszystkich potencjalnych kandydatów do tańca z Larendą i tylko Sterlingowi udało się raz z nią zatańczyć. Ponownie wróciła do Vance'a z entuzjazmem krowy prowadzonej na targ. Treasure przez cały wieczór obserwowała ją i coraz bardziej była zaniepokojona jej marnym wyglądem i wyraźnie złym samopoczuciem. Larenda niejednokrotnie mówiła o awansach Vance'a z najwyższą niechęcią i Treasure wątpiła, aby nagle zmieniła zdanie. Podzieliła się swą obserwacją ze Sterlingiem, który z westchnieniem stwierdził, iż nic się na to nie poradzi, gdyż Larenda niewątpliwie przebywa w towarzystwie Vance'a z własnej woli.

- Strasznie tu gorąco - powiedział Vance, wachlując się dłonią. - Muszę znaleźć dla nas jakieś miejsce na odpoczynek, gdzie będzie chłodniej.

Nie czekając na odpowiedź Larendy, pociągnął ją za sobą korytarzem do pustego akurat salonu. Próbowwała mu umknąć, ale dogonił ją i przycisnął do ramy okiennej, obejmując w pasie i przesuwając ręce do góry.

- Musi pani natychmiast wrócić do Rothmere. Ja przyjadę w ciągu tygodnia i damy na zapowiedzi. A potem jak najszybciej weźmiemy ślub. Już dość się naczekałem...

Przycisnął swe grube wargi do jej ust. Larenda starała się go odepchnąć, ale im bardziej z nim walczyła, tym stawał się więcej zdeterminowany.

- Nie, Vance...

Nie zwracał na nią uwagi, wpychając jej do ust natrętny język

i wciskając nogę pod suknię. Drżącymi, grubymi palcami złapał za sznurówkę stanika.

- Chcesz tego, dziewczko, sama wiesz... - Jedną ręką ścisnął jej małą pierś. - Na pewno zabawiałaś się w ten sposób ze Sterlingiem... Mieszkaliście w jednym domu tyle czasu, a on jest znany ogier...

- Nie, Vance - prosiła przez łyżę. - Proszę, nie...

- Dość się już naczekałem. Teraz będę miał i tytuł, i ciebie w moim łóżku.

Wyatt pożegnał się już z Treasure i ze Sterlingiem. Z jego punktu widzenia wieczór był całkowicie nieudany. Sterling przedstawił go kilku ważnym osobom, ale oni nie zwrócili na niego większej uwagi. Udało mu się raz zatańczyć z Larenda, a potem obserwował jedynie jej dobrze maskowaną niechęć do tego mężczyzny, którego Sterling nazwał oportunistą i łajdakiem. Siedział więc, pocieszając się alkoholem. Kiedy zobaczył, że Montreaux wyprowadził ją z sali balowej, pośpieszył za nimi.

Przez niedomknięte drzwi słyszał ich głosy, a kiedy zajrzał do środka, zobaczył nieprzystojną scenę. Byłby wyszedł zde gustowany, gdyby w tym momencie Larenda nie spojrzała na niego błagalnie.

- Tutaj pani jest - powiedział, podchodząc bliżej i zaciskając pięści. - Wszędzie pani szukałem.

- Jak pan śmie?! - warknął Vance.

- To pan jak śmie kompromitować damę i narażać ją na utratę dobrego imienia? Chyba pan oszalał. A panią proszę, żeby pozwoliła się natychmiast wyprowadzić z tego pokoju.

- Co pan sobie wyobraża?!

Tymczasem Larenda, z opuchniętymi wargami i rozchylnym stanikiem, stanęła u boku Wyatta.

- Jakim prawem pan się wtrąca? Larendo, proszę tu zaraz wrócić.

Wyatt pośpiesznie wyprowadził ją z pokoju, zapłakaną i próbującą jakoś poprawić na sobie ubranie. Nie zorientowała się, że prowadzi ją na górę, i nagle znaleźli się w małej sypialni. Wyatt przypalił świecę od lampy stojącej na korytarzu.

Usiedli na łóżku i Wyatt przytulił ją do siebie, pozwalając się wypłakać, a po chwili podniósł jej głowę do góry.

- Chciała pani stamtąd wyjść, prawda?

Larenda przytaknęła i znów się rozpłakała. Wyatt delikatnie otarł jej łzy.

- Nie chciałam... - Larenda zamknęła oczy. - On mnie ciągle prześladuje, a ja nie potrafię się mu sprzeciwić...

- Wszystko będzie dobrze. Obiecuję, że ten łajdak więcej pani nie dotknie. Wyzwę go na pojedynek, przysięgam.

- Nie - zaprotestowała. - Nie wolno panu tego robić. Byłby straszny skandal, a poza tym mógłby pana zranić. A ja bym nie chciała, żeby panu coś się stało z mojej winy.

Pokryta płamami od płaczu cera Larendy stała się jeszcze czerwiejsza, gdy spojrzała na jego przystojną, wrażliwą twarz. Akurat on ją uratował... W tym momencie przeżyte upokorzenie przeszło na dalszy plan i Larenda zaczęła myśleć o tym, że Wyatt jest bardzo przystojny, ma piękny męski zapach i ładnie wykrojone usta. Ciekawe, jak te usta całują... Przymknęła oczy, uniosła w górę twarz i lekko rozchyliła wargi.

Pocałunek Wyatta był jednocześnie zdecydowany i delikatny. Larenda poczuła, że wszystko się w niej roztopia i spływa w dół przez piersi, brzuch, aż do tego miejsca między udami. Po chwili oboje leżeli na wąskim łóżku.

Pocałunki Wyatta stawały się coraz bardziej namiętne, a Larenda przyciskała się do niego pełna pragnień, których nigdy do tej pory nie odczuwała.

- Jesteś taka piękna, słodka Larendo, moja Larendo...

Całował teraz jej piersi z cudownymi brodawkami, które prężyły się pod dotykiem jego ust. Larenda zadrżała gwałtownie i Wyatt odsunął się, ale z powrotem przyciągnęła jego głowę do piersi. Chciała, aby tak ją całował również w inne, wrażliwe miejsca. Jedyne ubranie było między nimi barierą, nie pozwalającą na bardziej intymne pieszczoty. I ta właśnie bariera sprawiła, iż Wyatt wkrótce wrócił do przytomności. Nie mógł zrobić czegoś, czego żałowałby później do końca życia. Larenda była damą.

Przyglądała mu się ze zdumieniem, nie bardzo rozumiejąc, dlaczego wstaje i zostawiają właśnie teraz, gdy pieszczoty stawały się coraz bardziej intensywne.

- Ja... - zaczął Wyatt.

Rozejrzał się i przekonał, że byli w jakimś pokoju dla służby,

w eleganckim domu lorda Serreltona. Wielki Boże, cóż on najlepszego uczynił? Wyrwał ją z łap łajdaka tylko po to, aby narzucić jej swe awanse.

- Odprowadzę panią... - wyjąkał - na dół, ale najpierw proszę trochę poprawić ubranie.

Spojrzała na niego ze zdumieniem i rozczarowaniem, nadal siedząc nieruchomo. Wyatt sam zaczął poprawiać sznurówkę stanika, a później mokrą szmatką delikatnie przetarł jej twarz.

- Nic wielkiego się nie stało... - powiedział, wyprowadzając ją na korytarz z nadzieją, iż trafi na dół. Odczuwał ogromną niechęć do siebie samego.

Kiedy przekazał ją pod opiekę mocno zdziwionych Sterlinga i Treasure, był - we własnym mniemaniu - człowiekiem całkowicie pograżonym, który wykorzystał nieszczęsną kobietę.

Treasure poinformowała go, że Montreaux wymienił kilka ostrych słów ze Sterlingiem i wyszedł wściekły. Wyatt wymruczał kolejne przeprosiny i udał się w sąsiedztwo wazy z ponczem, gdzie znacznie przekroczył miarę, co też było do niego niepodobne. Rozmowna zazwyczaj Larenda była zupełnie niekomunikatywna i nieprzytomna. Treasure i Sterling przyglądali im się w zdumieniu, a po krótkiej chwili pożegnali się pospiesznie z gospodarzem i zabrali Larendę do domu.

Powiedziała coś? - spytał Sterling wieczorem, zdejmując szlafrok i kładąc go w nogach łóżka Treasure.

- Ani słowa. Patrzyła w przestrzeń przed sobą niewiążącym wzrokiem. Ale jutro dowiem się, co się stało. My, myśliciele, mamy swoje sposoby.

Ciało Treasure reagowało teraz na subtelne pieszczoty Sterlinga.

- Niewątpliwie - mruknął. - Czy chciałabyś poszukać ze mną ukrytych skarbów?

Jej gardłowy śmiech był jedyną odpowiedzią.

Niedaleko od nich Larenda leżała w ciemnym pokoju, przypominając sobie cudowny dotyk rąk i ust Wyatta. Nigdy przedtem niczego takiego nie doświadczyła. Ani z nachalnym Vance'em, ani z pozbawionym prawdziwej namiętności Robertem.

24

Do diabła, Renville! Dobrze wiesz, o co mi chodzi! To jest... nie na miejscu. Pachnie interesownością, a nawet... korupcją.

- Obudź się, Colbourne! - Sterling wstał zza biurka. - Tak już jest na tym świecie. Jeśli czegoś chcesz, musisz coś za to dać. Ostrzegałem cię, żebyś mi tu nie moralizował. Mogę ci załatwić zniesienie tego przekłętego embarga, ale pod warunkiem, że pewne wysoko postawione osoby w Izbie Handlowej znajdą w tym dla siebie jakieś korzyści.

- Nie zapominajmy, że ty także skorzystasz na tym finansowo!

- Owszem. O tym też cię uprzedzałem. Colbourne, doskonale wiesz, co myślę o twoich cholernych koloniach. Powiedziałem, że ci pomogę, jeśli sam na tym skorzystam. Straciłem w przeklętych koloniach cały majątek i nic im nie jestem winien. Ten pomysł inwestycyjny rozwiąże twój problem z embargiem na zboże i zapewni przyszłe rynki zbytu. Ty wrócisz do domu jako bohater. Nie jęcz mi tu zatem, proszę. Dostajesz to, na czym ci zależało. To są interesy, mój drogi.

- To jest czysta korupcja, Renville, i ja nie będę w tym wszystkim brał udziału!

Wyatt był równie czerwony i zacięty jak Sterling. Po długiej chwili ciszy Wyatt odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Treasure była w tym momencie w holu, a Larenda wyszła z salonu. W powietrzu nadal brzmiał wibrujący dźwięk zatrzaśniętych drzwi.

- Czy pan Colbourne nie zostaje na obiedzie? - spytała Larenda, poprawiając fałdy wełnianej spódnicy.

- Nie.

Ostry ton jego głosu sprawił, że Larenda przygarbiła się i wróciła do salonu. Sterling wszedł do biblioteki. Treasure podażyła za nim. Znów pokłócili się z Wyattem.

- Co się Wyattowi nie podoba w twoim planie? - zapytała, przyglądając się, jak chodzi nerwowo po pokoju.

- Skąd o tym wiesz? - Sterling przystanął i spojrział na nią gniewnie zmrużonymi oczyma.

- Wasze krzyki słychać było z daleka. Nie musiałam podsłuchiwać pod drzwiami.

- Załatwiłem mu wejście do Izby Handlowej. Tymczasem sposób, w jaki tego dokonałem, obraża jego sumienie i ideały.

- Obiecałeś, że pomożesz mu w zniesieniu embarga.

Sterling nie zdziwił się wprawdzie, że Treasure o tym wie, ale i tak go to zirykowało. Był pewien, że prędzej czy później pozna prawdę.

- Wymyśliłem pewną inwestycję i po cichu dałem znać, że poszukuję grupy wybranych popleczników, aby wykorzystać kiepską cenę towarów w koloniach.

- Wywołaną embargiem.

- Tak. I naturalnie spodziewałem się, że część z nich to będą osoby z Izby Handlowej. Przez ostatnie dwa lata zbiory zboża w Zagłębiu Ruhry w Niemczech były bardzo złe i ceny poszły w górę. Niebawem handel znów ruszy całą parą. Z tym poparciem, jakie mamy, zapewnimy sobie eskortę wojskową dla naszych statków. Embargo zostanie zniesione, farmerzy zarobią, a moi poplecznicy zrobią dobry interes.

To była dobrze obmyślona kampania, ale Treasure, spoglądając na Sterlinga, wiedziała, iż spodziewa się z jej strony sprzeciwu.

- Ty też na tym zarobisz?

- Oczywiście. Nie zajmuję się sprawami, które nie przynoszą...

- ...zysku - dokończyła za niego. - Jakie są obiekcje Wyatta?

- Ma jakieś idealistyczne poglądy, że w rządzie powinni zasiadać ludzie, których nie interesują sprawy, jakimi się zajmują. Możesz to sobie wyobrazić? Kto chciałby się poświęcać pracom w rządzie, gdyby nie przynosiły jakichś korzyści? To te głupie demokratyczne pomysły, którymi zaraził się w Filadelfii. Teraz, kiedy wreszcie wszystko zaaranżowałem, on chce się wycofać.

Chciałby mojej pomocy, ale na jakichś bezsensownych altruistycznych zasadach, bez żadnych korzyści. Wszystko odwołam.

Renville usiadł raptownie za biurkiem, złapał pióro i kartkę papieru i - z zaciśniętymi wargami - zaczął pisać. Treasure położyła rękę na jego dłoni.

- Nie możesz się teraz wycofać - powiedziała. - Musisz mi pomóc. Jesteś myślicielem, a myśliciele pomagają ludziom.

- Ja jestem myślicielem? Nic podobnego!

- Jesteś, Sterling. Ludzie przychodzą do ciebie po pomoc i radę, a ty im pomagasz. Larendzie, stryjowi Philamonowi, mieszkańcom Rothmere, lordowi Serreltonowi, wielu posłom do parlamentu... i mnie. Stale komuś pomagasz.

- Ja?! - Wstał rozgniewany z za biurka, zrzucając papiery i mało co nie wywracając kałamarza. - Kiedy ja ci w czymś pomogłem?

- Zabrałeś mnie ze sobą z Culpepper, a wcale nie musiałeś.

- Wierz mi, nie w głowie mi była jakakolwiek pomoc. Byłem zakochany i chciałem cię posiadać.

- Miłość bywa bardzo pomocna, nawet jeśli nie jest zaplanowana. Dzięki tobie nauczyłam się wielu nowych rzeczy, nowych uczuć i nowych doświadczeń. To dla myślicielki aż nadto.

- Widzisz zatem, że nie jestem żadnym myślicielem, bo ja chcę więcej. Chcę korzyści majątkowych, chcę przysz... - Zły i skonfundowany, urwał w połowie słowa i czterema krokami przemierzył przestrzeń dzielącą go od drzwi. Usłyszała tylko, jak trzasnął drzwiami, wychodząc z domu.

Treasure usłyszała, że Huddleston otwiera komuś drzwi, i wybiegła do holu z nadzieją, że wrócił Sterling. Było już późne popołudnie i Sterlinga nie było w domu od paru godzin.

- Wyatt?!

- Czy jest Sterling?

- Nie. Myślałam, że to on.

- Wątpię, aby chciał się ze mną zobaczyć. Musiałem jednak wrócić i starać się naprawić nasze wzajemne stosunki.

- Wejdz, proszę, i zaczekaj, choć być może nie będziesz od

razu przyjęty. Ja się z nim także posprzeczałam. Proszę, wejdz, Wyatt - powtórzyła - i napij się ze mną herbaty.

Wkrótce siedzieli w małym salonie.

- Tym razem naprawdę go obraziłam - powiedziała z westchnieniem Treasure. - Nazwałam go myślicielem i kazałam, żeby ci pomógł. I przypomniałam mu, że pomógł już wielu osobom.

- Ojej! - wykrzyknął Wyatt, zamykając oczy.

- Zupełnie go nie rozumiem - przyznała. - Czasami zachowuje się w taki wyrachowany sposób, jakby chciał być zimny i niedostępny. Ta ciągła myśl o korzyściach... - Potrząsnęła głową. - A potem nagle wydaje ostatni grosz, żeby uchronić hrabiego od więzienia za długi. Przymuszalnie byłby dość majątnym człowiekiem, gdyby nie wsadził wszystkich pieniędzy w Rothmere. To samo dotyczy ciebie, Wyatt. Zgodził się pomóc ci mimo niechęci, jaką czuje do kolonii i Culpepper. Wreszcie ja. Miał wszelkie powody, aby mnie znienawidzić i zostawić w Culpepper. Gdyby nie zabrał mnie ze sobą do Filadelfii, z łatwością uzyskałby anulowanie małżeństwa, prawda?

- Na pewno byłoby mu łatwiej - odparł Wyatt, który wpatrywał się w filiżankę od herbaty, marszcząc brwi.

- No, proszę. On się zachowuje tak, jakby się obawiał, że ktoś pomyśli, iż jest dobrym i miłym człowiekiem.

Wyatt pokiwał głową.

- Znam Sterlinga od lat. Razem posłano nas do szkoły w Devon. Zaprzyjaźniliśmy się w Filadelfii. Jego matka zamieszkała u mojej rodziny, kiedy opuściła Darcy'ego Renville'a.

- Była chora - wtrąciła Treasure.

- I tęskniła za domem. Miała dość Culpepper i marzycielskich pomysłów Darcy'ego. Chciał zbudować nowe społeczeństwo, które miało być wielkim społecznym eksperymentem, prowadzącym do lepszego życia. Darcy był młodszym synem starego hrabiego, nie dziedziczył tytułu i mógł dowolnie pokierować swoim życiem. Wybrał na żonę prawdziwą piękność z angielskiego wielkiego świata i wybudował dla niej elegancki dwór w zapadłym kącie kolonii. A ona nienawidziła tego miejsca. Zachorowała, a potem wyjechała i zamieszkała u nas. I nalegała, żeby Sterling wyjechał do szkoły w Anglii. Żeby nie przebywał pod wpływem ojca.

Ja miałem dziewięć lat, a on osiem, kiedy wsadzono nas na statek i wysłano do Anglii. Żaden z nas nie chciał jechać, a chłopcy w szkole nie byli dla nas szczególnie mili. Pochodziliśmy z kolonii... Chłopcy w tym wieku potrafią być bardzo okrutni. Nazywali nas wieśniakami i wyśmiewali się z ojca Sterlinga, nazywając go idealistycznym bufonem i jeszcze gorzej. Ja cierpiałem w milczeniu, ale Sterlin ciągle walczył. Wiele razy występował w mojej obronie.

Nigdy nie zapomnę tego pierwszego roku. Sterling codziennie dostawał razy. Aż dziw, że przeżył. Nie chciał się uczyć łaciny. Twierdził, że niedługo wróci do domu i ojciec go nauczy. Podobno stary dziedzic zaczął mu dawać lekcje, nim Elizabeth go stamtąd zabrała.

Zapadła długa cisza. Po policzkach Treasure spływały łzy.

- W końcu zaczął się uczyć i był całkiem niezły z łaciny. Ale z każdą deklinacją i z każdą wyuczoną na pamięć mową coraz bardziej nienawidził Darcy'ego Renville'a. Obawiam się, że bezmyślna filantropia i idealizm ojca dla Sterlinga stały się obciążeniem na całe życie. Dość trudno mi o tym mówić. Może nie powinienem...

- Nie, Wyatt. Oboje go kochamy, ty i ja.

- Nie może znieść myśli, iż ktoś mógłby go uważać za człowieka dobrego, szczodrego lub niesamolubnego. Te wszystkie cechy cenił wysoko jego ojciec, a on czuł się przez ojca zdradzony. Darcy nigdy nie posłał po Sterlinga, nawet po śmierci Elizabeth.

Wyatt odstawił filiżankę i złożył ręce na kolanach.

Treasure rozmyślała nad tym, czego się od niego dowiedziała. W gruncie rzeczy Sterling był taki sam jak jego ojciec, tylko przez cały czas walczył ze swoim charakterem.

Kiedyś przeczytała, że cynik to rozczarowany idealista, i to dokładnie pasowało do Sterlinga. Musiał sobie w zastępstwie znaleźć jakiś cel w życiu i korzyści materialne były równie dobre, jak wszystko inne. A ponadto bardziej akceptowane w świecie, w którym się obracał.

Teraz w ich małżeństwie konflikt między starannie przyswojonymi wartościami a odziedziczonym szlacheckim charakterem nabrał szczególnej ostrości. Ślub z nią pozbawił go nadziei na spadek i tytuł. Aż dziw, że w ogóle chciał z nią rozmawiać, a co dopiero pokochać całym sercem, tak jak to się stało.

Ich miłość nie miała szans, jeśli Sterling nie będzie widział przed sobą przyszłości. Inaczej jego rozdwojony duch i umysł nigdy nie osiągną spokoju. Ale jak? Gdzie? To był właśnie problem dla prawdziwej myślicielki. Darcy Renville, niczego nie przeczuwając, przygotował ją do roli, w której mogła pomóc jego synowi.

Kiedy wstała, w jej oczach lśniły łzy.

- Nie, proszę. - Gestem wskazała Wyattowi, aby pozostał na swoim miejscu. - Muszę na chwilę wyjść. - W połowie drogi do drzwi odwróciła się. - Czy wiesz, że to właśnie Darcy nauczył mnie łaciny?

W jakiś czas później do salonu weszła Larenda, niosąc w rękach świeżo ścięte gałęzie sosny i ostrokrzewu. Wyatt nadal tam siedział, pogrążony w myślach.

- Pan Colbourne! Nie miałam pojęcia, że pan tu jest! - Pospieszenie położyła gałęzie na stole i wytarła ręce w suknię. Wyatt podskoczył, poczerwieniał i z hałasem odstawił filiżankę.

- To pani. Wygląda pani... prześlicznie. Zbierałem się do wyjścia - dodał ponuro. Odwrócił się do drzwi, a potem, równie nagle, z powrotem do niej. - Proszę, błagam o wybaczenie za moje zachowanie tamtego wieczoru. Nie mam zwyczaju tak postępować... chociaż to nie jest usprawiedliwienie...

- Proszę pana. - Larenda podeszła bliżej, złożyła razem ręce i przypomniała sobie słowa, które tyle razy ćwiczyła. - Jestem panu wielce zobowiązana za pomoc... i za pańską uprzejmość. Mam nadzieję, iż nie myśli pan o mnie źle, choć widział mnie pan w tak nieprzyjemnych okolicznościach.

- Wiem, kto wtedy zawinił, proszę pani. Nie wini się królika za głód lisa. Zapewniam panią, że moje niegodne względem pani postępowanie więcej się nie powtórzy. Wbrew powszechnemu mniemaniu my, mieszkańcy kolonii, wiemy, jak się zachować w towarzystwie dam. - Patrząc w jej chłodne, błękitne oczy, czuł, że jeszcze chwila i zachowa się dokładnie tak samo. - Zegnam panią - powiedział szybko.

Larenda patrzyła na niego całkowicie zaskoczona.

- Ależ... proszę pana...

Wyszedł. Larenda uniosła spódnicę i z całej siły kopnęła w wózek z zastawą, a potem opadła na kanapę. Wyatt Colbourne się wstydził. I co teraz miała zrobić?

Kiedy późną porą Treasure usłyszała wreszcie hałas w sypialni Sterlinga, zerwała się z łóżka, narzuciła na siebie szlafrok i otworzyła drzwi łączące ich pokoje.

Stał w samej koszuli przed jasnymi płomieniami w kominku i myślał, że już od bardzo dawna nie rozpalano wieczorem ognia w jego pokoju. Początkowo nie słyszał Treasure i zobaczył ją dopiero, kiedy się odwrócił po kieliszek. Przez chwilę stali, przyglądając się sobie.

- Martwiłam się o ciebie.

- Musiałem być sam przez jakiś czas. Żeby pomyśleć.

Podniósł kieliszek i jednym haustem wychylił mocny, burztynowy płyn. Potem spojrzął na Treasure, na jej odsłonięte ramię, na rozburzone włosy, na fiołkowe oczy ze złotymi ognikami.

To była jego żona, jego miłość. Sprawiała, że zobaczył na samego siebie w innym świetle.

- Myślę, że... może masz rację. W pewnym sensie jestem myślicielem. Od czasu do czasu zdarzyło mi się komuś pomóc. Ale moje motywy są inne niż twoje. Zwykle oczekuję czegoś w zamian.

- Wiem - szepnęła.

W jej oczach nie było triumfu, którego tak się obawiał, lecz zrozumienie i jeszcze coś, czego nie umiał odczytać.

- Czy jest coś, czego nie wiesz?

- Tak. Nie wiem, w jaki sposób będziesz się ze mną dzisiaj kochał. Wiem jedynie, że... będzie to w twoim łóżku.

Uśmiechnął się czule i z zachwytem.

- Nie lubię się sprzeciwiać myślicielce, ale mylisz się. Nie sądzę, abym ja miał o tym decydować wieczorem. To ty będziesz decydować.

Wiosna przysłała wcześniej, zimna i mokra, a wraz z nią zapowiedź nowego sezonu towarzyskiego. Panie i panowie napływali ze swych wiejskich zimowych kryjówek i znów można ich było podziwiać w modnych galeriach, salach koncertowych i herbaciarniach. Niezwykłe małżeństwo Renville'a było przedmiotem wielu spekulacji i wszyscy chcieli zobaczyć tę młodą osobę, która zawładnęła jego sercem. Renville'owie byli nieustannie zapraszani na przyjęcia i Sterling doszedł do wniosku, iż ma to swoje dobre strony, mógł bowiem zapewnić sobie w swoich planach finansowe i polityczne poparcie wielu wpływowych osób.

Pod koniec marca Sterlingowi brakowało już tylko poparcia jednej, jedynej osoby, którą był Alfred Patten, zasiadający zarówno w Izbie Handlowej, jak i w biurze Marynarki Wojennej. Jego wpływy miały zapewnić zniesienie embarga i wojskową asystę w przeprawie przez ocean. Sterling zamierzał przekonać go do swych planów podczas balu wiosennego u lorda Corleya. Nie było to łatwe zadanie, gdyż pan Patten był bardzo bogaty i korzyści finansowe szczególnie go nie interesowały. Sterling musiał się bardzo starać, aby znaleźć coś, co mógłby zaproponować Pattenowi.

Tego wieczoru pewny siebie Sterling wprowadził do sali balowej lorda Corleya żonę i wdowę po kuzynie. Z niekłamaną dumą spoglądał na Treasure. Odmówiła tego wieczoru pudrowania włosów, mówiąc, że puder obsypuje jej się potem na suknię, a cała głowa strasznie ją swędzi. Sterling i Larenda także zrezygnowali z peruk i pudrowania włosów, aby nie kontrastować z wyglądem

Treasure, ale kiedy weszli na salę, Sterling ze zdumieniem spostrzegł, iż większość kobiet nie nosiła peruk i część z nich nie upudrowała włosów. Nie podejrzewał, aby był to wpływ Treasure, ale coś go w tym zdziwiło.

W tańcu Sterling starał się tak manewrować, aby jak najbardziej zbliżyć się do pana Pattena. Larenda była lekko zdenerwowana i wciąż rozglądała się po sali. Kiedy Sterling wspomniiał, iż Vance Montreaux nie jest zaproszony, wywinie się odprężyła, lecz po chwili znów zaczęła się rozglądać.

- Witam pana - powiedział wreszcie Sterling do Alfreda Pattena. - Pan pozwoli, że przedstawię moją żonę, panią Renville.

Pan Patten przyłożył do oka monokl i podniósł głowę, spoglądając na Treasure z góry.

- Wielki Boże, to pani. Ta kobietka z kolonii, która zna się na roślinach. Cieszę się, że znów panią widzę, moja droga. - Zamocował monokl w oczodole i wziął ją za rękę. - Czy wiesz, McMutree - powiedział, zwracając się do dżentelmena obok - że to jest ta dama, która wyhodowała ananasy w Rothmere? Hrabia mi to powiedział.

- Ach, skądże znowu - zaprotestowała Treasure. - To zasługa hrabiego. Czy próbował pan wywaru z rdestu ptasiego na swój reumatyzm? Nie mogłam panu podać angielskiej nazwy...

- Moja żona - przerwał jej Sterling, lekko zaniepokojony takim obrotem rozmowy - jest zawołaną herbalistką. To państwo już się znają?

- Z przyjęcia noworocznego u Eiderly'ego. Siedzieliśmy obok siebie podczas kolacji. Spróbowałem pani rdestu ptasiego, młoda damo. I bardzo mi pomógł.

Treasure uśmiechnęła się do niego i spojrzała na Sterlinga, który gwałtownie poczerwieniał.

- Pana żona i syn... - Sterling udawał, że się rozgląda. - Czy są tutaj?

- A jakże. Przy niej pogubią z nudów pantofle wszystkie matrony, a przy nim młode panienki, choć z innych powodów. - Alfred Patten prychnął niechętnie.

- To nic złego, prawda? - Treasure uśmiechnęła się czarująco. - Dama mogłaby zgubić coś znacznie cenniejszego niż pantofle.

Pan Patten roześmiał się i trącił łokciem swego towarzysza.

- Proszę nam wybaczyć, ale widzę, że nadeszła reszta naszego towarzystwa. - Sterling wziął Treasure pod ramię i wyprowadził do holu.

- Co ty mówisz?! - wykrzyknął zirytowany. - Treasure, nie możesz...

- Jesteście! - przerwał im Wyatt. - Wszędzie was szukałem.

- Wspaniale - powiedział Sterling. - Wyatt, zrób mi przysługę. Pilnuj Treasure, a ja ci załatwię to twoje embargo. - Zawrócił na pięcie i poszedł z powrotem do sali balowej.

- Ciągłe się boi, że zrobię coś kompromitującego. A ja tylko powiedziałam do pana Pattena...

- Do kogo? Do Alfreda Pattena?- Wyatt gwizdnął cicho, wziął Treasure pod ramię i pociągnął za sobą. - To wszystko tłumaczy. Sterling dziś wieczorem musi pozyskać sympatię Pattena.

- Dla waszego planu? To dlaczego mi nic nie powiedział? Może mogłabym pomóc - powiedziała Treasure, marszcząc brwi.

- Wiesz o jego planie? Nawet mnie nie chce niczego zdradzić... A przecież chodzi o moje embargo. Sterling nie jest przywyczajony tłumaczyć się ani szukać pomocy.

Kiedy wrócili na salę, Treasure natychmiast porwano do tańca, natomiast Wyatt zaczął się rozglądać w poszukiwaniu pewnej młodej damy o szczupłej sylwetce i jasnych włosach. Kiedy ją w końcu dostrzegł, stała otoczona gronem eleganckich mężczyzn.

W pewnej chwili czarująca gospodyni przyjęcia, lady Corley, podeszła do Treasure.

- Moja droga, musisz pójść ze mną i poznać bardzo interesującego człowieka... Także pochodzi z kolonii. Jestem pewna, że ci się spodoba - dodała, biorąc ją pod rękę.

Grupa elegancko ubranych dam i dżentelmenów otaczała kręgiem niepozornego mężczyznę w średnim wieku, przeciętnego wzrostu i średniej budowy ciała. Miał przeredzone, upudrowane włosy i jakiś błysk w oczach, który natychmiast zainteresował Treasure.

- Oto on, Benjamin Franklin z Filadelfii - przedstawiła gospodyni. - Pani Renville też jest z kolonii, ale skąd dokładnie?

- Z Marylandu - wyjąkała Treasure. - Z Culpepper w Marylan-

dzie. Pan jest tym Benjaminem Franklinem myślicielem? - zapytała z absolutnym zachwytem w głosie.

Franklin odwzajemnił jej uśmiech.

- Ewentualnie można by tak powiedzieć. Jakże się cieszę z poznania pani. Renville? -powtórzyły marszcząc czoło. - Krewna Darcy'ego Renville'a z Marylandu?

- To ojciec mojego męża. Był moim nauczycielem i przyjacielem. Zawsze mówił o panu z najwyższym szacunkiem.

- Wspaniale! Czy Darcy jest tu z panią?

- Dziedzic zmarł w kwietniu zeszłego roku - poinformowała Treasure. - Jestem tu z mężem, Sterlingiem Renville'em. I jest jeszcze ktoś z kolonii, Wyatt...

- Colbourne! Mój Boże, czuję się jak w rodzinnej Filadelfii. Co tam słyhać u twojej rodziny, mój chłopcze? Moja droga - zwrócił się Franklin do gospodyni: - Ma pani lepszych gości, niż zazwyczaj spotykam w Londynie.

Franklin ponownie zwrócił się do Treasure:

- Darcy był pani nauczycielem? A zatem jest pani tą dziewczynką, którą mi opisał, kiedy przyjechał na zebranie naszego Towarzystwa Filozoficznego. Tą, która deklamowała twierdzenie Pitagorasa jako zaklęcie przy przyrządzaniu ziół?

- Obawiam się, że to właśnie ja. Nie wyobraża pan sobie - mówiła dalej, kiedy ucichł śmiech -jak często dziedzic opowiadał o panu i o pracach pańskiego Towarzystwa Praktycznej Filozofii. I chyba nikt bardziej ode mnie nie skorzystał z biblioteki w abonamencie. Dziedzic często zamawiał książki, a ja je wszystkie przeczytałam.

Rozmawiali tak przez jakiś czas, nie zwracając uwagi, że ich rozmowa przyciąga coraz więcej gości. Poruszone tematy dotyczyły między innymi ziołowych lekarstw, wielkich filozofów i sukcesów Biednego Ryszarda.

- Szkoda, że nie mógł z panem przyjechać - powiedziała Treasure. - Tak bardzo chciałabym go poznać.

- Ależ jest tu ze mną. - Franklin postukał placem w czoło. - On tu zawsze przebywa. I tylko tutaj. Obawiam się, że po to, aby go stworzyć, bezwstydnie pościągałem teorie i idee od największych filozofów wszech czasów.

- Dziedzic stale go cytował. Mnie się wydawało, że to musi być rzeczywisty człowiek...

W pewnej chwili rozmowa zeszła na temat wyboru Franklina do Akademii Królewskiej.

- Bardzo nam zależało, aby wziąć udział w pokazie elektryczności, który zademonstrował pan w Baltimore, ale niestety się nie udało.

Franklin natychmiast wsiadł na swego ulubionego konika.

- Ja osobiście uważam, że wszystko to, co nazywamy elektrycznością, jest naprawdę jedną rzeczą. Jak ciecz, która przepływa z punktu pozytywnej energii do negatywnej...

- Tak jak piorun, prawda?! - zawołała Treasure. - Wykazał pan, że to jest wyładowanie elektryczne. Niebo jest pozytywne, a dom, w który uderza, jest negatywny.

- Tak jest! - potwierdził Franklin.

- Ach, niech nam pan zademonstruje tę elektryczność - zaproponowała gospodyni i wszyscy goście burzliwie ją poparli.

- No, nie wiem... - protestował słabo Franklin. - Prawdziwe doświadczenie wymaga specyficznych instrumentów.

- Z pewnością może nam pan coś pokazać. Oddaję panu swój dom do dyspozycji.

Po chwili wszyscy w najwyższym podnieceniu przeszli za Franklinem, Treasure i panią Corley do jadalni. Franklin oznajmił, iż potrzebny mu będzie gładki, szklany pręt i wszyscy zaczęli czegoś takiego szukać. Treasure spostrzegła kryształową łyżkę wazową z długą rączką, używaną do nalewania ponczu, i wyjęła ją wprost z ręki służącego. Franklin rozpromienił się i zażądał kawałka cienkiego złotego listka, takiego, jak używano na przykład do naprawy ramy od obrazu. Pani Corley miała wymagany przedmiot i wkrótce podała ją gościowi.

Aby przekrzyknąć podekscytowanych gości, Benjamin Franklin musiał mówić bardzo głośno, a żeby go było lepiej widać, pani Corley zasugerowała, aby stanął na krześle. W eksperymencie zatytułowanym „statyczna elektryczność” Treasure miała być jego asystentką. Oboje wdrapali się na krzesła, a Wyatt czuwał nad bezpieczeństwem Treasure, przytrzymując ją w pasie. Widzom nakazano jak największy spokój.

- Prawie zapomniałem - powiedział głośno Franklin. - Muszę mieć kawałek jedwabiu. Może być halka.

- Ach, ja mam jedwabnąhalkę! -wykrzyknęła podekscytowana Treasure.

Pani Corley pospieszyła z pomocą w podniesieniu sukni i odsłonięciu pokaznego fragmentu halki z kremowego jedwabiu.

Franklin podał arkusik złota Treasure i kazał jej go trzymać jak najbardziej nieruchomo. Potem wdał się w krótki wywód na temat możliwości wytworzenia elektryczności przez pocieranie szkła jedwabiem.

Sterling miał nadzieję dojść do jakichś rezultatów w rozmowie z Alfredem Pattenem. Wiedział, że Patten nie jest zadowolony z trybu życia swego syna i że chce go jak najszybciej i najkorzystniej ożenić. Jakiś czas temu lord Serrelton poprosił Sterlinga o pomoc w wyszukaniu kandydatów na mężów dla swoich dobrze uposażonych córek. Sterling wymigiwał się przed rolą swata, ale teraz postanowił połączyć ze sobą dwa znamienite rody.

Na razie jednak musieli chwilowo przerwać rozmowę i udać się do jadalni, aby coś przekąsić. Kiedy doszli do drzwi, zobaczyli, iż dzieje się tam coś dziwnego, a wejście blokuje tłum gości, przez których udało im się jakoś przecisnąć. Sterling wyciągnął głowę ponad głowami zgromadzonych i zamarł w miejscu.

Treasure stała, górując nad tłumem, obok zażywnego jegomościa o czerstwej twarzy, który mówił coś o „wyładowaniach” i „pozytywnym przyciąganiu”. Od dołu jakiś mężczyzna trzymał ją w talii.

- To chyba twoja żona, Renville - poinformował go głośno Patten.

Sterling zaczął przeciskać się przez tłum gości. Kiedy podszedł bliżej, zobaczył coś znacznie gorszego. Treasure stała na krześle, trzymając coś w ręce. Mężczyzna obok niej nagle się pochylił i zaczął skrajem jej halki pocierać trzonek łyżki wazowej. To Wyatt podtrzymywał Treasure w pasie, a sama pani Corley trzymała w górze dół sukni.

Gdy Franklin zbliżył szklaną rączkę do złotego arkusika, zapadła cisza. Cieniutki arkusik złota wyraźnie się poruszał w pobliżu szklanej rączki. Potem Franklin jeszcze raz potarł szkło o jedwab

i dotknął nim ramienia Treasure, która pisnęła i powiedziała, że poczuła ukłucie. Następnie pani Corley zażądała, żeby na niej przeprowadzić kolejny eksperyment, a po niej zgłosiły się inne matrony.

Sterling dotarł w końcu do Treasure. Uderzył po rękach Wyatta i zaczął dyskretnie ściągać ją z krzesła.

- Doktorze Franklin! - zawołała. - Musi pan koniecznie poznać mojego męża.

Jednocześnie usiłowała uwolnić się od uścisku jego dłoni i nie dać się ściągnąć na dół.

- Bardzo chętnie, moja droga. - Franklin zszedł z krzesła w tej samej chwili, gdy Treasure znalazła się na podłodze.

- To jest Sterling Renville, syn Darcy'ego Renville'a, a to jest doktor Benjamin Franklin z Filadelfii. To wielki myśliciel i przyjaciel twojego ojca.

- Który publicznie zagłada mężatom pod suknię.

Wybuch śmiechu powitał jego słowa. Treasure złapała Franklina za jedną rękę, Sterlinga za drugą i zaczęli przeciskać się przez tłum rozbawionych gości, którzy ze wszystkich stron gratulowali doktorowi.

Sensacja wywołana eksperymentem wkrótce ucichła. Sterling zaprowadził ich do najbardziej pustego kąta, jaki mógł znaleźć, zastanawiając się, jak wybrnąć z całej tej sytuacji, którą nie do końca rozumiał. Nazwisko Franklina nie było mu obce. Znakomici goście dobrze się bawili, razem z bardzo przyzwoitą panią Corley, ich gospodynią.

W tej chwili dobiegł go głos Treasure.

- Pani Corley nalegała na demonstrację. Och, Sterling, tak mi przykro, że oderwano cię od twoich... przyjaciół.

- A więc pan jest synem Darcy'ego Renville'a? Wielki Boże, poznałbym pana od razu. Jest pan może trochę wyższy, na pewno szczuplejszy. Ale poza tym uderzające podobieństwo, jest pan taki sam.

- Raczej nie. Zupełnie nie przypominam Darcy'ego. Jestem Anglikiem - wycedził przez zęby Sterling.

- Tak jak my wszyscy - odparł Franklin, wskazując gestem na zebrane towarzystwo.

- Nie mówiłem o Anglikach z kolonii, proszę pana.

Franklin westchnął.

- Niestety, coraz więcej osób robi takie rozróżnienie. Ja, mój panie, wolę o nas myśleć jako o jednym narodzie z pewnymi różnicami.

- Dokładnie to samo powtarzam Sterlingowi - odezwał się Wyatt. - Mamy więcej interesów wspólnych niż odrębnych. Weźmy przykład tego nieszczęsnego embarga na zboże i inne towary...

- Zagrożenie dla obu krajów - powiedział Franklin.

Treasure usiadła na kanapie i pociągnęła za sobą Sterlinga. Wyatt i Franklin usiedli na krzesłach tuż przy nich i Wyatt kiwnął na służącego, aby przyniósł im wina.

- Za kolonie! - wznosił toast Wyatt.

Sterling przyłączył się dopiero po pewnym czasie.

- Jestem tu bardzo niedługo, zaledwie osiem miesięcy, ale już szalenie tęsknię za moją Peg i za Filadelfią. Ludzie są tam tacy żywotni, jest tyle możliwości... Żałuję tylko, że nie mam dwudziestu lat, żeby skorzystać z perspektyw, jakie kroją nam się w koloniach - powiedział z zadumą Franklin.

- Ależ pan wcale nie jest stary, doktorze Franklin - powiedziała z uśmiechem Treasure. — I tyle już pan w życiu osiągnął: wybór do Akademii Królewskiej, prace drukiem, towarzystwo filozoficzne, pańska biblioteka...

- Wspaniała przyszłość dla młodych, takich jak pani mąż. Ludzi ogarniętych wizją, zdolnych i mających znajomości, którzy mogliby wiele zrobić dla kolonii.

Sterling znów się zaczerwienił i Franklin posłał mu czarujący uśmiech,

- Dokładnie to samo tłumaczyłem Sterlingowi - powiedział Wyatt.

Mieli nad Renville'em przewagę trzech kolonistów na jednego "Anglika" i Wyatt zamierzał to wykorzystać.

- Mówiłem mu także, iż prędzej czy później będziemy korzystać ze wszystkich osiągnięć starszych cywilizacji: powszechnej edukacji, przemysłu, również okrętowego, sztuk pięknych. Zrobiliśmy już, dzięki panu, dobry początek. Stale się rozwijamy i idziemy naprzód wielkimi krokami. Nowe możliwości rodzą się każdego dnia.

Sterling poruszył się niespokojnie. Wszyscy troje chcieli go pouczyć. Ich entuzjazm był po prostu nie do zniesienia. Dwoje myślicieli i idealista, ogarniętych jakimś bezsensownym marzeniem o miejscu, które dla niego oznaczało tylko stratę i ból.

Z drugiej strony w Culpepper niebo było bardziej niebieskie, powietrze przez całe lato pachnące sianem i dzikimi kwiatami, woda słodka i przejrzysta, a brandy smaczniejsza.

Culpepper zabrało mu spadek i perspektywy na przyszłość, ale w zamian zyskał towarzyszkę, o jakiej nawet nie marzył. I właśnie miłość do niej pozwoliła mu teraz nieco spokojniej słuchać wynurzeń Wyatt'a i doktora Franklina. A kiedy nie był w stanie dłużej ich słuchać, mógł się salwować ucieczką.

- Jest to fascynujące - powiedział, wstając. - Jak jednak pamiętacie, mam dzisiaj jeszcze coś do załatwienia.

Uścisnął dłoń Treasure, skinął chłodno głową Wyattowi i Franklinowi, i odszedł.

Franklin i Wyatt zerwali się na nogi, ale Treasure jedynie westchnęła. Wyatt potrząsnął głową i ruszył za Sterlingiem, a Franklin usiadł obok Treasure.

- Sterling nie przepada za koloniami - wyjaśniła przepaszająco. - I obawiam się, że ma ku temu powody. Jego cały majątek przepadł w Culpepper i nie ma wielkich nadziei na jego odzyskanie. Miał tu w Anglii dostać spadek i tytuł po stryju, jednak ożenił się ze mną i wszystko przepadło. Nasz dzisiejszy eksperyment oderwał go od ważnego interesu...

Ben Franklin przyglądał jej się tak łagodnie i uważnie, że Treasure niebawem opowiedziała mu całą historię o embargu i próbach jego zniesienia. Franklin słuchał z najwyższym zainteresowaniem.

- Sprytne, bardzo sprytne - mruknął.

- Sterling także jest w pewnym sensie myślicielem. Jest bardzo mądry. Niestety nie ma przyszłości. Powinien mieć jakiś cel dla swego niespokojnego umysłu i niewyczerpanej energii. Nie wątpię, iż w końcu zrobi pieniądze, które tak wysoko ceni, ale moim zdaniem potrzebuje czegoś więcej. Mężczyzna taki jaki on potrzebuje sprawy, o którą mógłby walczyć. Byłby przerażony, gdyby usłyszał to, co mówię, ale to prawda: jest bardziej synem Darcy'ego, niż gotów to przyznać.

- Wojna jest dziwną i okropną rzeczą, Treasure Renville. Ale tam, gdzie jest poważny konflikt, powstają także wielkie idee i wielkie możliwości dla ludzi, którzy w te idee wierzą. Nasza wojna o kolonie z Francją nie jest wyjątkiem - powiedział Franklin. - Pitt jest mocno osadzony na pozycji premiera. Wie pani, on bardzo przypomina pani męża. Jest bardzo sprytny i zdeterminowany. Chciałby nie tylko zachować nasze obecne kolonie, lecz także pozbyć się wpływu Francuzów z całego Nowego Świata. Jest ambitny i potrzebuje pomocy innych ambitnych ludzi. Poza tym awansował szereg młodych oficerów i wreszcie coś zaczyna się tam dziać.

- Ale Sterling nie jest wojskowym.

- Jest za to mądrym człowiekiem, który świetnie zna się na interesach. Taka sytuacja, jaką mamy obecnie w koloniach, byłaby dla niego wielkim wyzwaniem, ogromną perspektywą na przyszłość. Jeśli nauczył się kochać kobietę, mógłby także pokochać cały kraj.

- Czy to sentencja Biednego Ryszarda? - spytała Treasure, uśmiechając się blade.

- Nie. - Franklin roześmiał się głośno. - Ale on także mógłby coś takiego powiedzieć.

26

Kiedy Sterling udał się na poszukiwanie Alfreda Pattena, okazało się, iż ten opuścił już dom lorda Corleya i całe starania Sterlinga przyniosły niewiele pożytku. Humor wcale mu się nie poprawił, gdy wrócił na swoje poprzednie miejsce i okazało się, że wszechstronny i rozbijający doktor Franklin nadal zabawia rozmawiającego żonę. Wprawdzie miał ochotę przerzucić ją sobie przez ramię i zabrać do domu, ale postanowił, że już nigdy nie będzie się wobec niej tak zachowywał. Odszukał zatem Larendę i spędził resztę wieczoru w jej równie posępnym towarzystwie.

Kilka godzin później, we własnej sypialni, Treasure odprawiła pokojówkę, rozpuściła włosy i zajrzała po cichu do pokoju Sterlinga, skąd nie dobiegał żaden dźwięk. Mąż siedział przy kominku i chyba nie słyszał jej wejścia.

- Muszę ci wyjaśnić, co zaszło - powiedziała Treasure.

Gdy spojrzął na nią, zobaczyła, że w jego oczach nie ma gniewu ani niechęci. Podeszła bliżej.

- Pani Corley chciała, żebym poznała doktora Franklina. Rozmawialiśmy o różnych sprawach, a potem ktoś zaczął mówić o elektryczności i jakoś tak wyszło, że się...

- ...zagalopowałeś - dokończył za nią Sterling beznamytnym głosem. - Można by pomyśleć, że powinienem się już do tego przyzwyczaić.

Treasure zamknęła oczy.

- I przepraszam za to, co się zdarzyło później w rozmowie z doktorem Franklinem i Wyattem o koloniach. Oni nie mieli nic

złego na myśli, po prostu nie rozumieją, że ktoś może mieć inne zdanie.

- A ty?

- Ja rozumiem, dlaczego czujesz to, co czujesz. Z powodu twojego ojca i spadku... Moje uczucia względem twojego ojca i Culpepper nigdy się nie zmieniają, ale postaram się więcej o tym nie mówić.

Sterling w milczeniu wysłuchiwał jej przeprosin i tylko kiwnął głową.

- Nie jestem na ciebie zły, Treasure - powiedział cicho. - Idź spać.

Dwa dni po przyjęciu u lorda Corleya Alfred Patten odwiedził Sterlinga i kiedy wyszli z biblioteki, Sterling znów był w doskonałym humorze. Okazało się, że podczas przyjęcia jednak zrozumiał aluzje Sterlinga i przyszedł z propozycją, aby Sterling zaraz następnego dnia złożył w jego imieniu wizytę lordowi Serreltonowi. Serrelton, naturalnie, wpadł w zachwyt wobec perspektywy tak korzystnego zamażpójścia córki. Sterling miał na tym zarobić - z obu stron. Jego plan wreszcie się powiódł.

Posłał po Wyatta, aby osobiście przekazać mu dobre wiadomości. Przy obiedzie obaj mężczyźni dyskutowali o swoich planach, a później przeszli do biblioteki, natomiast Treasure i Larenda wyszły do ogrodu, aby nacieszyć się pierwszymi promieniami słońca oraz rozkwitłymi żonkilami i tulipanami.

Treasure wspominała Culpepper, a Larenda martwiła się tym, że oto nadchodzą kolejne urodziny, a jej życie do tej pory wcale się nie układa. Popołudnie minęło bardzo szybko.

- Sterling i Wyatt nadal rozmawiają - stwierdziła Treasure. - Może każę podać herbatę i to ich skusi.

- Wątpię - zauważyła kwaśno Larenda. - Zwykły śmiertelnik nie potrafi sprawić, aby pan Colbourne choć na chwilę zapomniał o swych drogocennych koloniach.

Słyszac zjadliwy ton Larendy, Treasure aż otworzyła usta ze zdumienia.

- Nie żeby mnie to cokolwiek obchodziło - rzuciła Larenda tak gwałtownie, iż można by przypuszczać coś wręcz przeciwnego.

- Jednakże coś się między wami zdarzyło tamtego wieczoru u lorda Duncana - powiedziała Treasure.

- Vance robił mi... awanse - przyznała po dłuższej chwili zaczerwieniona Larenda. - A mnie nie udawało się go powstrzymać. Był taki wstrętny, domagał się...

- Och, Larendo! - jęknęła Treasure. - Myślałam, że potrafisz już sobie z nim poradzić. Wydawało mi się, że tamtego wieczoru odpowiadało ci jego towarzystwo.

- Pan Colbourne... Wyatt mnie uratował. A potem mnie pocałował... I...

- I? - powtórzyła Treasure, domyślając się raczej dalszego ciągu. -I co?

- I mnie dotykał... Naprawdę dotykał.

Treasure umierała z niecierpliwości, aby się dowiedzieć, co Larenda miała na myśli, mówiąc o prawdziwym dotykaniu, ale na razie wystarczyła jej świadomość, iż Wyatt w ogóle potrafił zrobić z Larenda coś konkretnego.

- I teraz jesteś na niego zła?

- Ależ skąd. To znaczy, nigdy nie przypuszczałam, że kobieta może odczuwać... Czy czujesz tak, kiedy Sterling...? - Potrząsnęła głową, zdumiona własną odwagą i uciekłaby, gdyby Treasure jej nie przytrzymała.

- Larendo, w tym, że się lubi pocałunki i dotykane, nie ma nic złego. Nie możesz...

- Nie chodzi o mnie, tylko o niego. - Larenda jęknęła. - Przepraszał i przepraszał, a teraz w ogóle nie zwraca na mnie uwagi. Nigdy nie czułam niczego takiego do mężczyzny. A on nie chce nawet przebywać ze mną w jednym pokoju. Co ja mam zrobić?

- Co za sytuacja - Treasure ze zdumienia kręciła głową. - Może gdybyś z nim porozmawiała...

- Ach, Treasure, nie mogę.

- Wyatt nie jest bawidamkiem. Nie sędzę, żeby cię całował i pieścił, gdyby nie darzył cię uczuciem.

- Czy myślisz, że on się teraz tak zachowuje, bo ja jestem damą, a on pochodzi z kolonii?

- Na pewno nie... - zaczęła Treasure i urwała. Być może dama nie pasowała do demokratycznych poglądów Wyatta. To byłaby

taka sama sytuacja, jak jej i Sterlinga, tylko na odwrót. - Muszę o tym pomyśleć...

Wystąpienie Wyatta przed kilkoma znakomitymi członkami Izby Handlowej zostało bardzo dobrze przyjęte. Tydzień później Sterling siedział w bibliotece, planując wydatki, zarobki i umowę dotyczącą wyczarterowania dwóch statków. Z prawdziwą satysfakcją wyjrzał przez okno, gdzie Treasure prawowicie pielęła grządki, na zmianę nucając pod nosem i przemawiając do kociąt, które mieszkały w starej szopie w kącie ogrodu. W pewnej chwili zamknęła oczy i na jej twarzy odmalował się wyraz przejmującej tęsknoty. W ostatnich dniach Sterling wielokrotnie był świadkiem jej tęsknych spojrzeń.

Dostała list z Culpepper, a raczej Sterling go dostał - od ojca Vivanta. List został wysłany do kancelarii adwokackiej Wyatta w Filadelfii i przesłany do Anglii przez jednego z urzędników. Ojciec Vivant pytał o zdrowie Treasure i zapewniał, że całe Culpepper pamięta o niej w modlitwie. Kiedy Treasure przeczytała list, w jej oczach zabłyśły łzy i prędko wyszła do ogrodu.

Zgodnie ze swą obietnicą, nie wspominała wprawdzie o Culpepper, ale któregoś dnia spytała, czy będą mogli na wiosnę wrócić do Rothmere, aby pomóc hrabiemu w uprawach i hodowli, i widać było, że tęskni za ojczystą wioską.

Rozmyślania Sterlinga przerwały głosy w holu.

Huddleston otworzył drzwi biblioteki i zaanonsował:

- Pan Vance Montreaux.

Nim Sterling skojarzył sobie nazwisko, gość już wchodził do środka, odpychając Huddlestona.

- Wiedziałem, że chciałbyś się ze mną zobaczyć, kuzynie. Możesz odejść, człowieku.

Huddleston spojrział gniewnie na swego pana, który odprawił go ruchem głowy.

Montreaux rozejrzał się taksującym spojrzeniem po bibliotece, co potwierdziło podejrzenia Sterlinga.

- Najwyższy czas, abyśmy porozmawiali, stary... i wyjaśnili sobie parę rzeczy. Ten dom zawsze bardzo mi się podobał, ale ostatnio jakoś podupada. Kiedy zostanę hrabią, każę go całkowicie odnowić.

- Trochę za wcześniej na takie plany, co, Vance? Stryj Philamon cieszy się doskonałym zdrowiem i nie wyznaczył jeszcze następcy.

- Wcale nie za wcześniej. Właśnie wracam z Rothmere. Stryj Philamon postanowił wreszcie przekazać tytuł mnie. Wszystko jest ustalone - mówił dalej Vance, bardzo z siebie zadowolony. - Został jeszcze tylko jeden drobny szczegół.

Sterling wstał zza biurka, czując narastającą wściekłość. Vance skorzystał z jego nieobecności w Rothmere, żeby najechać roztargnionego stryja i zmusić go do deklaracji w sprawie dziedziczenia tytułu. Powinien był przewidzieć, że coś takiego może się zdarzyć, i skrócić pobyt w Londynie po tej awanturze na przyjęciu u lorda Duncana.

- Ogłoszenie moich zaręczyn z Larendą- powiedział Vance dokładnie w tej samej chwili, gdy Sterling zaczął się domyślać, co miał na myśli, mówiąc o drobnym szczególe. - Mój tytuł zostanie potwierdzony w tydzień po zaręczynach, to znaczy w następnym tygodniu, bo wiadomość o zaręczynach znajdzie się w gazetach już jutro.

- Na pewno nie - powiedział zimno Sterling. - Larenda nie wyjdzie za ciebie.

- Mam odmienne zdanie. Ostatnio stała się jakaś dziwna i trudno na niej polegać, ale ciebie zawsze słuchała i posłucha tym razem, kiedy jej powiesz, iż ma obowiązek wyjść za mnie.

- Dlaczego sądzisz, że powiem jej coś takiego?

- Zrobisz to, bo jesteś człowiekiem interesu, kuzynie. Jesteś przebiegły, sprytny i dość mądry, aby wiedzieć, że osobiste sentymenty nie powinny przeszkadzać w interesach. Jesteśmy do siebie podobni, jesteśmy nowym pokoleniem Renville'ów i nie wahamy się brać tego, co się nam należy. Ja chcę mieć ten tytuł, a to oznacza, że muszę się ożenić z Larendą. I będę ją miał z twoją pomocą.

- Idź do diabła, Vance! - wykrzyknął Sterling. W uszach dzwoniło mu wciąż: „Jesteśmy do siebie podobni. Jesteśmy do siebie podobni”.

- Och, bądź spokojny, kuzynie, na pewno mi pomożesz - warknął Vance, podchodząc bliżej. - Widzisz, dowiedziałem się o planie pewnej inwestycji, która z pewnością wzbudzi wątpliwości, gdy stanie się powszechnie wiadoma.

- Skąd...

- To nieważne. Ważne jest to, że przekażę te informacje gazetom, jeśli nie zrobisz tego, co mówię. I możesz mi wierzyć, że kiedy skończę się zajmować tą inwestycją, okaże się ona największym skandalem naszego stulecia. Nim wszystko się wyjaśni, zostaniesz bankrutem. Finansowym i życiowym.

- Niech cię diabli wezmą! - Sterling rzucił się do przodu, ale Vance zgrabnie umknął mu z drogi. - Ty draniu! Jeśli sądzisz, że ci na to pozwolę, bardzo się mylisz.

- Znow uciekasz się do siły fizycznej? Myślałem, że się czegoś nauczyłeś od czasu, kiedy byliśmy razem w szkole. - Vance odwrócił się do drzwi z triumfującym uśmiechem. - Ale prostak z kolonii zawsze pozostanie prostakiem...

Sterling złapał Vance'a za ramię i odwrócił do siebie. Vance zamierzył się laską, ale Sterling odparował cios ramieniem, wyrwał laskę i rzucił ją w kąt pokoju. Zmagali się ze sobą z furią dzieci i siłą dorosłych mężczyzn. Vance'owi udało się uderzyć go w żołądek, na co Sterling odparował ciosem w szczękę. Bójka przekształciła się niemal w walkę na śmierć i życie, gdzie raz jeden, raz drugi zdobywał przewagę.

- Nie, Sterling, nie! - Sterling początkowo próbował się uwolnić od czyjegoś ramienia, ale w końcu oderwał wzrok od przeciwnika i rozpoznał przerażoną twarz Treasure, która wszelkimi sposobami usiłowała oderwać go od Vance'a.

- Posłuchaj swojej kolonialnej flądry - wydyszał Vance, zadowolony z tego, że Treasure znalazła się między nimi. - Już raz to zrobiłeś i straciłeś szlachectwo.

- Nie słuchaj go, Sterling! - krzyknęła Treasure.

Zapanowała długa cisza. Sterling wreszcie oprzytomniał i podniósł głowę.

- Wynoś się!

Vance otrzepał się ostentacyjnie.

- Dwa dni, Renville. Masz dwa dni - warknął. - Albo zawiadomienie o zaręczynach ukaże się w gazetach, albo wiesz, co zrobię. - Odwrócił się na pięcie i wyszedł pospiesznie.

Sterling odruchowo chciał pójść za nim, ale szybko się opanował. Stali w ciszy, dopóki nie usłyszeli zamykanych drzwi wyjściowych. Treasure cofnęła się o krok.

- Nigdy - syknął - ale to nigdy w ten sposób się nie wtrącaj.
- A co miałam robić? Stać i patrzeć, jak kaleczysz albo i zabijasz własnego kuzyna? I to nie wiadomo z jakiego powodu. Kiedy zaczęliście się kłócić, było was słychać aż w ogrodzie.

- I przybiegłaś tu, żeby się wtrącić w coś, co nie jest twoją sprawą.

Treasure przyglądała mu się ze zdziwieniem. Po tym wszystkim, co ich łączyło przez minione tygodnie, Sterling wrócił do swojego starego zachowania. Tym razem nie miała zamiaru tego tolerować.

- Co on miał na myśli? O jakich zaręczynach mówił? - W ich domu była tylko jedna osoba stanu wolnego i tylko jedna kobieta, która mogła zainteresować Vance'a Montreaux. - Larenda - szepnęła. - Pokłóciłeś się z Vance'em o Larendę. On chce ją poślubić, żeby dostać tytuł następnego hrabiego Rothmere. Ale Larenda się sprzeciwia.

Sterling odwrócił się powoli, obserwując jej błyszczące oczy i uparcie wysuniętą brodę. Był zły, że się wtrąciła, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę, że pobicie Vance'a nie rozwiązywało sprawy. Z drugiej strony nie zamierzał nikomu niczego wyjaśniać, dopóki się nad wszystkim poważnie nie zastanowi. Odwrócił się i ruszył do drzwi.

- Dokąd idziesz? - Treasure podskoczyła naprzód, zamknęła drzwi i oparła się o nie. Za plecami wymacała ręką klucz i przekręciła go. - Najpierw powiesz mi, co się stało - powiedziała, pokazując mu klucz.

- Oddaj!

W przyływie desperacji wrzuciła sobie klucz za dekollet.

- Treasure!

- Dostaniesz, jak mi powiesz, dlaczego chciałeś posiekać Vance'a na kawałki.

- To nie twoja sprawa! A teraz otwórz drzwi, zanim znów przełożę cię przez kolano.

- Vance chce, żebyś coś zrobił... Zaręczyny... Gazety...

- Do diabła, Treasure!

- Chce, abys kazał Larendzie wyjść za niego za mąż - domyśliła się w końcu. - Ale dlaczego sądzi, że mu w tym pomożesz? Uważasz go za obrzydliwego łajdaka, sam to mówiłeś.

Sterling złapał ją za ramiona.

- Przestań, Treasure. To nie jest twoja sprawa.

- Jestem twoją żoną. Wszystko, co jest z tobą związane, jest moją sprawą. A dwie osoby prędzej coś wymyślą niż jedna. - Gwałtownie usiłowała sobie przypomnieć, co mówił Vance. - On chce cię zmusić, żebyś namówił Larendę do małżeństwa. To o to chodzi, prawda?

Sterling odszedł od drzwi i zatrzymał się przy biurku, pochylając głowę i zamykając oczy. Treasure znała już połowę prawdy, a drugą połowę albo od niego wydusi, albo sama się domyśli.

- Posłuchaj, Sterling. - Treasure podeszła i położyła mu rękę na ramieniu. - Obiecałeś, że będziesz ze mną rozmawiać.

Otworzył oczy i spozjrzał na jej szczerą, poważną twarz. Naprawdę oczekiwała, że spełni obietnicę daną w łóżku, teraz, kiedy spotkał go największy kryzys życia. Uważała go za człowieka honoru, gdy tymczasem jego honor ściśle wiązał się z sukcesami materialnymi. Przypomniały mu się znów słowa Vance'a: „Jesteśmy do siebie podobni”. Czy naprawdę niczym się nie różnił od Vance'a Montreaux?

- Dowiedział się o moich planach związanych z nową inwestycją. I jeśli nie przekonam Larendy, żeby za niego wyszła, i nie dam ogłoszenia o zaręczynach do gazety najpóźniej pojutrze, wykorzysta tę wiedzę, aby mnie zrujnować i oczernić moje imię.

Treasure zmarszczyła czoło.

- Nie robisz przecież nic nielegalnego, prawda? Kupujesz i sprzedajesz zboże, ponieważ zniesiono embargo.

- Zasadniczo masz rację. Chodzi o to, że ci, którzy mnie finansują, mieli swój udział w zniesieniu embargo. To pachnie wykorzystaniem stanowiska dla osiągnięcia korzyści finansowych. Co najmniej połowa członków rządu żyje z łapówek, więc zarzuty pod moi adresem nie są poważne, ale wszystko można zawsze przedstawić w odpowiedni sposób. A Vance nie będzie miał skrupułów.

- Problem etyczny - westchnęła Treasure.

Sterling pomyślał, że odkąd poznał Treasure, wszystkie proste do tej pory sprawy w jego życiu zostały podporządkowane różnieniu dobra i zła.

- I co my z tym zrobimy? Musimy wymyślić alternatywę, wziąć różne rzeczy pod uwagę...

Treasure najwyraźniej postanowiła czynnie włączyć się w rozwiązanie problemu.

Sterling sam już nie wiedział, co myśleć. Interes własny i korzyści majątkowe wymagały, aby spełnić żądanie Vance'a. W końcu mało kto miał ten luksus, że mógł sobie wybierać żonę lub męża. Z drugiej strony Vance mógł go oszukać, zaręczyć się z Larendą, a potem i tak sprzedać swoje informacje...

Treasure powiedziała, że Larendzie robiło się niedobrze, gdy Vance jej dotykał. Larenda była dobrą, miłą kobietą, która mu ufała. Wiedział, że jeśli zmusi ją do małżeństwa z Vance'em, do końca życia będzie miał wyrzuty sumienia. Za każdym razem, kiedy dotknie cudownego ciała Treasure i spotka się z jej rozkoszną reakcją, będzie musiał myśleć o losie Larendy.

Jedynym rozsądnym wyjściem było odwołanie całej inwestycji i przywrócenie embarga. Minał dopiero tydzień. Żaden statek nie wypłynął jeszcze z portu. W koloniach w ogóle nie zdążyli się niczego dowiedzieć. Pozostali inwestorzy będą niezadowoleni, choć docenią to, że ich uratował przed wpadką. A on będzie mógł znów kiedyś spróbować...

Sterling zdecydowanie poderwał się na nogi. Treasure obserwowała go w milczeniu. Wiedziała z własnego doświadczenia, że czasem lepiej jest nic nie mówić.

Sterling zobaczył oczyma wyobraźni twarz Wyatta, kiedy ogłoszono decyzję o zniesieniu embarga. Był zawsze lepszym przyjacielem, niż Sterling zasługiwał. Gdyby stracił swoje zwycięstwo, załamałby się zupełnie.

- Klucz - powiedział, wyciągając rękę.

Treasure sięgnęła za dekollet i podała mu klucz, modląc się w duchu, żeby jej miłość mu pomogła.

27

Ciemne ulice były wilgotne i puste; kroki Sterlinga odbijały się głuchym echem. Bez płaszcza i kapelusza, drżący z zimna, zatrzymał się na skrzyżowaniu ulic, zastanawiając się, dokąd iść.

Wewnętrzny konflikt sumienia i przekonań trochę ucichł i Sterling był już bliski podjęcia decyzji. Jego życie po raz kolejny obrało nieprzewidziany kierunek, który wiódł w nieznaną. Teraz liczyły się dla niego inne wartości - sumienie, troska o najbliższych, dobro. I to Treasure Barrett do tego doprowadziła.

Ruszył przed siebie coraz szybciej, biegiem... Chciał jak najprędzej znaleźć się w domu i podzielić się z nią radosną nowiną.

W sypialni było ciemno i cicho, ale po chwili wzrok przyzwyczał się do ciemności i Sterling zobaczył Treasure tam, gdzie spodziewał się ją znaleźć - w jego łóżku.

Wzięła ją w ramiona i przytulił do siebie. Obudziło ją dotknięcie zimnego materiału.

- Wróciłeś! - szepnęła. Objęła go za szyję i ogrzewała swoim oddechem. - Tak się o ciebie martwiłam. Co się stało?

Na piersiach poczuła lodowato zimne dłonie Sterlinga i wstrząsnęła się.

- Najpierw zdejmij z siebie mokre ubranie, a potem przyjdź do łóżka, żebyśmy mogła cię ogrzać.

Już po chwili jego zimne ręce i nogi grzały się ciepłem jej nagiego, aksamitnie gładkiego ciała.

- Mam ci wiele do powiedzenia- zaczął i namiętnie ją pocałował, pieszcząc wszystkie zakamarki jej ciała. Kiedy złączyli się w jedno, uznał, że powinien się z nią także połączyć swymi myślami. - Musiałem wiele spraw przemyśleć, głęboko przemyśleć... Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby nas z tego wyciągnąć i nikomu nie zrobić krzywdy. Treasure, musisz mi w tym pomóc.

Przyciągnęła go mocno do siebie, demonstrując namiętność, która płynęła wprost z serca.

- Teraz - szepnął, unosząc się lekko na łokciu.

- Teraz? - powtórzyła zaskoczona Treasure. - Czy to musi być teraz?

Sterling jednak chciał osiąść jednocześnie jej ciało i umysł i Treasure szybko pojęła, jakie to ma znaczenie.

Leżąc na niej, mówił o korzyściach i uproszczonych decyzjach, o tym, jak trudno było mu się zdobyć na prawdziwie bezinteresowny uczynek, o tym, że docenił to, co robiła dla innych i jak pomagała ludziom w Culpepper. I o tym, co go najbardziej teraz obchodziło, o kłopotach Larendy i Wyatta, i o tym, że chciałby postąpić jak najszlachetniej i najlepiej dla wszystkich zainteresowanych.

Co jakiś czas Treasure przerywała jego wynurzenia pocałunkami i pieszczotami.

- Wydaje mi się, że powinniśmy powiedzieć Larendzie i Wyattowi, co się dzieje.

- Tak myślisz? Nie wiem, czy będę w stanie znieść jego szlachetne poświęcenie.

- Nic mi się nie stanie, jak się trochę poświęci. Powiedz mu, że musi się ożenić z Larendą, a przynajmniej na początek z nią zaręczyć, żeby ją wyrwać z łap Vance'a. Hrabia nie musiałby przekazywać tytułu, a Wyatt znów mógłby kochać się z Larendą.

- Co? O czym ty mówisz?

- Zakochała się w nim i jest z tego powodu przygnębiona. Wyatt wstydzi się swego zachowania i unika jej towarzystwa. Gdyby im trochę pomóc, staliby się doskonałą parą.

- Wyatt zachował się nieprzystojnie? A ty chcesz go zmusić, żeby teraz się z nią ożenił? To mi się podoba. Zasłużył sobie na to.

- Ja chcę to zrobić dla nich, bo uważam, iż to ich uszczęśliwi.

- Ale ja mogę mieć z tego trochę rozrywki, co?
- Ile jeszcze świata musimy zbawić, zanim mnie uszczęśliwisz?

Sterling jęknął i przyciągnął ją do siebie; już po chwili Treasure była najszczęśliwszą kobietą na świecie.

Tego samego ranka Wyatt siedział w salonie naprzeciwko Larendy, spoglądając to na Treasure, to na Sterlinga. Zażenowany unikał wzroku zszokowanej Larendy.

- Zaręczyny? - wychrypiął takim głosem, jakby umierał.

- Zaręczyny? Pana Colbourne'a i moje? - Larenda z paniką w oczach spojrzała na pełen satysfakcji uśmiezek Treasure.

- Oczywiście tylko nominalnie - uspokajał ją Sterling. - Od czasu do czasu będziecie się musieli razem pojawiać między ludźmi. Vance dostanie szału, ale będzie zbyt zajęty innymi sprawami. Musimy dopilnować, żeby nie mógł nalegać na ślub z Larendą. Prawdę mówiąc, stary przyjacielu, nie znam nikogo, z kim byłaby bezpieczniejsza.

Treasure spojrzała na Sterlinga karcąco. Trochę przesadził.

- Sterling chciał powiedzieć, że dogłębnie wszystko przemyśleliśmy i nie ma innego wyjścia. Alternatywa jest dość przerażająca: zaręczyny z Vance'em, finansowa i towarzyska ruina dla Sterlinga i dla mnie, nałożenie jeszcze bardziej surowego embarga na kolonie. - Spojrzała na Sterlinga. - Wydaje mi się, że trzeba im wszystko powiedzieć.

Kiedy Sterling przedstawił im cały plan, Larenda i Wyatt spokojniej już przyjęli ich propozycję.

- Ale jak to się skończy? - zapytał Wyatt. - Przecież kiedy zerwiemy zaręczyny, wybuchnie skandal. To nie do pomyślenia, żeby narazić na szwank dobre imię lady Larendy...

- Już i tak nazywają mnie „porzuconą” - wydusiła z siebie Larenda. - Nic nie może mi zaszkodzić. Zwłaszcza jeśli ocali mnie to przed poślubieniem tego okropnego Vance'a Montreaux. - Spojrzała cierpiącym wzrokiem na Wyatta, który się gwałtownie zaczerwienił. - Oczywiście, jeżeli pan Colbourne znajduje, iż ten pomysł jest mu niemiły... Musi gdzieś być ktoś, kto mógłby pomóc...

- Może powinniśmy im dać czas, aby przedyskutowali całą sprawę - zaproponowała Treasure i niemal siłą wyciągnęła Sterlinga z salonu.

Larenda przyjęła ich wyjście z ciężkim sercem. Teraz albo nigdy, pomyślała.

- Wiem, że mężczyzna o pańskiej wrażliwości musi być zaszokowany i skonsternowany taką propozycją - zaczęła dzielnie. - Nie będę miała do pana żalu, jeśli...

- Moja wstrzeźliwość wynika wyłącznie z troski o panią, droga Larendo. Związek z człowiekiem z kolonii... handlarzem... prawnikiem...

- Ale jest pan prawdziwym dżentelmenem - zaprotestowała, podchodząc do niego bliżej. - Przystojnym, szarmanckim, o szlachetnych ideałach...

- Larendo! - Wyatt był tak zdumiony, że aż zwrócił się do niej po imieniu. - Myślałem, że pani mnie nie lubi...

- Jak mogłabym nie lubić człowieka, który przyszedł mi na ratunek? Ale mam już wobec pana dług wdzięczności i nie powinnam prosić o nic więcej...

- Nie! Wcale nie! - Wyatt włożył ręce do kieszeni, żeby powstrzymać się przed wzięciem jej w ramiona. - Z przyjemnością ofiaruję pani moje nazwisko i siebie. Na tak długo, jak pani sobie życzy. - Wziął ją za rękę, starając się nie patrzeć jej w oczy.

- Będę panu wdzięczna na wieki. Nie wiem, jak zdołam się panu odwdziżyć.

Słodkim uśmiechem pokryła kłamstwo, Larenda Avalon Renville bowiem dokładnie wiedziała, jak zamierza odpłacić Wyattowi Colbourne'owi za jego kłopoty.

Tego samego popołudnia Sterling zaczął realizować resztę planu. Wszedł do pustej palarni Klubu Augusta Bennigtona, owiany zapachem alkoholu, mówiąc ze złością do siebie.

- Niech go diabli wezmą, jeśli myśli, że mu się to uda! - Potrząsnął pięścią i zaklął, po czym podszedł, lekko się zataczając, do okien. Sala nie była całkiem pusta. Edgar Trexel, znany londyński plotkarz, siedział czytając gazetę i popijając popołu-

dniowy koniak. Sterling w swoich enuncjacjach nie zapomniał rzucić nazwiska Vance'a Montreaux, a potem odwrócił się i z zaskoczeniem odkrył obecność pana Trexela.

- Wielki Boże, Renville, w niezłym jest pan stanie! - Ciemne oczy pana Trexela zabłyśły zainteresowaniem. Odłożył gazetę i pochylił się do przodu.

- Pan też byłby w s-s-stanie - mruknął Sterling - gdyby pański plan, starannie obmyślana inwestycja została przechwycona przez takiego chciwego łajdaka jak... - Sterling urwał, wyprostował się i poprawił kamizelkę. - Bardzo mi przykro, proszę pana, ale przydybał mnie pan w niefortunnej porze. Myślałem, że tu nikogo nie ma.

- Nic nie szkodzi, mój chłopcze. - Pan Trexel gestem zaprosił go, żeby usiadł, ale Sterling odmówił z zażenowaniem. - Wszystkim nam się to zdarza...

- To rodzinna sprawa, proszę pana, i im mniej się o tym mówi, tym lepiej. Gdybym mógł panu zaufać...

- Na mnie zawsze można polegać, Renville. - Pan Trexel z trudem ukrywał chęć poznania tajemnicy i przekazania jej dalej.

- A zatem bardzo panu dziękuję i nie będę już panu przeszkadzał.

Sterling odwrócił się i wyszedł z godnością nie pasującą do człowieka będącego pod wpływem alkoholu, ale pan Trexel niczego nie zauważył.

W jakiś czas później do pismaka z „The Times” zgłosił się wysoki, szczupły mężczyzna z obcym akcentem i błyskiem w oku. Zaproponował, iż za skromną sumkę opowie mu historię, która skręci włosy w perukach dżentelmenów z Izby Handlowej. Wyatt powiedział, że był urzędnikiem w dobrze znanej kancelarii prawniczej, gdzie poznał wiele szczegółów specyficznych ustaleń, nim wyrzucono go za jakąś drobnostkę. Chęć zemsty wydawała się prawdopodobnym motywem takiej opowieści i niebawem starannie przygotowana wersja planu Sterlinga została wyjawiona, z wieloma nazwiskami z Izby Handlowej. Pośród inwestorów główną rolę przypisano niejakiemu Vance'owi Montreaux. Dziennikarz z prawdziwą przyjemnością wysłuchał opowieści o kolejnym skandalu rządowym i pospieszył sprawdzić te informacje u swego

zwyczajowego źródła, którym był pan Trexel. W ten sposób w czwartkowym wydaniu „The Times” miały się ukazać dwie informacje o szczególnym znaczeniu dla Vance'a Montreaux.

To Treasure wymyśliła, żeby podać nazwisko Vance'a jako czołowego inwestora. Teraz, gdyby zaczął oczerniać Sterlinga, wszyscy wzięliby to za chęć wybielenia własnej osoby kosztem innych.

Wyjawienie planów oznaczało finansową stratę dla Sterlinga i niewygodę dla kilku jego popleczników, ale jeśli miał z tego powodu żal, na pewno go nie okazywał. Natychmiast zaprosił hrabiego, żeby przyjechał do Londynu na uroczysty obiad z okazji zaręczyn Larendy.

Tego samego wieczoru odwiedził swych inwestorów, informując ich o wszystkim i zapewniając, iż weźmie na siebie krytykę. Większość zgodziła się przyznać do udziału w inwestycji związanej z handlem, którą kierował Sterling i ten drugi... Montreaux.

Ostatnią i najbardziej zaskakującą częścią planu było zachęcenie rządu premiera Pitta do zbadania „nieprawidłowości” w Izbie Handlowej.

W dniu wyjścia gazety Larenda zaprosiła na herbatę lorda Serreltona z żoną, lorda Eagletona, panią Corley i szereg innych znakomitości. Treasure nalewała herbatę, aby Larenda mogła swobodniej odgrywać rolę czarującej narzeczonej. Wyatt był całkiem przekonujący jako narzeczonej. Sterling z ulgą przekonał się, iż lord Serrelton spokojnie przyjął niepowodzenie ich inwestycji.

W pewnym momencie w holu rozległy się jakieś hałasy i Sterling wyszedł z salonu, żeby sprawdzić, co się tam dzieje. To Vance Montreaux usiłował dostać się do salonu, wymachując gazetą.

- Niech cię diabli wezmą! - warknął Vance. - Myślałeś, że mnie pokonasz, wymyślając jakąś chorą wersję własnego obrzydliwego planu. I jeszcze wciągnąłeś do tego Colbourne'a, aby zabrać mi Larendę. Nie wzięłbym jej za nic po tym, jak rzuciło ją dwóch brudnych kolonistów.

- Uważaj na to, co mówisz, Vance! Chyba że chcesz odpowiadać za swoje pomówienia na honorowym polu.

Ich głośne, gniewne głosy sprowadziły do holu Wyatta i lorda Serreltona. Vance zmrugał oczy, kalkulując swoje szanse. Nie zamierzał przelewać krwi za jakąś głupią dziewczkę.

Sterling zobaczył jego wahanie.

- Tak myślałem. Honor nigdy nie był twoją mocną stroną, co, Vance?

- Jeszcze się będziesz tłumaczyć przed sądem, kuzynie. Gorzko tego pożałujesz. A ja i tak dostanę Rothmere.

Następne dni były bardzo interesujące. Hrabia przybył do Londynu dwa dni po ogłoszeniach w „The Times”. Był zaskoczony i skonfundowany zarówno zaręczynami Larendy ze starym, szkolnym przyjacielem Sterlinga, jak i kompromitującymi informacjami o interesach bratanka. Sterling od razu zaprowadził stryja do biblioteki i posłał po Larendę. Hrabia siedział na kanapie, załamując ręce.

- Ależ Larendo... Dałem ci dom... Może nie zdajesz sobie sprawy, jak się starałem...

- Myślę, że ona dobrze o tym wie, stryju - powiedział spokojnie Sterling, obserwując bladą twarz Larendy.

- Ale to znaczy, że nie możesz zostać hrabiną Rothmere, a mnie tak na tym zależało. Czy pomyślałaś, jak bardzo mnie rozczarujesz? A Vance? Tak bardzo chciał cię poślubić. Jak on się teraz czuje?

- A czy ty, stryju, choć raz pomyślałaś o moich uczuciach? O tym, czy chcę wyjść za Sterlinga albo za Vance'a? O tym, że traktujesz mnie jak dodatek do Rothmere i tytułu hrabiowskiego? Ani Sterling, ani Vance nie chcieli się ze mną żenić. Zgodzili się na twoje warunki dla tytułu.

- Larendo! - Sterling poczerwieniał i zamierzał protestować.

- Nie, Sterling! - powstrzymała go z błyskiem w oku. - Najwyższy czas, żebym powiedziała to, co myślę. Dzięki Treasure jestem w stanie to zrobić. Tym razem będę wyrażać się jasno. Chcę wyjść za pana Colbourne'a i wyjdę. Pojadę z nim do jego ukochanej Filadelfii, gdzie będę bardzo szczęśliwa, urodzę mu tuzin dzieci i może nawet zacznę palić tytoń.

Co powiedziawszy wstała i majestatycznie ruszyła do wyjścia. Przy drzwiach zatrzymała się i odwróciła.

- Ale, naturalnie, wolałabym mieć twoje błogosławieństwo, stryju - dodała drżącym głosem.

Hrabia powoli wyciągnął dłoń do Larendy, próbując się uśmiechnąć. Z ulgą podeszła i wzięła go za rękę, po czym pochyliła się, lekko pocałowała go w czoło i wyszła, aby przekonać swego narzeczonego, żeby się z nią ożenił.

Hrabia spojrział na Sterlinga w kompletnym osłupieniu.

- Nigdy jej takiej nie widziałem. Wydaje mi się, że naprawdę ma takie plany.

- Mnie też się tak wydaje - powiedział Sterling i uśmiechnął się figlarnie.

Jak na ironię w ciągu następnych dwóch tygodni cały londyński *bon ton* chciał się bawić w towarzystwie Renville'ów. Mogłoby się wydawać, że dla znudzonej i uprzywilejowanej warstwy nie było nic bardziej pociągającego niż atmosfera skandalu finansowego, w dodatku powiązanego z rządem. Treasure, siedząc na łożku z tacą zasypaną biletami wizytowymi i zaproszeniami, spojrzała ze zdumieniem na Sterlinga.

- Może mają mylne wrażenie, że już się na tym wszystkim wzbogaciłem. Wątpię, aby chcieli nas zapraszać, gdyby wiedzieli, iż żyjemy z resztek wygranej mojej żony w karty.

- Co z tym zrobimy? - spytała, patrząc na zaproszenia.

- Przyjmij te, które sprawią ci przyjemność. Jeśli nie jesteś pewna, zapytaj Larendę. Zna większość tych ludzi.

- Miałam na myśli później. Po wyjaśnieniach. Co wtedy?

- Będę musiał poszukać kolejnej szansy - odparł lekkim tonem i wyszedł, zostawiając Treasure z bólem serca.

Przez następne dwa tygodnie Renville'owie nieustannie pokazywali się w towarzystwie. Treasure korzystała z każdej okazji, żeby poznać ludzi, którzy mogliby mieć jakiś wpływ na przyszłość Sterlinga. Larenda korzystała z bliskiej i stałej obecności Wyatta, aby pracować nad własną przyszłością. Jej narzeczonego przekonał się, iż jest ona uważną słuchaczką, czarującą kobietą, dowcipną

interlokutorką i panią o szczerym sercu, która zawsze miała dla każdego dobre słowo.

Larenda była jednocześnie dumna i zaniepokojona jego opanowaniem. Musiała jakoś znów sprowokować tę głęboką namietność, aby mógł wreszcie zrozumieć, iż widzi w nim coś więcej niż przyjaciela.

Pewnego wieczoru zdesperowana Larenda stała w salonie lorda Shively'ego, trzymając w dłoni puchar czerwonego wina. Obok niej stał Wyatt, który opowiadał coś, gestykulując szczupłymi, zgrabnymi rękami. Larenda odwróciła głowę, jakby z kimś rozmawiała, i weszła wprost pod zamaszysty ruch jego ręki. Całe wino wylało się jej na przód sukni.

- Ach! - wykrzyknęła, machając gwałtownie rękami. Kilka osób chciało jej pomóc, ale udało jej się nie dopuścić ich do siebie. Narzekając na ruinę swojej ulubionej sukni, ruszyła do wyjścia z salonu, a Wyatt pospieszył za nią i zaprowadził ją do małej ławeczki w niszy holu.

- Ach, wybacz mi, Larendo. - Wyatt sięgnął do kieszeni i podał jej chustkę, żeby się wytarła. Nie przyjęła jej, wpatrując się w niego ciemnymi oczyma. Zrobił ruch, jakby sam chciał ją wycierać, ale się cofnął.

- Lepiej niech pani to zrobi - wymamrotał, odwracając wzrok.

Larenda przygryzła wargę, wciąż czując na sobie jego gorące spojrzenie. Teraz albo nigdy, pomyślała.

- Moja suknia jest zniszczona - szepnęła, biorąc od niego chustkę. - Nie mogę tak zostać. Musi mnie pan zabrać do domu.

Ponuro kiwnął głową i zaczął coś mówić o Treasure i Sterlingu, ale uciszyła go gestem dłoni i prośbą, aby z jej powodu nie psuł im wieczoru. Wyatt zaczerwienił się i skinął głową. Po chwili jechali wynajętym powozem do londyńskiego domu Sterlinga.

Wyatt odprowadził ją do środka, ale kiedy chciał się pożegnać, przytrzymała go za rękaw, drugą dłoń przykładając do skroni.

- Miałam za dużo wrażeń - szepnęła.

Wyatt rzucił kapelusz Huddlestonowi i zaprowadził ją do ciemnego salonu, obejmując jej kibić.

Kiedy znaleźli się w salonie oświetlonym blaskiem księżyca, Larenda odwróciła się i przyłgnęła do niego całą sobą.

- Czuję się już znacznie lepiej...

Oczy jej błyszczały, usta miała rozchylone. Wyatt Colbourne nie miał szans.

Po dłuższej chwili wzajemnego rozpoznawania swych ust, kiedy nogi zaczęły się pod nimi uginać, Wyatt przesunął się w stronę kanapy. Chwila rozsądku spowodowała, że pomyślał o tysiącu powodów, dla których nie powinien dotykać jej w taki sposób.

- Larendo - zaczął. - Nie mam prawa...

- Jest pan moim narzeczonym. - Objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie, biorąc znów w posiadanie jego usta.

- Nie - zaprotestował ponownie, ciężko dysząc. - Faktycznie nie mam prawa... Nie jesteśmy naprawdę zaręczeni... Pani jest angielską damą, a ja kolo...

- Więc niech się pan ze mną ożeni. Wtedy i ja zostanę kolonistką.

Tym razem już nie mógł się jej oprzeć. Objął ją kurczowo ramionami i zdumiewająco energicznie popchnął między podeszki.

Wkrótce jego usta zawędrowały do jej piersi, na których wciąż został smak rozlanego wina. Rozluźnił stanik sukni i wsunął do środka dłoń. Larenda rozpięła mu guziki kamizelki i wsunęła pod spód ręce.

- Niech pan mnie kocha, Wyatt - szepnęła.

- Kocham panią, Larendo - jęknął. Oparł się na łokciu i spojrzał na nią, na jej nagie piersi i dziwnie błyszczące oczy. - Naprawdę zgodziłaby się pani wyjść za mnie? Poświęcić to wszystko i pojechać do kolonii...

- Dlaczego każe mi pan powtarzać to dwukrotnie? - Przyciągnęła go do siebie i pocałowała. - Proszę się ze mną ożenić i kochać mnie tak przez resztę życia.

Po chwili namiętych pieszczot Wyattowi udało się przywrócić ją do pozycji siedzącej z nadzieją, że będzie to miało jakiś wpływ na ich dalsze zachowanie. Tymczasem Larenda zaczęła rozpinąć mu guziki koszuli i wyciągać ją ze spodni.

- Nie zwariowałam, Wyatt. - Palcami dotknęła jego gorącej skóry na piersi. Nigdy w życiu nie dotykała nagiej męskiej piersi.

Wyatt jęknął, wziął ją na ręce i ruszył do schodów.

- Tylko ten jeden raz - szepnął ochrypłym głosem - a potem zaczekam, aż będziemy prawdziwym małżeństwem.

Wieczór Treasure zakończył się bardziej stonowanym sukcesem. Pośród gości lorda Shively'ego było kilku członków Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Ministerstwa Wojny. Rozmawiali o nowej, agresywnej polityce premiera, o trudnych warunkach wojny w koloniach, spowodowanych nieregularnymi dostawami ze strony mieszkańców, o potrzebie lepszego finansowego zarządzania wojną.

Treasure słuchała, przypominając sobie utrzymane w podobnym duchu komentarze doktora Franklina. Teraz zobaczyła, że ich szansa jest związana z koloniami. Sterling początko będzie się z pewnością opierał, ale może w końcu polubi tych ludzi, których ona nigdy nie przestała kochać. Franklin powiedział, że mężczyzna, który nauczył się kochać kobietę, potrafi pokochać także kraj.

28

Treasure wstała po ciemku z łóżka i włożyła jedwabny szlafrok. Sterling poruszył się przez sen. Kiedy znów znieruchomiał, pocałowała go lekko w czoło.

Zapaliła świecę i na bosaka zeszła na dół. Kiedy coś ją niepokoiło, nie mogła spać i musiała się czymś zająć. Przeważnie szła wtedy do biblioteki, aby poczytać i pomyśleć. Czasami zasypiała nad jakimś opasłym tomem historycznym w wielkim, skórzanym fotelu Sterlinga. Dwa razy Sterling znalazł ją tak rano i delikatnie zaprotestował przeciwko zostawianiu go samego w zimnym łóżku. Usiłowała mu przybliżyć swoje zwyczaje, a on usiłował je zrozumieć.

Zastanawiała się nad tym, co się stanie następnego dnia po przesłuchaniach przed komisją dochodzeniową, ale przyszłości nie dało się przewidzieć, a o przeszłości nie było sensu myśleć. Wzięła ze spiżarki kawałek pasztetu i szklankę mleka, i trzymając w jednej ręce tacę, a w drugiej świecę, poszła do biblioteki. Wybrała ciężki, oprawny w skórę tom o podbojach Rzymian i wkrótce zagłębiła się w historii.

Jakiś czas później poczuła za plecami czyjąś obecność.

- Ty też nie możesz spać - powiedział hrabia. Odwróciła się zaskoczona i zobaczyła, że stoi w drzwiach, w nocnej koszuli i szlafmocy. Trzymał w ręce szklankę z mlekiem. - Widzę, że mamy podobne zwyczaje.

- Ach, to ty, stryju. Ja... Ja tylko czytałam.

- Ja też czytam, kiedy nie mogę zasnąć. A ta komisja dochodzeniowa jutro... - Podszedł do półek z książkami i zaczął

przeglądać tytuły. - Historia... Sterling ma jedną z najlepszych w Anglii kolekcji książek historycznych, jakie znajdują się w prywatnych rękach. Wiesz, że studiował historię w Oksfordzie?

- Mówił mi.

- Chciałem, żeby studiował prawo, tak jak Robert i jego przyjaciel Colbourne, ale on nalegał na historię.

- Dużo mnie nauczył. Stary dziedzic nie miał żadnych książek historycznych i nigdy na ten temat nic nie mówił. To dziwne, bo rozmawialiśmy o tylu sprawach. Wiele rzeczy byłoby dla mnie jaśniejsze, gdybym znała kolejność wydarzeń.

- Mój brat nie miał książek historycznych? - Hrabia przystanął i dziwnie się jej przyglądał. - Żadnych?

Treasure potrząsnęła głową. Hrabia zmarszczył czoło, a jego twarz nagle się postarzała.

- Co się stało, stryju? Chodź, usiądź tutaj. - Szybko wstała i posadziła hrabiego w fotelu.

- Kiedy Sterling był na pierwszym roku studiów, napisałem do Darcy'ego... - Jego wzrok i myśli odbiegały coraz dalej. - Pisywałem do niego wcześniej o postępach Sterlinga, ale nigdy nie miałem odpowiedzi. Czasem się zastanawiałem, czy on w ogóle jeszcze żyje. Starałem się zastąpić Sterlingowi ojca, ale to nie było to samo.

Treasure uklękła przed nim i wzięła w dłonie jego rękę, tak bardzo podobną do ręki starego dziedzica. Wiele razy tak samo klęczała przy fotelu Darcy'ego.

- Pod koniec pierwszego roku zdecydował się na historię i napisałem o tym Darcy'emu. Też nie odpisał. Kilka miesięcy później dostałem na mój adres przesyłkę z książkami na nazwisko Sterlinga. Faktura podawała jako miejsce nadania Filadelfię. Te książki musiały być od Darcy'ego. On zawsze bardzo lubił historię i sam studiował ją w Oksfordzie. Nigdy nie powiedziałem tego Sterlingowi.

Przez chwilę oboje milczeli.

- Nigdy nie powiedziałem Sterlingowi, od kogo były te książki. Obawiałem się, że ich nie przyjmie. Teraz tego żałuję. Darcy ogołocił swoją ulubioną bibliotekę, żeby obdarować syna. Sterling do dziś nie ma pojęcia, iż jego ukochana kolekcja jest prezentem od ojca.

Zapadło milczenie. Nagle usłyszała jakiś hałas i podniosła głowę. Sterling, sztywno wyprostowany, z pobladłą twarzą, wychodził z pokoju. Hrabia zapadł się w fotelu.

- Słyszał.

Kiedy Treasure weszła parę minut później do sypialni Sterlinga, okazało się, że wyszedł. Chciał być sam, przejść się, pomyśleć. Znając dobrze jego upór, Treasure wiedziała, że tym razem nie może mu pomóc. Sterling sam musiał się uporać ze zmarłym ojcem.

Marmurowe korytarze Izby Handlowej pełne były tego kwietniowego poranka najrozmaitszych notabli. Treasure i Sterlingowi towarzyszyli hrabia i Larenda. Uznali za celowe, aby Wyatt przyszedł oddzielnie, ponieważ to on był wnioskodawcą zniesienia embarga.

Sterling był zaskakująco spokojny, choć podkrążone oczy dobitnie świadczyły o nieprzespanej nocy. Wrócił do domu szarym świtem, znalazł Treasure w swoim łóżku i kochał się z nią jak mężczyzna, który od dawna nie miał kobiety.

Vance Montreaux przybył sam i usiadł w drugim końcu sali, z zadowoloną miną przyglądając się Treasure i Sterlingowi.

Trzyosobowa komisja dochodzeniowa weszła bez szczególnych zapowiedzi i Sterling ze zdziwieniem zobaczył, iż lord Eagleton był jednym z jej członków. Składu komisji pilnie strzeżono i Sterlingowi udało się tylko dowiedzieć, iż miał w niej uczestniczyć Gregory Attenborough. Trzecim członkiem komisji był młody lord Thomas Buckthorn, wicehrabia Ponsenby. Treasure zbladła lekko. To właśnie jego zgromiła łacińskim przysłowiem na przyjęciu u Eiderly'ego. Na jego ukłon odpowiedziała niepewnym uśmiechem. Najwyraźniej jej nie zapomniał.

Sterling pochylił się do niej i szepnął, iż obecność lorda Eagletona może się okazać szczęśliwa. Treasure nie chciała mu mówić, że obecność Buckthorna może mieć efekt wprost przeciwny.

Gregory Attenborough postukał młotkiem w stół sędziowski i ogłosił rozpoczęcie dochodzenia w sprawie Inwestycyjnej Koalicji Renville'a.

Jak na sprawę, która mogła zrujnować kilka dobrze zapowiadających się karier, a nawet posłać parę osób do więzienia, atmosfera na sali była dość wesoła. Gregory Attenborough co raz uciszał rozmowy, wreszcie udało mu się wprowadzić bardziej poważny nastrój. Wezwano kilku przedstawicieli Izby Handlowej, którzy mieli zeznawać w sprawie embarga. Nazwisko Wyatta wspomniano raz, a dwukrotnie mówiono o nim jako o przedstawicielu kolonii, który przedłożył petycję w Izbie Handlowej.

Następnie wezwano Wyatta, który przyznał, że przedłożył petycję i musiał bardzo długo czekać na posłuchanie. Taktownie nie wspomniał o roli Sterlinga w załatwieniu tegoż posłuchania.

Po przerwie wezwano Sterlinga, który wstał i zwrócił się twarzą do sali. W szczegółach opowiedział o rozwoju planu inwestycyjnego, który miał przynieść korzyści finansowe wielu osobom: inwestorom, ludziom z przemysłu stoczniewego, farmerom i klientom z Zagłębia Ruhry. Wszystko brzmiało bardzo przekonująco i Treasure zaczęła się zastanawiać, dlaczego w ogóle sprawa trafiła do komisji.

- Czyż nie jest prawdą, iż chciał się pan na tej inwestycji wzbogacić? - przerwał mu Buckthorn.

Sterling wydawał się najpierw zdziwiony, a potem rozbawiony.

- Wydaje mi się, że celem wszelkiego handlu jest zarabianie pieniędzy. Im więcej, tym lepiej.

- Czyż nie jest prawdą, iż zaczął pan poszukiwać inwestorów, nim jeszcze zniesiono embargo? Skąd pan wiedział, że Izba Handlowa przychylnie odniesie się do tego wniosku? Może zapewnił pan to sobie, na przykład, za pomocą łapówek?

Jedynie błysk oczu Sterlinga zdradzał jakąś reakcję.

- Wierzyłem w perswazyjne umiejętności pana Colbourne'a - mówił Sterling bardzo spokojnie - i w to, że Izba Handlowa w swej zbiorowej mądrości zrozumie, iż zniesienie embarga będzie dobrze służyć koloniom i Anglii. I dlatego mogłem przekonać moich współników.

- Musi pan być bardzo przekonującym człowiekiem - mruknął lord Eagleton.

- Człowiek robi to, co może i jak może - odparł Sterling. - Moja osobista sytuacja była taka, że nie stać by mnie było na

odpowiednią łapówkę. A nie przyszłoby mi do głowy obrażać tych panów jakąś nędzną sumką. Mogłem im jedynie obiecać przyzwoity zarobek i uczciwe rachunki. Więcej ode mnie nie wymagali.

Na sali rozległ się gwar.

- Inwestycyjna Koalicja Renville'a, jak ją nazwano na tej sali, już nie istnieje. Żadne pieniądze nie przeszły z rąk do rąk, nie podpisano kontraktów na statki ani na towary. Kiedy tylko pojawiły się wątpliwości, osobiście udałem się do każdej zainteresowanej osoby i wycofałem swoją ofertę. Lepiej żałować straconej okazji, niż rzucić choćby cień podejrzeń na uczciwych ludzi. I bardzo żałuję, iż ta wewnętrzna, rodzinna sprawa spowodowała niesnaski i konieczność powołania szanownej komisji.

- Kłamca! - Vance zerwał się z miejsca. - Ty przekłety kłamco! Nie miałem nic wspólnego z twoim brudnym planem.

Na sali wybuchło pandemonium. Gregory Attenborough zastukał młotkiem w stół i kazał wyprowadzić Vance'a.

Przesłuchanie Sterlinga trwało jeszcze przez jakiś czas, mniej więcej w tym samym stylu. Wreszcie zakończył je Attenborough, który najwyraźniej miał dość bezskutecznych prób udowodnienia przekupstwa.

Wydawało się, że wszystko jest na dobrej drodze, gdy z tyłu sali rozległ się hałas i wybuchło zamieszanie. Ktoś przedzierał się przez tłum, żądając, aby go dopuszczono do głosu. Był to doktor Benjamin Franklin, którego niebawem powszechnie rozpoznano. Członkowie komisji naradzili się między sobą i niechętnie pozwolili Franklinowi zabrać głos.

Doktor Benjamin podszedł do stołu i odwrócił się przodem do sali, ale nim zdążył otworzyć usta, znów rozległ się szmer. Do sali wszedł mężczyzna średniego wzrostu, ubrany w ciemnoniebieskie aksamity i kremowe koronki. Na głowie miał elegancką peruczkę. Kiedy się zatrzymał, natychmiast go rozpoznano i posadzono przy wiceministrze skarbu. Usiadł, ignorując zamieszanie spowodowane jego osobą, i rozejrzał się po sali. Kiedy spojrzął na Franklina, obaj nie mogli oderwać od siebie oczu. Tłum zamilkł. Sterling nachylił się do Treasure i szepnął jej do ucha:

- To Pitt.

Przyjście premiera Williama Pitta nadało całej procedurze

nowego znaczenia. Sterling siedział sztywno, z kamienną twarzą. Treasure instynktownie odgadła, że obecność Pitta oznacza jakieś nieprzyjemne reperkusje. Tymczasem doktor Franklin zaczął już swoją mowę:

- ...Handlowa wreszcie wykazała się pewną dozą rozsądku w traktowaniu kolonii, ma być dowodem nadużycia władzy. Odkąd to uznanie niezaprzeczalnych wspólnych interesów i zachowanie godności mieszkających w koloniach Anglików ma być dowodem przestępstwa? Chciwość i pazerność odegrały pewną rolę w tym wydarzeniu, ale nie dotyczyły one Izby Handlowej. Wykonała ona swój obowiązek, choć o wiele za późno. Ale to jeszcze nie jest przestępstwo. Dopiero w sprytnych działaniach człowieka myślącego jedynie o sobie i swoich korzyściach, pomysłodawcy tego inwestycyjnego planu, należy szukać prawdziwej manipulacji.

Franklin obrzucił Sterlinga gniewnym spojrzeniem. Premier odwrócił się i spojrzał na niego kątem oka. Sterling zaczerwienił się z wściekłości.

- Sterling Renville znany jest jako geniusz, który potrafi uzyskać korzyści z niczego. Lista jego działań w koloniach jest długa. Nie wahał się zabrać kilku kur starej wdowie i wielu sztuk krów i świń farmerom za długi. Brał zboże, tytoń, wosk i drewno, wszystko, co mu wpadło w ręce. Macie przed sobą człowieka, który wycisnąłby krew z kartofla.

Sterling siedział zaszokowany, spojrzał na bladą Treasure, na jej wielkie fiołkowe oczy, i zdał sobie sprawę, iż to prawdopodobnie ona dostarczyła Franklinowi tych informacji. Miał ochotę ją udusić. Na szczęście siedzieli w tłumie ludzi. Kiedy poczuł uścisk jej drobnej dłoni, znów na nią spojrzał. Błagalny wyraz jej oczu przywrócił mu trochę rozsądku. Treasure go kochała. Skoro opowiedziała wszystkie te szczegóły Franklinowi, widocznie nie spodziewała się, że zostaną przeciwko niemu wykorzystane.

- Wprowadzono w błąd opinię publiczną - mówił dalej Franklin. - Sterling Renville i jego kuzyn, Vance Montreaux, zwietrzyli możliwość zyskania majątku w zniesieniu embarga i przygotowali odpowiedni plan. Nie jest żadną tajemnicą, panowie, iż obaj ci dżentelmeni pogardzają koloniami. Nie możemy pozwolić, aby ich pogarda zniszczyła przyszłość setek tysięcy uczciwych, ciężko

pracujących mieszkańców kolonii i milionów Anglików, którzy potrzebują towarów i rynków zbytu.

Gwizdy i niechętnie okrzyki, a także słaby aplauz, skwitowały zakończenie mowy Franklina, który podziękował komisji za ich czas i cierpliwość, i wyszedł. Natychmiast poderwał się lord Serrelton, wychwalając plan Sterlinga i starając się osłabić oskarżenia Franklina. W środku przemowy Serreltona premier wstał i opuścił salę. Najwyraźniej dość już usłyszał.

Jakiś czas później Gregory Attenborough spojrzął przez okno na ciemne niebo, rzucił okiem na zegarek i przerwał zeznania Alfreda Pattena, chwaleńcego Sterlinga i jego plany.

- Komisja zebrała wystarczająco dużo informacji, aby podjąć decyzję - stwierdził, tłumiąc ziewanie. - Wprawdzie zrobiło się późno, ale udamy się teraz na naradę. Proszę czekać.

Po ich wyjściu w sali znów zapanował gwar. Wyatt i Sterling pomogli wstać Treasure i Larendzie. Hrabia spojrzął z niepokojem na Sterlinga, który w odpowiedzi wzruszył ramionami. Zapowiedź rychłej decyzji mogła oznaczać zarówno pomyślną, jak i niepomyślną wiadomość.

Półgodzinne oczekiwanie było bardzo męczące. Część widzów wyszła wcześniej do domu. Inni omawiali niespodziewane przyjście Pitta, jeszcze inni - wystąpienie Franklina. Wiele osób wyrażało wyrazy poparcia Sterlingowi, który przyjmował je z wyjątkową pokorą.

Komisja wróciła. Buckthorn wyglądał na niezadowolonego, stary lord Eagleton był zmęczony, a Gregory Attenborough zdeterminowany.

- Po zastanowieniu się komisja doszła do wniosku, iż w decyzji Izby Handlowej, dotyczącej zniesienia embarga na zboże i towary kolonialne, nie było żadnych nieprawidłowości. Niefortunna zbieżność w czasie planowanej inwestycji zrodziła wiele podejrzeń, ale stwierdzamy, że agenda rządowa pozostaje poza wszelkimi podejrzeniami w związku z nieistniejącą już Inwestycyjną Koalicją Renville'a.

Attenborough po raz ostatni stuknął młotkiem i mruknął pod nosem:

- Dobrze, że to już koniec, umieram z głodu.

Wszyscy rzucili się z gratulacjami do Sterlinga, Wyatta i hrabiego. To było chyba najkrótsze posiedzenie komisji. Zostali oczyszczeni z zarzutów. Sterling z trudem to wszystko ogarniał. Wprawdzie Alfred Patten zachowywał się dziwnie sztywno, wprawdzie ludzie szeptali po kątach, uśmiechali się znacząco i kiwali głowami, ale przecież był wolny.

Posłali po powóz i powoli zeszli po schodach, śmiejąc się i rozmawiając nerwowo. Sterling podawał właśnie Treasure jej krótką pelerynkę, gdy z cienia wyłonił się Vance. Wszyscy obecni zamarli. Sterling szybko stanął między Treasure a intruzem.

- A więc wygrałeś, kuzynie! - warknął Vance. - To jeszcze jeden z twoich sprytnych planów, żeby oczernić mnie i pozbawić należnego mi dziedzictwa. Ale to jeszcze nie koniec. Zapłacisz mi...

- Vance! - Hrabia przepchnął się naprzód. - Nie tutaj!

- Boisz się rodzinnego skandalu, stryju? Chyba nie masz wątpliwości, że on to wszystko zrobił, aby dostać tytuł. Małżeństwo Larendy, wplątanie mnie w te jego plany...

- Zamilcz, Vance - ostrzegł go Sterling. - Nie pora...

- Sterling! Vance! - Hrabia stanął między bratankami i spojrzął na nich, jakby po raz pierwszy naprawdę zobaczył ich wzajemną rywalizację.

- Obiecałeś, że zostanę twoim spadkobiercą- powiedział Vance.

- Gdy miałeś poślubić Larendę... - zaczął hrabia.

- A teraz, skoro twój ukochany Sterling usunął tę drobną przeszkodę, podrzucając ją swemu koleżce, wycofasz się ze swego słowa i jego wyznaczysz spadkobiercą! - Vance zobaczył przerażony wzrok hrabiego na widok ludzi, którzy przysłuchiwali się tej wymianie zdań, i roześmiał się głośno. - Boisz się, że poznają prawdziwą wartość twego słowa, stryju?

- Posunąłeś się za daleko! - Sterling postąpił naprzód, zamierzając wreszcie złoić Vance'owi skórę, ale Wyatt podskoczył i złapał go za ramiona.

Zapadła cisza. Hrabia przypatrywał się Sterlingowi, świadom niespłaconego długu wobec swego zmarłego brata.

Wyatt uwolnił Sterlinga, który z zainteresowaniem przyglądał się stryjowi, widząc na jego twarzy rozterkę i ból. Vance uważał,

że Sterling zrobił wszystko, aby odzyskać tytuł i majątek, bo sądził po sobie. Cel uświęcał środki. Ale Sterling postanowił pokazać Vance'owi, iż się myli. Zdał sobie sprawę, że są rzeczy, które znaczą dla niego więcej niż pieniądze i zaszczyty, coś, czego Vance przypuszczalnie nie potrafiłby zrozumieć.

Odwrocił głowę, odpowiadając w ten sposób na milczące pytanie stryja.

- Nadal jesteś moim spadkobiercą, Vance - powiedział zduszone głosem hrabia, wiedząc, że po raz drugi, w kolejnym pokoleniu, tytuł przypadnie niewłaściwemu człowiekowi. - A teraz, w imię boże, zostaw mnie w spokoju, dopóki sam cię nie wezwę do Rothmere.

Vance doskonale zrozumiał, co zaszło w milczącej wymianie między stryjem a jego kuzynem. Dostanie tytuł, ponieważ Sterling z niego zrezygnował.

- Tym razem papiery powinny zostać podpisane - zażądał.

Hrabia wyprostował się z godnością.

- Jutro poślę po moich prawników.

W ciszy przejechali kilka kilometrów mokrymi londyńskimi ulicami do domu hrabiego. Larenda i Wyatt wycofali się do małego saloniku. Hrabia poszedł za Sterlingiem do biblioteki.

- Musisz wiedzieć - zaczął - że nigdy nie dbałem o tytuł. Zarządzanie majątkiem i zachowywanie się, jak przystało na hrabiego, nie leżało w moim charakterze. Darcy taki był, on chciał zostać hrabią. I tak powinno było się stać. Ale nasz ojciec uważał, że tytuł należy się najstarszemu synowi. Zgodziłem się, żeby mu sprawić przyjemność. Darcy musiał wyjechać, nie rozumiesz? Musiał sobie stworzyć swój nowy majątek, nowe Rothmere, nowe marzenie, nową przyszłość dla siebie i dla ciebie. Żałuję, że nie starczyło mi odwagi, aby zrobić to, co było najlepsze dla Rothmere.

Sterling położył drżącą dłoń na ramieniu stryja.

- Postąpiłeś słusznie, stryju.

Kiedy uniósł głowę, zobaczył, że w drzwiach biblioteki stoi Treasure.

29

Następnego dnia, o pół do dziesiątej rano, po Sterlinga zajechał powóz z pełną wojskową eskortą, aby go zawieźć do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Sterling ze ściśniętym sercem spoglądał na oficera, który po niego przyszedł. Poprosił oficera, żeby zaczekał, aż pożegna się z żoną, i poszedł na górę obudzić Treasure.

Nim się przebudziła i pojęła, co się dzieje, Sterling wychodził już z sypialni. Wziął kapelusz od Huddlestona i wyprostował się, wiedząc, iż wspomnienie pocałunków Treasure pozwoli mu przetrwać długi czas.

Kiedy zajechali na miejsce, zaprowadzono go do dużego, wygodnie umeblowanego pokoju i kazano czekać. Po straszliwym kwadransie drzwi wreszcie się otworzyły. Sterling ze zdumieniem zobaczył samego premiera, Williama Pitta, w towarzystwie wiceministra skarbu i Alfreda Pattena z Izby Handlowej. Pitt usiadł za wspianym biurkiem z drzewa wiśniowego, a dwaj pozostali zajęli miejsca między premierem a Sterlingiem. Kiedy Pitt pogratulował mu korzystnego wyniku dochodzenia, Sterling w milczeniu skinął głową.

- Jest pan interesującym człowiekiem, Renville. - Premier pogładził się po ostrej brodzie, przyglądając się Sterlingowi. - Zna się pan na finansach, choć, o dziwo, jest pan bez grosza. Jedni uważają pana za człowieka bezwzględnego i egoistycznego, inni - za szczodrego i lojalnego.

Sterling zeszytniał, a Pitt roześmiał się.

- Jest pan człowiekiem paradoksalnym - ambitnym, bez możliwości zaspokojenia swych ambicji.

- Nie rozumiem, dlaczego moje paradoksy miałyby pana interesować - burknął Sterling.

- To właśnie moje zainteresowanie pańskim charakterem sprawiło, że chciałbym panu zaoferować możliwość awansu. Kraj potrzebuje takiego człowieka jak pan. To, co proponuję, pasuje do pana, ponieważ jest to stanowisko paradoksalne. Potrzebny jest nam człowiek, który potrafi wycisnąć krew z kartofla dla dobra kartofla.

- Obawiam się, że nie rozumiem - wycodził Sterling przez zaciśnięte zęby.

- Zna pan nasze kolonie amerykańskie, wie pan, jak ci ludzie tam są uparci i skąpi w dzieleniu się korzyściami z ich krajem ojczystym. Oczekują, że będziemy prowadzić wojnę na ich terytorium bez żadnych niewygód dla nich samych. Bardzo trudno przyszło nam ich przekonać, żeby wzięli na siebie część kosztów wojennych i dostarczali towarów niezbędnych dla naszych oddziałów. Potrzebny mi jest człowiek, który zna się na finansach i w razie konieczności nie będzie się bał podjąć ryzyka. Ktoś, kto zrozumie tych twardogłowych kolonistów bez nadmiernego przemawiania się ich gadaniem o prawach i „głosach poddanych”.

Pitt dostrzegł błysk zainteresowania w oczach Sterlinga i pochylił się naprzód.

- Potrzebny mi jest człowiek, który będzie reprezentował finansowe interesy Ministerstwa Spraw Zagranicznych i dopilnuje, żeby były pieniądze na wojnę oraz wyposażenie i pożywienie dla naszych żołnierzy.

Sterling usiłował to wszystko pojąć. Zamiast więzienia proponowali mu ważne stanowisko, nawet jeśli było ono w koloniach. Ostatnie słowa, które ułyszał, brzmiały:

- ...tysiąc rocznie.

Kiedy jakiś czas później wychodził z ministerstwa, Pitt, przyglądając się przez okno, jak wsiada do powozu, powiedział do swego sekretarza:

- Mam nadzieję, że wysyłając Renville'a do kolonii, nie robimy błędu. - Na moment zobaczył oczyma wyobraźni uduchowioną twarz Franklina. - Może przyjdzie taki czas, że pożałujemy, iż nie został tutaj.

Sterling wyskoczył, nim powóz na dobre się zatrzymał, i wbiegł do domu hrabiego.

- Gdzie ona jest?! - zawołał, rzucając kapelusz Huddlestonowi.

- W salonie, proszę pana.

- Treasure! - Wpadł do środka i dopiero po chwili zobaczył, że nie jest sama. Obok niej na kanapie siedział Wyatt, a naprzeciwko nich - hrabia i nie kto inny, jak doktor Benjamin Franklin we własnej osobie.

- Co on tu robi, do diabła?!

Treasure zerwała się na nogi i serdecznie objęła męża.

- Posłałam po niego. Co się stało?

- Posłałaś po niego?

- Co się stało w ministerstwie? - dopytywała się, trzymając go za ramię.

Spojrzał na nią i zrozumiał, że wszyscy na niego czekali.

- Posłałaś po niego i po Wyatta?

- Martwiłam się i byłam pewna, że zechcą się dowiedzieć, co się stało.

Sterling wyprostował się z dziwnym uczuciem, że o czymś nie wie. Pozwolił zaciągnąć się na kanapę i usiadł sztywno między Treasure a Wyattem, patrząc ze złością na Franklina. Cztery osoby przyglądały mu się wyczekująco.

- Zaoferowali mi stanowisko. W koloniach. Inspektora finansowego do spraw wydatków wojennych.

Wyatt krzyknął głośno i palnął Sterlinga w ramię. Treasure objęła go i obsypała pocałunkami.

- Naturalnie przyjął pan propozycję - powiedział Franklin, wyraźnie rozanielony.

- A co to pana obchodzi? - spytał zimno Sterling, wciąż pamiętając słowa Franklina z wystąpienia przed komisją.

- W gruncie rzeczy nic - odparł Franklin - poza tym, że bardzo mnie to cieszy.

- Zgodziłeś się? - spytała Treasure, biorąc męża za rękę.

- Tak.

Spojrzała na niego rozpromienionym wzrokiem i znów go uściskała.

- A to znaczy...

- To znaczy, że zabiorę cię do domu, do Culpepper, tak jak obiecałem.

Sterling przyjrzał się wszystkim po kolei i zdał sobie sprawę, że byli bardziej ucieszeni niż zdziwieni.

- Nie wyglądacie na szczególnie zaskoczonych.

Nadszedł moment, którego Treasure tak bardzo się obawiała. Na szczęście doktor Franklin pierwszy zabrał głos.

- Proszę mi wybaczyć wszystko to, co wczoraj o panu powiedziałem - zaczął z uśmiechem. - Ale to było niezbędne, aby zapewnić panu odpowiednią opinię...

- Opinię?

- Tak. Widzi pan, to trudna sprawa. Nie kochają mnie w Izbie Handlowej, gdyż niemiłosiernie ich prześladowałem naszymi interesami kolonialnymi. Nowy premier też za mną nie przepada, chociaż od czasu do czasu mnie wykorzystuje, kiedy potrzebuje poparcia dla swych ambicji. Pomyśleliśmy, że jeśli zgłoszę się do nich ze skargą na korupcję i narzekając na pański bezwzględny charakter, uznają, iż jest odwrotnie. Wydaje mi się, że raczej nie panu nie groziło, cała procedura była bardziej *pro forma*. I tak też się stało. Człowiek, którego ja nazwę chciwym i godnym potępienia, będzie odpowiednim kandydatem na trudne stanowisko inspektora finansowego do spraw wojny w koloniach. Słyszeliśmy, że premier szuka kogoś na to miejsce i rozpowiadaliśmy naokoło, że zamierzam pójść na posiedzenie komisji i powiedzieć, jaki pan jest okropny. Wiedzieliśmy, że Pitt prawdopodobnie się zjawi...

- My? Co za my?! - wykrzyknął Sterling, ale kiedy spojrzął na zaciśnięte dłonie Treasure, nie miał już wątpliwości. - Ty!

Treasure drgnęła nerwowo.

- Znowu myślałaś i kalkulowałaś, planowałaś...

- Renville! - Franklin ściągnął na siebie jego uwagę. - Wiem, że nie jest pan zadowolony z naszego podstępu, ale niech pan z tego powodu nie odrzuca takiej okazji. Potrzebujemy pana w koloniach. Jest pan zdolnym, silnym człowiekiem, który potrafi pociągnąć za sobą innych. Potrzebni nam są prawdziwi przywódcy, którzy dadzą sobie radę z wymaganiami Anglii. Kiedy wojna się skończy, będzie pan mógł wybierać swoją przyszłość. Po jednej albo po drugiej stronie oceanu.

Sterling wstał i zaczął chodzić po pokoju. W pewnej chwili przystanął, odwrócił się do nich i spojrzał na tę jedną, jedyną osobę, która tak naprawdę się liczyła.

- To był twój pomysł, prawda? Do diabła! Wiesz, na co zasługujesz, wtrącając się w moje sprawy? Ostrzegałem cię...

Dopadł do niej trzema susami, przerzucił ją sobie przez ramię i nie bacząc na jej okrzyki oburzenia, wyszedł z salonu.

Mimo zasłaniających mu drogę kół od krynoliny, wszedł na górę, zaniósł ją do swojej sypialni i zatrzasnął za sobą drzwi, przekręcając klucz. Rzucił Traesure na łóżko, a klucz na szafę - na podłogę za masywną tylną szafą.

Zaklął i zerwał z siebie surdut. Traesure tymczasem pospiesznie wstała i stanęła po drugiej stronie łóżka.

- Co chcesz zrobić? - spytała, kombinując, jak by tu uciec, choć wiedziała, że nie ma większych szans.

Sterling bez trudu złapał ją za ramię i przyciągnął do siebie.

- Dam ci porządne lanie, którego już raz uniknęłaś, i nauczę cię szacunku dla własnego męża. Po raz ostatni wtrąciłaś się w moje życie!

- Ale zrobiłam to dla ciebie, Renville. - Wiła się w jego uścisku, próbując się uwolnić. Nie zasłużyła na lanie. Przecież chciała tylko pomóc mężowi znaleźć jakiś cel w życiu. - Musisz mieć jakieś perspektywy na przyszłość. Staralam się znaleźć coś tutaj, w Anglii, ale wszystko już było zajęte. Chyba żebyś się z kimś ożenił, co było niemożliwe.

Sterling usiadł na krześle i położył ją sobie na kolanach.

- Nie możesz... uważaj na moje krynoliny! Wiesz, że będą ci przeszkadzać.

- Do diabła z twoimi krynolinami!

- To najlepsze, jakie mam... W gruncie rzeczy jedyne... Poczekaj, najpierw je zdejmę.

Traesure błyskawicznie uniosła do góry suknię i rozwiązała troczki podtrzymujące kółka. Razem z kółkami zsunęła z siebie halki i Sterling zobaczył na moment jej zgrabne nogi. Usiadł z powrotem na krześle i znów chciał ją sobie przełożyć przez kolana.

- Moja suknia! Gnieciesz aksamit! Poczekaj!

Nie czekając na jego pozwolenie, zaczęła drżącymi palcami rozwiązywać sznurówkę stanika.

- Teraz - powiedziała, stając przed nim w gorsecie, pończochach i bardzo krótkiej koszulce. Spoglądała na niego wielkimi, pięknymi oczyma, po czym nagle uklękła, oparła się o jego kolana i wypięła okrągłe, nagie pośladki.

Sterling uniósł rękę, ale nie opuścił jej gwałtownie, tylko powoli i delikatnie zaczął żonę głaskać. Drugą ręką gładził jej nagie ramiona, a po chwili wyciągnął jej szpilki z włosów, aby swobodnie opadły na ramiona. Treasure przekręciła się na plecy i odsłoniła piersi. Miała zamknięte oczy i płytki oddech. Jego palce zbłądziły na dół, do rozkosznych rudych włosów kryjących jej kobiecość.

Sterling wziął Treasure w ramiona i zaczął namiętnie całować. Drżał cały i nie myślał już o niczym innym, tylko o tym, żeby ją jak najszybciej posiąść.

Treasure odepchnęła go lekko.

- Kocham cię, Sterling, ale nie próbuj więcej zabierać się do bicia. Mogę leżeć na twoich kolanach wyłącznie w zupełnie innym celu.

- Jesteś bardzo niebezpieczną kobietą, Treasure. Przyniosłem cię tutaj, żeby cię skarcić, tymczasem dałem się uwieść. To nie znaczy, oczywiście, że już nie jestem na ciebie zły...

Zamknęła mu usta pocałunkiem, przyciągając go do swych wspaniałych, bujnych piersi.

- Niczego nie żałuję - jęknęła, siadając na jego kolanach. Powoli zaczęła rozpinąć mu kamizelkę, a potem koszulę. W tym czasie Sterling językiem pieścił jej piersi, które już dawno wyzwolił z gorsetu. Zdjął koszulę i chciał zanieść Treasure na łóżko, ale poprosiła, aby nie tracili czasu. Wszedł w jej wilgotną słodycz, ciasno obejmując pośladki. Cały czas kurczowo trzymała go za szyję. Wbijał się w nią raz po raz, coraz głębiej i głębiej, aż usłyszał jej jęki świadczące o tym, że nadchodzi pora spełnienia.

Po chwili wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko, gdzie znów się kochali, tym razem powoli i z wielką czułością.

- Kocham cię, Treasure - powiedział, całując jej nos, policzki i skronie.

- Powiedziałeś, że zabierzesz mnie z powrotem do Culpepper, tak jak obiecałeś. Kiedy to było?

- Gdy byłeś chora, na statku. Obiecałem, że jeśli wyzdrowiejesz, osobiście zawiozę cię do Culpepper. Wygląda na to, że teraz mam okazję dotrzymać obietnicy.

- Czy to znaczy, że już tak bardzo nie nienawidzisz Culpepper? Czy naprawdę mógłbyś być szczęśliwy, mieszkając tam ze mną? I pracując dla kolonii?

Sterling kiwnął głową.

- Na razie. Ale ostrzegam cię, że zamierzam się wzbogacić i nie pozwolę, abyś się wtrącała do mojej pracy.

- Nie będę - obiecała pospiesznie. - Czy myślisz, że w Filadelfii są stoliki karciane?

Błysk w oczach Treasure nieco go przestraszył.

- Pamiętaj, Treasure, masz mi nie pomagać, rozumiesz?

- Och, Sterling, wiem, że będziesz wspaniały i że pomożesz ludziom w koloniach...

- Tylko nie zaczynaj znów z tymi swoim koloniami... Pewnego dnia mogą mi zaproponować jeszcze lepsze stanowisko tutaj i na pewno wrócę wtedy do Londynu.

- Tak, wiem. Zrobisz to, co należy, dla kolonii i dla nas.

- Nigdy nie udawałem, że jestem świętym.

- Nie, ale jesteś dobrym, silnym człowiekiem i chcesz pomagać ludziom, i potrafisz być bardzo miły... To mi wystarczy.

Przyciągnęła do siebie jego głowę i mocno pocałowała, po czym roześmiała się głośno.

- Widzisz, to wcale nie boli.

- Co?

- To, że mówię, iż jesteś dobry i miły. W głębi serca nie jesteś zupełnie taki jak Vance. I nigdy nie byłeś. Jesteś o wiele bardziej podobny do Darcy'ego. Dlatego nie mogłeś się zdobyć na to, żeby wydusić wszystko od mieszkańców Culpepper albo wyrzucić nas wszystkich ze swojej ziemi. Wiem, że nie kochałeś swego ojca i rozumiem to. Ja go kochałam za nas oboje.

Sterling odepchnął ją, uwolnił się z jej objęć i usiadł na brzegu łóżka. Treasure uklękła obok niego.

- Darcy nauczył mnie tego wszystkiego, czego nie mógł nauczyć

ciebie. Dał mi uczucie, które teraz ja przekazuję tobie. A pewnego dnia... - Urwała, przygryzając wargę i obserwując drżenie jego ramion. Miała nadzieję, że nie posunęła się za daleko.

Sterling rozmyślał o swoim całym życiu, o niechęci, nienawiści i uprzedzeniach, jakie w sobie nosił przez tyle lat. To wszystko zmieniło się dzięki tej jednej, jedynej kobiecie, która na nowo nauczyła go miłości.

Przez dłuższy czas siedzieli w milczeniu obok siebie. Wreszcie Treasure dotknęła ręką jego złotych włosów. Sterling odwrócił się do niej.

- Kocham cię bardziej niż własne życie, Treasure. I wydaje mi się, że zaczynam rozumieć, jak ty mnie kochasz.

- Z całego serca, a nawet jeszcze więcej!

Później leżeli ponownie zaspokojeni, powoli odpływając w sen.

- Sterling?

- Słucham?

- Kiedy wyjeżdżamy?

Mimo iż był zaledwie koniec sierpnia, kukurydza prawie dojrzała. Zboże dawno ścięto i wymłócono, a tytoń był prawie gotów do zbiorów. Dzikie grona obficie zwisały z winorośli na skraju drogi. W małej dolinie Culpepper mijał kolejny żyzny rok. Gałęzie drzew wydawały się witać Treasure, dotykając dachu powozu.

W środku Sterling obserwował Treasure, która przyglądała się wszystkiemu szeroko otwartymi oczyma. Mijali pola, sady i lasy. Zaczęła rozpoznawać znajome widoki: polankę nad brzegiem strumienia, zakręt drogi. Niebawem dojechali do wioski. Nagle Treasure odwróciła się i złapała Sterlinga za obie ręce. Miała dziwny wyraz twarzy.

- Czy myślisz, że mnie poznają? Czy myślisz, że tu się wszystko zmieniło tak jak ja?

- Moja droga Treasure - powiedział, całując ją lekko w usta. - Niektóre rzeczy na pewno się zmieniły, ale wiele pozostało takich samych. Martwisz się, prawda?

Kiwnęła głową. W ostatnich czasach Sterling rozumiał jej problemy wcześniej, niż ona zdążyła coś powiedzieć.

Kiedy wspaniały czarny powóz i wóz z bagażami zatrzymały się na wioskowym placu, wokół szybko zebrał się tłum ludzi. Był czwartek, dzień targowy. Sterling wysiadł pierwszy i odwrócił się, żeby jej pomóc. Nerwowo strzepnęła kurz z aksamitnej podróżnej sukni i poprawiła wstążki kapelusza, rozglądając się wokół i szukając znajomych twarzy.

- Lila Cole. - Uśmiechnęła się i kiwnęła głową matce Johny'ego Cole'a, a później Tilly Gilcrest.

Wpatrywały się w nią z otwartymi ustami, nie wierząc własnym oczom. Ta kobieta wyglądała jak Treasure Barrett, ich szamanka... Ale w takiej eleganckiej sukni i wytwornym powozie.

- Will? - zapytała Treasure, widząc chłopaka przepychającego się przez tłum. - Will Treacle?

Doszedł do niej i zarumienił się z radości. Treasure wyciągnęła do niego ramiona, a on załapał ją w pasie i przytulił z chłopięcym entuzjazmem.

W tym momencie wszyscy wybuchnęli okrzykami powitania, witając Treasure ciepłymi uściskami, a młodego dziedzica chłodnym uściskiem dłoni i ostrożnym spojrzeniem.

Will pobiegł po ojca Vivanta, a mieszkańcy Culpepper usiłovali opowiedzieć Treasure o tym, co się zdarzyło podczas jej rocznej nieobecności. Werbownicy dotarli w końcu do Culpepper i kilkunastu młodych ludzi zgłosiło się do wojska, aby walczyć z Francuzami i z Indianami, pośród nich Pierre Fayette i Johnny Cole. Pokazali jej nowy drewniany budynek po drugiej stronie placu - kościół nowych kaznodziejów. Sklep Bentona Hegleya spalił się zimą i przy odbudowie znacznie go powiększono. Także w ziemie panowała epidemia grypy, ale dzięki opiece ojca Vivanta i Collette Rennie nikt nie umarł. Claude Justement doglądał budowy nowej studni tuż przy placu i zainstalował rury, które napełniały dwa kamienne zbiorniki. Ciepła wiosna i letnie deszcze zapewniły dobre zbiory.

W trakcie tych opowiadań mieszkańcy Culpepper z szeroko otwartymi oczyma przyglądali się, jak ich młody dziedzic obejmuje w tali ich szamankę i od czasu do czasu uśmiecha się do wszystkich, jakby zupełnie nie miał im za złe tego, że tak go zeszłego roku oszukiwali.

- Treasure! Święty Boże! To naprawdę ty! - zawołał ojciec Vivant, który przepchnął się przez tłum i stanął przed nimi czerwony i zasapany od biegu. - Wielkie nieba, martwiliśmy się o ciebie, *ma petite*. Niech ci się przyjrzę. - Z podziwem obejrzał jej elegancką suknię z purpurowego aksamitu, wyszukaną fryzurę i delikatny blask szczęścia bijący z jej twarzy. - Jesteś prawdziwą

pięknością! Przywiózł ją pan do domu, dziedzicu. Nie wolno nam zapominać o dobrym wychowaniu, witamy serdecznie także i pana.

- Och, Treasure - odezwała się Lila Cole, biorąc ją za ramię. - Musisz poznać wielebne Whitethorna. Przyjechał wiosną do Culpepper, żeby założyć nowy kościół. Protestantki - dodała ciszej, spoglądając spod oka na ojca Vivanta.

- Bardzo mi przyjemnie. - Treasure podała rękę szczupłemu, siwowłosemu mężczyźnie w czarnym ubraniu, z anglikańską koloratką pod szyją. Sterling przywitał się z pastorem skinieniem głowy, choć z błyskiem w oku. Kiedy Treasure odwróciła się z powrotem do ojca Vivanta, zobaczyła, że przyjacielski zazwyczaj ksiądz przygląda się pastorowi zupełnie nie po przyjacielsku. Pastor nie pozostawał mu dłużny.

- Co za przyjemna niespodzianka. - Silny głos Sterlinga prze-rwał napiętą ciszę. - Dwa kościoły w jednej wiosce. Culpepper będzie teraz podwójnie święte.

- Albo potrzebuje podwójnej dawki pokuty - rzucił pastor w stronę ojca Vivanta.

Ksiądz poczerwieniał jeszcze bardziej i tylko mruknął coś pod nosem po francusku.

Treasure zaprosiła obu przedstawicieli kościoła na kolację do Renville House tego samego wieczoru i obaj, ku jej lekkiej konsternacji, chętnie przyjęli zaproszenie. Sterling wsadził ją do powozu i posłał małego Willa Treacle z wiadomością, aby Barretowie także przybyli do Renville House.

Kiedy powóz ruszył, Treasure pomachała ludziom zgromadzonym na placu i wcisnęła się w kąt powozu, marszcząc czoło. Gdy podniosła oczy, zobaczyła, iż Sterling intensywnie się jej przygląda, i wiedziała, że znów czyta jej w myślach.

- Wcale im mnie nie brakowało - powiedziała mimo to.

Sterling roześmiał się.

- Nie byłbym tego taki pewien.

- A ja jestem. Collette Rennier pomaga im w chorobach, Claude pilnuje budowy...

Sterling pocałował ją lekko w usta.

- Masz żal, że wreszcie, dla odmiany, zaczęli samodzielnie myśleć? Najwyższy czas, aby sami zadbali o własne sprawy.

Niedługo będziesz miała dość zajęcia. - Uśmiechnął się i poklepał ją po wciąż jeszcze płaskim brzuchu.

Na powitanie dziedzica i jego żony wylegli wszyscy mieszkańcy Renville House. Stary Bailey i pani Treacle jako pierwsi gorąco uściskali Treasure, a po nich przyszła kolej na resztę, oprócz Alfa i Hanleya, którzy stwierdzili, iż za bardzo śmierdzą stajnią, i mieli rację.

Pani Treacle tak była zachwycona przyjazdem Treasure, że nie miała nawet nic przeciwko szykowaniu kolacji dla zaproszonych na wieczór gości.

Wkrótce zjawili się Buck i Annis Barrettowie z Penem i małą Sally, radośnie i serdecznie witając Treasure. Buck pękał z dumy, że jego córka jest taką elegancką damą, Annis ze wzruszenia ocierała oczy chusteczką, Sally zarzuciła siostrę tysiącem pytań, a Pen spytał szagra, co go właściwie sprowadza do Culpepper. Kiedy Sterling zaczął wyjaśniać, na czym ma polegać jego praca w koloniach, w salonie zapadła cisza jak w kościele.

- Będziesz zatem potrzebował alkoholu - powiedział Buck, drapiąc się z namysłem po brodzie. - Wszyscy żołnierze zawsze dostają przydziałowy alkohol.

- To prawda. - Sterling uśmiechnął się do teścia. - Ale będę kupował tylko najlepszy gatunek i za najkorzystniejszą cenę. Na pewno nie tę twoją nieprzedestylowaną pulpę, Barrett.

Buck zaczerwienił się, a Treasure roześmiała się głośno.

- Obawiam się, że Sterling wszystko wie, tato. Nie mam już przed nim, żadnych sekretów.

Kolacja była bardzo elegancka. Treasure jako gospodyni zajmowała miejsce na końcu stołu, daleko od Sterlinga, między ojcem Vivantem i pastorem Whitethornem. Obaj wielebni co chwila prawili sobie złośliwości, co Treasure bardzo denerwowało. Z ulgą przyjęła toast ojca za szczęśliwy powrót dziedzica i jego żony.

Niestety, ulga była krótkotrwała. Sterling, godny i nobliwy w roli gospodarza, wstał i zaproponował toast za swą wspaniałą

żonę i... nowego Renville'a, który przyjdzie na świat za jakieś pięć miesięcy.

- zy to prawda? - wyjąkała Anis.

- Tak - odpowiedziała Treasure, rumieniąc się.

- Dzisiaj Bóg wysłuchał naszych modlitw, Treasure Barrett - powiedział ojciec Vivant. - Jeśli urodzisz dziecko, które ochrzczę, będę wiedział, iż wasz związek jest prawdziwy i błogosławiony. - W jego brązowych oczach pojawiły się łzy. - Miałem przez cały czas wyrzuty sumienia, gdyż nie wiedziałem, czy postąpiłem słusznie, dając wam ślub. Ale dziecko, nowy Renville, którego przyniesiecie do ołtarza...

- W pańskim kościele? - Pastor Whitethor wstał i wyprostował się dumnie. - Barrettowie, a zapewne i Renville'owie, nie są katolikami.

- Należą do mojej trzódki - stwierdził ojciec Vivant, zrywając się z krzesła. - Ja się o nich troszczyłem, namaszczałem olejami chorych, modliłem się za nich, nawet udzieliłem im ślubu. I na pewno ja będę ich chrzczył!

- Proszę natychmiast przestać! - zawołała przerażona Treasure. - Nie zgadzam się na takie zachowanie przy moim stole ani kłótnie o moje dziecko. Może mam je przeciąć na pół, żeby każdy z was miał swoją połówkę do ochrzczenia? Ojczy, ty zajmiesz się wodą święconą, a wielbny Whitethorn wypowie błogosławieństwo. I dziecko będzie podwójnie szczęśliwe.

Ani ojciec Vivant, ani wielbny Whitethorn nie byli zachwyceni takim obrotem sprawy, ale żaden z nich nie ośmielił się sprzeciwić Treasure. Niebawem obaj się pożegnali.

Przez resztę wieczoru Treasure opowiadała rodzinie o Rothmere i o Londynie, o tym, co widziała i robiła, a także obdzieliła wszystkich starannie wybranymi prezentami.

Wreszcie Buck ziewnął szeroko i stwierdził, że jest bardzo zmęczony. Nim Treasure zdążyła zaproponować, aby wszyscy zostali na noc, Sterling zaoferował swój powóz, którym mogli wrócić do domu.

Sterling wziął śpiącą Treasure na ręce i zaniósł w zacisze sypialni, gdzie powoli ją rozebrał.

- Ciekawa jestem, jak Larenda i Wyatt dają sobie bez nas

radę - powiedziała Treasure, wspominając zachwyty przyjaciółki na widok wspaniałego domu Wyatta w Filadelfii.

- Są a pewno szczęśliwi jak para kotów na straganie z rybami - odparł Sterling, zdejmując ubranie. - W czasie podróży statkiem nie szukali szczególnie naszego towarzystwa. Zobaczą ich w przyszłym miesiącu, kiedy będę przejazdem w Filadelfii, i zaproszę ich do nas w odwiedziny. Tak czy owak, zapewne wybiorą się do nas, gdy stryj Philamon przyjedzie na Boże Narodzenie.

Sterling wsunął się do łóżka i z prawdziwą przyjemnością przytulił do siebie zgrabne ciało Treasure.

- Szczęśliwa jesteś, że wróciłaś do domu, mój skarbie?

- Och, tak. Wolę być tu z tobą niż gdziekolwiek indziej na świecie.

- Wciąż się martwisz, że twoi ludzie już cię nie potrzebują?

- Nie tak bardzo. Myślałam dziś wieczorem, że uduszę ojca Vivanta. Może nie jestem im już tak bardzo potrzebna jak kiedyś, ale nadal potrzebna jest im szamanka. Nawet ojcu. Znajdę sobie zajęcie.

- Wkrótce będziesz miała zajęcie przy dziecku.

- Twoim synu...

- ...albo córce. A kiedy ja będę się bogacił i pomagał twoim koloniom, ty będziesz tu miała masę pracy. Wolałbym cię teraz nie zostawiać, ale obawiam się, że muszę pojechać w następnym tygodniu do Bostonu i Providence.

- Nie martw się o mnie. Dam sobie radę z prowadzeniem domu i znam się na uprawie i hodowli.

- Wiem, wiem - powiedział ze śmiechem. - A skoro już się do tego zabierasz, to przypominam o tegorocznych pieniądzach za dzierżawę...

Jakiś czas później Sterling Renville opuścił łóżko i stanął w otwartych drzwiach balkonowych swej sypialni.

- Jestem tu, ojcie - szepnął w otaczającą go ciemność. - Przywoźłem do domu nasz wspólny skarb.

Teraz zrozumiał, że Treasure jest jego spadkiem po ojcu, najlepszą rzeczą jaką ojciec może zostawić synowi - kochającą kobietą.

Epilog

Culp per, Maryland, rok 1768

Tego ciepłego czerwcowego popołudnia Renville House tętnił życiem. Sterlinga Renville'a wybrano na kolejną kadencję do walki z brytyjskim embargo w zgromadzeniu stanowym stanu Maryland. Na wieczór przygotowywano wielką fetę dla mieszkańców wioski. Z kilkudniową wizytą zjawili się Larenda i Wyatt; spodziewano się także innych gości z Baltimore.

Philamon Renville siedział na ganku pogrążony w rozmowie z Buckiem Barrettem na temat przyczyny ostatniej zarazy na drzewach owocowych, a obok nich ojciec Vivant i wielebny Whitethom zajęci byli grą w szachy. Wszyscy mężczyźni ignorowali wrzaski i piski gromady chłopców na trawniku przed domem.

Larenda i Treasure pospiesznie wybiegły z domu w tym samym czasie, gdy nadeszli Wyatt i Sterling. Mężczyźni szybko się wycofali, zostawiając opanowanie kryzysu matkom.

- Spokój! - wykrzyknęła Treasure, groźnie spoglądając na walczącą gromadkę. - Walczycie ze swymi najlepszymi przyjaciółmi? W życiu o czymś takim nie słyszałam.

Obrzuciła potępiającym spojrzeniem czterech jasnowłosych Renville'ów z niebieskimi oczami. Matthew Darcy, Mark Philamon, Luke Penance i John Pierre zwiesili główki, spoglądając spod oka na czterech Colbourne'ów, którzy dwa dni wcześniej najechali na ich królestwo.

- Żeby mi się to więcej nie zdarzało, słyszycie? Prawdziwi przyjaciele starają się być dla siebie jak najmilsi. Co by na to powiedzieli wasi ojcowie?

- Treasure! - Z domu wybiegła Annis Barrett ze zmarszczonym troską czołem. - Nie widziałas Modesty? Poszłam obudzić ją z drzemki i nie zastałam jej w łóżeczku. I nie ma jej nigdzie w domu...

- Modesty zginęła? - Treasure spojrzała na matkę z przerażeniem. - Jesteś pewna?

Nim matka zdążyła odpowiedzieć, już wysyłała na poszukiwanie synów oraz Sterlinga i Wyatta, którzy właśnie nadeszli. Buck Barrett, stryj Philamon, ojciec Vivant i wielebny Whitethorn także przyłączyli się do poszukiwań, ale dwupółletniej Modesty nigdzie nie było.

Nadszedł wieczór i planowaną zabawę trzeba było odłożyć. Każdy nowy gość przyłączał się do szukania najmłodszego potomka Renville'ów. Wprawdzie Treasure była zupełnie pewna, iż jej ukochana córeczka odnajdzie się niebawem, cała i zdrowa, ale i ona zaczynała powoli tracić opanowanie i rozsądek w miarę upływu godzin.

Po nieprzespanej nocy szukający znów wyruszyli w okoliczne zagajniki, ale niespodziewanie ich oczom, na drodze prowadzącej do domu, ukazała się drobna, jasnowłosa postać, w błękitnej sukieneczce i na bosaka. Treasure rzuciła się pędem w jej stronę, lecz nagle stanęła jak wryta.

Modesty Renville podeszła do ojca z szerokim uśmiechem na twarzy. Na ramieniu miała dorosłego szopa pracza, w jednej ręce ścisnęła pęk piór białej sowy.

Sterling tłumaczył córce, żeby zdjęła z siebie zwierzaka, że może zrobić jej krzywdę, że to niebezpieczne, ale dziewczynka nie zwracała uwagi na jego napomnienia i nie pozwoliła mu się do siebie zbliżyć.

Treasure uklękła na zakurzonej drodze i wyciągnęła rękę. Zgromadzeni ucichli. Modesty znów szeroko się uśmiechnęła, gdy zwierzę pozwoliło się dotknąć Treasure.

Kiedy Treasure podniosła zażawione oczy, zobaczyła przed sobą swego ojca, który śmiał się i zaskoczony drapał się po głowie. Oboje przypomnieli sobie podobne wydarzenie sprzed wielu, wielu lat.